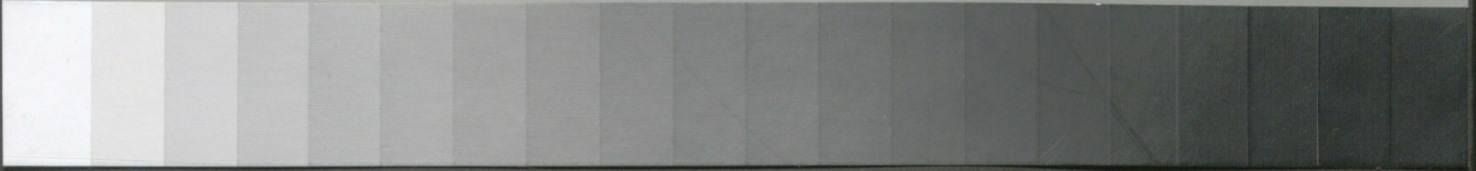


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

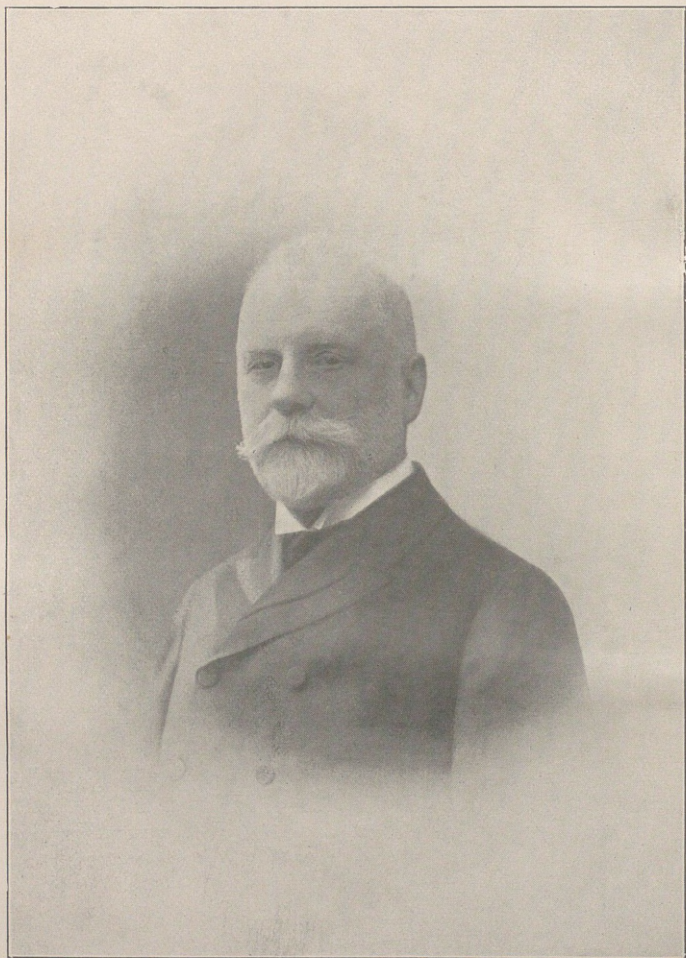
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





JERZY MILEWSKI

WSPOMNIENIA
I DOKUMENTY



Leon Dilina

JERZY MILEWSKI

LEON BILIŃSKI

B. MINISTER SKARBU POLSKIEGO

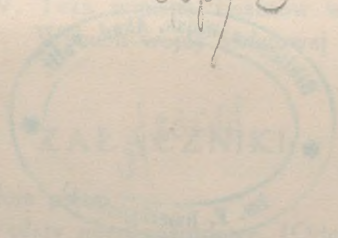
WSPOMNIENIA
I DOKUMENTY

TOM I

1846—1914

jest. 2 komp.

dop/2



WARSZAWA 1924

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

T R E Ś Ć:

Rok		Str.
1846—1863.	I. Dzieciństwo i nauki średnie . . .	1
1863—1867.	II. Studja prawne. Poznanie przyszłej małżonki. Zaręczyny . . .	5
1868—1871.	III. Namiestnictwo. Docentura. Rada szkolna	14
1871—1876.	IV. Zaślubiny Profesura. Życie publiczne	21
1876—1878.	V. Dziekanat. Choroba żony . . .	27
1878—1882.	VI. Rektorat. Kongres rolniczy austriacki	30
1883—1891.	VII. Rada Państwa	33
1892—1896.	VIII. Prezydentura kolei państwowych. Kongres kolejowy międzynarodowy	57
1896—1897.	IX. Pierwszy raz ministrem skarbu . .	86
1898—1899.	X. Służba w Kole Polskiem . . .	123
1900—1909.	XI. Gubernatorstwo Banku austro-wę- gierskiego	137
1909—1911.	XII. Drugi raz ministrem skarbu . . .	167
1911—1912.	XIII. Pierwsze prezesostwo w Kole Pol- skiem	205
1912—1914.	XIV. Teka ministra finansów wspólnych. Wybuch wojny światowej . . .	227

ZAŁĄCZNIKI:

- A) Moje prace
- B) Wpłaty międzynarodowe. (Odczyt)
- C) List prezesa ministrów hr. Stürgkha.

I R E S C

1	I. Dyktando i notki śródnie	1846—1863
5	II. Studja prawne. Pismo przyjacielskie medyczne. Zarządowy	1863—1867
14	III. Namienictwo. Dokumenty. Rada szkolna	1868—1871
21	IV. Zeszyty Profesora X-tych publikacji	1871—1876
27	V. Dyktando. Choroba forte	1876—1878
29	VI. Rektorat. Komisja rolnicza następująca	1878—1882
33	VII. Rectorat. Komisja rolnicza następująca	1882—1887
37	VIII. Prezydentura. Koleja państwowych Kolejów. Kolejowy uniwersytecki	1887—1896
66	IX. Przewyższanie ministerstwa	1896—1897
123	X. Szkoła w Kole Polkiem	1898—1899
137	XI. Gubernatorstwo. Baza naukowa kierownika	1900—1909
167	XII. Drugi raz ministerstwo	1909—1911
202	XIII. Przewyższanie ministerstwa w Kole Pol. kierownika	1911—1912
227	XIV. Tęże ministerstwo. Ministerstwo Wydział wojny i marynarki	1912—1914

Z A F A C Z N I K I

- A) Moje prace
- B) W piśmie uniwersyteckim (Odczyty)
- C) Listy przeszłe ministerów hr. Świrskiego

WYDAWCA: KSIĘGARNIA „PROSĘK”

Wiedeń, d. 16 maja 1917.

Moje wspomnienia.

Nigdy nie prowadziłem zapisków o mojem życiu prywatnem lub publicznem. Dziś, na miesiąc niespełna przed ukończeniem 71 roku życia rozpoczynam w Imię Boże te wspomnienia z pamięci, złożywszy dopiero wczoraj ostatni swój urząd publiczny: godność prezesa Koła Polskiego.

I.

1846—1863: Dzieciństwo i nauki średnie.

Słyszysz się tak często, że obecnie niema już cudów na świecie. Jużci wszystko, co tworzy potężny duch ludzki, jest cudem Bożym. Ale ja ponadto widziałem w całym mem życiu palec Boży nad sobą i doświadczałem Jego cudów.

Urodziłem się w dniu 15 czerwca r. 1846 w Zaleszczykach nad Dniestrem, w domu rodziców śp. matki mojej Malwiny z baronów Brunickich. Przyszedłem na świat na pozór nieżywy; zachodząc około ratowania mej matki, która też w 5 dni po mojem urodzeniu zesłała ze świata, umieszczono noworodka na jakiejś misce drewnianej pod stołem. I tylko instynktowi śp. ojca mego, który przechodząc obok stołu, spróbował przekonać się o życiu dziecięcia lekkim jego uderzeniem, zawdzięczam życie i to wszystko, co mi Bóg w niem przeznaczył.

Ojciec mój Wiktor, syn bardzo ongiś bogatego Franciszka, właściciela Grodziska pod Leżajskiem, był mi przez następnych 6 lat ojcem i matką zarazem. W majątku Ispas, obwodu Kołomyjskiego, zakupionego r. 1844 z okazji zawarcia małżeństwa rodziców, czuwał nad mojem życiem i zdrowiem i już wówczas starał się dobrać się do ducha mojego. Pamiętam, jak siedząc ze mną przed kominkiem, zaczął mnie uczyć stopniowo, a nawet nauczył mnie był tak zw. „Einmal Eins“ po polsku i po niemiecku.

W r. 1852 wszedł ojciec w powtórne związki małżeńskie z moją rodzoną siostrą cioteczną, Leontyną Hoenigsberg, urodzoną z baronówny Karoliny Brunickiej, siostry mojej śp. matki Malwiny. Nie zaznawszy matki rodzonej, pokochałem szczerze macochę, która mi była mimo swoich własnych dzieci całe życie czułą i dobrą matką.

Przeniósłszy się z Ispasa do teściów swoich do Muzyłowa, obwodu Brzeżańskiego, a ztamtąd na dwa lata do Wieniawki, obwodu Tarnopolskiego, ojciec posyłał mnie do pierwszych klas szkoły ludowej w samej Wieniawce, gdzie się poraz pierwszy zetknąłem z ludem ruskim. Na rok szkolny 1854/5, w czasie koncentracji wojsk z powodu wojny krymskiej, kiedy to ojciec na małej dzierżawce zrobił majątek przy szalonych cenach wojennych zboża (vide lata wojny światowej), oddano mnie do 4 klasy ludowej do Trembowli, gdzie u dyrektora szkoły Grünberga znalazłem troskliwą opiekę i pomoc przy nauce. Swoją drogą najważniejszym celem tej nauki była znajomość języka niemieckiego, popierana przez tak zw. „Sprachzeichen“, tabliczkę drewnianą, którą musiał objąć w posiadanie każdy uczeń, przyłapany na rozmowie polskiej, poczem spotykała kara — zwykle aresztu domowego — tego ucznia, który się znalazł w posiadaniu tabliczki w sobotę!

Z Trembowli, gdzie ukończyłem szkołę ludową celująco, wyniosłem, prócz walki o „Sprachzeichen“, dwa wspomnienia: zamku słynnego z obrony ongiś Chrzanowskiej w czasie

napadu tureckiego, i wspomnienie młodziutkiego cesarza Franciszka Józefa, witanego przez dzieci szkolne u wjazdu do miasta kwiatami. Śp. monarcha, najszlachetniejszy później obrońca narodu polskiego, przypomniał sobie w r. 1913 czy też 1914, tj. równo w lat 60, tę scenę, opisaną Mu przezemnie, wymieniając maść konia, na którym wtedy wjazd uroczysty odbywał!

Z jesienią 1856, kiedy rodzice zamieszkali byli już w większej Románówce (swoją drogą przyjęci tam piorunem i ogniem, a później dotknięci przelicznymi klęskami) oddano mnie do gimnazjum bazylińskiego w Buczaczu pod opiekę p. Henryka Milewskiego, który tam założył był konwikt. Bazylianie uczyli bardzo dobrze, byli jednak strasznie surowi. Truchlałem nieraz przed chłostą, aplikowaną u kolegów moich; ale gdy prof. ks. Łobodycz, najsurowszy ze wszystkich zwrócił mi kajet z pierwszym w mem życiu wypracowaniem łacińskim z dopiskiem: „sine (scil. errore) — egregie“, rozjaśniły się losy moje. Dobrotliwym dla mnie był staruszek ks. Hnatowicz, profesor historii naturalnej.

Studja od klasy gimnazjalnej 2 do włącznie 5 odbywałem w Stanisławowie, dokąd się przeniósłem z konwiktem Milewskiego, znakomitego pedagoga, któremu zawdzięczam przedewszystkiem biegłość w języku francuskim, chęć do pracy i zamiłowanie w gimnastyce. Pan Milewski dożył późnych lat i był wraz z najzaciejszą żoną swoją Emilją do końca w przyjaznych z nami stosunkach. Bywałem po latach u nich z żoną. Po stracie żony podupadł i umarł w domu ubogich. Po śmierci jego urządziliśmy dawni jego uczniowie składkę na pomnik, ale pieniądze gdzieś zginęły. W konwikcie stanisławowskim, urządzonym bardzo porządnie, ze stałym Francuzem, był pomieszczony także Jan Puzyna, późniejszy kardynał, ks. biskup krakowski. Byli tam również dwaj bar. Błażowscy, późniejsi posłowie do Rady państwa, Stanisław Bogdanowicz, dziś w Warszawie z żoną i synem itd. W 5 klasie opuściłem konwikt i byłem pomieszczony najprzód u katechety Łukawieckiego,

bardzo zacnego nauczyciela, a później u dyrektora emeryt. p. Swistelskiego, którego córkę spotkałem w r. 1915 jako uchodźczynią we Wiedniu.

Do klasy 6 włącznie 8, przeniósł mnie ojciec, nie mając już stosunku z p. Milewskim, do bliższego wsi Romanówki Tarnopola, gdzie umieścił mnie u prof. Pohoreckiego, dobrego pedagoga. Te trzy lata żyłem pomiędzy Tarnopolem i Romanówką. Studja płynęły doskonale w gimnazjum rządowym, gdzie spotkałem znakomitego profesora historii ks. Ilnickiego do dziś mi pamiętnego i kolegę Stanisława Głogiera, z którym walczyliśmy w półroczu o 1 względnie 2 miejsce w klasie: wkońcu byłem ja pierwszym. Z drugiej strony podwórza było prywatne gimnazjum ks. Jezuitów, którzy starali się jednać nas pojedynczo dla swych wpływów umoralniania: jestem im winien wiele wdzięczności. W ciągu mojej 8 klasy przypadło w d. 22 stycznia 1863 powstanie nasze w Królestwie*): pamiętam miejsce i chwilę, w której mi o tem wielkiem zdarzeniu opowiedział jeden z kolegów. Młodzież polska gorąco została porwana powstaniem. Każdy z nas pragnął stawić się jak najwcześniej w szeregach walczących. Mój ojciec, który sam walczył w r. 1830/1, jako adjutant jen. Umińskiego, niemógł mi z góry odmówić zezwolenia pójścia do powstania; mam jednak jeszcze list jego w rękę, w którym mi przedstawia obowiązki młodzieży polskiej w Tarnopolu, gdzie pozostaną sami tylko Rusini. Wszelako po maturze, która się powiodła doskonale (zaimponowałem komisji rozwiązaniem tak zw. „Foucaultische Pendelversuch“), kazał mi ojciec brać lekcje szermierki lancą, ćwiczyć się dalej w jeździe konnej i wyekwipować się starannie. Miałem wstąpić do służby pod dyktatorem Langiewiczem; jego upadek rozwiął także moje marzenia o walce orężnej za Ojczyznę. Bóg mi widać przeznaczył szczęście walczenia za Nią przez lat wiele na drodze pokojowej.

*) Czytam to przypadkowo w d. 21/1 1920 w Warszawie, w 2 miesiące po wygnaniu mnie z ministerstwa polskiego.

Lata gimnazjalne przeplatane były szczęśliwemi wakacjami w Romanówce, gdzie i sam ojciec bardzo się mną zajmował i miałem codziennie niemal u boku przyjaciela, Edmunda hr. Starzeńskiego, syna hr. Józefa, właściciela tak Romanówki, jak sąsiedniej o miedzę Magielnicy. Śp. hr. Józef, wielkich cnót, acz nie bez przywar, obywatel, znakomity znawca muzyki, pokochał mego ojca jak brata, przebywał w jego domu nieraz tygodniami, był mu niejednokrotnie pomocnym i widział chętnie moją przyjaźń z synem. Konno odwiedzaliśmy się niemal codziennie. Gdy r. 1864 napłynęło sporo powstańców z oddziałów wypartych do Galicji, byliśmy obaj ich admiratorami i towarzyszami wyścigów konnych. Matka Edmunda pani Ernestyna z hr. Kickich, bardzo rozumna, ale trochę ostra i dumna arystokratka, była mi także przychylną i w ciągu studjów prawnych we Lwowie korzystałem z gościnności w jej domu, gdzie mogłem się przedstawić słynnym artystkom teatru Lwowskiego, jak Targowska i inne, niepomnę, czy nie była tam także Wenclówna, słynna dziewczica Orleańska, późniejsza hrabina Russocka. Starszy syn hr. Józefa z I. małżeństwa hr. Leopold bywał u nas także: był on autorem słynnego dramatu patriotycznego „Gwiazda Syberji“. Drogim zresztą bardzo sercu memu towarzyszem w Romanówce wówczas i później był mi brat mojej macochy a mój rodzonocioteczny brat, Piotr Hoenigsberg. Był on starszy odemnie, ale nie o tyle, o ile młodszem było jeszcze rodzeństwo moje: byliśmy więc jak bracia sjamscy z „Pitkiem“, w którego pokoju mieszkalem z nim razem przez wakacje.

II.

1863—1867: Studja prawne. Poznanie przyszłej małżonki. Zaręczyny.

Wyjazd do Lwowa na studja uniwersyteckie był pierwszym niejako przełomem w życiu mojem. Po niejakiem wahaniu zde-

cydowaliśmy się z ojcem szczęśliwie na studja prawne. Podróż pocztą („dylizansem“) była długą i dość uciążliwą; pomieszczenie we Lwowie, wówczas jeszcze mieście małym stosunkowo i po trochu niemieckiem, ułatwił mi kuzyn Piotr, który razem ze mną zamieszkał w październiku 1863 przy drewniej targowicy w pokoiku wspólnym, odnajętym od pp. Bieleckich. P. Klemens Bielecki był małym urzędnikiem tabularnym i młodziutka żona jego Emilja z domu Wepnik ze swemi siostrami była nam opiekunką. Była to osoba wielkich cnót i znacznego rozumu; córka jej starsza Marja, urodzona w tym domu, została po latach, po śmierci swej matki, zmarłej w Meranie, bratową moją, żoną brata mego Leopolda, żoną i matką wzorową; dom pp. Bieleckich był też znacznie później jednym z pierwszych, w którym zapoznawszy żonę moją, znalazłem przyjaźń i gościnność.

Na I. roku praw zabrałem się tak do prac prawniczych, z których składałem kolokwia celujące, jak do prac historycznych; ze szczególniejszem upodobaniem studjowałem Macaulaya historję Angliji. Uprawiałem też muzykę, korzystając z fortepianu, mieszkających w tym samym domu pp. Pokiczaków, siostry i szwagra mojej macochy. Rodzina ta była zresztą w niezgodzie z rodzicami mojemu, a tylko ja utrzymywałem stosunki z nimi, zwłaszcza z panią Józefą z Hoenigsbergów (zwano ją „Isiunią“) aż do ich śmierci, doznając tam zawsze uprzejmej gościnności. W tym też roku bywałem u hr. Ernestyny Starzeńskiej na wieczorkach artystycznych. Na I. roku wreszcie zachwycałem się jedyne polskimi, a znakomitemi wykładami literatury polskiej prof. Małeckiego. Setki słuchaczy zapełniały salę wielkiego uczonego, szlachetnego przyjaciela młodzieży. Próbowałem nawet pod jego okiem wystąpić ze studjum historycznem o „Zaporożu“, ale niestety pozostało tylko przy projekcie.

Drugi rok praw przyniósł mi wielką zgryzotę: w jesieni 1864 zachorował ciężko mój dobry szlachetny ojciec, który mi

tyłe wpoił dobrych zasad, zasad pracy, nauki, oszczędności, odwagi. Ciężka choroba, połączona z niemocą, nie odstąpiła go przez lat 11. aż do śmierci! Zmniejszoną z natury rzeczy pomoc finansową z domu uzupełniało mi bardzo szczęśliwie stypendjum z funduszu Głowińskiego, w wysokiej na owe czasy sumie 262 Fl. 50 w. a., nadane mi przez hr. Agenora Gółuchowskiego. Było to pierwsze moje z nim zetknięcie. Mieszkałem w owym roku „na Zielonem“ (przy ul. Zielonej) u radcy Namiestnictwa, p. Niżałowskiego, którego ówczesnego synka Ludwika poznałem powtórnie w r. 1916 w Ischlu jako generalnego audytora armji austriackiej. Był on zresztą swego czasu uczniem moim na prawach. Zaprzyjaźniłem się jeszcze w Tarnopolu z bardzo szlachetnym kolegą, Eugenjuszem Olechowskim, ciężko niestety chorym na płuca. Mieszkał on jako prawnik jakiś czas u mnie, ale przeszedł wkrótce na teologję, odwiedzany często przezemnie w seminarijum duchownem. Wyświęcony na kapłana, wkrótce wyzionął ducha. Z końcem roku szkolnego złożyłem I. (historyczny) egzamin państwowy z wyszczególnieniem. Profesorami głównych dwóch przedmiotów tego egzaminu i egzaminatorami w 2-ch pierwszych latach miałem do prawa rzymskiego prof. Zielonackiego (Poznańczyka), męża równie uczonego i dobrego, jak w najwyższym stopniu oryginalnego (słynne bywało jego pytanie przy egzaminie: „wie viele Nemo giebt es im römischen Rechte?“), a do prawa kościelnego prof. Kottera, znakomitego nauczyciela. W roku tym i następnym przeżyłem stan obłączenia, który Austrija wprowadziła dla Galicji po zmianie frontu w sprawie powstania. Namiestnikiem był wtedy hr. Mennsdorff, późniejszy minister spr. zagran. z r. 1869, sprawca dyplomatycznych klęsk pod Sadową, ojciec ambasadora austr. na konferencji ambasadorów z r. 1913. Publiczność lwowska знаła go z postępowania dość brutalnego.

Na wiosnę r. 1865 wyjechał mój ojciec z żoną dla kuracji do Cieplic w Czechach, gdzie przez lekarza jego, skutecznie

go leczącego Dra Seiche'go, zawiązały się losy całego życia mego. Z końcem lipca urodził się tam najmłodszy brat mój Marjan, dziś od lat wielu najbliższy mój przyjaciel. Po powrocie z Cieplic postanowili rodzice moi zamieszkać przez zimę dla kuracji we Lwowie i stąd w czasie studjów 3. roku praw mieszkałem z nimi przy ul. Piekarskiej. Nie mając przed sobą egzaminu, mogłem się swobodnie oddawać studjom historycznym w bibliotece uniwersyteckiej, a w zimie z uwagi na polepszający się stan zdrowia ojca wziąć po raz pierwszy udział gorliwy w tańcach karnawałowych. Poznałem wtedy wiele domów napół arystokratycznych, ale żadnych ztamtąd nie odniosłem miłych wspomnień; natomiast na uniwersytecie zapoznałem się z kolegą Sewerynem Bańkowskim, który do dziś żyje jako pensjonowany radca dworu przy namiestnictwie we Lwowie i do dziś jest mi wiernym przyjacielem. Dla tych samych względów swobody uniwersyteckiej postanowili rodzice, bym ja tym razem towarzyszył ojcu do wód cieplickich, i ztąd z wiosną 1866 wybraliśmy się w podróż do Cieplic, gdzieśmy stanęli w d. 15 kwietnia w południe w dzień słoneczny i zamieszkali w Fürstenbadzie. Dzień to dla całego życia mojego stanowczył Bóg mnie tam zaprowadził i złączył szczęście moje z nie-
szczęściem biednego ojca.

Już r. 1865 zażywał mój ojciec pomocy lekarskiej słynnego nie tylko na miejscu, lecz w całych Niemczech, Holandji i Rosji lekarza Dr Józefa Seiche'go. Bywał też z żoną w domu gościnnym pp. Seichów i poznał jej dzieci, a w szczególności najstarszą ich córkę Józefę, młodziutką jeszcze bardzo panienkę. Słyszałem jej pochwały ze strony moich rodziców w zimie we Lwowie. Poznawszy naturalnie zaraz Dr Seiche'go, musiałem z polecenia ojca mego przedstawić się rodzinie lekarza naszego w pięknym i dystygowanym jego domu „Römer“ przy Königstrasse. Było to 28 kwietnia 1866, gdy przyszedłem popołudniu, a zaproszony zaraz na podwieczorek, zostałem w miłym towarzystwie aż do wieczora. Przyszłą żonę moją

obaczyłem przypadkowo dopiero trochę później po przybyciu; z nią, jej rodzeństwem i dwiema przyjaciółkami bawiłem się w salonie i ogrodzie domowym aż do wieczora, a odprowadziwszy wraz z panną Józefą i bratem Karolem jej przyjaciółki do ich domów, zdałem wieczorem ojcu sprawę w ten sposób, że z tych trzech panien jedna jest godna bawienia, druga całusów, trzecia (panna Józefa) miłości! I widocznie, miłość tę zaraz w pierwszej chwili zaszczerpił Bóg w sercach naszych. Bo kiedy znowu z polecenia ojca mego, odprowadziłem w d. 1 Maja 1866 odjeżdżającego do Hamburga brata panny wraz z nią i jej rodzicami na dworzec, wracałem z nią z dworca w parze za rodzicami już jak z najbliższą przyjaciółką swoją!

Zaczęły się też naśliczniejsze dni młodości mojej. Najzaczniejsza, najlepsza matka, pani Adela Seiche, przejrawszy widocznie uczucia kiełkujące ulubionej swej córki, pozwoliła mi, towarzyszyć sobie i córce w piękne poranki wiosenne po parkach cieplickich. Ileż tam było chwil szczęśliwych! Czasem towarzyszyła nam przyjaciółka pani Seiche, zamieszkała w Cieplicach, pani Georgi, matka późniejszego kolegi mego w gabinecie, ministra obrony krajowej, żona emerytowanego pułkownika, towarzysza-kuracjusza mego ojca. W jeden z pięknych dni czerwcowych zdołałem znaleźć sposobność wyrażenia mych uczuć pannie Józefie, o czem wzorowa córka zdała sprawę matce. Przekonałem się o tem wkrótce, gdy z początkiem lipca zaszła potrzeba przerwania snu złocistego, snutego z cudownych oczu panny Józefy*). Oto kuracja ojca nie była jeszcze ukończoną, a mnie wzywały obowiązki na uniwersytet i potrzeba było wyjechać. A tu właśnie wojna z Prusakami, którzy zajęli byli Cieplice zaraz po bitwie Königgrackiej. Ciężko mi było wyjechać i ciężko odjechać. Na pierwszą trudność znalazła się rada. Znajoma dobra pp. Seichów, ba-

*) Czytałem d. 23/9 1921 w dniu niedoszłego złotego wesela naszego. Obchodziłem go we łzach gorących!

wiąca na kuracji dama dworska z Anhalt, Frau von Hopfgarten-Heidler, geb. v. Schelzendorf, zaprzyjaźniona z komenderującym w Teplitz jenerałem pruskim, wyrobiła mi, acz była dla Polaków bardzo źle usposobioną z czasu powstania 1863 i „mnie“ ze mną o tem dyskutowała, — pozwolenie na wyjazd na karteczcze, której niestety już nie posiadam. Na drogę trudów, serdeczną, dała mi pociechę matka Seiche, pozwalając mi pożegnać się w cztery oczy z córką i pisywać listy do niej samej, tj. do matki. Byłżeż to ból ciężki, to pożegnanie w altance w górnym ogrodzie, gdzie całowałem ręce Ulubionej, ślubując jej wierną do śmierci miłość! Z łaski Boga ślubu tego dotrzymałem przez całe życie!

Dependent notariusza z Wiednia, kuzyna naszego Ludwika Hoenigsberga, bardzo przez nas później lubianego, wówczas jeszcze nieznanego osobiście, wyjeżdżał przypadkowo także z Cieplic do Wiednia i z nim razem wybrałem się pewnej niepięknej nocy kołmi do Falkenau, a potem koleją na Eger, Monachjum, Passau, Linz do Wiednia. Jechaliśmy naturalnie 3 klasą, w strasznym ścisku, powolnemi pociągami przez wiele dni i nocy. W Wiedniu zajechałem do małego wówczas, przebudowanego dziś na wielki „Palace-Hotel“ hotelu przy Mariahilfersstrasse 99 w sąsiedztwie mieszkania Hoenigsbergów Nr. 101, gdzieśmy później mieszkając we Wiedniu tyle lat doznawali najmiłszej gościnności Ludwika, jego bardzo rozumnej i dobrej żony Eugenji, ich syna Ernesta i dwóch córek. Wszyscy oni bez wyjątku już dawno w grobie. Szybko wyjechałem dalej koleją do Pesztu, gdzie natrafiłem na erę Deaka w pełni jej rozwoju po przegranej wojnie, dalej do Koszyc, z kąd pocztą w towarzystwie przypadkowem znajomych z Tarnopola pani i panny Poeltenberg (ojciec jenerał węgierski, powieszony był r. 1849 w Arad!), przez Karpaty, dalej do Przemyśla, a ztąd koleją do Lwowa. Pamiętna ta podróż moja trwała około dni 14! Ale przybyłem do Lwowa na czas, aby złożyć kolokwium.

Szczegółów wakacji po owym przedostatnim roku studiów moich, nie pamiętam. Widnieje mi tylko pamięć rozpočetęj, słodkiej korespondencji mojej z ukochaną osobą, która przez lat 5 trwała, dając mi dwa razy lub i częściej w tygodniu obraz najszlachetniejszego, najtkliwszego serca, idealnej dobroci i spokojnego, w skromności przechowanego rozumu wybranej mojej. W pierwszym roku małżeństwa naszego postanowiliśmy spalić wspólnie, o szarej godzinie w piecu żarzącym przeliczne listy nasze, przechowując tylko cząstkę na pamiątkę. Poco po śmierci naszej ma się kto zabawiać korespondencją serc naszych! Niektóre jednak przechowane, są mi dziś w sieroctwie mojem wspomnieniem żałosnem i czarującą rozkoszą. Listy z Cieplic kazałem sobie z początku przywozić dyskretnie do Romanówki z poczty: „Janów pod Trembowłą“, gdzie miałem w poczmistrzu osobę zaufaną. Po powrocie z Cieplic (gdzie mnie matka zastąpiła) pokazałem im na żądanie raz list jeden, którym byli zachwyceni, poczem korespondencja nie doznawała już trudności. W Cieplicach matka Seiche, pod której adresem szły listy moje, doręczała je córce.

Po powrocie do Lwowa w październiku 1866 zabrałem się do roboty, która miała mi otworzyć wrota do raju i trwała przedewszystkiem bez przerwy do sierpnia 1868. Ukończyłem 4. rok praw w r. 1866/7, złożyłem w lipcu 1867 egzamin państwowy drugi i trzeci (oba z wyszczególnieniem), wstąpiłem z d. 1 sierpnia 1867 (a więc dziś, 1917 licząc, lat temu 50!) do służby politycznej przy Namiestnictwie, a przytem już w lipcu złożyłem pierwsze rygorozum, w październiku drugie, w listopadzie trzecie, a w grudniu czwarte rygorozum, tak że w d. 31/12 1867 mogłem odbyć promocję uroczystą na doktora praw. Nie było wszystko tak proste, jak się pisze. Bo najprzód prace biurowe zabierały mi naturalnie większą część dnia. Powtórę, zamierzając się poświęcić profesurze, przygotowałem w ciągu r. 1867 także pracę habilitacyjną (o Malthusie i Ricardzie w literaturze angielskiej) dla uzyskania docentury przy uniwersytecie, co mi zabrało sporo

czasu. A wreszcie, gdy przyszło do promocji, to pokrywszy ze stypendjum znaczne taksy za 4 rygorosa, nie miałem już grosza na wysoką opłatę promocyjną. Byłaby na to była rada, bardzo nawet zaszczytna: złożywszy wszystkie rygorosa „cum applausu“, miałem prawo prosić u rządu wyjednania mi promocji „sub auspiciis imperatoris“. Byłbym w takim razie otrzymał od cesarza i taknę i znany pierścień brylantowy w upominku. Ale — byłbym się zapóźnił z wniesieniem podania o przypuszczenie do habilitacji; bo sprawa promocji sub auspiciis wymagała zwykle kilku miesięcy czasu, a po ich upływie nie mogłaby była habilitacja dojrzeć przed rozpoczęciem roku naukowego 1868/9. Toby było znaczyło: opóźnić się o cały rok z przyszłą protesurą i — co jeszcze ważniejsza — o cały rok ze ślubami małżeńskimi, bo jużci jako praktykant konceptowy nie mogłem zawierać małżeństwa. W tej rozterce postanowiłem udać się o pomoc do zamieszkałego we Lwowie wuja mego Konstantego bar. Brunickiego. Dzięki jego miłości dla swej siostry ulubionej, śp. matki mojej i dzięki wpływowi najszlachetniejszej żony jego, Heleny z hr. Szymanowskich otrzymałem od wuja wielką na owe czasy sumę 300 guldenów i promocja odbyła się w d. 31/12 1867 wieczorem. Przebieg jej był bardzo uroczysty; w określonej ówczesnemi przepisami ceremonjalnej tak zw. „opozycji“ wziął jako jeden z oponentów udział słynny już wówczas prof. Rulł, obecnym był między gośćmi mój dobrośliwy szef radca namiestnictwa, później dworu Dr Hailig i także, jeżeli się nie mylę, mój wuj. Odtąd też wuj stał mi się jakby drugim ojcem i pozostał takim aż do swej śmierci, poczem droga ciotka, której w każdym roku na Sylwestra dziękowałem za dobrodziejstwo z r. 1869, dochowywała tej tradycji wobec mnie i mojej żony, aż na kilka dni przed 31/12 r. 1914 zmarła we Wiedniu jako uchodźczyni wojenna, czczona przez świat cały. Ja zaś, dzięki jej i jej męża szlachetności, wniosłem podanie habilitacyjne pierwszych dni stycznia 1868 i położyłem za łaską Bożą podwalinę pod karierę swoją i szczęściomowe.

Rok 1867 miał w ogóle dla mnie znaczenia zasadnicze. Wybrawszy się w jesieni 1866 z wakacyj u rodziców, wiedziałem, że to wakacje ostatnie, bo zamierzałem zaraz po skończeniu 4. roku uniwersyteckiego wstąpić do służby publicznej. W domku adwokata Dąbcazńskiego nająłem dwa pokoje z przedpokojem, ażeby mózdz pomieścić dwóch braci najstarszych po mnie (Leopolda lat 14., Ludwika lat 12), których ojciec postanowił mi oddać w opiekę od jesieni 1867. Jeżeli się nie mylę, mieszkali u mnie dwa lata za niewielką od ojca opłatą. Ażeby ich żywić lepiej, odmawiałem sobie nicjednego, a zgryzot miałem naturalnie wiele: szczególnie Ludwik wpadł w ręce kolegów, którzy go nakłonili do dwukrotnej ucieczki z domu i próbowali go nakłonić do zabierania książek z biblioteki. Z bólem serca musiałem go ostro ukarać chłostą cielesną, za co miał żal do mnie, aż mu w lat parę wytłumaczyłem niebezpieczeństwo, w jakim się znajdował. Toż kochaliśmy się najczulej, aż do jego niespodziewanej niestety śmierci w r. 1907. Zmarł na apopleksję serca w Żółkwi jako starszy radca skarbowy, przeszedłszy ciężką bez własnej winy irytację z powodu wyborów do Rady państwa, do której mu jego przyjaciel Stanisław Starzyński ustąpił miejsca, poczem sam posiadał mandat pod wpływem namiestnika Potockiego, chętnego zresztą bratu memu. Leopold do dziś prowadzi żywot zacny i uczciwy jako em. radca Namiestnictwa i wzorowy ojciec we Lwowie.

W tym samym r. 1867 w d. 1/8 wstąpiłem do Namiestnictwa za rządów drugich hr. Gołuchowskiego Agenora, ojca Agenora, późniejszego ministra spraw zagranicznych. Przydzielono mnie do biura osobowego pana radcy Hailiga. Po służbie próbnej zostałem w d. 30 września 1867 poraz pierwszy w życiu zaprzysiężony jako praktykant conceptowy z adjutem 300 guldenów rocznie. Było to na owe czasy prawdziwe terno. Przysięgę składałem przed prezydentem namiestn. Moschem, rolę przysięgi czytał szef przydzielny radca Stransky.

III.

1868—1871: Namiestnictwo. Docentura. Rada szkolna.

Rok 1868 przyniósł mi owoce prac i wydarzeń z roku poprzedzającego. Zaraz po Nowym Roku wniosłem do kolegium prawniczego pracę habilitacyjną i prośbę o habilitację na docenta ekonomii. Znalazłem między dawnymi profesorami moimi wielu przeciwników, ale wyratowali sprawę moją dwaj zacni mężowie: Dr Rulf, profesor prawa karnego i Dr Beyer, uczony profesor prawa państwowego, w szczególności skarbowego. Ten drugi jako napół fachowiec, tamten jako wielka w kolegium powaga zdołali przeprowadzić moją habilitację wbrew wnioskowi odmownemu profesora ekonomii Dr Pazdiery. Pracę moją przyjęto w czerwcu, a na d. 15 lipca w którym bawił właśnie ojciec mój we Lwowie wyznaczono wykład próbny („O konsumcji i zbytku“) i uznano go za dobry, poczem na skutek rozporządzenia ministra oświaty rozpocząłem jako „docent prywatny“ w d. 15 października 1868 wykłady z ekonomji, i to z wyższego rozkazu w języku niemieckim, jakkolwiek wykładali już po polsku prof. Kabat i suplent Dr Piętań, późniejszy mój kolega, przyjaciel i minister dla Galicji, zgasły niestety za wcześnie. Koledzy moi uniwersyteccy, o dwa lata młodszy, stali się moimi uczniami!

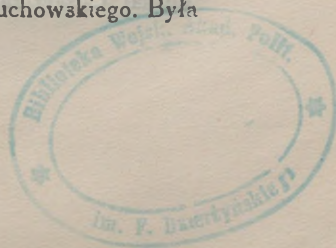
Równocześnie pracowałem w urzędzie, a w szczególności w Namiestnictwie w biurze wymienionego już szlachetnego i znakomitego radcy Hailiga, który sobie był postanowił zrobić ze mnie „dobrego urzędnika“. Toż raz rozplakałem się z żalu z powodu wyrzutów jego, ponieważ napisałem asygnatę na zaliczkę dla urzędnika w jednym zdaniu, zamiast w dwóch! Hailig głaszał mnie jak dziecko na uspokojenie.

W biurze tem miewaliśmy korespondencję także z władzami warszawskimi i pełni zazdrości odczytywaliśmy otrzymane na nasze pisma niemieckie odpowiedzi — w języku polskim. Takie resztki systemu Wielopolskiego — mimo nieszczęśliwej ręki

jednego z największych Polaków — jeszcze w latach 1867 i 1868! A już r. 1869 jakie odmiany wręcz na odwrót!

W marcu uprosiłem sobie urlop 6-cio tygodniowy, pragnąc odwiedzić najprzód rodziców, a potem narzeczoną. W biurze naszym pracował stary sekretarz niemiec, *Ostersetzer*, który miał zwyczaj spisywać spostrzeżenia swoje, zapisywać na karteczkach, i wrzucać je, musząc często wychodzić z pokoju, do kapelusza swego, czy cylindra. My młodzi rewidowaliśmy zawsze kapelusza. Gdy się dowiedział o moim urlopie, napisał: „Biliński dient erst 6 Monate u. schon auf Urlaub“. Wkrótce potem zmiarkował się co do rewizyj naszych, bo wrzucił kartkę ostatnią z napisem: „man liest meine Zettel u. lacht mich aus“. Tacy to byli dziwacy między urzędnikami ówczesnymi, którzy niejednokrotnie musieli się po lat 15 dosługiwać lekcjami pierwszej płacy 300 fl.! Ja z kolegami trafiłem szczęśliwiej: hr. Gołuchowski dał nam zaraz jak wspominałem adjutum 300 fl., a wkrótce je podwyższył do 400 fl!

Po powrocie z urlopu, spędzonego w Cieplicach, zostałem przeniesiony z biura radcy *Hailiga* do biura szkolnego, prowadzonego przez późniejszego szefa sekcji i posła do Rady państwa *Edwarda Gniewosza*, idealnego przełożonego, gdzie kolegowałem z *Kazimierzem Chłędowskim*, późniejszym ministrem dla Galicji. Biuro to należało do namiestnictwa, o ile załatwiała sprawy uniwersyteckie; o ile się zaś rozchodziło o szkoły średnie, było ono częścią Rady szkolnej krajowej, której utworzenie hr. Gołuchowski przeprowadził w Wiedniu i którą ukonstytuował jako instancję szkolną ostatnią i najwyższą. Z jego polecenia na rozporządzenia ministra, jako instancji niepowołanej, nie odpowiadaliśmy wcale, a kraj cały był też przeto dumny, z następczyni dawnej „Komisji edukacyjnej“. Krótka to jednak była radość, bo po upadku hr. Gołuchowskiego poddano Radę galicyjską pod ministerstwo oświaty. W owym dobrym czasie prowadziłem raz w zastępstwie Chłędowskiego protokół obrad pełnej Rady Szkolnej pod przewodnictwem hr. Gołuchowskiego. Była



to dla mnie „wielka chwila“, w której pełniłem także urząd posypywania podpisów namiestnika złotym piaskiem! Ale rzecz wypadła podobno niefortunnie, bo gdy na posiedzeniu następnem odczytywałem protokół, spostrzegłem jak jeden z członków (Sawczyński) napisał na kartce, że to „fotografia“ obrad.

W lecie 1868 przeżyłem dwa wielkie fakta historyczne, stojące ze sobą w ścisłym związku, z nich jeden pełny znaczenia dla przyszłości naszej narodowej w Galicji, a może w całej Polsce. Na czerwiec podobno zapowiedziany był przyjazd pary cesarskiej do kraju, do Krakowa i Lwowa. Był to wielki sukces polityki wielkiego namiestnika, a ja osobiście brałem w nim taki „udział“, że na drzwiach ewakuowanego pokoju, w którym pracowałem u radcy Gniewosza, był przybity bilet przyszłego jego mieszkańca: „Staatsrath Frh. v. Braun“. Słynny to był mąż zaufania Cesarza, dyrektor kancelarii gabinetowej, ostatni od ówczas „Staatsrath“ i ostatni nie bez wpływu znacznego na tok polityki. Za pierwszego mego ministerstwa (1895—7) był on jeszcze w pełnym urzędowaniu i w niejakich ze mną stosunkach. Entuzjazm z powodu przyjazdu pary cesarskiej był we Lwowie nadzwyczajny; dla Cesarzowej przygotowano bardzo kosztowną, pełną drogich kamieni rękonośną do bukietu. Ogół ludności podziwiał wspaniałe ekwipáže cesarskie, ciągnięte przez ogniste araby. Ale z tym entuzjazmem łączył się drugi, bardziej idealny: kwestja uchwalenia tak zw. „rezolucji“ przez Sejm. Kraj domagał się rozszerzenia autonomji, a raczej pewnej samoistności administracyjnej i ustawodawczej; rząd przez usta hr. Gołuchowskiego sprzeciwiał się tym planom. Kraj był w gorączce, my młodzi niejako co chwila czy co godzina oczekiwaliśmy pełni naprężenia decyzji. Nareszcie zapadła uchwała wbrew naciskowi rządu, a kraj i zwłaszcza młodzież święciły to wielkie dzieło historyczne. Tymczasem wynik tej rezolucji był straszny: pod wpływem telegramu Aleksandra II z Warszawy, nadużywającego osłabienia Austrii po Sadowie, musiał Cesarz zaniechać podróży po Galicji, a hr. Gołuchowski

ustąpił na własne żądanie z namiestnictwa. Pamiętam tę chwilę, gdy kilku nas kolegów oczekiwało wiadomości z Sejmu przy ul. Halickiej, naprzeciw tyłów katedry.

Nasępcą hr. Gołuchowskiego został jako „Leiter“ baron Possinger, Polak, który jednak wogóle, a w szczególności co do atrybucyj Rady szkolnej kraj. stanął na stanowisku: „ich bin ein Mann des Gesetzes“. Jeszcze jakiś czas trwał stan dawny, ale z początkiem r. 1869 skończyło się życie „represyjnej“ instancji szkolnej w kraju. Przeniesiony w tym czasie do biur Rady dla szkół ludowych, byłem żywym świadkiem tej degradacji naszej Rady szkolnej, iż minister oświaty stał się jej przełożonym.

Na Boże Narodzenie przepędziłem tydzień w Ispasie u rodziców. Tam po dłuższych naradach zapadło postanowienie, urgowania mego małżeństwa. W styczniu 1869 napisał mój ojciec w myśl tych uchwał ułożony przezemnie list do ojca narzeczonej mojej. W odpowiedzi zażądał p. Seiche, bym ja się przeniósł do Cieplic na adwokaturę i potem po 7 latach praktyki zamieszkał tam z żoną. Ja odpowiedziałem listownie, że Polak służy tylko krajowi i nie wychodzi z niego dla zarobku; podobnie twardo napisałem narzeczonej, na co otrzymałem pełne boleści zerwanie stosunków. Straszny to był 31 stycznia 1868, gdy nadeszło to najstraszniejsze w mem życiu pismo! Decyzja moja była powzięta szybko: telegrafowałem ojcu z prośbą o przebaczenie (nie jakoby chciałem iść na adwokata!), a o g. $\frac{1}{2}$ 6 rano byłem już w pociągu, prowadzącym mnie do Cieplic. Gdy w dzień Matki Boskiej Gromnicznej o godz. 12 w południe zadzwoniłem do mieszkania pp. Seichów, otworzyła mi pełna przerażenia i radości Ulubiona moja. W kilka chwil potem załagodzone zostały nieporozumienia: stanęło na tem, że o adwokaturze w Cieplicach nie będzie już mowy, a z zawarciem małżeństwa ma się czekać aż do nominacji mojej profesorem. Kilkanaście dni najśłodszego szczęścia przeżyłem wtedy obok narzeczonej; żyłem niemi tak na „zapas“, bo nie było już możności obaczenia tak łatwo przed ślubem. W istocie ćopiero

w kwietniu r. 1870 mogłem znowu być w Cieplicach. Zaraz d. 2/2 1869 telegrafowałem z wiadomością o zaszłej zmianie do rodziców moich i wiadomość ta przyjęta została z uczuciami mieszanymi.

Jak co dopiero wspomniałem, z wiosną 1869 przeniesiony zostałem z biura Gniewosza do właściwej Rady szkolnej, gdzie w sprawach szkolnych, ludowych pracowałem najprzód u radcy Leona Rodakowskiego, znajomego mego ojca z Cieplic, nadzwyczaj miłego i światłego męża, który wolał miasto czytania aktów, czytać leżąc słynne dzieło ekonomisty Ad. Smitha, — a później u radcy Karasińskiego jako pomocnik inspektora szkolnego Stanisława Olszewskiego. Ze względu na moją docenturę nie obciążano mnie zbyt pracą, tylko radca Karasiński nie był ze mnie zadowolony i widocznie pod jego wpływem zawołał mnie do siebie raz jednego prezydent Possinger, ażeby mi udzielić nagany z powodu braku pilności, objawiającej się w braku aktów z podpisem moim. Gdy na to odrzekłem, że jako pomocnik inspektora Olszewskiego załatwiam mnóstwo jego aktów, przedstawiając mu je wprost do podpisu, systemem skrótowym („in mundo“), prezydent, przekonawszy się później o prawdziwości tłumaczenia mego, nie tylko wkrótce potwierdził mi to przy spotkaniu w korytarzu, ale nadto wprost mi udzielił satysfakcji. Gdy mianowicie wpłynęło na ręce Namiestnictwa podanie kolegów profesorów do ministerstwa o rozszerzenie mojej venia legendi na naukę skarbową, a radca Karasiński sporządził w imieniu Namiestnictwa tylko obojętny dodatek, prezydent dopisał sam: „dass Bittsteller volle Berücksichtigung verdient“.

Między Kołem polskim wiedeńskim, a rządem liberalnym („Bürgerministerium“) toczyły się po utraceniu rezolucji sejmowej rokowania w celu nadania Galicji, niejako w zastępstwie niedoszłej do skutku „rezolucji“, języka urzędowego polskiego. Rząd robił wielkie trudności; powołany na konferencję ministerjalną prezydent Possinger oświadczył się podobno bardzo stanowczo przeciw tej koncesji. Już zanosilo się niemal na zer-

wanie rokowań, gdy ówczesny prezes Koła Ziemiałkowski postanowił, jak mi to sam w kilkadziesiąt lat później opowiadał, udać się do Pesztu o pomoc do Węgrow. Był to czas rządów Jul. Andrassego, ojca przyszłego ministra spr. zagr., kiedy to i Polacy i Niemcy szukali zbliżenia do Węgrow. Na zażalenie Ziemiałkowskiego odrzekł Andrassy: „Idź po południu na wyścigi konne; król będzie obecny; jeżeli go znajdę w stosownem usposobieniu, poprę Waszą sprawę”. Interwencja ta pomogła: w d. 9 września 1869 wyszło rozp. ces., wprowadzające dla Galicji jako język urzędowy w służbie wewnętrznej język polski. To największy dla Polski czyn wielkodusznego Cesarza Franciszka Józefa, to magna charta nasza! W ręce nasze oddano stale administrację naszego kraju.

Z entuzjazmem przyjęliśmy akt ten w Namiestnictwie i naturalnie w całym kraju. Bar. Possinger, acz był temu aktowi zasadniczo przeciwny, zarządził jako „Mann des Gesetzes” przeprowadzenie jego z całą bezwzględnością. Pierwszym jego skutkiem była puryfikacja urzędów z żywiołów niemieckich i czeskich. Ale tu nie było zbyt wiele do zrobienia, przynajmniej w sferach najwyższych, bo hr. Gołuchowski pod tym względem uprzedził już wolę cesarską. Za jego rządów już wiceprezydentem Namiestnictwa został Mosch, z Niemców pochodzący najzaciejniejszy Polak; jego poprzednik Vubassović musiał ustąpić i bardzo tragicznie, bo już w drodze do swego kraju rodzinnego (gdzieś w Alpach) został zaskoczony śmiercią. Radcy Hailig, Eckhard, Löbl itd., to sami Polacy. Filip Zaleski był starostą w Brzeżanach i gotował się już do przyszłej kariery swojej. Nie mówię o radcach Gniewoszu i Dzieduszyckim. Radca hr. Cavriani, teść księżnej Radziwiłłowej Elżbiety, później naszej dobrej znajomej w Wiedniu, acz bardzo lubiany w urzędzie i w społeczeństwie, musiał ustąpić dla braku znajomości języka urzędowego polskiego. Przypuszczam, że w niższych kategoriach i instancjach musiano usunąć dość licznych urzędników, chociaż na powiatach nie urzędowali

już przedtem sami „Precliczki“ (por. powieść „Panna Emilja“ p. Jana Lamal), bo sam pamiętam, że jeszcze w latach 64 lub 65 jeździłem nieraz z polecenia ojcowskiego do naszego naczelnika powiatowego („Bezirksvorsteher“ — nie starosta, jeno zastępca dawnych sędziów i naczelników powiatowych w jednej osobie!) w Wiśniowczyku, z nazwiskiem pięknym Urban-skiego. Czasami zawiozłem mu nawet „kupioną“ przez niego u ojca pszenicę.

Radca hr. Dzieduszycki Maurycy (ojciec żyjącego do dziś ze mną w przyjaźni, późniejszego starosty i radcy nam. Augusta, (z którego podobno swego czasu humorysta „Chochlika“ stworzył nieśmiertelną figurę „Goga“) odegrał w sprawie przeprowadzenia rozp. językowego specjalną rolę. Hr. Maurycy był uczonym historykiem: bar. Possinger porучzył mu kodyfikację wyrazów technicznych urzędowych. Rzecz to równie dla urzędów i stron ważna, jak trudna. Hr. D. spełnił zadanie tak, że wszystkie jego propozycje przyjęły się stale w życiu urzędowym Galicji z wyjątkiem tytułu, który stworzył dla siebie samego jako „Hofrata“ na tablicy swojej nazwał się „Radcą dworskim“, a myśmy już wtedy oparli się przy „radcy dworu“ i utrzymaliśmy się z tem do końca!

Z końcem lipca 1869 opuścili bracia moi gimnazjum lwowskie po 1 $\frac{1}{2}$ rocznym pobycie i przenieśli się do Kołomyji w poblize Ispasa, ja zaś w mieszkaniu przy ul. Cytadeli pozostałem jeszcze jakiś czas, dzieląc je z kolegą i przyjacielem Bańkowskim. Starszy z braci Leopold złożył tymczasem maturę i mieszkał u mnie przez zimę 1870/1, będąc zapisanym na prawa. Zimę tę dzieliłem między życie karnawałowe a pracą literacką naukową; mój karnawał (z żoną nie braliśmy już dla zdrowia jej delikatnego i dla zaoszczędzenia wydatków udziału w zabawach tanecznych) był bardzo wydatny: zwykłem być wracać z zabaw, wstąpiwszy przed powrotem do kościoła, około godz. 8 rano, kładłem się na godzinę do łóżka, poczem zlawszy się konewką wody z lodem(!), spieszyłem na uniwer-

sytet i do Rady szkolnej. Z wyjątkiem takich kilku tygodni, siedziałem nocami nad pierwszą moją pracą literacką fachową. Cały rok 1870 przebyłem we Lwowie, bez urlopu i bez odwiedzin w Cieplicach. W lipcu wybuchła wojna niemiecko-francuska i nie potrzebuję dodawać, że cały świat polski był po stronie Francji i wierzył w jej zwycięstwo.

IV.

1871—1876: Zaślubiny. Profesura. Życie publiczne.

Rok 1871 przyniósł mi szczęście wspaniałe w życiu tak prywatnem jak publicznem. Przez szereg miesięcy zimowych szedłem spać dopiero o godz. $\frac{1}{2}$ 5 rano, przedrzemawszy się trochę z wieczora. Brat mój Leopold codziennie niemal budził się, gdy się udawałem do łóżka i zanosił się wraz ze mną od śmiechu z tytułu „późnej pory“.

Zbliżał się czas zbierania owoców z 3-ch letniej pracy uniwersyteckiej i literackiej. Na podstawie mej 3-letniej docentury i książki o podatku dochodowym, zaproponowało mnie na wiosnę 1871 przełożone kolegium profesorów na profesora nadzwyczajnego. Nastąpiło to w chwili, dla mnie jako Polaka bardzo szczęśliwej politycznie. Odczyty moje odbywały się począwszy od lata 1869 w języku polskim, — ztąd r. 1919 uniwersytet lwowski raczył mi ponowić doktorat z tytułu 50-lecia wykładów polskich — ale katedry polskiej dla ekonomji nie było i nie miało być, bo język polski ograniczono do przedmiotów prawa austriackiego, a katedra ekonomji niemiecka znajdowała się jak dotychczas w ręku prof. Pazdery. Ale w Wiedniu objął rząd w lutym 1871 gabinet hr. Hohenwarta z programem federalistycznym, antyniemieckim, z pierwszym ministrem dla Galicji Kazimierzem Grocholskim. Na Zielone Świątki wybrałem się do Wiednia, aby się w ministerstwie przedstawić i poprzeć osobiście swoją nominację. Starania te wypadły pomyslnie: minister oświaty, czech Jireček, przyjął mnie bardzo

uprzejmie i prawie przyrzekł nominację; jego referent (nazwisko zapomniałem: Erhart czy Eckhart, nie spotkałem się z nim później nigdy) odrzekł: zamianujemy pana chętnie, „aber warum müssen Sie gerade in polnischer Sprache vortragen? Warum nicht in deutscher?“ Grocholski, ubrany po polsku, przyjął mnie stojąc bardzo sztywnie i zimno, nie chciał sobie przypomnieć dawniejszej swej znajomości z ojcem moim, ale razem zebrawszy, nie odmówił poparcia. W parę tygodni później wyszło pod d. 4 lipca 1871 rozporządzenie cesarskie, mocą którego „zniesione zostały dotychczasowe przeszkody wykładów w językach krajowych na uniwersytecie lwowskim“. To znaczyło, że odtąd wolno było docentom i profesorom wykładać nie tylko po niemiecku, lecz według swego wyboru także po polsku lub po rusku. Była to zasada tak zw. utrakwizmu, dla polskości niebezpieczna, na szczęście nie długo utrzymana. Ale na ówczas zawierała ona szczęśliwy zwrot dla narodu polskiego i jego jednostek, byle ministerstwo im nadało docenturę lub profesurę. Takie szczęście mnie spotkało tem niespodziewaniej, ile że w owych czasach nie mieliśmy dość zmysłu politycznego, by ocenić należyte znaczenie rozp. cesarskiego. W dniu 31 lipca 1871 wszedłem rano przed biuram do kawiarni wiedeńskiej przy Wałach na śniadanie; nim je przyniesiono, zaglądnąłem całkiem bez celu do urzędowej „Wiener Zeitung“ i wyczytałem tam nominację swoją na profesora nadzwyczajnego ekonomji politycznej we Lwowie, — bez oznaczenia języka wykładowego, zatem z prawem wykładów polskich.

Byłem u szczytu marzeń: z łaski Boskiej miałem otwartą drogę do upragnionego związku z ukochaną moją, jak niemierniej do kariery uniwersyteckiej jako pierwszy polski profesor-ekonomista. To drugie miało z powodu feryj wejść w życie dopiero 1 października, tamto pierwsze było mi pilniejsze i droższe. Natychmiast wysłałem telegramy do Cieplic i do Ispasa, a listem do Dra Seichego uprosiłem o wyzaczenie ślubu na dzień

23/9 1871. Otrzymawszy odpowiedź przyrzekającą, zabrałem się gorliwie do przygotowań do ślubu.

W prześliczną pogodę z drobnym przemijającym deszczem porannym, przy temperaturze letowej odbył się bardzo uroczyste i z wielką dystyncją ślub nasz w sobotę d. 23 września 1871. Zgromadzili się byli krewni i przyjaciele domu Seichów; jedyny obłoczek tworzył brak gości z mojej strony, spowodowany trudnościami dalekiej podróży w owych czasach i chorobą ojca. Piękny obiad w eleganckim hotelu „Stadt London“ robił wrażenie prawie domowe, a pora śliczna dozwoliła nam spaceru w parku hotelowym w ubraniu ślubnym. Byłem u szczytu szczęścia, isticie rajskiego, które mnie nie zawiodło ani na chwilę przez lat niespełna 49, acz się zakończyło z woli Bożej pięcioletnią chorobą i stratą Tej, bez której już nigdy nie pojmowałem i do dziś nie pojmuje życia!..*) Zabawiliśmy w domu rodziców jeszcze kilka dni, poczem wyjechaliśmy w drogę, d. 28/9, ażeby 30/9 rano stanąć w Imię Boże we Lwowie. Na dworcu spotkaliśmy tam Panią Ernestynę Starzeńską.

Zająwszy we Lwowie mieszkanie przy ul. Łyczakowskiej 23 i zjadłszy pierwszy obiad w hotelu Georgea z barszczem narodowym jako pierwszą w kraju potrawę ulubioną odtąd przez żonę, byliśmy w d. 1 października oboje już o godz. 9 rano w kościele uniwersyteckim św. Mikołaja: ja, ażeby wziąć udział w oficjalnej uroczystości kościelnej na otwarciu roku naukowego, młodzianka małżonka moja, ażeby być świadkiem pierwszej mej, uroczystej czynności w charakterze profesora! W kościele, gdzie zresztą były także zapowiedzi moje, zrobiło pojawienie się mej żony niejaką sensację!

Rozpoczęliśmy tak modlitwą życie nasze — mogę to sam powiedzieć — pracowite. Żona poświęcała się gospodarstwu

*) Czytałem i pisałem powyższy dodatek w d. 23/9 1921, spodziewanym niestety dniem ślubu naszego złotego, tylko wo łzach gorących.

domowemu i nauce języka polskiego. Przedtem uporządkowaliśmy jeszcze wspólnymi siłami nadwyrężone cokolwiek finanse moje kawalerskie: na meble otrzymała żona pieniądze od ojca, ja zaś z pierwszego czesnego profesorskiego umorzyłem kilkaset guldenów wynoszący dług lichwiarski i nigdy w życiu odtąd nie zaciągałem długów, pomny słów młodej żony, że nie mogłaby ani godziny zasnąć spokojnie, gdyby wiedziała, iż mamy dług! We dnie byliśmy zajęci pracą; wieczorem pierwszej zimy przesiadywaliśmy we dwójkę w salonie przed piecem z palącym się drzewem i marzyliśmy o przeszłości i przyszłości, spaliliśmy przytem przeważną część listów naszych miłosnych. Ponadto udzielałem żonie formalnych lekcji języka polskiego ustnie i pisemnie, a potem czytaliśmy razem naszych klasyków, ona sama przetrawiła znaczną część naszej literatury beletrystycznej! Mówiliśmy zawsze po polsku, tak że ona, godna podziwu, zaraz zaczęła mówić w towarzystwach po polsku z doskonałą wymową.

Pierwszych dni sierpnia 1872 zaś wybraliśmy się na pierwszy pobyt u rodziców w Cieplicach. Było to gorącym życzeniem drogiej żony mojej, którego spełnienia nigdy nie żałowałem, bo pobyt w gościnnym domu rodzicielskim tak się nam podobał, że odtąd co roku aż do śmierci teścia w r. 1891 i dalej aż do śmierci nieodżałowanej świekry w r. 1899 jeździliśmy na sierpień i wrzesień (w r. 1875 po śmierci mego drogiego ojca tylko na wrzesień) do Cieplic. Pobyt w pięknym domu rodziców z ogrodem, w pokojach dla nas rezerwowanych, w gronie serdecznej rodziny, z wyjazdami w okolice pięknym ekwipażem, przytem obcowanie w rodzinie bardzo serdecznej i wesołej (zwłaszcza brat żony Karol), z rodzicami, będącymi nam najwierniejszymi przyjaciółmi, — to wszystko należało do najmilszych dla nas obogda czasów, a względnie po r. 1899 wspomnień.

W pierwszych latach mej profesury zacząłem stawiać pierwsze kroki w życiu publicznem. Książkę Adam Sapięcha, prezes Towarzystwa gospodarczego wciągnął mnie do

komitetu towarzystwa, gdzie przez szereg lat prowadziłem referat o szkole rolniczej (wówczas własności towarzystwa) w Dublanach). Na posiedzenia komitetu (sekretarz Greliński, człowiek bardzo światły i dystyngowany, ale bez energii) chodziłem często wieczorami do lokalu w bibliotece Ossolińskich. Księżę zaś zapraszał nas niejednokrotnie dla narad w sprawach zasadniczych do swego mieszkania w pałacu przy ul. Kopernika, gdzie przy skromnej herbacie mogliśmy podziwiać i ogień genialny księcia Adama i czarującą sładycz jego matki, wdowy księżnej Leonowej. Na księcia umyśle widać było jeszcze ślady jego gorącej akcji patriotycznej w czasach powstania.

W tymże czasie zostałem wybrany do rady miejskiej m. Lwowa, za przydyjdu prezydenta Gnoińskiego, za opozycji stronnictwa mieszczańskiego pod wodzą profesora Ciesielskiego. W dwóch kierunkach zdołałem wywrzeć wpływ na tok spraw miejskich: przeprowadziłem istniejący do dziś podatek miejski progresywny od czynszów mieszkalnych i wdrożyłem wśród walk namiętnych myśl kredytu inwestycyjnego, który po upadku wniosków moich, w czasie trochę późniejszym stał się silnym czynnikiem w rozwoju miasta.

R. 1874 zostałem profesorem zwyczajnym ku wielkiej radości ojca mego, u którego właśnie wtedy w kwietniu byliśmy na Święta wielkanocne.

W rok później, 1875, przybywszy na Wielkanoc ponownie, straciliśmy ojca mego biednego w d. 30 kwietnia, po strasznych męczarniach na zakończenie 11-letniej choroby. Był to dla mnie cios straszny: żona moja była mi wtedy niezrównaną osłodą. Objąłem opiekę nad rodzeństwem i sprzedałem dość korzystnie Ispas. Z uzyskanej sumy wypłaciłem znaczną część macosze, nadwyżka zaś przeznaczona została na posag dla siostry mej jedynej Julji. A bawiła ona już przedtem około 2-ch lat w naszym domu we Lwowie, podobnie jak kilku braci, bawiących tam dla studjów. Żona moja była wzorową bratową, jak niemniej wzorową synową.

Między kolegami uniwersyteckimi zawiązały się stosunki przyjazne, które przybrały charakter natury publicznej. Uniwersytet, od r. 1871 zasadniczo ultrakwistyczny, stawał się dzięki pracy naszej coraz wyłącznie polskim. Było dwóch profesorów (bracia Ogonowscy) rusinów, pozostał jeden (Buhl) niemiec, reszta Polacy: starsi (stał się np. Polakiem stary prof. Fanger) i młodsi. Rusini byli w swem prawie; niemiec prof. Buhl, człek zacny i z powodu 5-ciu córek (jedna, ongiś słynna piękność, umiłowana długo przez Potockiego z Buczacza), biedny, uznawał nielegalność swej pozycji i starał się bezskutecznie o przeniesienie. Uważaliśmy przeto za przykry obowiązek, stawać od czasu do czasu wnioski do Ministerstwa o jego przeniesienie na jakiś uniwersytet niemiecki. Z narad nad tą sprawą wyłaniały się z czasem inne sprawy uniwersyteckie, a dla ich omówienia powstały zebrania poniedziałkowe, na których przy kolacji i po niej radziło kółko, złożone z prof. Piętaka, Piłata, Balasitsa, Janowicza, przejściowo Roszkowskiego i mnie. Kolacja odbywała się kółkiem u każdego z nas. Przed rozejściem się opowiadano sobie jako „ostatni punkt porządku dziennego“ anegdoty. Aż do r. 1883, więc mniej więcej przez lat 10 kwitły te zebrania ku dobru uniwersytetu i ku rozwojowi stosunków naszych towarzyskich. Mój wybór do parlamentu przełamał niestety naszą organizację!

Według spisu dołączonego znaczna część prac moich literackich przypada na pierwsze lata mego małżeństwa i mej profesury. W szczególności powstał wtedy „Wykład ekonomji społecznej“, wydany w 2 tomach we Lwowie 1873—4 r. Także rozprawa o przesileniach giełdowych, spowodowana strasznym „krachem“ wiedeńskim z maja 1873, który w dyskusjach ekonomicznych z przyszłym teściem moim przepowiedziałem był jeszcze w czasie mej wizyty w Cieplicach 1869 r.

Pierwsze moje dzieło w języku niemieckim w roku 1875 pod tytułem: „Die Luxussteuer als Korrektur des Einkommensteuer“. Poświęciłem je memu teściowi, co mi w domu ro-

dzicielskim jeszcze za życia ojca sprawiło niesławne przykrości. Pomysły moje uważałem zawsze za niewinną teorię; w 42 lat później r. 1914, w czasie wojny światowej, zdają się Niemcy zabierać do ich realizacji i rozwijają je r. 1921.

V.

1876—1878: Dziekanat. Choroba żony.

W lecie 1876 zostałem wybrany na r. 1876/7 dziekanem wydziału prawnego. Na pięknej tej godności starałem się przeprowadzić niejedną reformę wewnętrzną i ścięśnić organizację naszą towarzyską. Na wakacje 1877 uzyskałem u Ministerstwa urlop, poczem wyjechaliśmy z żoną na pierwszą naszą podróż dalszą: Gmunden, Ischl, Salzburg i Monachium. Impuls do tej podróży otrzymałem od jednego z kolegów rady nadzorczej banku włościańskiego, do której przed rokiem zdecydowałem się wstąpić z przyczyn iście publicznych, ażeby przyczynić się do uchronienia ludności włościańskiej przed wyzyskiem. W opinii publicznej wrzała walka o ten „bank Romaszkanów“ kierowany przez dyrektora Frieda pod prezesurą księcia Jabłonowskiego; ubić go nie można było, więc razem ze słynnym adw. Roińskim weszliśmy w r. 1876 do rady, aby go zreformować. Walczyliśmy tam po większej części bezskutecznie i po dwóch zdaje się latach wystąpiliśmy razem, przez co bank był skazany na zaturę, dokonaną powolnie. Ale r. 1877 byliśmy jeszcze pełni nadziei, a ja, podjąwszy należne mi w banku za kilkatygodniowe zastępstwo dyrektora drobne wynagrodzenie, użyłem go na podróż.

Ale śliczna ta sama przez się podróż wypadła bardzo niefortunnie: po 2 niespełna tygodniach przybyliśmy w dniu 13 sierpnia na pobyt do Cieplic, a w niewiele dni później zapadła mi żona na ciężką, śmiertelną niemal chorobę krwotoków żołądkowych: po drugim, strasznym ataku zdawało się na dłuższą chwilę, że puls przestał się odzywać! Bóg zaś jednak wyratował:

poleciliśmy się na wniosek żony opiece cudownej Matki Boskiej w Plain, dokąd w czasie podróży pielgrzymowaliśmy z pobliskiego Salzburga. Żona wyzdrowiała, poczem przez całe życie przy każdej nadarzonej sposobności odwiedzaliśmy umieszczony na wysokiej górze kościół z cudownym obrazem Matki Boskiej. Jednego roku złożyłem tam po mszy św. ślepą niestety wizytę bawiącemu w klasztorze przy kościele kardynałowi hr. Ledóchowskiemu. Ale wówczas r. 1877 gryzota moja była bezgraniczną. Żonę moją pielęgnowała ze mną z zaparciem się własnem droga teściowa, a teść ją leczył, jakkolwiek, zajęty praktyką swoją, oddał troskę szczegółową swemu gościowi, który na szczęście moje zamieszkał u niego jako przyjaciel i gość przez lata. Był to pruski Generalarzt Dr Wegner, lekarz nadworny ówczesnego następcy tronu, a późniejszego cesarza niem., nieszczęśliwego Fryderyka. Ale po drugim ataku odwiedził chorą drugi zaprzyjaźniony lekarz pruski, Stabsarzt Hofmann, któremu przypisuję głównie uratowanie żony mojej. Gdy go bowiem, wyprowadzając na schody pytałem o znaczenie choroby, odrzekł, że musi być śmiertelną, jeżeli nie będę przez długi czas dzień i noc dawał chorej do połykania kawałków lodu. Teść się obawiał zaziębienia, ale ja przeforsowałem opinię Dra Hofmanna i żonę uratowałem: przez rok cały był on dzień i noc do dyspozycji żony i oddawał jej wielkie usługi. Po ciężkich dwóch tygodniach mogliśmy z początkiem września wyjść w Cieplicach na słońce, ale rekonwalescencja trwała przez rok cały! Uspokojony cokolwiek co do zdrowia żony, mogłem przy jej łóżku, często w obecności Dr Wegnera przygotowywać korektę nowego dzieła niemieckiego, które pod tytułem; „Die Gemeindebesteuerung und deren Reform“ wyszło potem w Lipsku r. 1878. Wieczorami przesiadywał z nami często Wegner, snując cudne opowieści o podróżach swoich w towarzystwie księcia Fryderyka. Choroba księcia była jeszcze wówczas nieznaną lub tajoną; Dr Wegner był jeszcze w roku 1879 pod wiosną w Cieplicach, wezwany do ciężko chorego teścia mego, którego ku radości stros-

kanej rodziny zdołano wyratować. W r. 1888 umierający cesarz Fryderyk wyniósł Wegnera do stanu szlacheckiego, a ja jeszcze raz w życiu mogłem ujrzeć znakomitego tego lekarza i wyrazić mu wdzięczność, gdy w czasie podróży urzędowej jako prezydent kolei austriackich r. 1893 odwiedziłem go w Berlinie.

Powróciwszy szczęśliwie do Lwowa, przeżyliśmy rok rekonwalescencji zdala od towarzystw i tylko poniedziałki pozostały, a wtedy pod nieobecność moją dobra pani Piętakowa przychodziła zawsze do niej na wieczór. Za to noce bywały często bardzo niespokojne: przychodziły ataki zatrważające, które nas zniewalały prosić nocą lekarza naszego Dr Kosińskiego. Staruszek ten pełen wesołości odbywał te podróże nocne w jednokonce, przywiedzionej przez naszą służącą i zawsze uspokoił skutecznie żonę. Był to nasz prawdziwy opiekun, który nam często i zawsze radził skutecznie i z którym zachowywaliśmy stosunki przyjaznej wdzięczności także po opuszczeniu Lwowa przez długie lata aż do jego śmierci. Kosiński miał słynne wina w piwnicy, z których musieliśmy każdego roku w czasie wizyty naszej kosztować butelkę w towarzystwie jego córki. Panna Franciszka, osoba wielce wykształcona i dobroczynna, utrzymała po śmierci ojca ten obyczaj gościnności, aż w czasie wojny światowej zmarła ku wielkiemu żalowi naszemu.

W uniwersytecie szły prace drogą utartą i przeplatane tylko były w ciągu r. 1877/8 konfliktami, które wywoływał profesor Źródłowski. Słynny ten uczony był ze mną w przyjaźni i bywaliśmy z żoną w domu jego, u jego żony i bardzo energicznej matki. Ale choroba umysłowa, która się zapowiedziała była już przed ożenieniem i która go w wiele lat później zabiła, rozpoczęła widocznie wtedy wybuchać. Upatrywał sobie do mnie, że mówię w sprawach urzędowych nieprawdę i tak długo donosił ministerstwu o moich „Lügen in Amtsangelegenheiten“ aż musiałem pojechać do Wiednia i prosić o pisemną obronę, którą też uzyskałem. Konflikty te o mało mnie nie pozabawiły wyboru na rektora; ale w czasie krytycznym wywołał

Źródłowski konflikt z którymś profesorem teologii, a wówczas koledzy zmienili o mnie zdanie, co wypowiedział przed wyborami słynny profesor chemii (wielki patriota, rodem z Warszawy, mąż takiejże żony) prof. Radziszewski słowy: „Biliński wykręcił się sianem...” Pani Źródłowska (Niemka) bardzo zacna i wzorowa dama żyła od śmierci męża aż do swej śmierci r. 1921 we Wiedniu, pozbawiona majątku przez dwóch synów, chorych na umyśle!

VII.

1878—1882. Rektorat. Kongres rolniczy austriacki.

Przed objęciem rektoratu bawiłem na wakacjach jak zwykle z żoną w Cieplicach, w tyle mi miłym domu jej rodziców. W sierpniu udałem się na Lipsk (gdzie odwiedziłem nakładcę swego p. Geibla, szefa firmy Dunkert Humblot, krewnego słynnego poety), Jenę (gdzie się przedstawiłem słynnemu prof. Hildebrandowi, redaktorowi „Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik“ i otrzymałem cenne wskazówki o prowadzeniu seminarjów ekonomicznych) do Eisenach, gdzie się odbyło walne zgromadzenie tow. „Verein für Sozialpolitik“. Byłem od założenia członkiem tego związku, który dał impuls do wielkiego zwrotu w nauce i praktyce ekonomji w kierunku historycznym i praktycznym, wdrożonym potem przez kanclerza Bismarcka. Na zgromadzeniu był z Austrii Plener, witany z wielkimi honorami; byliśmy razem na starożytnym zamku („Wartburg“) słynnym z pobytu niegdyś Lutra, który na djabła rzucił kałamarzem i uszkodził, jak widać dotychczas ścianę. Na zgromadzeniu poznałem całą elitę młodych wówczas uczonych, kierowników rewolucji naukowej. Dla mnie byli uprzejmi, ale chłodni: wszak był to już czas polityki antypolskiej! Najbardziej zbliżył się był do mnie wielki uczony Held, któremu było niestety przeznaczonem, w rok później utonąć w rzece Aar w Szwajcarii. Wielcy również Lujo Brentano i Schmoller (zmarły r. 1917

jako rzecz. tajny radca i wielka powaga w Berlinie) byli także dość uprzejmi. Równie wielki Adolf Wagner (zmarły także 1917 jako tajny radca w Berlinie), w pismach swoich bardzo mi przychylny, nie przybył do Eisenach, bo nie był podobno człowiekiem towarzystwa, acz jego głową widomą. Na zgromadzeniu przemawiałem w dyskusji o systemach monetarnych — z niewielkim sukcesem!

Z końcem września 1878 w powrocie do Lwowa pojechaliśmy z żoną do Częstochowy, ażeby u stóp cudownego ołtarza Matki Boskiej, królowej Polskiej, podziękować Stwórcy za cudowne uzdrowienie mej żony. Kościół i obraz zrobiły na nas wrażenie niezatarte na całe życie; ale pobyt w miasteczku, pełnem szpiegów moskiewskich i przejazd przez granicę w zamkniętych na klucz gwoli rewizji wagonach odstraszyły nas na zawsze od przekroczenia granicy rosyjskiej. Niestety stosunki polityczne nie dozwoliły mi nawet w latach 1915/17 pokłonić się stolicy Warszawie.

Jako rektor Uniwersytetu zająłem miejsce wirilne w Sejmie krajowym, i poraz pierwszy tam się pojawiłem. W ciągu dyskusji, o ile pamiętam nad stowarzyszeniami zarobkowemi, zabrałem głos w kierunku assocjacji, na co mi referent hr. Henryk Wodzicki, ojciec późniejszego przyjaciela mego Tonia W., zarzucił, że jestem socjalistą. Odparłem to bez zbytej gwałtowności, bo któż dziś nie jest „socyjalistą“?! Ale zarzut ten przyniósł w 5 lat później nieprzyjemne cokolwiek dla mnie skutki. Obrady Sejmu odbywały się wówczas jeszcze w budynku teatru Skarbkowskiego, dokąd w jesieni 1871 zaprowadziłem do loży żonę, ażeby się przyjrzała otwarciu Sejmu przez namiestnika hr. Gołuchowskiego, który parę tygodni przedtem (w lipcu), przyjmując na powitaniu urzędników namiestnictwa, rzekł był na mój widok: „Biliński już się nie może doczekać profesury!“ Sporo lat później — o ile pomnę około r. 1888 — gdy zosłałem posłem stanisławowskim z wyboru, zasiadałem już aż do reformy sejmowej z r. 1914 w nowym gmachu sejmowym. Tam to od-

była się około r. 1898 wielka moja rozprawa ze słynnym poetą Szczepanowskim, mężem znakomitym, ale tak potępionym przez społeczeństwo, że mu się za narzucanie się jako „polityczny nauczyciel wędrowny“ raz należała odprawa, którą też przyjął odemnie z całą przyjaźnią.

Mowę inauguracyjną rektorską wypowiedziałem na temat praw języka polskiego w uniwersytecie i potrzeby ich rozszerzenia. To też rok 1888/9 wypełniony był staraniami senatu pod moim przewodnictwem o to rozszerzenie. Powiodło się też uzyskać u rządu przy pomocy prezesa Koła polskiego, K. Grocholskiego, z którym korespondowałem o to, dwie ważne konsesje. Minister oświaty zatwierdził mianowicie uchwałę senatu, mocą której najprzód katedry wszystkie mają być polskie (z językiem wykładowym polskim), zaś obok w miarę zgłaszających się naukowych ruski, a powtóre przyznano rozporządzeniem, zdaje się z kwietnia 1878, językowi polskiemu charakter języka urzędowego dla władz uniwersyteckich.

Roku 1899 odbywały się powszechne wybory do rady państwa. Mówiono wówczas o kandydaturze mojej, ale nigdzie nie przyszło do jej postawienia. Pozostaliśmy więc nadal w drogim naszym Lwowie z miłymi w zimie towarzyszami i cudniami na wiosnę i w lecie prawie codziennymi spacerami na wysoki zamek, gdzie nas w wieczory letnie często przyjmowały (sic!) roje cudownych robaczków świętojańskich. Tylko w zabawach tanecznych nie braliśmy udziału tak dla delikatnego zdrowia żony jak i dla zapobieżenia znacznym wydatkom toaletowym.

Rok 1880 był dla mnie dość ożywiony. Wyszedł w tym roku I tom mego „Systemu ekonomji społecznej“ (2 tom r. 1882). Po wyczerpaniu tego wydania, mój późniejszy następca prof. Głębiński wydał za moją zgodą nowe wydanie ze swojemi uzupełnieniami. W jesieni zostałem obrany członkiem czynnym Krakowskiej Akademji Umiejętności. Był to w świecie naukowym ze względu na mój wiek (34 lat) prawdziwy éclat! Niestety, stosunki nie dozwoliły mi odwdziżyć się Akademji pracami swemi.

Z początku uczęszczałem na posiedzenia Akademji, lecz poddawszy się zaś później jarzmu polityki państwowej, nie mogłem już ani przybywać na posiedzenia, ani tem mniej brać udział w pracach literackich. Niewdzięczność tę starałem się później jako minister skarbu (poraz pierwszy) naprawić, ofiarując sua sponte Akademji kredyt, potrzebny na konieczne przebudowanie gmachu. Także r. 1919 jako minister skarbu polskiego w walce z nieukami, nic o niej nie wiedzącymi, zabezpieczyłem Akademji środki potrzebne.

Późną jesienią 1880 r. brałem w Wiedniu jako delegat Tow. gospodarczego udział w kongresie rolniczym i przedstawiłem tam referat o ulgach podatkowych dla rolnictwa. Obrady toczyły się w sali sejmowej przy Herrengasse w obecności późniejszego (1880) ministra skarbu, sławnego *Dunajewskiego*. *Mise en scène* była dla mnie niekorzystną, bo musiałem odczytywać długi referat, który znużył słuchaczy; ale w ciągu dyskusji usłyszałem prócz krytyk, wiele także słów uznania, ze strony opozycji niemieckiej przez usta radykalno-niemieckiego posła *Ottona Pollaka*, a przyjęty referat wyszedł w druku r. 1880.

VIII.

1883—1891: Rada państwa.

Rok 1883 stworzył przełom w życiu mojem publicznem. Przy wyborach powszechnych do Rady Państwa nie było dla mnie widoków; ja też stałem stale na stanowisku, że jak pragnę dostać się do Sejmu, tak, chcąc nadal służyć uniwersytetowi i nauce, do rady państwa nie pójde. Ale losy pokierowały tem inaczej i od tego czasu doznałem przez lat przeszło 30 cały szereg cudów bożych, opierając się za każdym razem przyjęciu obowiązków i misji, które w końcu przyczyniały się do mego szczęścia.

Na wiosnę r. 1883 zaważowały dwa mandaty do Rady państwa: we Lwowie (nie pomnę po kim) i w Stanisławowie

po Kamińskim, dzielnym miasta burmistrzu, który się niestety wmixszał był nieostrożnie w niezbyt czystą sprawę budowy kolei galicyjskiej, transwersalnej przez firmę Schwarza. Podobno mandat lwowski rozpisano wcześniej, bo najprzód we Lwowie zwołano zgromadzenie wyborcze, na które między innymi także i mnie zaproszono jako kandydata. Sądziłem, że mogę pójść na ratusz bez intencji opuszczania katedry: wygłosiłem więc wielką mowę polityczną, która według mego uczucia znalazła wielkie uznanie, zwłaszcza, że na zapytanie dyrektora Dr Alfreda Zgórskiego odpowiedziałem, iż pragnienie nasze odbudowania Polski znanem jest także sferom decydującym. Nie przypuszczałem jednak, jakie z tej mowy wynikną konsekwencje na dwie strony.

Oto w jaki tydzień później, zgłaszają się w mieszkaniu mojem o późnej bardzo porze — właśnie się zacząłem do snu rozbiierać — dwaj panowie, którzy mi kazali powiedzieć przez służbę, że się nie oddała i muszą mnie dziś widzieć. Ubrawszy się ponownie, zastałem w pokoju ks. Dąbrowskiego z drugim panem, którzy mi się przedstawili jako wysłannicy z Stanisławowa, ofiarujący mi mandat. Na wszelkie moje zasadnicze i praktyczne obiekcje odpowiadali stale, że nie ustąpią z mieszkania i nie powrócą do Stanisławowa bezemnie. Na moją zaś uwagę, że choćbym się mógł zebrać do pociągu odchodzącego o g. 6 rano, nie mógłbym się dla braku koni dostać na dworzec, odrzekli, że ks. Arcybiskup Isakowicz już zgóry oddał swój powóz na g. 5 rano do dyspozycji mojej. A więc formalny spisek, godny energii ks. Dąbrowskiego, żyjącego do dziś staruszka, dla którego czuję zawsze wdzięczność i uszanowanie!

Sic fata tulere! Rano wyjechałem, zasiągnąwszy jak zwykle rad tylko u żony, nieomyłnej dla mnie przez całe życie, popołudniu o godz. 3. miałem w teatrze mowę kandydacką przyjętą z entuzjazmem, a jeżeli się nie mylę 28 marca byłem przy ponownym pobycie w Stanisławowie, w obecności mej matki uszczęśliwionej, przedmiotem licznych owacji z okazji dokonanego

tam i w Tyśmienicy wyboru. I tak nastąpiło wykolejenie moje z kariery naukowej. Bo chociaż pozostałem na katedrze jeszcze przez lat szereg aż do pierwszych dni stycznia r. 1892, chociaż nie przestałem kochać Almy mater lwowskiej, chociaż tu i ówdzie coś jeszcze publikowałem w dziedzinie fachowej, to jednak i wykłady zaniedbywało się często z konieczności i dla badań naukowych i postępu własnego nie było już czasu. I dlatego musiałem się sprzeniewierzyć także Akademii Umiejętności. Namietność polityki pochwyliła mnie w swe szpony i nie wypuściła do dzisiaj: prawda, że się jej już nigdy nie opierałem, lecz owszem szukałem!

Sesja parlamentu była w toku, należało więc wyjechać do Wiednia, ku czemu nadawały się zapadające ferie półroczne. Ale zanim się tam wybrałem, spotkałem się na wstępie mego życia politycznego z oryginalną przykrością. W opisie dziennikarskim o mej mowie lwowskiej znajdowała się także wzmianka o interpelacji Zgórskiego i mojej odpowiedzi. Wzmiankę tę pochwyliły dzienniki wiedeńskie i zrobiły z niej zdradę stanu, a pod tem wrażeniem rząd przez ministra oświaty polecił namiestnikowi, hr. Potockiemu zbadać tę moją zdrożność i złożyć sprawozdanie. Zaprosił mnie więc z polecenia namiestnika ówczesny wiceprezydent, późniejszy dygnitarz pan Filip Zaleski i z wielką dobrotliwością omówiwszy sprawę i wysłuchawszy moich wyjaśnień, wysłał do Wiednia sprawozdanie, przypuszczam korzystne. Ja zaś przybywszy do Wiednia, zgłaszam się do ministra oświaty Conrada v. Eybassfeld i przedstawiając mu się jako profesor, zaatakowałem go jako poseł tak energicznie za jego interwencję we Lwowie, że mi natychmiast najuprzejmiej przyznał rację. Szefa rządu hr. Taaffego byłem później ulubieńcem. Wtedy to poszło w zapomnienie, ale dziś w r. 1918, w miesiącu styczniu, w którym rada regencyjna wskrzeszonego państwa polskiego zamieszkała na zaproszenie cesarza w Burgu, epizód ówczesny wyrasta w mojej wyobraźni do soit-disant-proroctwa!! Tylko że potem nastąpił Brześć litewski i inne równie piękne rzeczy!

We Wiedniu, dokąd mi jak zawsze towarzyszyła wierna żona, zamieszkaliśmy najprzód w hotelu Matschakerhof przy Seilergasse i zostaliśmy do końca sesji wiosennej. Tam odwiedzali nas rodzice żony ku wielkiej naszej radości, tam złożył wizytę mojej żonie surowy prezes Grocholski. Zaczął rozmowę po niemiecku, ale na nasze zaproszenie prowadził ją dalej po polsku i bywał w późniejszych latach chętnie w domu naszym, czasem ze swoim adlatusem, a moim przyjacielem Dr Julianem Czerkawskim. Wiele zaś lat po jego śmierci opowiadał mi poseł Włodzimierz Kozłowski, raczej mój przeciwnik polityczny, że Grocholski, bardzo przeciw mnie uprzedzony, czuł się od razu rozbrojonym mową polską mej żony. Zawdzięczałem jej tym sposobem ważne ułatwienie w mojej nowej pracy. Ale byłem wobec Grocholskiego jeszcze osobno uzbrojony. Wiedziałem w chwili wyboru, że będę u Grocholskiego „socjalistą” z nominacji Wodzickiego. A tak się złożyło, że w grudniu 1887, kiedy jeszcze nie mogłem marzyć o mandacie, musiałem z kolei wygłosić odczyt na uroczystości imatrykuracyjnej. Wybrałem sobie za temat ocenę socjalizmu, jużci nie w duchu jego pochwały, acz nie bez uznania tendencji reformatorskich. Mowa ta została podobno w styczniu 1883 ogłoszona w krakowskim „Przeglądzie Polskim” gdzie sporządzono odbitkę pod tyt.: „O istocie, rozwoju i obecnym stanie socjalizmu”, Kraków 1883. Odbitkę tę wręczyłem Grocholskiemu jakby niewinnie: czy ją odczytał, nie wiem, ale pretekstu już nie miał, by mnie posądzać o zamiary, jakie dziś r. 1918 przeprowadza rząd Bolszewików w Rosji!

Obrady parlamentarne odbywały się r. 1883 jeszcze w domu drewnianym, słynnej „Holzbude” przy placu Maxymiljana w pobliżu Votivkirche. Dom ten, którego obraz darował mi w kilkadziesiąt lat później ktoś z adoratorów moich politycznych, stał z tyłu za istniejącym do dziś hotelem „France”, tam gdzie dziś stoi „Maria Theriesenhof” jako Nr. 1 ulicy Maria Theriesengasse. W hotelu mieściło się Koło polskie w wielkiej sali

jadalnej, mieszkało też wielu posłów polskich. Opowiadali mi starsi koledzy, że częstokroć grano w hotelu wieczorami w karty, w toaletach niezbyt już dziennych, a na wiadomość o ważnem głosowaniu musiano bez zbytej poprawy toalety spieszyć do sali parlamentu. Do tego tedy gmachu parlamentarnego odprowadziła mnie żona po raz pierwszy w kwietniu 1883, tam się po raz pierwszy przedstawiłem jako poseł Grocholskiemu (później byłem naturalnie w jego domu przy Elisabethstrasse) i prezydentowi Izby Smolce; w gmachu sąsiednim zająłem miejsce jako członek Koła.

Stosunki w Kole były pod twardą ręką Grocholskiego dla sprawy publicznej znakomite, dla jednostek, zwłaszcza młodszych, przykre. Przybywszy do Wiednia jako były rektor magnificus i członek czynny Akademji Umiejętności, znalazłem się w roli skromnego praktykanta, którą swoją drogą przyjąłem stoicznie. Według zasad rządów Grocholskiego młody poseł miał się przysłuchiwać biernie aż do czasu, gdy go prezes powoła do pracy. Życzył sobie minister Dunajewski, abym wszedł do komisji budżetowej, ale, o ile sobie przypominam, nie uzyskał tego aż do końca swego ministerstwa. Życzył sobie prezydent Smolka, ażeby wszedł do komisji podatkowej i skłonił nawet Juljana Buzynę do rezygnacji z miejsca w komisji na rzecz moją, ale rzecz się nie powiodła i spowodowała niełaskę prezydum dla mnie.

Tak więc zeszedł rok kalendarzowy 1883 bez jakiegokolwiek pracy mojej czynnej, prócz w Kole, gdzie także musiałem z porady zbliżającego się do mnie poczciwego Juljana Czercawskiego, zachowywać się bardzo ostrożnie. Po przerwie sesji 1883 przebywaliśmy z żoną we Lwowie przy ul. Łyczakowskiej i prowadziłem dalej wykłady; na ferje byliśmy w Cieplicach, a w jesieni przesiedliliśmy się częściowo do mieszkania we Wiedniu VIII, Lenaugasse 7. W tym celu zapakowaliśmy przeważną część naszych ruchomości lwowskich, zostawiając przy ul. Łyczakowskiej tylko część drobniejszą w zmniejszonym o jeden pokój miesz-

kaniu (tylko w lecie w r. 1884 mieszkaliśmy prowizorycznie na Chorążczyźnie, zkąd nas gospodyni pani Kwiatkiewiczowa zabrała znowu do swego domu przy ul. Łyczakowskiej). Na dawnej Łyczakowskiej (którą r. 1914 wkraczali do naszego drogiego Lwowa Moskale!) służyło nam pied-à-terre w lecie, gdy kontynuowałem wykłady na Uniwersytecie, jak w czasie jesiennych sesyj sejmowych, gdy jako poseł brałem udział w pracach zwłaszcza budżetowych. Miałem niejedyn sukces, największy, gdy na znakomitego zresztą posła Stanisława Szczepanowskiego musiałem w imieniu całego niemal Sejmu natrzeć energicznie za wieczne ataki na pojedyncze stronnictwa. Spodziewano się z tego pojedynku; ale S. uznał swój błąd, zbliżył się do mnie zaraz i zaprzyjaźnił się ze mną! Poza tem odtąd przez lat 8 z górą spędzaliśmy jesień i zimę, a czasem także i wiosnę w miłym, przestronnym mieszkaniu wiedeńskim przy Lenaugasse. Tam kwitło nam szczęście rodzinne: rodzice żony nas tam odwiedzali, trzej bracia moi (Leopold, Józef i Marjan) byli często naszymi gośćmi, ostatni sprowadził się nawet z żoną i synkiem do tego samego domu. Tam zawiązaliśmy przeliczne stosunki z towarzystwem polskim i niemieckim w Wiedniu, które się potem rozszerzyły do $\frac{1}{2}$ tysiąca osób i trwały aż do wojny i choroby mej drogiej żony. Tam dawaliśmy małe obiady, na których bywali Dunajewski, Smarzewski i inni. Grocholski kilka razy się obiecywał, ale mu przeszkadzała choroba: bywał tylko w dzień. Ztamtąd rozwijała się moja praca parlamentarna, popierana cichem szczęściem domowem. Tam swoją drogą przeżyliśmy także smutne chwile z okazji zgonu biednego Piotrusia Hoenigsberga (r. 1887?), mej dobrej matki (1890) i niemniej dobrego kochanego teścia (1891). Ferje uniwersyteckie i łącznie parlamentarne (w lecie) spędzaliśmy bez wyjątku w Cieplicach, gdzie niejednokrotnie pozostawała moja żona, gdy z początkiem jesieni odbywały się krótkie sesje parlamentarne: wtedy mieszkiałem albo sam, albo (razu jednego) z bratem Ludwikiem. Po śmierci

teścia była w późnej jesieni dobra świerka moja gościem naszym na Lenaugasse.

Przez jesień 1883 nie było śladu mej pracy parlamentarnej, chyba, że brałem udział w dyskusji o decentralizacji kolei państwowych w Kole i zająłem stanowisko zbyt radykalne wobec rządu, czem zraziłem sobie Prezesa! A przeniósł się wtedy parlament do nowego gmachu parlamentarnego przy Ringu, tylko Koło pozostało na żądanie prezesa około dwóch lat w hotelu de France, zanim się Grocholski zdecydował zająć należny nam lokal w parlamencie. Nadszedł r. 1884 i rozpoczął się dla mnie również biernie, aż pierwszych dni marca stanęła na porządku dziennym ustawa o stosunkach prawnych w kopalniach nafty. Ja się tą sprawą zajmowałem w Sejmie, ale we Wiedniu nie miałem powodu się o nią troszczyć. Aż tu d. 3/3 wieczorem zbliża się do mnie kuloarach Grocholski i rzeknie: „Pan będzie jutro przemawiał w Izbie przy obradach nad ustawą naftową!“ Na moją uwagę, że nie posiadam ani dość czasu, ani dość znajomości, iżbym mógł jutro przemawiać, powtórzył Grocholski dosłownie: „Pan będzie...“ itd., odwrócił się i odszedł. Nie pozostało mi nic, jak pójść do biblioteki, zasiąść przez noc do roboty i zgłosić się rano w Izbie do swego „maiden speach“-u. W d. 4/3 1884, w dzień imienin Grocholskiego wygłosiłem dość wielką mowę, która mi z łaski Boga przyniosła wielki sukces w Izbie i dziennikarstwie, a u Grocholskiego znalazła uznanie. Od tego dnia przełamały się lody, ale zawsze jeszcze musiałem zachowywać wszelkie ostrożności w dążeniu do pracy parlamentarnej.

Budżet i podatki były mi odjęte, jakkolwiek zwłaszcza podatki byłyby mi były bardzo pożądane, bo Dunajewski przygotowywał reformę, z którą fama połączyła już była moją osobę, opowiadając błędnie w dziennikach jeszcze przed moim wyborem, iż mnie Dunajewski powołał do ministerstwa dla współpracy w reformie. Istotnie w kilka lat po wyborze była myśl podobna, ale r. 1884 otworzyła się dla mnie inna perspektywa.

Opróżnił się mandat polski w komisji przemysłowej. Przyjaciele moi postanowili, przysporzyć mi ten mandat, byłem nie zdradził, iż go pragnę. Poseł Klucki, mój ówczesny protektor, dodał dla uspokojenia swego sumienia: „My Panu będziemy wskazywali, jak Pan ma postępować w komisji, a Pan się będzie tego trzymał“. Milcząco przyjąłem ten pakt i zostałem wybrany do komisji, nawet do dwóch: dla rybołóstwa i do przemysłowej. W pierwszej broniłem — zaraz ze skutkiem kompetencji Sejmu, w drugiej, pracującej właśnie nad reformą ustawy przemysłowej, nie byłem w stanie zasięgać zleceń moich protektorów, bo znając przedmiot z moich wykładów o polityce ekonomicznej, zaraz na I. posiedzeniu przeprowadziłem cały szereg dość znacznych zmian w projekcie rządowym, którego referentem był hr. Egbert Belcredi. To mi otwarło pełną drogę do pracy. Zawiązałem bliskie stosunki z sąsiadem moim w komisji, księciem Alojzym Lichtensteinem i pośrednio z jego starszym bratem Alfredem Lichtensteinem. W domu tych panów (urodzonych z hrabianki Potockiej, siostry pana Alfreda, znanego męża stanu) przy Währingerstrasse odbywały się często konwentykle w sprawach przemysłowych, a i innych politycznych, zwłaszcza socjalnych: bo ks. Alojzy przygotowywał sobie grunt między robotnikami wiedeńskimi, zanim w końcu z posła ultra-konserwatywnego i klerykałnego ze Styrii przekształcił się w przywódcę obozu chrześcijańsko-społecznego we Wiedniu (partja Luegera, wówczas ledwie z nazwiska znanego). Ks. Alfred, pan wielki, w końcu następcą tronu Lichtensteinów ztąd uposażony w udzielnosc (syn ożenił się z arcyksiężniczką, córką arcyks. Karola Ludwika, brata cesarza Franciszka Józefa i arcyks. Marji Teresy) pozostał był konserwatystą z czynów i form zewnętrznych. Tylko djalekt zachował styryjski, a jako pół-Polak podawać kazał po obiedzie fajki-stambułki na długich cybuchach! Był r. 1899 desygnowanym prezydentem ministrów; zmarł około r. 1910.

Z hr. Egbertem Belcredim, młodszym bratem Ry-

szarada słynnego ministra-prezydenta z r. 1865, człowiekiem starszym i mimo zdolności miernych bardzo gorliwym, pracowałem bardzo skutecznie, skłaniając go do niejednej zmiany w projektach. W Izbie przeprowadziliśmy na podstawie jego referatu między innymi: dzień jedynastogodzinny, ochronę pracy kobiet i dzieci, ograniczenia pracy nocnej, święcenie niedzieli. Stanęliśmy w tym względzie na czele ustawodawstwa na stałym lądzie Europy, na każdy sposób uprzedziliśmy Niemcy. Według statutów Koła miał członek komisji prawo swobodne przemawiania w Izbie w sprawach, przedkładanych przez komisję: zabierałem więc głos niejednokrotnie, zwłaszcza w sprawie święcenia niedzieli. Toż gdy potem według słusznego zwyczaju hr. Egbert otrzymał godność tajnego radcy — było to w lecie 1884 — poseł hr. Berchtold, ojciec późniejszego kolegi mego w rządzie wspólnym, hr. Leopolda, człowiek bardzo dowcipny i mnie przychylny, rzekł w mojej obecności w Cieplicach do hr. Koziebrodzkiego (generała, ojca dwóch dyplomatów): „Der Biliński war eigentlich Referent und Belcredi ist dafür Geheimer Rat geworden“. W ogólności epiteton „der eigentliche Referent“ był wówczas w stosunku do mnie używany w Izbie ze strony opozycji posłów, jak to zresztą stary poseł Wolfrum, długoletni gen. sprawozdawca budżetowy, opowiadał memu teściowi w ciągu swej kuracji cieplickiej.

W sezonie parlamentarnym 1884/5 przypadły mi dwie ważne prace. Przedewszystkiem referat o przedłużeniu przywileju kolei północnej. Ówczesny minister handlu br. Pino ofiarował mi referat o tym projekcie rządowym, który się stał przedmiotem sporu w parlamencie i poza nim, ponieważ opinja ogólna była — i słusznie — za zastosowaniem do Nordbahnu zasady upaństwowienia, rozpoczętej w r. 1880 przez hr. Pinę za pośrednictwem bar. Czedika, ówczesnego gen. dyrektora kolei zachodniej (Elisabethwestbahn). Ale opinja publiczna nie chciała zrozumieć, że dokument koncesyjny Nordbahnu, jako pierwszej kolei w Austrii, nie zawierał wcale warunków przejęcia kolei

przez objęcie jej koncesji przez państwo, a zarząd jej, spoczywający w rękach potężnej grupy Rotschilda domagał się w drodze układów olbrzymiego odszkodowania, które mogłoby być w drodze sądowej wypaść dla państwa bardzo niefortunnie. Do tego przybywał i wzgląd na to, że minister skarbu Dunajewski, przegrawszy z powodu krachu paryskiego („société générale“) świetną swą kampanję z nowozałożonym „Länderbankiem“ (gubernatorem jej pierwszym zamianował Ludwika hr. Wodzickiego, b. marszałka krajowego) przeciw monopolowi Rotschilda, musiał się z tym ostatnim pojednać dla zabezpieczenia kredytu państwowego i nie mógł przeto dopuścić do nowej wojny z powodu kolei północnej. Za zgodą Grocholskiego zdecydowałem się więc przyjąć referat, który prowadziłem najprzód w subkomitecie, obradującym pod przewodnictwem Riegera, przywódcy Czechów, a potem w komisji i w Izbie.

Projekt rządowy był dość słaby i musiał być przerobiony stanowczo: w pracy tej był mi pomocnym autor projektu, szef sekcji Wittek, późniejszy minister, z którym wtedy po raz pierwszy zawiązałem stosunki, nie zawsze później jednolite. Musiałem uzyskać u rządu i uzyskałem na podstawie prac subkomitetu trzy zmiany: 1) warunki przyszłego upaństwowienia po latach 20 musiały być określone jak najjaśniej; 2) od chwili nowej koncesji musiał rząd otrzymać stanowczy wpływ na wymiar taryf; 3) w ciągu koncesji musiało towarzystwo wybudować na koszt własny cały szereg kolei lokalnych, a w szczególności także równoległą po części tak zw. Städtbahn. Wszystkie te 3 warunki weszły do nowej ustawy: toż koleje pobudowano, taryfy ogromnie obniżono, a w r. 1907 kolej bez przeszkód zainkorporowano.

Bogu muszę dziękować, że tego wszystkiego osobiście doczekałem, bo wtedy, tj. 20 lat wstecz, musiałem z powodu tego referatu przebywać ciężkie walki w parlamencie i po za nim. W subkomitecie szły rzeczy łatwiej, w komisji trudniej, zaś

w Izbie stanął do walki wielki znawca rzeczy i wielki mowca poseł Herbst, były minister z gabinetu Karlosa Auersperga, pierwszego po uchwaleniu konstytucji z d. 21/12 1867 gabinetu parlamentarnego, czysto liberalnego („Bürgerministerium“). Herbst walczył w rozprawie generalnej i szczegółowej do ostatka: ja dodawszy sobie animuszu, odpierałem zarzuty bardzo energicznie i nie tylko przeprowadziłem ustawę w Izbie, gdzie stała za mną większość hr. Taaffego („eiserner Ring“), lecz zyskałem sobie nadto pierwsze zaczątki przychylności ze strony zjadliwego zresztą i nieprzejednanego Herbsta. W kilku sprawach kolejowych, później w sprawie bankowej odpowiadałem mu bardzo ostro, czego on nie znosząc, uciekał zaraz z Izby, ale za to potem tem był uprzejmiejszy. Toż z czasem bardzo go polubiłem, a on, bardzo znacznie starszy odemnie, powiedział mi raz żartobliwie: „Und so ein Bub kommt her und macht Gesetze“.

W parlamencie zakończyła się walka zwycięstwem tj. przyjęciem do skutku ustawy; u wyborców powstała wielka agitacja z powodu rzekomego zaprzepaszczenia interesów kraju. Jak niesłusznym był ten zarzut, wynika nie tylko z treści ustawy, lecz także i z faktu, że po późniejszym upaństwowieniu kolei nigdy nie słyszano o zbyt skutecznej jej służbie dla interesów ekonomicznych kraju. Wtedy jednak w r. 1885 musiałem się wybrać do wyborców, aby zażegnać burzę. Wzburzenie było takie, że w nocy przed zapowiedzianem zgromadzeniem wyborczym przyjaciele moi ostrzegli mnie telegraficznie, iż przeciwnicy zamierzają mnie rzucić z pierwszego piętra sali posiedzeń. Na to natychmiast odpowiedziałem za zgodą najdroższej żony, że rano o g. 6. wyjeżdżam; a przybywszy do Stanisławowa złożyłem sprawozdanie w sali teatralnej przed kilkutysięcznym zgromadzeniem i uzyskałem solenne votum zaufania. W podróży tej towarzyszył mi na prośbę mej żony brat Edmund i był mi bardzo pomocnym. Przed zgromadzeniem przechadzałem się z nim ulicą „brukowaną“, przy której mieszkałem ongiś u Strzetelskich: i jak

wówczas, wracając raz pewnego do domu w straszną burzę z piorunami, odmawiałem z wiarą „Kto się w opiekę“, tak i 25 lat później oddałem się w opiekę boską. Skutek nie ominął. Z uczuciem triumfu powróciłem do Lwowa, gdzie jednak burza jeszcze się toczyła po kątach: opowiadano sobie o pojedynku, który się miał odbyć z powodu sporu w kawiarni między dwoma młodymi ludźmi, z których jeden twierdził, iż mnie Nordbahn przekupił pół miljonem, kiedy drugi nie brał mnie broń Boże — w obronę, lecz podawał — cyfrę inną!

Ruch parlamentarny 1885/6 poświęcony był dalszym pracom społecznym w komisji przemysłowej w Izbie. Na porządku dziennym stanęła przede wszystkim ustawa o ubezpieczeniu robotników od wypadku. Praca była wielka: referentem hr. Belcredi. Ja mu byłem pomocnym i w maju 1886 przemawiałem w Izbie jako mówca generalny mimo szalonego kataru przez 2½ godzin, głównie w kwestji zasadniczej, czy zakład ma być jednolitym, urzędowym, czy ma się składać z szeregu zakładów prywatnych, zawodowych. Przechyliliśmy szalę na stronę alternatywy I., czy z pożytkiem dla sprawy, to dotychczas nierozstrzygnięte, ale sądzę, że tak. A i katar ustał po mowie, jak stwierdził poseł Dr Rose, słynny wróg loterii! W czasie mojej mowy spalił się teatr miejski (Stadtteater) przy Seilerstätte: właśnie, gdy sporządzałem korektę mowy, ujrzałem słup płomieni z okien parlamentu.

Z rządu nastąpiły prace nad ubezpieczeniem robotników na wypadek choroby: referat nad odnośną ustawą mnie poruczono. Przytem powiodło mi się zyskać takie stanowisko, że w Izbie los każdej poprawki zależał od mojego wotum: posłowie Baernreiter (późniejszy dwukrotny minister) i Exner byli mi bardzo pomocni w Izbie. W ciągu dyskusji podniosła się była także kwestja robotników rolnych: Koło atakowało (na Kole) odnośny paragraf komisji, ja zaś go broniłem z przekonania. Gdy tedy przyszło do obrad Izby nad nim i zachodziła obawa uchwały wbrew opinji Koła, wylazł do mnie do trybuny

sprawozdawcy Grocholski z przedstawieniami; a gdy na moje przedstawienia wyraził prośbę, bym zrobił ustępstwo dla jego osoby, ustąpiłem, to znaczy zgodziłem się na żądanie Koła i Izba uchwaliła jego wniosek według mojej rady.

Roku 1886 odbywały się wybory powszechne. Skutki prac moich pojawiły się po części w Stanisławowie. Jakkolwiek próbowano przy agitacji powrócić jeszcze do sprawy Nordbahu, wybór, acz cięższy i kosztowniejszy, niż r. 1883, wypadł znakomicie.

Zbliżało się odnowienie ugody austr.-węgierskiej. Na jednym z zebrań wistowych u Dunajewskiego (dla niego musiałem się nauczyć gry w wista) wyrzekł gospodarz: „kto zrobi ugodę, ten może spać spokojnie“. Stała ona na porządku r. 1886/7. Mnie się dostał referat o banku austr.-węg. trudny politycznie z tego powodu, że Czesi postawili cały szereg żądań narodowych, idących poza potrzebę i możliwość. Rząd był w wielkiej trudności. Jako referent udałem się do ówczesnego gen. sekretarza Dr Leonharda, przedstawiłem mu konieczność polityczną pewnych ustępstw i uzyskałem je w całym szeregu postanowień, jak mianowanie urzędników z rozmaitych narodowości, korespondencję ze stronami w języku ich podania, druki wielojęzyczne itp. Ponieważ Węgrzy nie byliby uchwalili ani jednego z tych żądań w kontekście ustawy, ułożyłem całą litanję uzyskanych koncesyj w formie wezwania do rządu, ażeby skłonił zarząd banku do wprowadzenia reform. Trzeba było jednak przedtem przezwyciężyć dwie trudności: po stronie Czechów i rządu. Z żądań Czechów zasadniczych, należących do ustawy, nie mogłem nic proponować i udałem się z tem do zarządu klubu czeskiego. Przywódcą nominalnym i rzeczywistym był Rieger; ale przy boku jego stali dwaj hrabiowie Clam-Martinitz. Ryszard, ojciec Henryka, ministra-prezydenta z r. 1914, był wiceprezydentem Izby, nie zajmował się zbyt klubem i miał charakter łagodny. Ale hr. Henryk (dawny szef rządu krajowego w Krakowie, wówczas centralista, stryj, później spadkodawca młodego Henryka) był człowiekiem charakteru

niezłomnego i rządził faktycznie w klubie! Do niego więc samego się udałem i przedstawiłem swoje wnioski bankowe: co odrzucałem, a co przyjąłem z żądań Czechów. Na to otrzymałem natychmiast odpowiedź: „Proszę tylko proponować, co Pan uważa za stosowne. Klub Czeski będzie jednogłośnie głosował za Panem“. Takie to były czasy i tak się też stało.

Ale potrzeba było jeszcze porozumieć się z min. Dunajewskim, a to nie łatwa była sprawa, bo minister z powodu trudności ugodowych był w najgorszym humorze, a w takich razach nawet hr. Taaffe posyłał doń „ambasadora“ w osobie ówczesnego szefa prezydjalnego, późniejszego ministra Korytowskiego. Nawet cesarz używał podobnych środków, gdy np. razu jednego min. handlu markizowi Bacquehem, żądającemu pomocy cesarskiej w sprawie funduszów na budowę jakiejś kolei strategicznej, odrzekł: „A nie. Niech Dunajewski najprzód Pana wypyta, potem dopiero ja z nim pomówię“. Toż i ja nie udałem się wprost do zagniewanego Achilla, lecz użyłem pośrednictwa hr. Taaffego w celu sprowadzenia rozmowy między mną i Dunajewskim. Podjął się tego szef gabinetu, a na drugi dzień przybiegł do mnie słynny sekretarz Koła Józio Jasiński (prezydent sądu krakowskiego) z wezwaniem pilnego stawienia się u Dunajewskiego. Tenże oczekiwał mnie w kuloarach i przyjął zapytaniem: „Co to Pan posyła do mnie listonoszów (użył wyrazu „bryftregerów“), zamiast się zgłosić osobiście?!“ Na to odrzekłszy, że podobno lepszego listonosza jak hr. Taaffego nie można sobie wynaleść, pobudziłem Dunajewskiego do śmiechu i rzecz ubiłem do kilku minut.

Zwołano posiedzenie komisji, na której przedłożyłem projekt rezolucyj bankowych do rządu: rzucił się jeszcze raz na mnie z całą zjadliwością Herbst, podsuwając mi niemożliwe plany. Odpowiedziałem mu tak ostro i gwałtownie, że posiedzenie odroczone, a Dunajewski uspokajał mnie po drodze bardzo serdecznie. Ale na tem skończyła się wojna z Herbstem. Na dalszych posiedzeniach przerobiliśmy za jego gorliwym

współudziałem cały statut bankowy, a minister przyjął wszystkie moje rozucelcje i później je przeprowadził. W Izbie była dyskusja spokojna i pouczająca, a po jej ukończeniu i przyjęciu ustawy, zbliżył się do mnie hr. Hohenwarth, człek bardzo wysoko się noszący, ażeby mi powiedzieć, że mi sobie zaskarbił wielkie zasługi u rządu, który „ist Ihnen Dank schuldig!“

Wdzięczność ta objawiła się — przy nadawaniu orderów wszystkim referentom i prezesom komisji, między innymi Jaworskiemu — w nadaniu mi w czerwcu 1897 komandorji orderu Franciszka Józefa: do dziś przechowuję na dnie pudełka do tego orderu własnoręczny napis Jedynej mojej: „18/6 1887, sobota. I.“ Order ten, sam przez się drobny, narobił wtedy ambarasu w Radzie ministrów i trochę hałasu w sferach biurokratycznych, ponieważ mnie jako prof. uniw. w VI randze (posłowie nie mają rangi!) należałoby się była żelazna korona III kl., kiedy komandorja Franciszka Józefa przewyższała wtedy i ten order i następny Leopolda III kl. i bywała nadawaną starym radcom dworu lub młodym szefom sekcji. Minister Gautsch opowiadał mi później często o walce w odnośnej radzie ministrów: komandorję przeprowadził Taaffe przy pomocy głosów Dunajewskiego i Ziemiałkowskiego (zawsze aż do swej śmierci bardzo mi przychylnego). Była to zdaniem małostkowego Gautscha jedna z najbardziej „zasadniczych“ walk w gabinecie. W tymże właśnie czasie w jesieni proponował mi Dunajewski objęcie posady szefa sekcji w ministerstwie skarbu. Mając szkrupuły przeciw przeniesieniu się na urząd biurokratyyczny, postawiłem niemożliwy prawie warunek nominacji l. szefem sekcji ponad głowy starych dwóch szefów i tajnych radców. Na tem się rzecz rozbiła. Ale Dunajewski nie wziął mi tego za złe: przeciwnie, gdy Rotschild chciał mnie wybrać do Rady nadzorczej kolei północnej, a minister handlu Bacquehem chciał mnie z ramienia rządu wydelegować do Rady nadzorczej kolei Karola Ludwika, odesłałem ich do Dunajewskiego, który, jak mi sam potem opowiadał, odrzekł: „Biliński całkiem innej

posady nie przyjął, a miałby przyjąć w Radzie nadzorczej". W niejaki czas potem — już po ustąpieniu Dunajewskiego — proponowali mi gubernator Bezeccy i dyr. Thausig z wielkim naciskiem i gorącą prośbą posadę w Radzie nadzorczej „Bodenkreditanstalt“ bardzo intratną i społecznie cenioną. Z góry im oświadczyłem, że tego nie przyjmę. Gdy jednak nie chcieli od tego odstąpić, zgłosiłem się raz do nich telefonicznie, a przyjęty entuzjastycznie, powtórzyłem, że posady dla siebie nie przyjmę, ale proponuję na swoje miejsce Madejskiego. Starszy ten o kilka lat odemnie kolega był już wtedy znakomitym członkiem parlamentu, jakkolwiek mu niesłusznie niedowierzano; przybytek dochodów był mu pożądanym, a żeśmy żyli w przyjaźni, przyjął moją propozycję. Ci panowie bankowi jeszcze go nie znali, bo mnie pytali naiwnie, kto to jest p. Madejski. Ale wybrawszy go, dożyli w kilka lat, że został ministrem, a po jego ustąpieniu z ministerstwa wysłali do mnie (byłem wtedy prezydentem kolei) gubernatora z prośbą, bym skłonił Madejskiego do ponownego wstąpienia do Rady nadzorczej. Stało się to i Madejski pozostał tam do śmierci, wyrobił sobie wielkie stanowisko i jeszcze wkrótce przed śmiercią był u mnie jako ministra skarbu z deputacją Rady, o czem będzie mowa później.

Dziękuję Bogu, że mi dopomógł oprzeć się wszelkim pokusom tego rodzaju pobierania dochodów bez pracy.

Rok 1887/8 poświęcony był reformie podatku od wódki. Ciężkie przesilenia groziły krajowi i Kołu, gdy Dunajewski w porozumieniu z Węgrami zaproponował przemianę podatku ryczałtowego na podatek od wyrobu rzeczywistego. Rolnicy nasi obawiali się spadku naszego przemysłu gorzelnianego; rozdział jednak spirytusu na kontyngensowany (niżej opodatkowany) dla rolników i niekontyngensowany, niemniej prawie dla producentów spirytusu kontyngensowanego wyrównały wszystko: skarb otrzymał olbrzymie dochody, w których biorą udział także kraje i z których pokrywa się w czasie wojny światowej część kosztów wojennych, a go-

rzelnictwo nasze doszło do wysokiego rozkwitu, aż je wojna zniszczyła fizycznie. Ale wtedy nie było łatwo o radę. Deputację szlachty przyjął Dunajewski bardzo niegrzecznie. W Kole kotłowało; Grocholski działał ostrożnie i etapami, aż wreszcie dobił targu z Dunajewskim, który — widziałem to na własne oczy — musiał w tym celu wyjść do sieni dolnej ministerstwa, gdzie chory Grocholski siedział w powozie. W takiej to pozycji naszych dwóch największych wówczas mężów stanu nastąpiło porozumienie. Podatek został uchwalony.

Ale ta uchwała sprowadziła dla kraju — prócz rozkwitu gorzelnictwa — daleko sięgające skutki polityczne. Minister Ziemiałkowski stał w czasie kampanji wódczanej stale po stronie niezadowolonych w kraju interesentów: bronił ich przed planami Dunajewskiego, tak z obowiązku jako minister dla Galicji, jak — potrochę — z animozji do ministra skarbu, z którym go nie łączyły ani stosunki osobiste, ani wspólność zasad politycznych. Gdy kampanją tę przegrał, zwycięzca Dunajewski znowu trochę z animozji, ale więcej dla dalszych celów politycznych zażądał od hr. Taaffego ustąpienia Ziemiałkowskiego za niedotrzymanie gabinetowi solidarności w sprawie gorzelnianej. Po uzyskaniu aprobaty Taaffego przedstawiła się oczom moim wyraźnie, a innym mniej wtajemniczonym widzom mniej wyraźnie, scenerja następująca. W jesieni 1888 obradował jak zwykle Sejm krajowy. Zjechał na sesję na krótki czas Dunajewski, a my posłowie wraz z całą resztą towarzystwa lwowskiego zostaliśmy przez namiestnika Filipa Zaleskiego zaproszeni na wielki raut, wydany na cześć ministra skarbu. Około g. 11. w nocy wziął Dunajewski — oto co widziałem i rozumiałem — gospodarza pod rękę i wyszedł z nim ostrożnie do jego biura, gdzie mu wręczył list Taaffego, który z powołaniem na rozkaz cesarski żądał od niego ustąpienia z namiestnikostwa i ofiarował mu tekę ministra dla Galicji.

Dla możnego następcy hr. Alfreda Potockiego, na prawie niezawisłym stanowisku Namiestnika było ministerstwo

bez teki ciosem osobistym, także pod względem finansowym. Ale rozkaz cesarski nie dozwalał wyboru: nowy minister pojawił się wkrótce u boku Dunajewskiego, a tylko znawcy przejrzeni wyraz jego twarzy. Pan Zaleski był zresztą jako minister dzielnym pomocnikiem Taaffego i dożył na swem nowem stanowisku upadku Dunajewskiego, poczem przez 3 lata był tam wpływowym doradcą szefa gabinetu w sprawach polskich. W dalszym ciągu był troskliwym prezesem Koła po ustąpieniu Jaworskiego. Miejsce zaś Namiestnika zajął młody kandydat stronnictwa krakowskiego hr. Kazimierz Badeni, który na krótko przedtem ustąpił był już z posady delegata namiestnika w Krakowie, zniecierpliwiony brakiem stosownej w służbie krajowej pozycji. Rozpoczął swe prace od wykupna propinacji, wziął w ręce administrację kraju, a także — przez Marchwickiego — stolicy kraju, stworzył przy pomocy znakomitego rozumem brata Stanisława i ks. Adama Sapiehy wystawę krajową r. 1894, zacieśnił w czasie podróży cesarskich do Galicji węzły narodu z monarchą, a w końcu objął ster nawy państwowej. Wszystko dobre a i niedobre, co się z namiestnikostwem hr. Kazimierza łączyło bezpośrednio lub pośrednio było w ostatnim rządzie wynikiem kampanji wódczanej i opozycji ministra Ziemiałkowskiego. Kto wie, jakby bez tego poszły były losy kraju i państwa, rodziny Badeniów a i moje własne, z tą rodziną bardzo ściśle powiązane! Ziemiałkowski zaś, ustępujący naturalnie także niechętnie po 15 latach z ministerstwa (wiadomość o potrzebie dymisji zaniósł mu z polecenia Taaffego ówczesny dyrektor kancelarii Izby posłów, zdolny i pełen instynktów politycznych radca Halban, którego Korytowski nazwał za to „elender Henkersknecht“), cofnął się w zacisze domowe i utrzymywał aż do swej śmierci (1900) najlepsze stosunki z całym towarzystwem polskim (pani Helena była mu w tem nie zawsze wygodną pomocnicą), a w szczególności także i ze mną.

• Zwycięstwo Dunajewskiego w sprawie wódki, połączone z utracaniem Ziemiałkowskiego i wyniesieniem Badeniego, wier-

nego adepta szkoły politycznej krakowskiej, było punktem kulminacyjnym powodzeń ministra skarbu i jego polityki. Wyrwała opozycja Niemców zdołała pozyskać po latach 10-ciu (1879—1889) pewne wpływy u cesarza, a tem samem i hr. Taaffego. Staroczeši z Riegerem na czele nie mogli się także oprzeć konieczności złagodzenia stosunku narodu czeskiego do niemieckiego. Wskutek tego powstała myśl rokowań czesko-niemieckich pod kierunkiem rządu. Hr. Taaffe, poparty gorliwie przez szefa opozycji niemieckiej Plenera syna (stary Plener, dawny z czasów po nieszczęśliwym i niesprawiedliwie potępionym Bruckku minister skarbu, żył jeszcze wtedy bardzo rzeźwy i doczekał się później lat dziewięćdziesiątych) wdrożył z początkiem r. 1890 układy, które się w pierwszej chwili powiodły całkowicie, a o ich wyniki, uchwalone zgodnie przez oba narody, walczył Plener z zaparciem na wiecu niemieckim latem 1890 w Cieplicach. Ale ta zbytńia Plenera gorliwość dotknęła niemile Czechów; a błąd Taaffego wykluczenia Młodoczechów od rokowań wywołał w świecie politycznym Czechów zupełny przewrót: Młodoczeši u bili ugodę na zawsze.

Fakta te, które mnie zastały w ciężkim żalu po stracie dobrej, kochanej macochy († 1 marca 1890), sprowadziły dwa skutki. Z jednej strony Dunajewski, zasadniczy przeciwnik rokowań czesko-niemieckich, musiał, acz podobno niechętnie, wziąć dymisję na wiosnę 1891. Wielki ten mąż stanu nie mógł i nie chciał wziąć udziału w zmianie kursu; zapomniano o jego zasługach politycznych (skleccenie „żelaznego pierścienia“) i skarbowych (usuńnięcie długoletniego niedoboru w skarbie), a pamiętano tylko o jego nieprzyjemnym temperamencie. Opowiadano, że cesarz miał się do hr. Taaffego odezwać: „Lassen Sie den alten Raunzer ziehen“ („daj Pan temu staremu gderaczowi odejść“) i miał się dopiero pod największym naciskiem Taaffego dać nakłonić do nadania Dunajewskiemu wielkiej wstęgi św. Szczepana, należnej swoją drogą tylko prezydentom ministrów i ministrom wspólnym. I otóż ten sam Dunajewski, który ministrów kolegów traktował — raz

pewnego jak dzieci (np. na ułożoną z nim konferencję fachową nie przybył z powodu, że „musi iść na śniadanie“, innym razem znowu na moją interwencję zmusił ministra handlu w ciągu kilku minut do wytrwania przy moim referacie o ustawie o składach towarowych itp..) ten sam minister przemożny zapewniał nas wraz z swą małżonką, iż szczęśliwym jest, słysząc, iż jego następcą będzie szef sekcji min. sprawiedliwości: *Steinbach*. Swoją drogą był *Steinbach* godnym jego następcą na polu waluty i reformy podatkowej. Ale wówczas uważano ten wybór za ubliżenie poprzednikowi, a radca *Korytowski*, spotkawszy mnie na schodach w ministerstwie, zauważył, że „im *Hause*“ uważano mnie za następcę. I minister *Zaleski*, który mnie w owym czasie zaprosił na śniadanie en deux do *Sachera*, wyraził żal, że swego czasu nie przyjął posady szefa sekcji, bo byłbym teraz — jako urzędnik — ministrem. Zły świat opowiadał sobie nawet że *Dunajewski* dopiero wtedy powstrzymał opór przeciw swej dymisji, gdy mu *Taaffe* na jego zapytania zapewnił, że ja (*Biliński*) nie będę jego następcą. — Któż wie co prawda?! Ja sam mogę zapewnić sumiennie, że wówczas miałem, jak się zresztą wkrótce okaże, inne ambicje, niż zawiadywanie skarbem.

Drugim skutkiem rozbitcia układów czesko-niemieckich było rozwiązanie Izby posłów w r. 1891, rok przed upływem perjodu ustawodawstwa. Ja wtedy kandydowałem listownie z Wiednia i zostałem w *Stanisławowie* wybrany ponownie, bardzo gładko. Zawdzięczałem to wyrobionemu tymczasem w parlamencie stanowisku nie tylko pod względem fachowym przez referaty kolejowe, społeczne i inne ekonomiczne — (w grudniu 1890 referowałem o jednostkowej taryfie osobowej na kolejach państwowych, z której już dziś niema śladu!), lecz także pod względem politycznym. Tego ostatniego dowodem był fakt, że po zebraniu się nowej Izby poruczono mi referat o adresie do cesarza. Po dyskusjach przedstawiłem projekt adresu, o którym mi powiedział słynny *Edward Sues*s (słynny geolog i wielki mówca parlamentarny), że acz przeciwnik polityczny

kierunku adresu, czyta go z rozkoszą „jako smakosz“. Na ten adres, ani na żaden inny nie mogły się zgodzić wszystkie stronnictwa. Mój adres miał wprawdzie za sobą większość dawnej większości bez Hohentwarta, do której stanęli zwycięscy na całej linii Młodoczesi; ale hr. Taaffe nie chciał już większości przeciw Niemcom a wcale przeciw Hohentwartowi i przysłał do mnie min. Zaleskiego, bym się nie upierał przy zawotowaniu mego adresu, a zgodził się na jednogłośną w Izbie manifestację lojalności dla cesarza. Nie trudno mi było zrozumieć, że ta droga doprowadzić może raczej do zgody narodowej. Poszedłem więc z min. Zaleskim — po owem śniadaniu u Sachera, — do hr. Taaffego, gdzieśmy ułożyli całe postępowanie w łonie stronnictw większości. Gdy wkrótce potem powróciłem do Taaffego z doniesieniem o zwycięstwie jego pomysłu, odrzekł mi: „Nein, der einzige Sieger ist Herr v. Biliński“; a skreśliwszy pożytek tego zwycięstwa dla państwa dodał z zapalem: „Und ich werde dem Herrn v. B. beweisen, dass ich dankbar zu sein verstehe!“

Nie zrozumiałem tego zwrotu; ale wkrótce rozeszła się po Izbie wiadomość i powtarzała się przez rok 1891 stale, iż mam wstąpić do gabinetu. Powstała w tym związku myśl, wydzielenia z ministerstwa handlu wszystkich komunikacji i utworzenia dla mnie teki ministerstwa komunikacyjnego. Pierwszy przejął tę myśl Plener, który, jak mi sam opowiadał, zaproponował Taaffe'emu, by mnie zrobił ministrem komunikacji, a jego powołał bez teki: przyjmując na siebie uspokojenie Niemców, obiecał popierać gorliwie Steinbacha w pracach walutowych. Gdyby się hr. Taaffe był wtedy zdecydował na ten projekt, byłyby losy jego i moje poszły inną drogą: gabinet jego byłby zapewne mógł się utrzymać po rok 1893, a ja byłbym z nim stał i upadł. Ale hr. T. nie mógł przezwyciężyć awersji do Plenera (może i cesarz stał w tem za nim), z którym od roku utrzymywałem bliskie stosunki w parlamencie i w domu, gdzie jego młoda małżonka (Węgierka — bar. Oetvess), a nawet jego syn wówczas

8 letni (!) robili politykę. Mną zaś hr. Taaffe rzucił w inną stronę! Mimo to plan mojej nominacji utrzymywał się aż do lata późnego i był tak aktualny, że gdy w lipcu udałem się do mrgb. Bacquehema z wnioskiem, jako referent Koła czy w sprawie reorganizacji kolejowej by się zgodził na rady kolejowe krajowe, odrzekł mi całkiem otwarcie: „Schauen Sie, das kann ich und brauche auch Ihnen nicht zu gewähren. Im Herbste werden Sie ohnehin auf meinem Fauteuil sitzen und können dann die Organisation selbständig regeln“.

Z tą perspektywą wyjechałem na ferie z żoną do Cieplic do naszej owdowiałej matki, której mąż, a mój drogi teść zmarł po krótkiej chorobie w czerwcu 1891. Był on mi bardzo drogim i kochał mnie jak syna, a nie doczekał się wyższej dla mnie karjery, której bardzo pragnął. W Cieplicach tedy wydarzyło się w lecie 1891 co następuje. Na dzień 18 sierpnia, urodzin ces. Franciszka Józefa, hr. Taaffe udał się do Ischlu z powinszowaniem od gabinetu. Wiadomość o tem uzupełnił któryś dziennik niemiecki dalszą wiadomością, iż hr. T. ma przy sposobności przedstawić cesarzowi także wniosek o utworzeniu ministerstwa komunikacji w związku z moją osobą. Dziennikarz jakiś cieplicki przybył na to do mnie z zapytaniem, czy wiadomość powyższa jest prawdziwą, na co odrzekłem, że mi o tem nic nie wiadomo, ale że może jest w tem coś prawdy. Oświadczenie to moje całkiem prywatne pojawiło się nazajutrz w dziennikach wiedeńskich, na co nastąpiło w półoficjalnej „starej“ Pressie bardzo kategoryczne dementi rządowe. Mocno byłem urażony tym krokiem rządu, boć ja się nie ubijałem o tekę, a przeciwnie sam rząd rozpuszczał tę wiadomość, dopuszczał przez całą wiosnę pojawianie się odnośnych notatek w dziennikach, a przez usta Bacquehema zawiadomił mnie o tem niemal oficjalnie. Nie mogłem w czasie ferj cieplickich, przykrych bez tego z powodu zaszłego w czerwcu zgonu drogiego mi teścia, zakomunikować rządowi moich uczuć. Uczyniłem to jesienią we Wiedniu. Ale jeszcze w lecie przybył do mnie, czy też (niepomnę) spotkał się

gdzieś w drodze ze mną radca Halban z doniesieniem od hr. Taaffego, że rząd zmienił swój projekt pierwotny utworzenia ministerstwa komunikacji i że zamierza natomiast poruczyć mi stanowisko prezydenta kolei państwowych, które będzie wkrótce opróżnione. Odrzekłem na to krótko, że będąc politykiem, nie mam aspiracji do posad urzędniczych. Za powrotem do Wiednia zaś przedstawiłem mój żal o dementi ministrowi Steinbachowi (prawej ręce prezydenta ministrów) i zapowiedziałem mu złożenie mandatu. Na to otrzymałem już oficjalnie propozycję prezydentury, z której miał ustąpić wkrótce mój przyjaciel bar. Czedit. Znowu odpowiedziałem odmownie. Ale już wtedy usłyszałem wskazówki co do powodów ustąpienia bar. Czedita, które mi znacznie później wyjaśnił mgr. Bacquehem jak następuje. Po moim wyjeździe do Cieplic traktowana była sporna kwestja rad kolejowych krajowych, o której tuż przed wyjazdem mówiłem z Bacquehemem na konferencji rządowej. Wzięli w niej udział: hr. Taaffe, mgr. Bacquehem i minister wojny bar. Bauer i bar. Czedit. Gdy tedy rząd cywilny przez usta Bacquehema, bezpośrednio przełożonego bar. Czedita, oświadczył się bardzo stanowczo przeciw tym radom, zabrał głos minister wojny, ażeby opowiedzieć najniewinniej, że władze wojskowe — równorzędne co do kompetencji z cywilnymi w sprawach kolejowych — tylko dla tego nie zwalczały nowych rad (decentralizacja!) ponieważ posiadają deklarację bar. Czedita, że rady te byłyby dla administracji nieszkodliwe. Bar. Czedit miał słuszność in merito, ale nie wolno mu było angażować się w sprawie tak spornej bez przyzwolenia rządu, który się przez to znalazł w pozycji kompromitującej. To też hr. Taaffe ze zgrzytem zębów szepnął sąsiadowi ministrowi handlu Bacquehemowi: „wenn Du den Czedit nicht sofort wegjagst, werde ich Dich wegjagen!“

Nie znając wówczas tych szczegółów, zapewniałem w licznych rozmowach barona Czedita, który mi wspominał o swem ustąpieniu i mojem następstwie, że nie wierzę w ustąpienie a nie chcę następstwa. W tym ostatnim kierunku dawałem odpowiedź

na częste przedstawienia Halbana, który mi przynosił wiadomości, że hr. Taaffe mówił o swoim planie kilkakrotnie cesarzowi, że cesarz miał skrupuły z powodu mojej akcji kołowej o decentralizacji kolei, że jednak ostatecznie hr. T. zapewniwszy cesarza o moim charakterze — cesarz widział mnie wówczas tylko raz jeden w życiu — przewyciężył opór cesarski pod hasłem: „man muss den Bock zum Gärtner machen“ (znany ton Taaffego!) i uzyskał przyzwolenie na postawienie wniosku.

Prezydent ministrów po takiej pracy wstępnej użył też innego na mnie wpływu. Rząd zawarł był z Niemcami i Włochami w ciągu r. 1891 słynne traktaty handlowe, które miały wejść w życie z początkiem r. 1892 po zatwierdzeniu przez parlament. Izba posłów ustanowiła dla narady nad traktatami wielką komisję, która w jednej chwili nabyła pierwszorzędną powagę; ta komisja złożyła na mnie wielce zaszczytny obowiązek przez wybór na prezesa. Było to w pierwszej połowie grudnia. Wydarzyło się jednak, że po kilku posiedzeniach tej komisji, w której przewodniczyłem, nabawiłem się szalonego kataru i musiałem się z żalem za pracą i zaszczytem położyć do łóżka. Jeszcze się nie otrząsałem był z gorączki, gdy się u mnie pojawił przy łóżku nie doktor, lecz prezes Jaworski. Przysłał go Taaffe, a ja mu na jego propozycje odpowiadałem odmownie. Ale on na to: „Mój drogi, to sprawa dobra kraju, nie wolno Ci odmówić. Musisz przyjąć, musisz!“ Rzecz była załatwiona, musiałem się wyrzec życia politycznego, musiałem zostać szefem urzędu państwowego; musiałem po raz drugi — podobnie jak w chwili wyboru na posła do parlamentu — poddać się woli losu, objąć obowiązek nowy wbrew własnej woli i własnemu usposobieniu. Ale jednak ta wola losu była wolą Bożą, była znowu „cudem“, jak od chwili urodzenia mego. Jak też pierwszych 9 lat życia parlamentarnego należały do najmilszych czasów moich, tak prezydentura kolejowa dała mi szczęście, którego już potem nie dosięgnąłem nigdzie!

IX.

**1892—1895: Prezydentura kolei państwowych. Kongres
kolejowy międzynarodowy.**

Wydobyszy się z łóżka, pojechałem z żoną na święta Bożego Narodzenia do ukochanej matki naszej w Cieplicach. Bar. Czeditk, który już dawniej dawał mi uprzejmie, jako członkowi Rady kolejowej (należałem do niej kilka lat) wagon salonowy, ofiarował mi tym razem swój własny wóz urzędowy. Wóz oficjalny dowodził i wyrażał już jakoby *fait accompli* co do prezydentury: toż byliśmy z bar. Czeditkiem ze sobą w tym względzie już w zgodzie i mogłem już, uproszony przez rząd o pośrednictwo u bar. Czeditka co do wniesienia podania o przejście w stan spoczynku po 40 latach jego służby państwowej (miał on wtedy lat 61), wyjednać dla niego wielką wstęgę orderu Franciszka Józefa. W święta otrzymałem od Dr Koerbera, szefa prezydjalnego markiza Baquehema, telegram z wezwaniem o odwiedzenie ministra ostatnich dni grudnia. Nastąpiło to, a po porozumieniu się z ministrem co do zamierzonej nominacji, na Nowy Rok rano byłem z powrotem w Cieplicach powitany z radością w nowej spodziewanej godności przez najlepszą żonę, jej matkę i rodzinę. W czasie jazdy do Wiednia, spotkało mnie pocieszne po drodze wydarzenie. Na linii Wiedeń—Praga—Cieplice znali mnie już wtedy prawie wszyscy naczelnicy stacyj z licznych podróży moich i odwiedzali mnie niejednokrotnie w wagonie salonowym. I wówczas także przybył do mnie naczelnik stacyj Obernitz, a na zapytanie moje, jak mu się powodzi, odparł: „Schlecht geht es mir, überall sollen Änderungen eintreten, nicht blos in Prag, sondern auch an der Präsidentenstelle in Wien“. W dzień powrotu mego do Wiednia pomieściła „N. Fr. Presse“ artykuł — dość zresztą nieprzychylny — o mojej nominacji: artykuł ten rozszedł się naturalnie po prowincji. Gdy więc z powrotem na stacyj Obernitz

wszedł do mnie ten sam naczelnik, odpowiedział mi na zwykłe zapytanie, całkiem skruszony: „mir geht es jetzt sehr gut“. Służył potem podemną i wziąłem go nawet do Wiednia na zastępcę szefa wielkiej stacji.

Owych ostatnich dni grudnia byłem u markiza Bacquehema po raz pierwszy nie jako u ministra, dbającego o przyjaźń wpływowego posła i referenta, lecz jako u ministra handlu, domniemanego przysłego przełożonego mego. Bo „prezydent Generalnej dykcji kolei państwowych“ był wprawdzie potężną wówczas figurą w państwie (było nas wogóle tylko dwóch prezydentów, bar. Czeditz i ja), ale formalnie w sprawach najważniejszych podlegał ministrowi handlu i wskutek tego był zarazem szefem sekcji „extra statum“ w min. handlu. Markiz Bacquehem, człowiek niezwyklej miary umysłu i wykształcenia, pełen wspaniałego dowcipu, ożeniony z — hrabianką Hoditz — siostrzeniec hr. Taaffego, powołany został w r. 1886 czy 1887 po bar. Pino na ministra handlu. Wchodził do gabinetu z szerokimi intencjami politycznymi, ale doznał w tem zawodu już na samym wstępie, jak sam mi opowiadał. Taaffe przyjął go po przybyciu z Opawy do Wiednia w łóżku, a wysiadając z konieczności (!) na chwilę z łóżka, odrzekł mu na zapytanie co do programu rządowego: „was denn für ein Programm? Mein Programm ist dein Programm, und dein Programm ist mein!“ I nie dał mu w istocie nigdy robić wielkiej polityki, ten hr. Taaffe, pozornie cynik i lekkoduch, przy wielkich kwalifikacjach męża stanu! Bacquehem wkrótce zaprzyjaźnił się ze mną: ja prowadziłem w Izbie referat o najważniejszych jego przedłożeniach (upaństwowienia kolei, taryfy kolejowe, domy składowe itd.), a on był moim wiernym adherentem politycznym. Po pięcioletniej przyjaźni przybyłem do niego w roli przysłego prezydenta.

Przyjął mnie naturalnie dobrze, ale nie tak serdecznie, jak zwykle, swoją drogą nie z formalistyki biurokratycznej, jak są-

dziłem, lecz z powodu, który mi sam odkrył dopiero po roku. Oto, nie wtajemniczony w zamiary Taaffego, przyrzekł posadę prezydenta szefowi swego prezydjum p. Koerberowi, a gdy zapóźno przedstawił Taaffemu swego kandydata, otrzymał odpowiedź, że albo przedstawi cesarzowi mnie, albo musi ustąpić z ministerstwa. Nie zrażony chłodem ministra, przedłożyłem mu z karteczki, owych 20 warunków, niezbyt zresztą trudnych, jak powołanie urzędnika polskiego do mego prezydjum, urzędników Polaków do oddziałów fachowych, Polaka do stałego komitetu („ständiges Comité“), zatrzymanie mandatu sejmowego, udział w obradach Koła polskiego, cotygodniowe konferencje osobiste z ministrem, wzajemna ufnosć i otwartość, nominacja wiceprezydenta (posada nie była nigdy obsadzoną) dopiero po roku, aż się sam rozpatrzę w urzędzie i cały szereg drobniejszych rzeczy. Na wszystko nastąpiła zgoda.

Z hr. Taaffem nie mogłem się wtedy widzieć osobiście, ale mówiłem z jego wysłannikiem Halbanem. Przez niego kazałem powiedzieć prezydentowi ministrów, że z uwagi na moją pozycję parlamentarną muszę się domagać równocześnie z nominacją na prezydenta także godności tajnego radcy. Halban przyniósł mi odpowiedź następującą: hr. Taaffe uważa moją nominację za swoją „Lebensfreude“, ale z bólem musiałby z niej zrezygnować, gdybym obstawał przy swem żądaniu, ponieważ w listopadzie został mianowany ministrem dla spraw niemieckich hr. Kuenburg bez godności tajnego radcy, zaczem musi otrzymać ją w ciągu czasu na miesiąc przedemną; minister otrzyma ją w listopadzie, a ja w grudniu r. 1892; Taaffe mnie zaklina, bym się na to zgodził. Zgodziłem się naturalnie, a w grudniu 1892, gdym kompletnie zapomniał o tym terminie, zatelefonował mi Bacquehem, że cesarz nadał mi godność tajnego radcy, ale nikomu nie wolno o tem mówić, ani mnie nie wolno o tem wiedzieć, bo hr. Taaffe zastrzegł sobie osobiście mnie o tem zawiadomić. I tak się stało tego samego dnia! Taki był charakter Taaffego.

Powróciwszy do Cieplic, czekałem według umowy kilka dni na doniesienie o dokonaniu nominacji; potem się jednak udałem do Wiednia pędzej, gdzie zastałem wiadomość, że cesarz podpisał ją dopiero d. 7 stycznia 1892 w Peszcie i że ona nadejdzie wkrótce do Wiednia. Nie wiedziałem wówczas, że rezolucje cesarskie zwykły były następować w terminie najkrótszym i nie znałem tem mniej powodu, dla którego cesarz wbrew obyczajowi przeszło tydzień wstrzymał sfinalizowanie sprawy, na którą dał już kilka tygodni przedtem ustnie swoje zezwolenie. Dopiero we dwa lata później opowiadał mi Bacquehem, jak się odbyło podpisanie mojej nominacji. Oto cesarz wezwał go do siebie do Pesztu i wskazując na akt, leżący przed nim na biurku, oświadczył, że trudno mu go podpisać, bo ma obawy, że ja wniosę politykę do administracji kolejowej i że zapełnię personal emigrantami z Królestwa. Takie to w ostatniej chwili zagrały u tronu intrygi, zapewne ze strony wojskowej, zaniepokojonej znowu przez jakąś inną stronę interesowaną.

Nic o tem wszystkim nie wiedząc, przygotowałem się tymczasem do objęcia aktu urzędowania. Złożywszy przysięgę w ręce ministra handlu — było to zdaje się 8/1 1892 — udałem się do gmachu Generalnej dyrekcji kolei państwowych (tak zw. „Tintenburg“ naprzeciw dworca kolei zachodniej), gdzie mnie czekały cztery lata istotnego szczęścia. Obejmując z rąk obecnego tam bar. Czédika urząd prezydenta, wypowiedziałem do zgromadzonych w wielkiej sali urzędników mowę, w której przedstawiłem swój program, zapewniłem ministra o swej lojalności i oświadczyłem, że w służbie publicznej, poruczonej mi przez cesarza, muszę się pożegnać z polityką, a poświęcić się rzeczowym wymaganiom mego urzędu. Pierwszy skutek tej mowy objawił mi się na drugi dzień przez usta hr. Taaffego, do którego się udałem dla przedstawienia się osobistego i z podziękowaniem. Hr. Taaffe przyjąwszy mnie pełen serdeczności, dodał: „Mogę panu sprawić pewną przyjemność: Byłem dziś u cesarza, który mi powiedział, co następuje: „Wie Pan, za-

mierzałem Bilińskiemu przy najbliższej audjencji oświadczyć, jak powinien pojmować nowe swoje obowiązki, a tymczasem wy-czytuję z jego mowy, ogłoszonej w dziennikach, że zupełnie to samo już od siebie wypowiedział jako swój program“. I w istocie, gdy się pojawiłem u cesarza na najbliższej audjencji powszechnej (audjencyj prywatnych udzielał cesarz dopiero ministrom), usłyszałem pełne uznania uwagi co do mojego programu. Drugi skutek mojej mowy, mniej dodatni, objawił się w pewnem przyćmieniu stosunku mego z bar. Czeditkiem. Widocznie znowu pod wpływem intryg, napisał mi list z zażaleniem na niektóre wywody moje, które uważał za skierowane przeciw sobie. Nic nie pomogła moja odpowiedź, aż po jakimś roku może zdołała go moja mądra zaiste i zręczna żona przekonać o mojej przyjaźni, która też odtąd pozostała nienaruszoną.

Żona moja najdroższa stanęła przez nową godność moją przed wielkimi zadaniami, którym w istocie sprostała świetnie. Już we Lwowie i przez 9 lat we Wiedniu żyliśmy bardzo towarzysko; odtąd obowiązki towarzyskie wzrosły niemal w nieskończoność: mieliśmy z czasem przeszło 500 domów znajomych. Żona moja spełniała tę swą rolę nieznużenie i nienagannie przez lat 23 z górą, tj. aż do ostatniej dymisji mojej w r. 1915, za którą poszły równocześnie ciężkie jej choroby, z których się niestety nie zdołała już podźwignąć. Mieszkanie przy Lenau-gasse, gdzieśmy tyle miłych chwil spędzili w czasie mego po-słowania zmieniliśmy dopiero z d. 1 listopada 1892 na mieszkanie koło ratusza przy Lichtenfeldergasse 5. Było ono znacznie większe, dozwalało przeto sprowadzić resztę ruchomości ze Lwowa i zwinąć tam ostatecznie drogie sercu naszemu mieszkanie przy ul. Łyczakowskiej 23, a zarazem dozwalało wielkich przyjęć, w których odgrywało rolę przedewszystkiem towarzystwo z kół politycznych. Bo jak sobie postanowiłem, być ojcem dla personalu urzędniczego, w najtrudniejszych znajdującego się warunkach, tak wciągnąłem w stosunki towarzyskie wyższe sfery świata ich urzędniczego. Ponadto postanowiłem wielką część

roku przepędzać na linjach kolejowych, ażeby własnym okiem oglądać i stan tych linii i działalność personalu. Zona moja towarzyszyła mi prawie zawsze w tych podróżach urzędowych: w ciągu czasu urzędowania zostawała w wagonie, potem brała udział w obiadach i kolacjach, na których w dworcach przyjmowałem codziennie na swój wyłączny koszt tak towarzyszących mi urzędników, jak sztaby linii oglądanych, a w końcu zwiedzała ze mną w okolicy wszystkie cuda natury i ducha ludzkiego, bez których znawstwa trudno o dobrą administrację. Tak poznaliśmy dokładnie całą niemal Austryę, o ile jej dosięgały linje państwowe i przeżyliśmy wiele przyjemności w towarzystwie urzędników, czasem ich pań. Na wszystko to starczyły wówczas środki, lecz przyzwyczajeni do skromnego życia z dochodem około 5000 — reńskich, czuliśmy się milionerami w posiadaniu czterokrotnie powiększonego dochodu.

Pierwszy wyjazd postanowiłem skierować do kraju rodzinnego i pozostałem przy tem postanowieniu wbrew wszelkim przestrogom moich urzędników. W ciągu lutego wyjechaliśmy do Krakowa, z kąd pociągiem osobnym służbowym po oglądnięciu krótkim każdej stacji, przyjęci w Łańcucie na dworcu bardzo gościnnie świetnem śniadaniem ze strony hr. Romanów Potockich, przybyliśmy nocą do Lwowa. Pierwsza ta inspekcja była z natury i trudna i powierzchowna. Mówiłem ze wszystkimi urzędnikami tak na stacjach, jak w dyrekcji lwowskiej, a rozmowy te, prowadzone z czasem we wszystkich dyrekcjach, konferencje z referentami Generalnej dyrekcji, z dyrektorami, niemniej akta Generalnej dyrekcji dozwoliły mi stopniowo zapoznać się ze służbą kolejową w dziale ruchu, konserwacji maszyn i budowy, tak że z czasem czułem się, dzięki elastyczności umysłu, wyszkolonego na studjach klasycznych i prawniczych, prawie fachowcem. Toż później mogłem niejednokrotnie zabierać nawet inicjatywę w kwestjach technicznych, a wspomnę tylko o wozach osobowych czteroosiowych, do których zdołałem namówić znakomitych zresztą fachowców urzędu dopiero po ich wysłaniu na

wystawę do Chicago. We Lwowie zamieszkaliśmy w hotelu francuskim przy placu Marjackim, gdzie nas na dłuższy czas odwiedziła moja siostra Julja, zamężna Szczepańska, ukochana przez nas jak córka, u nas po części wychowana. Wuj mój szlachetny Konstanty Brunicki już wówczas nie żył niestety: byłby się mną tem więcej cieszył, że przynajmniej formalnie spełniłem jego życzenie przyjęcia posady „szefa sekcji“. Ale żyła we Lwowie idealnie dobra ciotka Konstantowa, z którą się widywałem często.

Ze Lwowa udałem się w dalszą podróż urzędową na Bukowinę przez wschodnią Galicję, zostawiwszy tymczasem żonę w hotelu ze siostrą Julją. Towarzyszył mi jako przydzielista, nadinspektor Welzel, starszy bardzo godny człowiek. Po drodze byliśmy proszeni na obiad przez dawnego kolegę Stanisława Bogdanowicza do jego pałacyku, leżącego tuż przy stacji kolejowej Bóbrka. Po odbyciu inspekcji wróciliśmy z żoną do Wiednia, skąd wkrótce wyjechałem sam na inspekcję linii Wiedeń — Gmund — Budweis — St. Valentin. Linja ta leży w czterech dyrekcjach: Wiedeń, Praga, Pilzno, Linz. Poznałem przeto trzech obok wiedeńskiego nowych dyrektorów, tak jak w Galicji poznałem był dzielnych dwóch dyrektorów: Kolosvaryego i Wierzbickiego. W Gmünd przyjęła mnie na dworcu muzyka tutejszych warsztatów kolejowych; poznałem tu przy stole inspektora maszyn nazwiskiem Palla, który tak dobre zrobił na mnie wrażenie, że go z czasem zamianowałem na podstawie doświadczeń dyrektorem w Pradze; potem został Radcą dworu.

Mandatu do Rady państwa, niezgodnego z pozycją wysokiego urzędnika administracji, a nie ministra, nie złożyłem był jeszcze, bo miałem w Izbie deputowanych złożyć jeszcze sprawozdanie o nowym podatku giełdowym, który miał być zaprowadzony na mój wniosek na podstawie ankiety i studjów osobistych moich na giełdzie. Po tym śpiewie łabędzim, złożyłem drogi mi mandat stanisławowski, przez całych lat 9 dzierzony przezemnie. Ale z Izbą deputowanych tem samem się nie po-

żegnałem, gdyż co roku przy budżecie kolejowym brałem w Izbie pełnej udział jako komisarz rządowy i przemawiałem często z wielkim sukcesem. Zatrzymałem też za zgodą hr. Taaffego stosunki przyjacielskie z Kołem polskim, na którego niedzielne wówczas posiedzenia uczęszczałem i dawałem niejedno wyjaśnienie. Koło zresztą uświęciło moją nominację bankietem w hotelu Imperial przy udziale namiestnika hr. K. Badeniego, koło którego siedząc — po prawej Jaworskiego, wygłosiłem toast, który stał się słynny. Dziękując za okazaną mi życzliwość, prosiłem o zaniechanie protekcji w sprawach osobowych urzędniczych, które pragnąłem załatwiać według absolutnej sprawiedliwości. I tego dotrzymałem. To też, gdy w roku 1894 ówczesny prezydent ministrów ks. Windischgrätz polecił mi do awansu dwóch urzędników ze stacji swego zamieszkania w Czechach, nie tylko tego nie zrobiłem, lecz przy najbliższej podróży głośno przed wszystkimi wytknąłem energicznie tym panom ubieganie się o protekcję. Ale ogół urzędników był coraz więcej do mnie przywiązany, bo starałem się bez przerwy o polepszenie ich ciężkiego bytu, przekonawszy się w podróżach o ich służbie, zarówno jak o ich stosunkach materialnych. We Wiedniu zaś przyjmowałem co niedzielę petentów ze stanu urzędniczego, dosięgających czasami 100 głów.

Jedną z pierwszych inspekcji odbyłem także na linii zachodniej Wiedeń—Linz, w towarzystwie dyrektora Gerstla, człowieka bardzo zdolnego, ale zawistnego i niesłuchanie tkliwego. Przy wjeździe do stacji St. Pölten zatrzymałem pociąg celem pierwszej informacji o systemie elektrycznych regulacji zwrotnic, a w stacji samej poraz pierwszy poznałem system dworca tunelowego, świetnie zbudowanego jeszcze z polecenia barona Czedika. Tam zresztą miałem sposobność przekonania się ponownego o cudach Bożych. Przy systemie tunelowym publiczność nie przekracza wcale torów; ale tory te, odcięte z obu stron drutami, przystępne są dla urzędników. Poszedłem tedy przez otwarte drzwiczki na tor, gdzie sam stanąłem; obok

toru stali urzędnicy i dawali mi wyjaśnienia. Wtem naczelnik stacji Grossmann zaprosił mnie uprzejmie, bez powodu, bym zszedł z toru ku niemu: w tej chwili wpadł z łoskotem pociąg pośpieszny na miejsce, gdzie stałem, zkąd tylko cudem Bożym ustąpiłem bez namysłu i bez poczucia niebezpieczeństwa w jednej chwili! Grossmann, człowieczek maleńki i bardzo szafarny, urzędnik bardzo dzielny, podobno nie zbyt lubiany przez mego poprzednika, stał się moim ulubieńcem i uzyskał należny mu ze względów służby awans. Dziś już dawno nie żyje; zachowuję mu wdzięczność za ratunek z łaski Bożej!

Pierwszych moich prac w biurze wiedeńskim doradcą był radca Zehetner, szef działu administracyjnego: człowiek zdolny i energiczny, dziś jeszcze żyjący. Informacje takie nie należały do jego działu, ale czynił to w braku szefa przydzielonego, nieznanego wówczas w Generalnej dyrekcji. Pierwotnie zamierzałem przyjąć sobie młodego sekretarza Polaka i nawiązałem układy ze szwagrem posła Madejskiego, który to ostatni w grudniu 1891 stał mi u boku w rokowaniach, Drem Kozubowskim, urzędnikiem „Bodenkreditanstalt“. Po rozbiciu się tych układów zaangażowałem całkiem niespodziewanie, w czasie przyjęć czwartkowych mojej żony, Dra Seweryna Kniaziołuckiego, z którym mnie odtąd łączyły wieloletnie bliskie stosunki urzędowe i osobiste. Kniaziołucki miał z mocy swej wyższej pozycji — był także w banku Bodencredit naczelnikiem biura galicyjskiego, szefem Kozubowskiego — uzasadnioną pretensję do wyższej posady. Przyjąłem go w randze starszego inspektora, a zrobiwszy go szefem przyzdzium i przyznawszy mu miejsce w tak zw. „gremium“ naczelników-referentów, wyjednałem mu niedługo potem rangę „Radcy Generalnej dyrekcji“. Nie żałowałem tego nigdy; był gorliwy i zapobiegliwy, towarzyszył mi we wszystkich podróżach.

„Gremium“, które pod przewodnictwem prezydenta radziec miało nad sprawami głównymi i zasadniczymi, było dla mnie miejscem i nauki własnej i spożytkowaniem nauk, zebranych

przy objaźdźkach i miejscem starania około dobra tak kolei, jak jej urzędników. Ośmiu miałem pod sobą członków gremium, związanych jakby węzłem rodzinnym i bywających z rodziną w moim domu. Na fotografii wspólnej, którą posiadam na pamiętkę, znajduję z żyjących tylko jednego Zehetnera. Reszta w grobie! Służbę ruchu miał pod sobą Wessely (po jego spensjonowaniu Gerstel, także już zmarły), budowę i konserwację Bischoff (po jego przyjęciu na etat wyłączny budowy kolei miejskiej we Wiedniu, dzieła wielkiego, podemną dokonanego, zacny Czech Stane), dział maszynowy skromny acz znakomity wiedzą i charakterem Wargel (z dodaniem dla działu wagonów zastępcy Schützenhofera, także już zmarłego), dział taryfowy Liharzik (później mój wierny partner whistowy), kontrolę wydatków Kann, kontrolę dochodów Seyschale, administrację Zehetner (z dodatkiem zastępcy bar. Alfreda Buschmana, za dawnych rządów niesłusznie prześladowanego), wreszcie prezydium Kniaziołucki. Dla spraw bieżących budowy i taryf istniał pod moim przewodnictwem stały komitet („Ständiges Comité“), złożony z Bischoffa, Liharzika i dodanego nam referenta kolejowego ministerstwa wojny, wówczas generała Guttenberga, późniejszego ministra kolei, mego przyjaciela.

Na wiosnę miałem pierwszą ciężką i przykrą pracę bronięcia w Radzie kolejowej podwyższenia taryf, przygotowanego już przedtem na żądanie ministra skarbu. Mimo oporu i ataków ze strony członków Rady przeprowadziłem reformę, a obecny tam minister podziwiał moje spokojne nerwy.

Do ministra chodziłem co środę na sprawozdanie, które dzięki uprzejmości i zaufaniu Bacquehema stanowiło dla mnie prawdziwą przyjemność. Przedtem lub potem wstępowałem do referenta dla spraw Generalnej dyrekcji i szefa prezydjalnego, radcy Koerbera, dla omówienia spraw poszczególnych. Nie wiedząc jeszcze wówczas o jego niedawnej kontrkandydaturze, zaprzyjaźniłem się z nim szczerze, ofiarowałem mu „na

Ty“ i pozostałem z nim w stosunkach przyjaźni przez całe lata jego wielkiej kariery aż do jego śmierci 1919 r. Zawsze jeszcze w tej nieświadomości, zaproponowałem go po roku ministrowi na mego zastępcę, na co otrzymałem bardzo uprzejme wyjaśnienie przeszłości, zapewnienie przychylności Koerbera dla mnie i oświadczenie, że sądząc z wyników mej pracy, minister nie znajduje potrzeby ustanawiania dla mnie zastępcy. A były czasy w początkach mego urzędowania, że oskarżono mnie przed ministrem nawet o to, że późno rozpoczynam pracę biurową! Odrzekłem mu, że już taki mój obyczaj, przychodzić do biura o g. 11. (tak było zawsze w parlamencie!); że za to siedzę cały dzień choćby do nocy. Trzymałem się tego obyczaju we wszystkich późniejszych urzędach moich. Dopiero w Warszawie, gdy praca dla dobra Ojczyzny wymagała nadzwyczajnego wysiłku, zmieniłem ten swój obyczaj długoletni.

W lecie, po urodzinach cesarskich (18/8) udałem się do Czech w towarzystwie żony, która odjechała z Pragi sama do swej matki. Inspekcja dyrekcyj pragskiej i pilzneńskiej odbywała się wśród takiego na linjach gorąca, że musieliśmy w wagonie ustawiać naczynia z lodem. Z urzędnikami w Czechach wyrobił się odrazu stosunek nadzwyczaj serdeczny; zwłaszcza w Pradze było zawsze na dworcu wielkie zebranie wieczorne, gdzie wśród moich gości stołowych nadawała się sposobność do rozlicznej nauki a i do rozrywki. Tak było przez całe lata mego urzędowania. W Pilźnie przyjmował mnie prócz urzędników za pierwszej mej bytności, także zarząd miasta wielkim bankietem, na którym podawano słynne piwo z browaru „Bürgerliches Brauhaus“, przedsiębiorstwa opartego na starodawnych intabulowanych prawach warzenia właścicieli domów, o ile z nich pozostały choćby tylko fronty z bramą. Jako akt hołdu podawano gościowi starym zwyczajem tylko piwo z drugiej i trzeciej części beczki: górne i dolne fałe trunku dostawały się innym. Na drugi dzień zwiedzałem też omszały ten zakład fabryczny i musiałem znów spożyć śniadanie zimne z piwem i winem.

W późniejszych latach przyłączyła się do mnie w Pilźnie żona z siostrzeńcami i zwiedzała ze mną okolice górskie Böhmerwald. Z początkiem września przybyłem na krótki odpoczynek do Cieplic.

Późną jesienią byłem pierwszy raz sam urzędowo w Bregencji (Vorarlberg) nad jeziorem Bodensee, gdzie urzędowała podległa mi dykcja żegluga na jeziorze. Wziąłem tam udział w chrzcie nowego statku „Maria Theresia“ wespół ze starościaną hrabiną Thurn. Cudowne — w jesieni — góry, tunel arulański (Arlberg); prześliczny Vorarlberg z jeziorem często potem podziwiałem wraz z nieocenioną, niezrównaną żoną moją.

W grudniu nastąpiło, jak wspominałem, nadanie mi godności tajnego radcy. Na posłuchaniu u cesarza zgadało się o potrzebnej dla celów strategicznych budowie drugiego toru na linii Lwów—Złoczów. Na uwagę cesarza, że będą trudności z uzyskaniem znacznego na tę budowę kredytu, odrzekłem nieopatrznie, że według aktu świeżego tych 15 kilometrów nie będą kosztowały nawet $\frac{1}{2}$ miliona guldenów i upierałem się przy tem twierdzeniu mimo opozycji cesarza. W drodze z audjencji do biura zaczęły mi jednak przychodzić wątpliwości; kazałem przeto przynieść sobie akt i znalazłem tam ku własnemu zgorzseniu, że linja powyższa wynosi 15 mil, a nie kilometrów (co w gruncie było mi wiadome ze znajomości przestrzeni tej), że przeto koszta musiały wynosić 7 razy tyle, ile wymieniłem cesarzowi, to znaczy $3\frac{1}{2}$ miliona złr. A złożyło się tak, że tego samego dnia byłem na wieczór proszony na obiad dworski, przeznaczony dla wszystkich szefów centralnych we Wiedniu (nazywano to „Niederösterreichisches Amtskalender—Diner“!) Po obiedzie cesarz odbywał cercle, a gdy się zbliżył do mnie, pozwoliłem sobie wbrew etykietcie zabrać pierwszy głos z prośbą, by mi raczył wybaczyć błędne w dzisiejszej audjencji przedstawienie rachunku budowy przez pomieszanie kilometrów z milami. Na to odrzekł cesarz z uśmiechem dobrotliwym: „Ich habe mir ja gedacht, dass die Ziffer zu niedrig war!“ Pan najdo-

brokliwszy, znający w istocie lepiej sprawy, niż wszyscy jego ministrowie: takim był niemal do śmierci!..

W sierpniu 1893 przedsięwziąłem z Cieplic podróż fachową do Niemiec: w towarzystwie radcy Proseke'go i Książołuckiego — objechałem Berlin, Frankfurt nad Menem, Kolonją i Düsseldorf, słynne z nowych dworców. W Berlinie byłem u ministra kolejowego, który się dziwił karierze mojej parlamentarno-kolejowej i odwiedziłem z uczuciem wdzięczności lekarza mej żony z r. 1877 Generalarzta Dra Wegnera. Wszędzie studjowałem służbę na miejscu przy chętej pomocy zawiadomionych przez ministra szefów miejscowych i żałuję tylko, że postawiwszy sobie program zbyt ciasny, nie wiele czasu mogłem poświęcić zwiedzaniu miast samych i przedsiębiorstw fachowych. Z Kolonji pozostało mi niezapomniane wrażenie „tumu“ gotyckiego: obraz Matki Boskiej na facjacie i stropy gotyckie w samej świątyni, prowadzące jakby wprost do Nieba, do łez mnie rozrzewniły.

Rok 1893 miał dla stanu politycznego Austrii wielkie znaczenie. Hr. Taaffe musiał w jesieni po latach 14 ustąpić z prezydentury ministerstwa. Minister skarbu Steinbach, polityk społeczny z zasady, nakłonił go do wniesienia projektu rozszerzenia znacznego prawa wyboru do parlamentu. Nowa większość, złożona z Polaków, Niemców konserwatywnych i opozycyjnych dotychczas Niemców liberalnych (Czesi się wyłączyli i przeszli do opozycji) odpowiedziała jawnym rokoszem i obaliła przewidującego męża stanu. Gdyby Izba była się zabrała do proponowanej reformy, byłaby na później uniknęła i połowicznej reformy Badeniego i radykalnej Gautscha-Becka. Ale wówczas miano jeszcze dużo strachu przed prawem głosowania powszechnego; a że nadto Taaffe, bardzo już wówczas chory, zaniedbał wcześniejszej informacji swoich przyjaciół politycznych, więc usłyszał od nich przez usta najbliższego swego przyjaciela politycznego hr. Hohenwarta wprost brutalne żądanie ustąpienia. Byłem w ciągu przesilenia na obiedzie jakoby poźegnany

prawicy dla ustępującego szefa rządu w hotelu Sachera: przez cały wieczór po obiedzie ja sam niemal rozmawiałem z Taaffem, wszyscy inni stronili od niego jak od zapowietrzonego. A wszak był on przez 14 lat potężnym i dobroczynnym często ich przywódcą! Wskutek powstania nowej większości parlamentarnej miał to być rząd parlamentarny, nad którego składem powstały rozprawy i... targi. Na szefa upatrzonego ks. Windischgrätza, ale akcję prowadził podobno Hohenwart, który do rządu nie wstępował. On więc zapewne wysyłał pośredników do upatrzonych kandydatów, a i do mnie zgłosił się taki wysłannik po dwakroć w osobie posła Madejskiego. Po raz pierwszy ofiarował mi tekę ministra handlu, któremu podlegałem jako prezydent kolei: odrzekłem, że wolałbym pozostać na swej posiadzie, ale z uwagi, że minister handlu zarządza także kolejami, zdecydowałbym się na objęcie teki, wszakże pod warunkiem, że sam niezawisłe, bez wpływów politycznych będę mógł obsadzić posadę prezydenta kolei. To naturalnie nie dogadzało, bo chciano widocznie dysponować tą nadzwyczajną posadą dla jakiegoś wpływowego polityka. W kilka dni więc później zaproponował mi Madejski tekę ministra skarbu. Tego odmówiłem stanowczo z uwagi na moje przywiązanie do kolejnictwa (w kilkanaście lat później rzecz stanęła dla mnie odwrotnie!) i dodałem zapytanie, dlaczego jemu, Madejskiemu, nie ofiarują teki. Odrzekł mi na to, że niewie dlaczego, ale widocznie podał moje zapytanie dalej, bo w końcu on sam objął, jak mu się to słusznie należało tekę w gabinecie Windischgrätza: swoją drogą, nie najbliższą mu tekę sprawiedliwości, lecz tekę oświaty, dla której desygnowany nominat, Bobrzyński, przybył był tymczasem wskutek powołania za późno, a raczej bez potrzeby do Wiednia! I tak chciała Nemesis, że właśnie na tece oświaty, na sprawie gimnazjum słoweńskiego w Cilli (w Styrii) gabinet został wywrócony w końcu przez Niemców.

Ja tym sposobem zdołałem się stosownie do własnego życzenia utrzymać na posiadzie prezydenta kolei, a hr. Taaffe,

którego ja sam jeden (obok radcy Halbana) odprowadziłem na dworzec przy wyjeździe do Tyrolu — tak bezdennie niewdzięcznie zachował się wobec niego cały świat polityczny! — powiedział mi na pożegnanie, iż cesarz mi tego nigdy nie zapomni, że nie wszedłem do rządu, narzuconego mu przez parlament. I w samej istocie, czy z tego, czy innego powodu, cesarz Franciszek Józef pozostał mi do śmierci swojej najłaskawszym władcą, a rząd ks. Windischgrätza był mu cały czas solą w oku. Markiz Bacquehem, który niestety — z mego osobistego punktu widzenia — z handlu przeszedł do spraw wewnętrznych, gdzie był jako dawny minister szczególnie zaufanym cesarza, opowiadał mi niejednokrotnie, z jakim upodobaniem cesarz spoglądał na błędy i niepowodzenia rządu ówczesnego, jak często stwierdzał, że „der Fürst“ (bo każdy inny szef rządu nazywał się prezydentem ministrów, ale książe, wyższy od wszystkich, nazwany był krótko „Fürst“!) nie potrafi przełamać trudności koalicyjnych i obstrukcji, wprowadzonej w Izbie deputowanych na wzór Sejmu czeskiego poraz pierwszy przez Czechów.

Ale i moje akcje osobiste spadły wskutek nowego rządu, mimo, że pozostałem w drogich mi salach „Tintenburgu“. Nie tylko zamiast Taaffego, który mi był jak ojcem, zasiadł na krześle prezydjalnem zimny i obcy ks. Windischgrätz, ale, co główna w „Barbarastift“*) zastąpił markiza hr. Gundaker Wurmbbrand. Wprawdzie urzędowałem i nadal, jak dawniej tak przy Westbahn, jak we środy w osobnem biurze ministerstwa handlu przy Dominikanerbastei, gdzie byłem niejako przedewszystkiem szefem sekcji i gdzie między innymi przelicznymi stronami odwiedził mnie na parę dni przed d. 13 listopada 1893 (dzień nominacji gabinetu Windischgrätza) Kazimierz Badeni, ażeby mi powiedzieć, że „tym razem my jeszcze pozostawimy miejsca innym“, — czego, szczerze mówiąc, nie zrozumiałem wówczas

*) Gmach ministerstwa handlu.

należycie! Wszelako stosunki moje urzędowe zmieniły się gruntownie z objęciem rządów przez hr. Wurmbanda. Znałem się z nim naturalnie z parlamentu, gdzie mu jako sprawozdawca kolejowy wyświadczałem pewne usługi w interesie kolei styryjskich, których opiekunem był jako marszałek tego kraju. Przyjmując wszystkich urzędników min. handlu na powitanie, objął mnie coram publico serdecznie jako „dawnego przyjaciela“. Ale przyjaźń ta trwała krótko z powodu dwóch wad Wurmbanda: najprzód manja wielkości, podsycana chęcią zagarnięcia wszelkiej władzy mimo braku wszelakich studjów, za wyjątkiem artystycznych, a dalej fenomenalny brak pamięci! Pierwszej wadzie opierałem się wśród walk, skutecznie do końca, mając w ręku statut cesarski, określający stanowisko prezydenta. Wada druga prowadziła od czasu do czasu do konfliktów, podsycanych, jeżeli się nie mylę, przez szefa sekcji dla spraw kolejowych, p. Witteka, późniejszego ministra, który wzięty przez Wurmbanda pod nogi w sprawach atrybucji swojej własnej w ministerstwie, chciał zato zagarnąć dla ministerstwa atrybucje moje.

Podobnie jak za markiza Bacquehema, przychodziłem do jego następcy raz na tydzień ze sprawozdaniem. To mu się podobało, ale często przychodziło do nieporozumień. Oto kilka przykładów. Hr. Taaffe upoważnił mnie był swego czasu, bym, pomimo złożenia mandatu do Izby deputowanych, uczęszczał wedle potrzeby na posiedzenia Koła polskiego i dawał tam należne w sprawach kolejowych wyjaśnienia. Posiedzenia Koła odbywały się wówczas w każdą niedzielę. Pewnej soboty, będąc u ministra, opowiadałem mu o zarządzeniu Taaffego, a uzyskawszy aprobatę tego zarządzenia, doniosłem mu zarazem, że właśnie jutro zamierzam pójść na Koło, ażeby tam przedstawić dojrzewające plany moje co do pociągów aprowizacyjnych z Galicji do Wiednia. Minister bardzo się zainteresował szczegółami tych planów, utwierdził mnie w nich i polecił wytoczenie ich na Kole. Na drugi dzień w niedzielę Koło z wielkiem zadowoleniem wysłuchało moich wyjaśnień i zarządziło, by w dzien-

nikach poniedziałkowych publiczność wiedeńska została o tem powiadomiona. Przyszedłszy w poniedziałek przedpołudniem do biura, nie miałem wprawdzie jeszcze czasu, zaglądnąć do „Sonn-u. Montagszeitung“, ale za to otrzymałem list własnoręczny ministra, w którym odczytałem mniej więcej co następuje: „Aus der Montagszeitung erfahre ich zu meinem Befremden, dass Euere Exzellenz über Ihre Approwisionierungspläne im Polenklub Mitteilungen gemacht haben, ohne mich vorher darüber zu informieren. Ich ersuche Eure Exzellenz in Hinkunft itd. itd.“ Gdy na to w odpowiedzi swojej przypominałem Wurmbbrandowi, co się z nim mówiło o tej sprawie w sobotę, rzecz cała została pominięta milczeniem. Niebezpieczniej wypadło inne jego zapomnienie. W owym czasie zaczęła Generalna dyrekcja kol. budować wozy towarowe 10-tonowe dla ładunków jednolitych ciężkich towarów, jak zboża, cegły, węgla itp.: wóz dostarczano stronie do dowolnego ładowania aż do wagi 10 ton = 100 cetn. metr. = 10.000 kilogramów. Strony powitały tę innowację z wielkiem uznaniem, ale połączyły z tem żądanie, by należytość taryfową wymierzano nie według wozu, tj. na podstawie 10 ton, lecz według faktycznego obciążenia wozu, to znaczy, by należytość była niższą, jeżeli strona naładowała tylko część wozu, mimo prawa dysponowania całym. W tym duchu nadeszły do ministerstwa handlu petycje Izb handlowych, które się żaliły na Generalną Dyrekcję, żądającą pełnej opłaty. Nad sprawą tą miała się w pewien piątek odbyć konferencja wspólna u szefa sekcji Witteka. We czwartek tedy pojechałem do Witteka, ażeby mu oświadczyć, że ja pojmuję stanowisko kupiectwa i tegoż opiekuna, ministra handlu, że jednakowoż jako prezydent mam obowiązek bronienia także finansów kolei państwowych, które wielkie sumy włożyły w budowę nowych wozów, że przeto na jutrzejszej konferencji mój zastępca radca Liharzik (mój późniejszy przyjaciel i partner whistowy) zajmie to stanowisko, poczem ministerstwo wyda orzeczenie, któremu ja się naturalnie poddam. Powiedziałem też Witteko wi, że zaraz pójdę także do

ministra, ażeby mu dla pewności przedstawić moje stanowisko. Hr. Wurmbrand wysłuchał mnie bardzo uważnie i oświadczył ku memu zdumieniu, że on musi się oświadczyć za mojem stanowiskiem, ponieważ także ministerstwo ma obowiązek ochrony finansów kolei. Bardzo zadowolony wyszedłem i w biurze wydałem odpowiednie dyspozycje... W sobotę po południu odbywała się wówczas zawsze rada ministrów, stało się to i we dwa dni po mojej relacji u ministra, a w najbliższy poniedziałek przybył do mnie do biura prezes Jaworski w bardzo ważnej, jak mi z góry oświadczył sprawie. „Oto“, opowiada prezes, „przedwczoraj po skończeniu Rady ministrów Wurmbrand, biorąc mnie pod rękę, prowadzi do ustronnego pokoju, zamyka go za sobą na klucz i zaczyna przemowę, w której wyraża skargę, że nie może dalej z Tobą (tj. z prezydentem Bilińskim) prowadzić administracji, że Ty mu na każdym kroku robisz trudności itd.“ Na moje zapytanie, czy minister nie wspomniał mu, w czym i kiedy ja mu robię te trudności, odrzekł Jaworski: „Mówił mi, ale wiesz, ja tego dobrze nie rozumiem. Coś jakieś wozy towarowe, jakieś 10 ton, jakieś taryfy, jakieś postanowienia ministerstwa, którym Ty się opierasz itp.“ Musiałem na to istotnie wybuchnąć śmiechem. Opowiedziawszy Jaworskiemu bardzo szczegółowo moją rozmowę z Wittekiem i ministrem zeszłego piątku, prosiłem go z uwagi na widoczną demencję ministra o oświadczenie mu, że dalej nie będę pod nim służył i złożę urząd prezydenta. Na skutek tego przybył do mnie do domu nazajutrz p. Koerber, ażeby mi oświadczyć imieniem ministra, iż hr. Wurmbrand żałuje powstałego nieporozumienia i prosi mnie o pozostanie w służbie. Nie mogłem na to dać odpowiedzi odmownej i podobne rzeczy już się nie powtórzyły.

Natomiast wydarzały się często dziwactwa natury formalnej. Tak jak przy przyjęciu deputacji kolei półn.-czeskiej pan Wurmbrand na jakąś uwagę przywódcy deputacji, b. ministra Bahansa (ojca późniejszego ministra kolei) zawołał: „Habe ich

Sie darum gefragt?“, tak postępował z urzędnikami moimi. Ze spraw Generalnej dykcji interesowała go najbardziej budowa kolei wiedeńskiej miejskiej, co prawda w pierwszym rządzie styl poręczy na wysoko prowadzonych linjach, których ornamentykę kazał wykonać z niepotrzebnie wielkim kosztem słynnemu secesjoniście Wagnerowi. Na opuszczonych wskutek wojny i zastanowionych bez ruchu linjach sterczą do dziś jakby dla ironji pyszne balustrady piętrowe!.. Ale bywały brane pod dyskusję także sprawy większe. Pewnego razu rozchodziło się o kwestję przełożenia trasy budującej się kolei miejskiej z dworca kolei północnej na dworzec kolei północno-zachodniej, nad czem miała się odbyć narada u ministra. Na naradę tę przyprowadziłem ze sobą referentów budowy, ruchu, maszyn i taryf, ażeby każdy ze stanowiska swego wydziału wyraził opinię, o zmianie trasy. Każdy też zabierał głos; zaledwie jednak rozpoczął od słów, że chce przedstawić zmianę trasy ze stanowiska swego wydziału, każdemu przerywał minister słowami „Das geht mich gar nichts an“ i nie dał więcej mówić!

Hr. Wurmbbrand powziął był plan szerokiego upaństwowienia kolei prywatnych włącznie z południową, wspólną z Węgami. Poruszył niebo i ziemię: parlament, w którym dawał deklaracje niebezpieczne, prowadzące do gry giełdowej, Węgrów, którym należało robić wielkie ustępstwa, ministra skarbu Plenera, który po zasięgnięciu mojej rady, dał przyzwolenie zasadnicze, a i Generalną dykcję, która przygotowała potrzebne prace i zapewnienia natury finansowej. Po dłuższym czasie, było to już na wiosnę 1894, p. Plener zaczął robić trudności, a hr. Wurmbbrand wezwał mnie na naradę. Zwróciłem przy tem jego uwagę, że swym planem poruszył wielką sprawę i już tem samem przysporzył sobie pewnej sławy; że odstąpienie od tej myśli musi mu tem więcej zaszkodzić; że minister skarbu, który już raz dał się skłonić za planem, ułęknie się postawionej przez ministra handlu kwestji gabinetowej; że przeto należy na dzisiejszem posiedzeniu Rady ministrów po-

stawić tę kwestję i raczej ustąpić z rządu, niż odstąpić od wielkiego projektu. Hr. Wurmbbrand bardzo mi podziękował i oświadczył, że pójdzie za moją radą. Późnym wieczorem otrzymałem wiadomość, że na Radzie ministrów sam zaniechał całego planu upaństwowienia!

W sprawach personalnych Generalnej dyirekcji chciał hr. Wurmbbrand wywierać wpływ decydujący, aczkolwiek osób nie znał, a za ich czynności nie ponosił wcale odpowiedzialności, bo ja ją ponosiłem sam z natury rzeczy. Mimo otwartości mojej w tych argumentach nie dawał się nakłonić do ustępstwa.

Ale tymczasem r. 1894 wszedłem, tym razem nie bez własnej winy, w nową kolizję z ministrem. W roku tym urządzano we Lwowie, jak już wspominałem wielką wystawę, na którą zjechać mieli ministrowie. W dniu 1. czerwca tego samego roku zaś miało nastąpić oficjalne uroczyste otwarcie nowej dyirekcji kolejowej w Stanisławowie, którą uważałem za wielki akt dla kraju i służby i obiecałem ją otworzyć osobiście. Parę tygodni przedtem przyszedł do mnie do biura na Westbahn po raz pierwszy — i ostatni — hr. Wurmbbrand: było to po owem zajściu z Jaworskim. Między innymi opowiadał mi minister, że się wybiera do Galicji i pragnie mego towarzystwa. Stało na tem, że w drugiej połowie marca przybędzie z Wiednia wprost do Lwowa, tam zabawi ze mną kilka dni, poczem on odjedzie do Krakowa, a ja, jak mu wyraźnie opowiedziałem, pojedę na otwarcie dyirekcji Stanisławowskiej. Cóż z tego, kiedy on wszystko zapomniał! Ja się do tego programu zastosowałem: w połowie maja byłem we Lwowie na wystawie i na inspekcji kolei i oczekiwałem przed wyjazdem do Stanisławowa ministra. Ale namiestnik Badeni bez porady ze mną zmienił program ministra: poradził mu najprzód odwiedzenie Krakowa, a w d. 30 maja wyjechał naprzeciw niego i przywiózł go do Lwowa. Przed jego wyjazdem pytałem Badeniego, czy nie znajduje, że ja, będąc tu na wystawie niejako prywatnie, nie potrzebuję oczekiwać ministra na dworcu w mundurze. Potwier-

dził mi to dwa razy tak energicznie, że w samej rzeczy przybyłem na dworzec i znalazłem się sam jeden w surducie między samymi mundurami. Był to niezawodnie błąd z mej strony, tem bardziej niepotrzebny, że miałem mundur ze sobą. Byłem ze siebie i z Badeniego niekontent; gdy więc namiestnik, siedząc już w powozie z ministrem „zawezwał“ mnie do siebie na obiad, przyrzekłem mu półgębkiem i potem się wytłumaczyłem, bo byłem już zajęty. Nazajutrz nie mogłem być na obiedzie oficjalnym, bo musiałem wyjechać do Stanisławowa. Ztąd w gmachu namiestnictwa były wielkie kwasy, wyrzekania na mnie itd. W dniu 1. czerwca odbyło się uroczyste otwarcie dyrekcji kolei, a na drugi dzień rano stanąłem z wyższymi urzędnikami na dworcu, ażeby powitać przejeżdżającego hr. Wurmbra. Ale minister spał, a towarzyszący mu sekretarz radca Wurmb, późniejszy słynny szef sekcji i twórca kolei alpejskich, przyrzekł mi wytłumaczyć z powodu niebytności mojej na obiedzie. Później we Wiedniu próbowałem to uczynić osobiście, nie z wielkim skutkiem, bo błąd był błędem. Ale gdy hr. Wurmbbrand zarzucił mi, że Badeni, najpotężniejszy dziś mąż w monarchji, wyjechał naprzeciw niego w mundurze, odrzekłem mu: „otóż właśnie Badeni radził mi, nie brać munduru“. Tak się ta sprawa, w której była wina po mojej stronie — dyrektor lwowski Deyma bardzo mi odradzał ubrania cywilnego — załatwiła formalnie. W gruncie rzeczy hr. Wurmbbrand nie zapomniał mi tego i jeszcze później, gdy zostałem ministrem skarbu, rzekł do któregoś z moich znajomych: „widocznie Biłiński już wtedy wiedział, że będzie ministrem i dlatego nie ubrał munduru“. Wina spoczywała zresztą także na Badenim, który jednym słowem nie wziął mnie w obronę, gdy minister przy obiedzie wyrzekał na strój mój cywilny. Dopiero w parę miesięcy później, gdy będąc na inspekcji w Stryju, nie pokazałem się na dworcu w czasie przypadkowego tam przejazdu namiestnika, Kniaziołucki opowiedział mi o moim żalu, na co Badeni oświadczył, że Wurmbbrand jest kłamcą!

Uroczystość stanisławowska odbyła się bardzo pięknie. Poświęciliśmy wspólnie nowy gmach dyrekcji kolejowej, który dał początek budowie licznych domów mieszkalnych dla urzędników, czem spowodowałem upiększenie i wzbogacenie mego pierwszego miejsca wyborczego. Wyjazd ze Stanisławowa nastąpił w nadjeżdżającym tymczasem nowym wozie służbowym, który kazałem według własnych pomysłów zbudować na 4-ch osiach z odpowiednim dla służby i reprezentacji urządzeniem. Otrzymał on Nr. 1000 i był w czasie mojej podróży zachodniej przedmiotem podziwu i studjów licznych władz kolejowych w Paryżu, Calais i Ostendzie, służył za wzór wagonów salonowych, które pobudowałem dla pociągu zbytkowego, bardzo szybkiego do Karlsbadu (po moim ustąpieniu pociągu tego i wagonów zaniechano). Wóz ten został mi potem jako ministrowi darowany do użytku w podróżach nieskończonych, zwłaszcza do Pesztu, a po moim ustąpieniu z ministerstwa został najprzód przydzielony arcyksięciu O t o n o w i, ojcu cesarza Karola, a po upaństwowieniu kolei północnej został wozem urzędowym dyrektora B a n h a n s a, późniejszego ministra kolei. Roku 1917 odegrał ten wóz jeszcze rolę w moim życiu. Zostawszy zaś r. 1919 ministrem polskim, wyjednałem oddanie wagonu Nr. 1000 ze strony Austrii na własność Rzeczypospolitej Polskiej do mego użytku. Gdy ani razu nie było sposobności do podróży, oddano ten wóz po moim upadku, misji amerykańskiej.

Interesującą wycieczkę odbyłem na słynną górę rudy żelaznej E r z b e r g: byliśmy gośćmi eksploatującej górę „Alpine Montangesellschaft“; cudowny był powrót nocą otwartymi wagonami, małymi od rudy („Huntle“), wśród czarującego oświetlenia całej góry i drogi. Dyrektora towarzystwa poznałem był już wcześniej, przy zwiedzaniu potężnych hut towarzystwa. Pan P a l m e r, późniejszy generalny dyrektor Länderbanku, człek niesłychanie delikatny i wykwintny, znany był jako przyjaciel i doradca finansowy słynnej pani S c h r a t t, a tym samym zbliżony osobiście do cesarza Franciszka Józefa. Nigdy

zresztą w czasie mej długoletniej służby nie zbliżałem się z zasady do pani Schrott, której zazwyczaj składali hołdy wszyscy dygnitarze i której, jak miewałem często dowody, posiadałem sympatje. Niejednokrotnie miałem pośrednio od niej wiadomości o łaskawych dla mnie wyrazach ze strony cesarza. Ale gdy po śmierci drogiego mi cesarza pani Schrott została osamotniona, a ja byłem wolny od urzędu, złożyłem jej r. 1917 w Ischlu wizytę, która przez wspomnienie o cesarzu sprawiła jej i mnie melancholijną przyjemność.

Jeżeli się nie mylę — bo daty podróży poszczególnych nie zbyt mi pozostały w głowie — byliśmy tegoż roku 1894, przed wyjazdem do Czech, wraz z żoną i jej bratanicą oraz pp. K n i a z i o ł u c k i m i na krótki czas w Szwajcarii. Podróżowaliśmy wygodnym wagonem moim na Buchs-Schaffhausen (z oświetlonym elektrycznie wodospadem na Renie) Konstanz-Zurich do Lucerny. Tu podziwialiśmy Vierwaldstätter See i w czasie wycieczki aż do Flüellen, pierwszej stacji kolei gothardskiej, podziwialiśmy tak Pilatusa, na który kolej nie była jeszcze gotową, jak Rigi-Kulm, na który z powodu niedyspozycji żony nie mogliśmy wyjechać. Wogóle pobyt w Szwajcarii nie służył drogiej, kochanej żonie, a i mnie nie zbyt dobrze robił wikt angielsko-szwajcarski. Wkrótce więc zawróciliśmy na Zurich, obok H a b s - b u r g a i R a p p e r s w y l u do Austrii, gdzie przybyliśmy nocą do Feldkirch. Latem nastąpiła jak zwykle, inspekcja w Czechach w połączeniu z pobytem u drogiej matki naszej w C i e p l i c a c h. Wyjechałem ztamtąd najprzód sam, żeby na linii Wittingen Gmünd bardzo równo położonej, wypróbować siłę zbudowanej nowej lokomotywy dla pociągów pospiesznych. Dnia 17/9 1894 kazałem zaprzędz do niej wóz pakunkowy tudzież mój Nr. 1000 i w towarzystwie K n i a z i o ł u c k i e g o, dyrektora Reichelta i kilku urzędników wyruszyłem w imię Boskie. Stojąc na estradzie inspekcyjnej wagonu mogłem napisać na stronie odwrotnej fotografii maszyny, że jedziemy z szybkością 100-u kilometrów na godzinę! Nikt przed tem, a i potem — bo po moim usta-

pieniu wszystko zarzucono — nie jeździł w Austrii z tą szybkością: spotkałem się z nią dopiero na drugi rok — ku wielkiej rozkoszy mojej, a i jedynej, ukochanej żony mojej — we Francji i w Anglii.

Wkrótce potem odbyło się uroczyste otwarcie nowej linii kolejowej Stanisławów-Woronienka, wybudowanej aż do granicy Węgier znakomicie przez inż. Kosińskiego, późniejszego szefa sekcji w późniejszym ministerstwie kolejowym ze słynnym mostem kamiennym w Jaremczu, konstrukcji inż. Gen. Dyrekcji p. Husa (posiadam zdjęcie tego mostu!). W otwarciu wziąłem udział jako reprezentant budującej Gen. dyrekcji, a pan Wittek z polecenia ministra jako reprezentant min. handlu. W czasie jazdy w wagonie moim poruszył Wittek mój stosunek z hr. Wurmbrem, opowiadając mi że minister pragnie, żebym ja wszystkie akta ważniejsze przyniósł na konferencję do ministra. Odpowiedziałem, że tego dobrowolnie i regularnie nie będę robił, mając przepisany tok urzędowania i zakres praw moich w statucie organizacyjnym Gen. dyrekcji, że jednakowoż na każdorazowy rozkaz ministra pojawię się naturalnie u niego na konferencji. Na to odrzekł Wittek, że minister wzięwszy już pod nogi sekcję kolejową ministerstwa pragnie tego samego także co do Generalnej dyrekcji. Za Bacquehema p. Wittek potrzebował tylko „patrzeć stale w sufit“, ażeby minister, któremu według własnych słów jego „ciężko było służyć pod Wittekiem“, spełnił każde jego życzenie co do spraw rzeczowych, czyteż osobiste co do orderów. Wiedząc o tem miałem Witteka w podejrzeniu, że chce się na mnie odbić za swoją dekapitację i podburza ministra, i dla tego powtórzyłem, że oparty o statut, podbić się nie dam.

Tymczasem zaczęły się dopełniać losy gabinetu. Stosunki jego z cesarzem i parlamentem zaostrzały się coraz bardziej. Pan Plener, energiczny propagator polityki koalicyjnej, bronił bezskutecznie dobrej reformy podatkowej przeciw obstrukcji czeskiej, a minister Madejski, osłabiwszy już przez wyjednanie nomi

nacji dwóch posłów (hr. Stürgkha, późniejszego szefa ministrów, Niemca i p. Sukljeo, Słowenca) urzędnikami ministerstwa swoją pozycję u cesarza, który nie znosił zasadniczo takich „zanieczyszczeń“ stanu urzędniczego, wszedł ze stronnictwami niemieckimi w konflikt o gimnazjum słoweńskie w Cilli na Styrii, które też spowodowało w końcu upadek gabinetu. Minister Wurmbrańd zaś, który w czasie tym krytycznym właśnie poniósł klęskę kolejową ze strony Plenera, kroczył dalej na drodze wszechwładztwa w urzędzie. Jak mi to później opowiadał Bacquehem, w pierwszej połowie września oświadczył mu cesarz, że „der Fürst“, t. j. prezydent ministrów nie potrafi się już utrzymać i będzie musiał się podać do dymisji. Jeżeli się nie mylę, ks. Windischgrätz, który, mówiąc nawiasem, swoją metodą spisywania bezpośredniego każdej rozmowy z każdym ministrem i każdym posłem miał zanudzać na śmierć cały świat polityczny, był gotów do dymisji. Ale zebrany gabinet uchwalił zaproponować cesarzowi przez usta wysłanego ministra hr. Falkenhayna (jeszcze z gabinetu Taaffeo) utrzymanie prowizoryczne rządu aż do jesieni, nie wiedząc, że na jesień gotował się już Badeni, nie kryjący się z ostrą krytyką rządu, np. w mojej i innych obecności w kościele Kapucynów w czasie pogrzebu arcyks. Wilhelma, który w Baden zabił się, spadając z konia. Cesarz był też innego zdania i powstała stąd sytuacja tragikomiczna: rząd liczył się z utrzymaniem, a cesarz przygotowywał wprawdzie prowizoryczny, ale z nowych ludzi. Hr. Wurmbrańd oczywiście stał ostro przy swoim tupecie, dumny jak zawsze, jak wtedy, gdy w początkach rządów na jakimś bankiecie chwalił się przed sąsiadem, że on jeden z obecnych nie posiada żadnych wcale studjów. Widocznie na skutek relacji Witteka z podróży stanisławowskiej zawezwał minister mnie na konferencję w kilku sprawach kolejowych. Było to 16 czy 18 czerwca 1895, tj. w czasie, gdy inne sprawy, niż akta chodziły mi po głowie. Zbliżał się bowiem termin otwarcia międzynarodowego kongresu kolejowego, na który pragnąłem wyjechać do Londynu, niepewny

przyzwolenia ze strony zwlekającego ciągle ministra. Ale naturalnie poszedłem na konferencję, w której wzięli udział prócz mnie i p. Witteka dość liczni referenci obu stron. Ledwie omówiono kilka spraw moich, nadszedł woźny i szeptając wyprosił do poczekalni Witteka. Obrady toczyły się dalej; gdy wszelako potrzeba było powziąć decyzję o ważnych sprawach samego ministerstwa, hr. Wurmbbrand pragnął mieć przytem obecnym odpowiedzialnego szefa sekcji Witteka i zadzwonił na woźnego, który zameldował, że p. Wittek jeszcze nie powrócił z poczekalni. Na niecierpliwe naleganie ministra, wyszedł ktoś z nas do poczekalni i przyniósł wiadomość, że p. Wittek został telefonicznie wezwany do namiestnika hr. Kielmannsegga. Na to minister wykrzyknął opryskliwie: „Was hat er beim Statthalter zu tun, wenn er bei der Konferenz anwesend sein soll!“... Konferencję zakończono bez Witteka, poczem minister zatrzymał mnie u siebie, ażeby mi opowiedzieć, że rząd pozostaje aż do jesieni i że on (minister) zamierza wskutek tego ze mną razem wyjechać do Londynu. Nie zbyt zachwycony zapowiedzią tej wspólności, wyszedłem do poczekalni, w której już zastałem Witteka i powiadomiłem go o niezadowoleniu ministra. Na to Wittek: „Cóż mam na to poradzić? Namiestnik hr. Kielmannsegg dostał od cesarza polecenie utworzenia natychmiast nowego rządu prowizorycznego i ofiarował mi kierownictwo ministerstwa handlu, co ze swej strony przyjąłem“. Powinszowałem mu z całego istotnie serca i w tej samej chwili otrzymałem od niego jako nowego mego szefa zgodę tak na podróż moją do Anglii w charakterze zastępcy rządu austriackiego, jak na nominację „grubego“ radcy Stanegego na szefa budownictwa przy generalnej dyrekcji. I tak to się rozpląnęły fantazje biednego hr. Wurmbbrand.

W kilka dni później wyjechaliśmy w największą moją podróż z żoną, jej bratanicą Litti (dziś zamężną Billig w Reichenburgu) z pp. Książołuckimi i wielkim sztabem urzędników, własnym wagonem urzędowym z usługą konduktora Křižika, który mi służył w podróżach urzędowych już od 4 lat, a póź-

niej był mi przez długie lata przydawany do podróży publicznych i prywatnych jako konduktor i przywiązany zręczny sługa. Podróż była skierowana przez Tyrol, Buchs, Bazyleję najprzód do Paryża, gdzieśmy zamieszkali w hotelu „Bellevue“ przy Avenue de l'Opera i przeżyli nadzwyczaj miły tydzień. Cudowne to siedlisko kultury francuskiej pozostało nam stale we wdzięcznej pamięci. Sam Paryż z dziełami sztuki (Tuillerie), wspaniałe place („de la Concorde“ z grupą „Alzacją i Lotaryngją“ kirem zakrytą, „place Vendome“ z pomnikiem Napoleona), ogrody („Bois de Boulogne“), olbrzymi ruch na bulwarach z piskliwym krzykiem Camelotów (słyszeliśmy np.: „voilà la bête Bismarck, elle vient de crever!“ — na 10 lat przed istotnym „zdechnięciem“), kościoły („Notre Dame“, Panteon z grobowcem Napoleona), Wersal z pamiątkami z r. 1871 (do pamiątek z r. 1919 jeszcze było daleko!) itd., wszystko to wpoilo się w serca i umysły nasze.

Z Paryża wyjechaliśmy na Calais-Dover do Londynu, gdzie stanęliśmy w „Royal Hotel“ przy Black-Friers-Bridge. Posiedzenia kongresu odbywały się w Imperial Institute. Uroczyste otwarcie nastąpiło przez honorowego prezydenta kongresu międzynarodowego, ówczesnego księcia Alberta Walji, późniejszego króla Edwarda VII, jednego z intelektualnych ojców późniejszej wojny światowej. Jako reprezentant rządu austriackiego ograniczałem się głównie do reprezentacji, pozostawiając prace fachowe w komisjach, w których zresztą bywałem obecny, licznym referentom z grona urzędników kolei państwowych (Schützendorfer, Skala itd.) i prywatnych ze słynnym dyrektorem Jeittelesem na czele. O ile trudny język angielski i straszliwy ruch dozwalały, zwiedzaliśmy osobliwości Londynu. Po za miastem byliśmy statkiem na Tamizie w słynnym z merydjanu Greenwich, koleją w znanym miejscu kąpielowem Richmond, czwórka koni (Four in hand!) wyjechaliśmy do starego zamku królewskiego (miejsce ulubione króla Wilhelma „zdobywcy“, z domu Orańskiego, ożenionego z ostatnią Stuartówną Anną i r. 1688 wyniesionego na

tron brytyjski). Oficjalnie wyjeżdżaliśmy na zaproszenie królowej do zamku Windsor (w ciągu wojny światowej przybranego jako nazwisko rodzinne domu panującego, zwanego właściwie Coburg-Gotha!) Tam nas przyjmowała królowa Wiktorja w sobotę d. 6 lipca 1895; panów w parku na świeżem powietrzu, (w posiadaniu mojem jest nasze wspólne zdjęcie), a panie były na podwieczorek z winami owocowymi (!) w pawilonie parku. Przed miejscem, gdzie zgromadzili się panowie, popisywali się najprzód harcerze na koniach, poczem wyjechała kucami na małym wózeczku królowa, do której ks. Walji prowadził po kolei jednego z nas po drugim z przedstawieniem i wymianieniem nazwiska. Królowa, monarchini wielka i znakomita, ale osóbką maleńka i okrągłutka, przyjęła każdego uśmiechem i kilku słowy. Jak wiadomo, opłakiwała ona do śmierci zmarłego w jej młodości małżonka, ks. Alberta Coburg-Gotha, praojca dzisiejszej dynastji; w parku Windsorskim spoczywa jego sarkofag pod wspnianym pomnikiem. Inne pomniki wszystkich wielkich mężów w narodzie ustawione są rzędami w kościele Westminster nad Tamizą w Londynie, tuż przy parlamencie. Sam gmach parlamentu, arcydzieło sztuki gotyckiej (parlament węgierski naśladuje go budową i położeniem), wzbudził we mnie wewnątrz więcej podziwu dla powagi historycznej, niż dla urządzenia, bardziej uszanowania godnego, niż pięknego. Dziwnego uczucia doznaje się w trakcie, gdzie był sądzony na śmierć król Karol I, poprzednik Cromwella! Podobnie w Towerze, strasznym domu karnym, gdzie leżą zasądzone przez Henryka VIII na śmierć małżonki jego Katarzyna i ulubiona tak bardzo Anna Boleyn.

Na wycieczkę oficjalną do Liverpool nie mogliśmy się wybrać, ponieważ moja żona była trochę cierpiąca. W ciągu obrad kongresu wzięliśmy jeszcze udział w przyjęciu u ministra handlu, który, otoczony swiłą egzotyczną, przyjmował gości przybywających nie u wejścia do apartamentu, lecz o pół piętra niżej w klatce schodowej. Po ukończeniu zaś obrad odbył się w Cris-
tall-

Palace bankiet pożegnalny na 1000 osób. Ogół gości siedział w jednej olbrzymiej sali, a na podwyższeniu przy stole, przeznaczonym dla reprezentantów państw obcych, wyznaczono mnie wraz z żoną pierwsze miejsce przewodniczącego. Niestety nie pomyślano w czas o toaście ze strony tych reprezentantów; pod koniec zaś przysunął się do mnie Gen. dyrektor Jeitteles z prośbą, bym zechciał zabrać głos. Nie złym jestem mowcą, ale toasty były mi zawsze trochę niewygodne, a w mowach moich publicznych, rzadko z góry przygotowanych, nie używałem nigdy innego języka jak polskiego lub niemieckiego. W owej chwili miałem przemówić ex abrupto w języku francuskim lub angielskim. Wybrałem naturalnie język francuski, którym władam niezłe i wygłosiłem toast, który się udał bardzo dobrze. Stojący za mną zwyczajem angielskim mistrz ceremonii ad hoc „Toast Master“ wykrzyknął „hip—hip—hura“, poczem zgromadzenie przyjąwszy oklaskami toast mój, wzniosło gorące „cheers“ na cześć lorda, naczelnego dyrektora kolei. Po obiedzie produkowano gościom najwspanialsze ognie sztuczne, między innymi przedstawiono uroczysty wjazd pierwszego pociągu, prowadzonego przez twórcę kolei żelaznych, wielkiego Stephensona.

Odjazd z Londynu, gdzie mięsiwa ani solone ani otłuszczone, a nadto grzane piwo, nie służyły nam wcale (tylko raz jedliśmy obiad „kontynentalny“ u siostry bratowej mojej żony, pani Robinson, Angielki), nastąpił na linii Dover-Ostenda. Jazda morska dłuższa niż do Calais ale spokojniejsza i miłsza, przywiodła nas do cudnej Ostendy, gdzie nas powitał w porcie stęskniony konduktor Křižik wraz z moim wagonem. Niestety Ostenda w połowie lipca była jeszcze bez sezonu i ruchu międzynarodowego. Toż głównie zachwycaliśmy się wspaniałą i olbrzymią plażą.

Z Ostendy zajechaliśmy na dzień do Brukseli, gdzie podziwialiśmy drogę jakby tryumfalną z dworca w dół do miasta, pałac królewski, gmach parlamentu, składy słynnych na świat

koronek (żona moja nabyła wtedy śliczną niezbyt drogo), wielki w ogóle handel itd. Z Bruxeli wstąpiliśmy jeszcze na dzień czy dwa do Paryża, gdzie właśnie trafiliśmy 15 lipca na uroczystość święta narodowego z okazji pamiątki zburzenia Bastyli, po czem wyruszyliśmy nocnym pociągiem z szaloną a jednak rozkoszną i zawsze mi pamiętną szybkością, rutą na Bazyleję do Wiednia. Chętnie bylibyśmy jeszcze zatrzymali się kilka dni dłużej w ślicznym Paryżu, gdyby nie list hr. Badeniego wzywający mnie najspieszniej do Buska. Stanęliśmy tedy 18 czy 19 lipca rano we Wiedniu, mocno zdziwieni iście wiejskim w porównaniu z Paryżem — ruchem porannym na ulicach. W parę dni później wybrałem się sam do kraju.

X.

1895—1897. Pierwszy raz ministrem skarbu.

Jakkolwiek pozostałem od tego czasu jeszcze $2\frac{1}{2}$ miesiąca na posadzie prezydenta kolei państwowych, to jednak z chwilą powrotu z zagranicy do Wiednia ta misja moja była już skończona. Poddając się wprawdzie tak w tym jak i w podobnych późniejszych wypadkach woli Boskiej, nie mogłem jednak bez żalu rozstać się z tym posterunkiem, który mi dał był sposobność skutecznej pracy dla dobra powierzonych mi przez los urzędników, dla pożytku publiczności w Austrii i w szczególności w Galicji, niemniej dla energicznego postępu służby na polu technicznym i administracyjnym. Już wyjazd z Londynu nastąpił cokolwiek przedwcześnie pod wpływem wspomnianego listu od hr. Kazimierza Badeniego, który, powołany przez cesarza do objęcia rządów, wezwał mnie pilno do Buska dla omówienia spraw odnośnych. Listy Badeniego z czasów tworzenia jego rządów znajdują się w posiadaniu mojem.

W drodze do Buska wstąpiłem do Krakowa, ażeby odwiedzić ciężko chorą siostrę moją Julję Sczepańską. Zastałem ją niestety prawie już umierającą, a stan ten do głębi mnie przejął.

Z tem wrażeniem pojechałem wprost do B u s k a, gdzie mnie na dworcu oczekiwał pan Kazimierz. Już w drodze do pałacu oświadczył mi, że mu cesarz poruczył stworzenie rządu i że chce mnie mieć ministrem skarbu. Na moją propozycję, by z Gen. dyrekcji kolei państwowej utworzyć, zgodnie z życzeniem minist. wojny osobne ministerstwo, które bym ja objął, odrzekł przyszły szef, że albo ja obejmę skarb, albo on złoży swoją misję w ręce cesarza. To samo usłyszałem jeszcze w 3 tygodnie później. Musiałem się więc zgodzić, a jeno zażądałem ze stanowiska biurokratycznego, by mi w uznaniu służby prawie 4-letniej nadano należną z rangi komandorję orderu Leopolda, na co znowu odrzekł B., że to za mało, że jako minister muszę zaraz otrzymać wielką wstęgę (czyli 1. klasę) orderu żelaznej korony. Wspominam tu o tej drobnostce tylko dlatego, że sprawa ta znalazła wkrótce swój ciąg dalszy. W domu gościnnym i prawdziwie polskim zastałem prócz zacnej małżonki (ur. hr. Skrzyńskiej) i bardzo rozumnej córki gospodarza Wandy, dwóch przyjaciół jego politycznych: Stanisława Koźmiana później Seniora kolegi naszego w Izbie Panów i ks. Stefana Pawlickiego, znanego profesora uniwersytetu Jagiellońskiego (zmarł około r. 1915), obaj znakomici i bardzo sympatyczni mężowie. W ciągu dwudniowego pobytu mego, rzekł do mnie raz Badeni, w poczuciu swej wielkiej pozycji w kraju i jakby w proroczym widzeniu: „Po co właściwie my dwaj porzucamy pewne pozycje nasze dla niepewnej przyszłości?“ Ale losy toczyły się dalej. Gospodarz z paniami odprowadził mnie na dworzec, gdzie podziwiali mój wagon, poczem rozjechaliśmy się w strony przeciwne, obaj z uczuciem żalu za terażniejszością, niepewni przyszłości. Dla mnie miały się zakończyć najpiękniejszego lata życia mego publicznego!

Ułożyliśmy, że Badeni jadąc do cesarza, wstąpi do Wiednia. Po urodzinach cesarskich tj. 19/8 po południu oczekiwałem przyszłego szefa swego na dworcu północnym i odwoziłem go do hotelu Imperial, gdzie zajmował zawsze na pół-

piętrzu apartament narożny na prawo. W drodze z dworca znowu usłyszałem, że bezemnie nie będzie gabinetu. Dnia 20/8 wieczorem wyjechaliśmy razem: Badeni i ja z żoną w towarzystwie jej bratannicy Lotti i bratanek Erwina. Długo w noc siedzieliśmy razem w wagonie moim. Stało na tem, że ja, w tej mojej pożegnalnej podróży inspekcyjnej pojedę do Salzburga, a Badeni do Ischlu do cesarza, poczem się zjedziemy na środkowej stacji Attnang, gdzie go naprzód zaprosiłem na obiad. Dnia 22/8 pojechałem osobnym pociągiem do Attnang i powitałem wkrótce mego gościa. Gabinet był gotów. Co do mojej osoby cesarz najłaskawiej wyrzekł: „Sie nehmen mir da einen wichtigen Zahn heraus; schauen Sie, dass er wenigstens ebenso nützlich an einer anderen Stelle wirkt“. Zarazem zgodził się najchętniej na order żelaznej korony I. kl. Po obiedzie rozjechaliśmy się znowu na dwie strony: on do Wiednia i Buska, ja do Salzburga.

Zaczął się koniec mojej służby kolejowej. Jeszcze po południu wyjechaliśmy małą kolejką z Salzburga cudowną okolicą ku Ischl, zkąd w późniejszych latach często używałem tej linii. Po powrocie do Salzburga zastałem bawiącego właśnie w Salzburgu bar. Gautscha, którego zaprosiłem na dworzec, ażeby go imieniem Badeniego wezwać do Wiednia celem konferencji o objęciu teki oświaty. Pod pozorem jazdy Gautscha do Teresianum kazałem mu dać wagon salonowy i tak wyprawiłem do Badeniego, który — wbrew radom przyjaciół — powołał go na doradcę politycznego i późniejszego niezbyt przyjaznego następcę! Widocznie tak się musiały spełnić losy!

Na drugi dzień wyjechaliśmy do Zell am See, gdzie potem jako minister spędzałem z żoną przez dwa lata miłe miesiące letnie. Z Zell am See wybraliśmy się na Zarlinger-Gletscher: po którego osiągnięciu 15-letni bratanek żony, tak był wyczerpany, że towarzyszący nam urzędnicy musieli go zabrać na nosze, utworzone z płaszców i lasek i tak dostaliśmy się na szczyt lodowca, gdzie zamroziliśmy w oryginalnym lodzie na lodowcu

przyniesioną butelkę wina białego i spożyliśmy je ze smakiem. Jeden z panów ofdfotografował całą scenę, a u dołu obrazka wypisał potem zabawne słowa: „Erwin (bratanek) der Gletscherstürmer“! Z Zell am S. prowadziła nas droga do Innsbruku, gdzie nastąpiło pożegnanie z bliskim nam bardzo domem dyrektora Drathschneida i z dyrekcją, a z Innsbruku przez Arlberg do Bregencji z cudownem Bodensee. Statkiem urzędowym wyjechaliśmy na jezioro ku granicy Badeńskiej, a gdyśmy przybili do wyspy Mainau, oczekiwali nas słudzy dworscy z zaproszeniem dla mnie od Wielkiej księżnej badenkiej, o której zamku i pobycie tam nic przedtem nie wiedziałem. W zamku przyjęła mnie wiekowa monarchini, jedyna córka starego cesarza Wilhelma, ciotka ces. Wilhelma II. Była bardzo uprzejma i wypytywała się wiele o stosunki dworskie w Austrii. Niestety nie przyszło mi na myśl wspomnieć Wielkiej księżnej, że ojciec mojej żony wyleczył skutecznie jej ojca z ran od zamachu Nobilinga; byłaby się z tego dowiedziała, że żona moja jest w parku i prawdopodobnie byłaby ta ulubiona córka cesarza chciała, ujrzeć córkę jego lekarza! Powrót z Mainau nastąpił pod wieczór, który stanowił clou pożegnania: brzegi jeziora były rzęsiście oświetlone, a setki gondol, ozdobionych lampkami barwnymi, wyjechawszy naprzeciw statkowi naszemu, wśród głośnych aklamacyj i oklasków towarzyszyły nam przy wjeździe do portu. Jakżeż dalekie są czasy, kiedy to dygnitarz państwowy — Polak mógł być przedmiotem przyjaznych demonstracyj ze strony ludności niemieckiej! Wszystko to się skończyło raz na zawsze od czasów upadku rządów naszych, badeniowskich. Nas Niemcy nienawidzą, a uczucia ich narodowe poszły dziś — w czasie wojny światowej — niemal do szczytu ekskluzywności. Ale prawda: radzimy dziś (czerwiec 1918) nad sojuszem polsko-niemieckim! Znowu więc tempora mutantur!

Na drugi dzień wyjechaliśmy na Arlberg, gdzie w tunelu, jadąc na maszynie, przekonałem się o skuteczności zaprowadzonego po raz pierwszy w Europie przezemnie opału naftowego jako

ochrony przeciw niebezpiecznym w tunelach gazom opału węglowego. Potem ruszyliśmy w drogę daleką wprost aż do Czech, gdzie zatrzymaliśmy się w Stacji Horažďowitz. Tam opuściłem pociąg, który z żoną i jej rodziną odjechał do Cieplic, a ja udałem się do zamku Ellischau, gdzie już przedtem byłem kilkakrotnie serdecznie przez jego pana, hr. Taaffego, przyjmowanym gościem. Zastałem pp. Taaffe pod wrażeniem bliskiego gabinetu Badeniego. Hrabia był mu bardzo życzliwy, omawiał rozmaite ewentualności, a radę dawał tylko jedną: „nie ufać Chlumetzkiemu!“ Bodaj czy nie miał racji! W zamku było bardzo miło: rano w kaplicy msza św., potem spacer ministra ze mną w parku, potem obiad, pogawędka z paniami (hrabiną i hrabianką Luizą, ulubienicą i sekretarką ojca — niezamężną), czasem partja whista, czasem spacer powozem z hrabiną we dwójkę. Hrabina, dziwaczka, była dla mnie bardzo łaskawa: jeszcze w czasie mojej prezesury, złożyła nam z córką pierwszą wizytę... Wkrótce odjechałem i na wieki się pożegnałem z tyle mi drogim hr. Taaffem, któremu miałem tak wiele do zawdzięczenia. W jesieni zmarł niestety, a wyjazd wielkim pociągiem urzędowym na pogrzeb jego był jakby pierwszym naszym aktem ministerjalnym! I ja powróciwszy z Ellischau do Cieplic, zastałem tam właśnie zmarłą w domu naszym trzecią żonę szwagra mego, matkę córek Ady i Ireny, do dziś bliskich sercu naszemu sierót. Pod koniec września zaś nadeszła do Cieplic wiadomość o śmierci biednej mojej siostry Julji, na której pogrzeb nie mogłem już wyjechać, bo zanosiło się właśnie na objęcie teki skarbu. Nie były to auspicya zbyt szczęśliwe, co też przyszłość potwierdziła!

Po d. 23. września, rocznicy ślubu naszego, wyjechałem na objęcie urzędu, i to najprzód do Pragi, gdzie Namiestnik, hrabia, późniejszy książę Thun dał obiad dla Badeniego, przybyłego tam w towarzystwie mojem i przyszłego ministra rolnictwa hr. Ledebura, właściciela dóbr z pod Cieplic (Kremus czy też Kschemusch). Na tym obiedzie porannym (dejeuner d'atoire) w pałacyku rządowym letnim w Baumgarten poruszył

gospodarz piekącą na ówczas sprawę polityczną: potwierdzenie Luegera na burmistrza m. Wiednia. Lueger był już na wiosnę wybrany i przez gabinet Windischgrätza proponowany do zatwierdzenia, ale wówczas — na nasze prawdziwe nieszczęście — nie przyjął wyboru dla zbyt małej większości! W toku rozmowy okazało się, że ks. Thun, hr. Ledebur i ja byliśmy za zatwierdzeniem Luegera, zaś Badeni stanowczo, prawie opryskliwie wyrażał się przeciw temu. Wieczorem wyjechał Badeni do Wiednia i jeszcze na dworcu na moje zapytanie o powód jego gniewliwego usposobienia robił nam wyrzuty, że mu przeszkadzamy w sprawie Luegera. We 24 godzin później wyjechałem i ja do Wiednia i zaraz odszukałem Badeniego w Imperialu, ażeby go zapewnić, że ja mimo przekonań moich nie będę mu przeszkodą w sprawie wiedeńskiej, jeżeli się może już wobec kogo zaangażował. Odrzekł mi z zapewnieniem, że mamy wszyscy zupełnie wolną rękę. Poznałem u niego wtedy Stanisławową Badeniową, z którą pozostawałem odtąd w stałej przyjaźni aż do jej rozvodu z moim przyjacielem Stasiem.

Po jej odejściu zadecydowaliśmy jeszcze, żeby na opróżnione po hr. Kazimierzu miejsce przedstawić cesarzowi dotychczasowego marszałka krajowego, ks. Eustachego Sanguszkę, poczem Badeni udał się do bar. Brauna, dyrektora kancelarii gabinetowej, ażeby wspólnie wygotować nominację dla nowego rządu. Ja zaś poszedłem do Koerbera, wówczas szefa przydziałnego w ministerstwie handlu, mego współpracownika dotychczasowego w sprawach kolejowych, ażeby mu po naradzie z Badenim powiedzieć, że będzie utworzonym ministerstwo kolejowe, a jednak będzie obsadzone dopiero na życzenie Badeniego z d. 1. stycznia 1896, a tymczasem proponujemy mu objęcie kierownictwa Generalnej dyrekcji (po mnie) na 3 miesiące. Przyjął to, żądając wskutek mego zapytania na pożegnanie z minist. handlu komandorji orderu Leopolda, co mu zaraz przyrzekłem i też wyjednałem. A skoro mowa o prowizorjach, to muszę jeszcze dodać, że kierownictwo ministerstwa

dla Galicji ja znowu miałem objąć na 3 miesiące, ponieważ Baden i obawiał się stracić Niemców przez nominację trzech naraz Polaków. Tem zastępstwem bardzo był na Badeniego i mnie oburzony Jaworski, wówczas minister dla Galicji. W czasie wizyty, którą mu złożyłem jako nominalny jego następcą, odpowiedział mi na uprzejme zapewnienia Badeniego z otwartym gniewem i z złością. Wybrany później ponownie prezesem Koła, odpłacił mi tę scenę mimowolną przy mojej późniejszej akcji w sprawie ustawy językowej. W istocie z d. 1/1 1916 weszli do gabinetu proponowany przezemnie generał Guttenberg jako minister kolei, upatrzony przez Badeniego na ministra dla Galicji dawny mój kolega z uniwersytetu, a podówczas szef sekcji w ministerstwie oświaty Dr Rittner, który mi tę wiadomość zakomunikował już na dorocznym odświętnym obiedzie u kardynała w d. 18/8, 1895, dniu imienin cesarskich.

Na parę dni przed nominacją rządu hr. Baden i, chcąc dać przysłym kolegom sposobność zapoznania się między sobą, urządził za mojem pośrednictwem obiad na dworcu kolei zachodniej, w tak zw. „pokoju hofratów“, gromadzącym codziennie wyższych urzędników z Generalnej dyrekcji, umieszczonym w gmachu naprzeciw dworca. Tajemniczy ten obiad był przedmiotem wielkiej ciekawości dla dziennikarzy wiedeńskich.

Dnia 30 września 1895 pojawiła się nominacja nowego rządu w urzędowej „Wiener Zeitung“ (we 24 lat i 2 miesiące po mojej pierwszej nominacji na profesora!). Pierwszego października odbyła się uroczystość zaprzysiężenia rządu u cesarza; odbyła się według zwyczaju, ale miała dla mnie powien przedsmak nieprzyjemny. Gdy przybyłem do Ministerstwa spraw wewnętrznych, gdzieśmy się mieli przed wyjazdem do Burgu zgromadzić u Badeniego (B. był także min. spr. wewn.), gospodarz przyjął mnie zdziwiony z zapytaniem, dlaczego nie przywdziałem nadanej mi wielkiej wstęgi orderu żelaznej korony? Gdy na to odrzekłem, że tej wstęgi jeszcze nie otrzymałem, wysłał Baden i natychmiast urzędnika do Dyrektora kancelarii gabinetowej bar.

Brauna z prośbą, by zechciał order nadesłać jeszcze przed zaprzysiężeniem. Wkrótce nadeszła odpowiedź, że cesarz pragnie jeszcze przedtem pomówić o tem z Badenim. Wyjechaliśmy zatem do Burgu, gdzie Cesarz kazał natychmiast wejść do siebie Badeniemu. Po chwili wyszedł Badeni, żeby mi powiedzieć, że cesarz mnie bardzo lubi i nie poskąpi mi uznania, ale sądzi, że teraz lepiej nie nadawać mi orderu. Na zapytanie Badeniego, co ma odpowiedzieć cesarzowi, rzekłem: „Ekscelencja przecież wie, że tego orderu wysokiego nie żądałem; pragnąłem tylko — należnego mi mniejszego odznaczenia z okazji ustąpienia z Gen. Dyrekcji; ale jeżeli Ekscelencja, który z własnej inicjatywy order wyjednał, zamierza ustąpić cesarzowi, to ja się nie będę oń dobijał“. Na tem też stanęło. Cesarz był istotnie przez całe życie ojcowskiej dla mnie dobroci. Wskutek swego ustępstwa w sprawie mego orderu Badeni, acz ulubieniec cesarski, stracił zaraz w pierwszym dniu urzędowania część swego wpływu na cesarza, któremu zawsze imponowała odporność ministrów, — w najuległej formie. I w rzeczy samej, nie minęło wiele tygodni, a hr. Badeni wniósł na prośbę zasłużonego około tronu i monarchji b. ministra skarbu Dunajewskiego o udzielenie orderu żelaznej korony III kl. dla tegoż syna Stanisława, ustępującego na żądanie ojca z ministerstwa handlu, gdzie wbrew życzeniu ojca umieścił go był przy uproszonej mojej pomocy też minister Madejski. Jakkolwiek order tej klasy należał się młodemu D. jako radcy namiestnictwa, cesarz, nie pytając się już tym razem Badeniego, załatwił ten drugi jego wniosek orderowy na piśmie słowami: „Ich finde diesem Antrage keine Folge zu geben“. A to znowu było dla mnie nauką na całe moje życie ministerjalne: z rąk moich otrzymało odznaczenia cesarskie wiele setek urzędników i służby, co do których nigdy nie doznałem rekuzy, owszem zawsze sobie naprzód wyjedynałem ustnie aprobatę cesarską! Ale dość już o orderach.

Rząd nasz był u steru tylko 26 miesięcy; ale Clio zapisała na naszych kartach historję zenitu wysokiego stanowiska rządu

i zarazem najniższego upadku tak tego rządu, jak wszystkich następnych.

Na dzień 3 października wyznaczył cesarz radę ministrów pod swoim osobistym przewodnictwem. Za rządów późniejszych już takich posiedzeń niebывało. Tego samego dnia przed południem odbyło się moje pożegnanie z personelem kolei państwowych. Była to jedna z najpodnioslejszych chwil życia mojego. W hali przyjazdowej dworca kolei zachodniej zgromadziło się kilka tysięcy osób z personelu kolejowego całej Austrii. Z trybuny przemówiłem do nich słowa pożegnalne, a odpowiedzi ze strony przywiązanego do mnie bardzo personalu były tak gorące i pełne wdzięczności, że z trudnością mogłem się od łez powstrzymać. W posiadaniu mojem jest wielki obraz w kolorach wodnych, przedstawiający tę scenę, ofiarowany mi przez uczestników. Minęły te czasy, najpiękniejsze dla mnie i dla żony mojej drogiej.

Wprost z kolei wyjechałem do Burgu, gdzie cesarz zgromadził nas na konferencję ministerjalną w sali audjencjonalnej, tuż przed swoim pokojem biurowym. Było to właściwie tylko powitanie ze strony cesarza, który je zakończył słowami, wyrażającymi nadzieję, iż „w życiu swoim nie będzie już potrzebował ustanawiać nowego rządu“. Takie to były jego afekta dla Badeniego (jużci nie dla nas reszty!), takie były nasze widoki: rząd na dożywocie u cesarza! A jaki straszliwy potem upadek we 2 tylko lata! Ale wtedy wszyscysmy w to wierzyli, publiczność widziała w nas mężów opatrnościowych: ubiegali się o względy Badeniego Niemcy i Czesi, myśmy musieli zająć mieszkania w gmachach ministerstw (co mnie było z zasady niemiłe!), ażeby udokumentować niejako nasze „wieczyste urzędowanie“. Toż po powrocie mej żony z Cieplic i myśmy się przesiedlili na Himmelportgasse do wspianiałego pałacu księcia Eugenjusza Sabaudzkiego, budowy mistrza Fischera von Erlach. W przepysznych jego salach przyjmowała moja żona z właściwą sobie

dystyncją i uprzejmością w soboty wieczorem, gromadziła tam bez osobnych zaproszeń setki towarzystwa, dygnitarzy obu państw i dyplomację (był też tam raz biskup poznański, słynny ugodowiec pruski ks. Stablewski, spoglądający z zachwytem na stanowisko Polaków w Austrii), całe towarzystwo polskie i młodzież do zabaw i tańców. Co zimy było takich przyjęć 131 Cyfra feralna zapewne! O obiadach, kolacjach, przyjęciach dziennych prawie nieskończonych, „o czwartkowych“ przyjęciach popołudniowych — często do 100 osób — w sali „żółtej“ nic nie mówił! Żona była mi prawdziwą i nieocenioną podporą w rządzie!

Około połowy października udałem się z Badenim do Budapesztu, celem przedstawienia się tamtejszemu rządowi bar. Banfyego i zainicjowania spraw ugody węgierskiej, której odnowienie przypadało na koniec r. 1897. Była to druga wielka sprawa, która nas miała zgubić. Pierwszą była sprawa Luegera. W Peszcie zastaliśmy ministra spraw zagr. hr. Gołuchowskiego, który zaraz rano przybył do mieszkania Badeniego i odbył z nami we trójkę konferencję. Jako minister monarchji nalegał Gołuchowski na przyspieszenie ugody i doradzał w szczególności, nie robienia Węgrom trudności w sprawie równouprawnienia banku biletowego. Ponieważ i ja byłem tego zdania, że bank wspólny, w którego miejsce każde inne państwo miałyby prawo założyć swój własny bank osobny, musi na równi traktować oba państwa, nie wahałem się na konferencji, którą zaraz potem odbyłem z ministrem finansów Lukacsem (późniejszym prezydentem ministrów) przyznać pod pewnymi warunkami równorzędną organizację banku, to znaczy: 2 wicegubernatorów, 2 komisarzy rządowych, równą ilość członków Rady generalnej, 2 główne filje (we Wiedniu i Peszcie). Przyznałem nadto zaprowadzenie przy podatkach spożywczych (piwo, cukier, nafta) tak zw. postępowania przekazowego (Überweisungsverfahren), rozdzielającego dochody z tych podatków według konsumsu w każdym z 2-ch państw, ponieważ ta zasada jedynie

sprawiedliwa została już zaprowadzona za zgodą Węgrów przy podatku od wódki przez mego poprzednika p. Plenera na jego żądanie (wówczas więcej wódki węgierskiej przychodziło do Austrii). W zamian za te dwie koncesje żądałem od p. Lukacsa i otrzymałem też dwie znowu dla Austrii koncesje: 1) pomoc wobec banku, ażeby Austrija otrzymała jako ekwiwalent nowego przywileju znaczną część funduszu rezerwowego (następcy moi otrzymali też udział kwotny w sumie 30 mil. zł. reńskich); 2) znaczne podwyższenie kwoty węgierskiej na wydatki wspólne monarchji. Gdy przybył do Lukacsa hr. Badeni, byliśmy dwaj ministrowie finansów ze sobą już w zgodzie.

Zaraz po powrocie z Pesztu zabrałem w Izbie posłów głos celem przedstawienia mego pierwszego budżetu w r. 1896. W czasie jazdy z ministerstwa do parlamentu upadł koń, zaprzężony do mego powozu; nim go podniesiono, poszedłem z portfelem pieszo, broniąc się w duszy przed wiarą w jakiś zły „omen“; ale było właśnie tym razem, jak się okazało istotnie „omen“. W ciągu mowy, w której sprawy czysto budżetowe nie mogły z natury rzeczy odgrywać jeszcze takiej roli, jak później z powodu przywilejowanych reform, naszkicowałem pokrótce kontury przyszłej ugody węgierskiej w dziale finansowym. Wrażenie było jednak dobre, bo hasło „der Bankparität“ było przez dziennikarstwo wiedeńskie uznawane za narażanie Austrii jakoby na szkody. Natomiast dobre wrażenie zrobiła zapowiedź podwyższenia pensyj wdowich i sierocych po urzędnikach rządowych, a dalej płac urzędników czynnych. Pierwszą z tych spraw podsunął mi listownie mój przyjaciel lwowski Bańkowski, kreśląc nędzę wdów i sierót po urzędnikach. W istocie mogły wszystkie te osoby zasiąść jako żebraczki pod kościołami. Do sprawy tej zabrałem się też zaraz i znalazłem w początku opór u referenta ministerstwa skarbu, który np. nie mógł pojąć, żeby można wdowie przez pierwsze 3 miesiące po śmierci męża przyznać pensję wdowią, skoro miano jej przyznać na pogrzeb męża 3-ech miesięczną tegoż płacę („Sterbequartal“). Ale na

mój rozkaz stało się wszystko potrzebne, wkrótce przedłożyłem Izbie projekt rządowy, któremu stawiała znowu komisja Izby nieskończone trudności, aż wreszcie pełna Izba, okroiwszy tylko pensje wdów po ministrach, przyjęła projekt. Po przyjęciu jeszcze przez Izbę deputowanych kompromisu Izby panów, pomysłu bar. Cz ed i k a, co do pensyj wdów po ministrach, wyszła ustawa pensyjna pod d. 16/4 1896. Była to wówczas prawdziwa „magna charta“ dla świata urzędniczego (gdzieś podobno w Galiacji ciężko chory urzędnik tak długo bronił się od śmierci, aż się doczekał publikacji ustawy!), a ministerstwo skarbu obdarzyło mnie po mojej dymisji obrazem spiżowym haut relief, przedstawiającym apoteozę tej ustawy. Obraz zawiera u dołu mego portretu, wśród wieńca z wawrzynów słowa: „exegit monumentum aere perennius“. Sądzę, że słusznie, bo przyznane pensje wdowie mogły bezpiecznie utrzymać się w czasach normalnych bez zmiany przez pół wieku lub na całe stulecie. Ale wojna światowa, wywracając świat do góry nogami, tak podniosła w swych konsekwencjach ceny, że np. r. 1921 nie wdowa po ministrze, lecz po biednym nauczycielu potrzebuje do życia niezbędnego 6000.— Koron austr. (= 3000.— złr.) nie rocznie, lecz miesięcznie! Już zresztą r. 1915, niespełna w rok po wybuchu wojny, cesarz Franciszek Józef przyznał mojej drogiej żonie na wypadek jej wdowieństwa 16.000.— Kor. Dziś nie byłoby jej to starczyło na miesiąc.

Tymczasem zbliżała się do nas druga sprawa polityczna, dla nas zabójcza: zatwierdzenie wyboru Luegera. Polegając na słowach Badeniego w hotelu Imperial, że mamy co do Luegera zupełną swobodę decyzji, działałem ze swej strony za zatwierdzeniem, tak wobec Badeniego i jego doradcy ówczesnego p. Koźmiana, jak w Radzie ministrów. Na posiedzeniu Rady ministrów traktowano tę sprawę za udziałem namiestnika Kielmannsegga, który z prezesa ministrów wrócił był na dawne namiestnikostwo. Na Radzie ministrów posadził go był Badeni na końcu stołu i dopiero na uwagę Gautscha

poprosił go do swego boku! Otóż po świetnych wywodach na miestnika ja postawiłem wniosek, ażeby cesarzowi przedstawić Luegera do zatwierdzenia. Za moim wnioskiem oświadczyli się wszyscy z wyjątkiem Gautscha i Gleispacha (min. sprawiedliwości). Ileżby rzeczy wyglądało choćby dużo później w Austrii inaczej, gdyby ten wniosek został wykonany! Ale już po posiedzeniu wyrzekł Badeni dziwne słowa: „Ich fühle mich kräftig genug, diesen Antrag bei S-er Majestät durchzusetzen!“ To znaczy, że cesarz był już z góry uprzedzony przeciw Luegerowi. Mogłem to już być wnieść z rozmowy Badeniego i mojej z Banffyem, który w imię wrogich Luegera wystąpił przeciw Węgrom, starał się nas nakłonić przeciw zatwierdzeniu wyboru. Zdaje się, że węgierski prezes ministrów, będąc w sierpniu w Ischlu już wtedy preokupował cesarza ze stanowiska interesów węgierskich, bardzo zawsze dla cesarza wrażliwych; a przecież za rządów Windischgrätza sam cesarz był za zatwierdzeniem. Teraz było inaczej. Nawet później, gdy po odmowie zatwierdzenia, Lueger w przemowach swoich wraz z całym stronnictwem antysemitycznym zachowywali się bardzo opozycyjnie, cesarz spytał się Badeniego: „Na was sagt denn der Biliński zum Lueger? Möchte er immer noch, ihn bestätigen?“ Ale i sam Badeni był podobno, wbrew swoim zapewnieniom, zaangażowany przeciwko zatwierdzeniu, jak się to jasno zarysowało było już w Pradze. Przekonałem się o tem później, a tymczasem szły sprawy w szybkim tempie dalej.

W dzień owej Rady ministrów czy też nazajutrz było nas kilku ministrów z Badenim proszonych na obiad do Chlumetzkiego (dawnego ministra, a ówczesnego prezydenta Izby posłów) w gronie licznych polityków niemieckich. Był tam także obecny dyrektor kancelarii Izby posłów, radca dworu, późniejszy szef sekcji Dr Henryk Halban, człowiek wielkiej inteligencji i wielkiego zmysłu politycznego, ale trochę „totumfacki“ i cokolwiek zarozumiały. Należał on do członków gwardji Badeniego, z których każdy miał najwięcej wpływu wtedy, gdy roz-

mawiał ze szefem ostatni w nocy. W czasie obiadu, będąc w gronie samych przyjaciół naszych politycznych — bo Niemcy widzieli początkowo w Badenim „Sobieskiego“ i pisali to wyraźnie — nie wahał się opowiadać jawnie o uchwale Rady ministrów. Opozycji przeciw temu nie było widać. Ale wychodząc z obiadu, słyszę na schodach od Halbana, że Chlumetzki mu oświadczył, iż składa prezydenturę i 60-u członków klubów niemieckich złoży mandaty. Podbiegłem na ulicy do Badeniego, żeby mu to powtórzyć, poczem Halban otrzymał polecenie — dla spóźnionej pory nocnej — pójść zaraz rano do Chlumetzkiego i starać się rzecz mu wytłumaczyć. Tymczasem rano nie było go już we Wiedniu, wyjechał na wieś. Z polecenia prezesa gabinetu udał się Halban do miejsca pobytu Chlumetzkiego z przedstawieniami, ale powrócił ze stanowczym odkoszem.

Tym sposobem stanęliśmy wobec sytuacji zupełnie zmiennej: oparłszy politykę na Niemcach, którym Badeni w pełnej Izbie wyraził ich zasługę epitetem „der voranleuchtende Rektor“, znaleźliśmy się raptem przed opozycją Niemców i wysłęgo z ich łona wpływowego prezydenta Izby. Należało przeto zrewidować postanowienia rządu. Na nowej radzie ministrów przedstawił prezes stan rzeczy, a ja sam postawiłem umotywowany wniosek odmówienia zatwierdzenia, ale z dodatkiem, że na tej linii pozostaniemy twardo aż do końca. Wniosek ten przyjęto jednogłośnie, cesarz odmówił zatwierdzenia wyboru; w okolicach ratusza powstały zaburzenia; nastąpił ponowny wybór Luegera, który został znowu uchylony; w parlamencie znaleźliśmy bardzo gwałtowny opór po stronie prawicy, zwłaszcza u Niemców konserwatywnych przeciw krokowi, którego pierwotnie odradzał mi nawet szef domu bankowego Adalbert Rotschild, właśnie ze stanowiska interesów żydowskich i którego gorliwym przeciwnikiem był mądry brat premiera, Stanisław Badeni. I cóż się wkońcu stało? Wbrew dodatkowi do uchwały Rady ministrów Badeni na wiosnę r. 1896 zniósł się po za plecami Rady

ministrów z Luegerem, wysłał go do cesarza, który mu da nibyto admonicję, kazał tymczasowo za zgodą Luegera wybrać innego burmistrza, małego handlarza ksiązek szkolnych Strohbacha, a po tegoż dobrowolnem wkrótce ustąpieniu zatwierdzić nowy wybór Luegera. Ale nie zyskał Badeni w nim przyjaciela, jeno sojusznika, który acz był chustą czerwoną dla Niemców, nie wahał się w listopadzie 1897 gwoli Niemcom jawnie go opuścić i z rampy parlamentu, oznajmić ludowi upadek rządu, wrogiego Niemcom! Rządowi swemu zaś zadał tensam Badeni cios, od którego już nie mogliśmy się nigdy podnieść, w ciągu naszej 1½ rocznej jeszcze egzystencji. Powaga, prestige rządu, autorytet jego przepadły.

Miał Taaffe rację, przestrzegając przed Chlumetzky, jakkolwiek ten ostatni dużo później wyłumaczył mi postępowanie swoje jak następuje. Oto w sierpniu 1895, to znaczy przed obiadem wrześniowym w Pradze, Badeni, przybywszy do Wiednia, układał się z Chlumetzky, jako zastępcą stronnictw niemieckich. Gdy go tedy Chlumetzky spytał: „Wie denken Excellenz über die Wiener Frage?“, odrzekł Badeni: „Wiener Frage? Sie meinen die Bestätigung des Lueger? Solange auf meiner flachen Hand keine Haare wachsen, werde ich Lueger nicht bestätigen“. Na to miał Chlumetzky wyraźnie przestrzegać Badeniego przed takim zobowiązaniem, dodając, że chętnie przedstawi stronnictwom ewentualną konieczność zatwierdzenia i wyperswaduje im ją. Ale Badeni nie dał sobie o tem mówić, poczem Chlumetzky przyjął wobec Niemców imieniem Badeniego stanowcze zobowiązanie, że Lueger na żaden sposób nie będzie zatwierdzony. Stąd musiał Chlumetzky odpowiedzieć na uchwalone w Radzie ministrów zatwierdzenie dymisją swoją i swoich przyjaciół politycznych. Jeżeli zaś to wszystko, co mi opowiadał na jakimś obiedzie Chlumetzky, było prawdą — a w polityce wolno niestety mijać się z prawdą — to Badeni był istotnie zaangażowany, jak to czułem już w Pradze

i wbrew temu, co mi na drugi dzień mówił we Wiedniu. I ztąd jego wątpliwości po uchwale Rady ministrów, ztąd łatwość uchylecia tej uchwały. Ale dlaczego dopuścił do tej uchwały? Dlaczego przynajmniej nie skorzystał z propozycji namiestnika Kielmannsegga, który mi o niej opowiadał także wiele lat później. Opór Niemców liberalnych przeciw Luegerowi pochodził z antypatii przeciw polityce nieliberalnej antysemityzmu, którym Lueger walczył od szeregu lat bezskutecznie w parlamencie i którego zwycięstwo w Radzie miejskiej dodawało siły w Izbie posłów. Otóż namiestnik, który jak wspominałem, był pomocnikiem burmistrzostwa Luegera, przyniósł Badeniemu ułożony z Luegerem na piśmie kompromis, mocą którego nowy burmistrz zobowiązywał się w razie zatwierdzenia złożyć mandat do Rady państwa i nie przyjąć ponownego do Izby wyboru. Badeni bez dyskusji odrzucił ten wniosek i ten kompromis oświadczając, że sobie bez tego da radę z Luegerem. A jak niestety dał sobie radę! Jak byłaby była poszła polityka wewnętrzna w Austrii, gdyby jedyny zdolny przywódzca antysemityzmu, genialny niemal i brutalny zarazem Lueger nie był przewodził stronnictwu drobnych kupcyków i rzemieślników w parlamencie. I jakie byłoby było nasze stanowisko jako rządu, gdybyśmy byli rozwiązali kwestję Luegera ku zadowoleniu Niemców, tak liberalnych, jak antyliberalnych! Ale szef nasz nic nam niestety o tem wszystkim nie opowiadał, ani się swoich kolegów nie radził, a Halban, Ejein (dziennikarz czeski) i nawet Koźmian nie mieli siły, by go utrzymać na drodze racjonalnej! Brat jego zaś Stanisław nie odradzał mu z zasady, ufając w zmysł polityczny i szczęście dotychczasowe Kazimierza. Wiem to od samego Stanisława.

Ja osobiście byłem tem wszystkim bardzo dotknięty, a miałem niestety dość kłopotów własnego ressortu.

Pan Koerber zastał w Generalnej dyrekcji kolei państw. wypracowany na moje jeszcze zlecenie przez bar. Alfreda

Buschmana na projekt reformy kolei państwowych. Wychodząc z założenia, że Generalna dyrekcja doszła rozmiarów władzy centralnej, której naczelnik bez moich pomocniczych wpływów politycznych u rządu i w parlamencie nie potrafiłby już podołać, postanowiłem właściwy zarząd decentralizować, to znaczy oddać go w ręce dyrekcji w poszczególnych krajach na podobieństwo doskonałych zarządów dyrekcji prywatnych kolei austr. np. kolei północnej, lub zarządów państwowych w Prusach. Pośrednio między dyrekcjami a stacjami i innymi lokalnymi organami władzę miały wykonywać inspektoraty w trzech działach służby egzekucyjnej. Zaś powstałe na miejsce Generalnej dyrekcji ministerstwo kolei miałoby, podobnie jak każde inne ministerstwo, tylko rozstrzygać rekursy, dopuszczalne w ważnych wypadkach i wydawać przepisy zasadnicze. Gen. dyrekcja miałaby więc była oddać przeważną część swych atrybucji, tj. całą władzę egzekucyjną w ręce poszczególnych dyrekcji, a resztę ministerstwu. Że poszczególne dyrekcje, musiały z natury rzeczy być rozlokowane po wszystkich krajach koronnych, to było w oczach władz wojskowych i sfer centralistycznych niebezpieczną „decentralizacją“, jakkolwiek istniało już we wszystkich innych działach administracji państwowej. Ale może właśnie dlatego był temu przeciwny p. Koerber. Na życzenie jego odbyła się u mnie w domu jeszcze konferencja z nim i Kniaziołuckim, na której p. Koerber tak gorąco prosił mnie o ustępstwo na rzecz jego projektu „centralistycznego“, że nie ponosząc już odpowiedzialności za administrację kolejową, musiałem niestety zrobić ustępstwo. I stało się, co przewidywałem i przepowiadałem. Projekt p. Koerbera przejął i opracował, już za moim współudziałem konferencyjnym, mianowany w sierpniu 1896 ministrem kolejowym generał Gutenberg, a skutkiem tego stały się dyrekcje rozwlekłym organem bez władzy, zaś ministerstwo kolejowe pozostało olbrzymiejącą coraz bardziej Generalną dyrekcją, którą prześcignęło ociężałością i rozmiarami iście bajecznymi.

Dr Koerber zaś, ustąpiwszy z kierownictwa Generalnej

dyrekcji, nie powrócił już do min. handlu, gdzie był przez lata całe, „mamką“ prezydjalną ministrów Bacquehema i Wurmbanda, lecz został przeniesiony jako I. szef sekcji do ministerstwa spraw wewnętrznych, przyczem powiodło się usiłowaniom moim wyjednać mu u hr. Badeniego, mimo tegoż oporu, pożądaną przez Koerbera godność tajnego radcy. Teraz dopiero stanął Koerber jako pełny kandydat ministerjalny i został też zaraz po naszym upadku ministrem handlu (u Gautscha), potem ministrem spraw wewnętrznych (u Claryego) a od r. 1900 prezydentem ministrów. W pełnej gali przyszedł wówczas p. Koerber do mego biura przy Himmelfortgasse dziękować mi za tę pomoc; a cała jego przyjaźń późniejsza dla mnie była oparta na wrodzonej mu rzadkiej wdzięczności*).

Właściwe sprawy skarbowe zaprzętnęły mnie zaraz po powrocie z Pesztu na polu podatków bezpośrednich. Najpierw chodziło o podatek gruntowy, którego regulacja — co lat 15 — przypadała na r. 1896. Zastałem rzecz w komisji, gdzie stronnictwa domagały się opustu stałego aż do sumy 2 milionów złr. Była to naówczas suma tak ogromna, że się jej musiałem oprzeć i przeprowadziłem w komisji uchwałę opustu $\frac{3}{4}$ miliona. Bardzo zadowolony tym sukcesem, przybyłem w kilkanaście dni potem na posiedzenie Izby, gdzie miały być traktowane wnioski komisji. Przy wejściu do sali oczekiwał mnie Badeni, który mi odebrał wszelkie iluzje. Zaczął mi perswadować, że tak Koło polskie, jak konserwatyści czescy są rozgorzyczeni skromnością opustu, że żądają powrotu do sumy 2 milionów, że należy im ustąpić i że byłoby najlepiej, gdybym się zaraz udał na posiedzenie komisji parlamentarnej Koła polskiego, i dobrowolnie

*) Czytałem dalej te zapiski moje w d. 23 września 1921, w 50-letnią rocznicę zaślubin, którą niestety zamiast upragnionego złotego wesela rozpocząłem święcić gorącemi łzami i nabożeństwem żałobnem w kościele Polskim na Rennweg. Ale i dziś, musząc żyć dalej bez Niej, bez Słońca mego, składam serdeczne dzięki Bogu Najwyższemu za szczęście najwyższe, jakie mi raczył darować przed laty 50-u u boku żony niezrównanej, niedoścignionej!..

przyznał opust 2 milionów. Cóż było robić z szefem, który dla celów politycznych doradzał ustępstwa? Poszedłem do Koła polskiego, dałem oświadczenie przyjęte z radością; poczem zaraz w Izbie posłał Eugenjusz Abrahamowicz (zmarły już dawno krewny Dawida) wniósł poprawkę na 2 miliony, z powołaniem się na moje przyzwolenie. Ale na tem długo jeszcze nie było końca sprawy. Najprzód zaraz po posiedzeniu Izby, jeszcze w pokojach ministerjalnych parlamentu, zainterpelował mnie minister obrony krajowej hr. W e l s e r s h e i m b dla czego zrobiłem ustępstwo stronnictwom. Ponieważ B a d e n i wcale nie odpowiedział, odrzekłem, że musiałem to zrobić, ale chętnie będę bronił sprawy w Izbie w zakresie skarbu i potrzeb armji; lecz W e l s e r s h e i m b nie interesował się na radach ministerjalnych niczem, czytając wśród najważniejszych rozpraw dzienniki, a tylko, gdy usłyszał wyrazy „monarcha“ lub „armja“, odkładał gazety, zapisywał się do głosu i dyktował do protokołów (dla cesarza) obszernie dytyramby o znaczeniu Korony i armji. Na drugi dzień przemawiałem też w Izbie, mimo kolizji z Kołem polskiem, oględnie ale ostro przeciw wnioskowi polskiemu, który jednak po bardzo ostrych atakach, ks. Fryderyka S c h w a r z e n b e r g a (mego do swej śmierci przyjaciela politycznego) na mnie, został ogromną większością przyjęty. Pogodziwszy się z tym faktem, spotykał w kilka dni później na parkietach Izby hr. B a d e n i e g o, który z uśmiechem mi mówi, że mu cesarz opowiadał o skardze W e l s e r s h e i m b a na moją ustępliwość. Widząc, że szef wcale nie ujął się za mną, odrzekłem opryskliwie, że ja takiego postępowania nie zniosę i raczej najbliższym razem wystąpię z rządu. Już wtedy — nie pomnę, czyto było jeszcze r. 1895 czy już 1896 — B a d e n i e nie znalazł słówka cieplej odpowiedzi na mój słuszny żal, boć on sam był powodem tej ustępliwości, o czem widocznie nie wspominał cesarzowi. To też nie długo potem, gdy zaczął toczyć z Czechami rokowania o rozporządzenia językowe, odwiedził późną nocą, potajemnie posła prof. K a i z l a (Czecha) w tegoż mie-

szkaniu przy Florianigasse, aby mu ofiarować tekę skarbu w moje miejsce. I to bez mojej wiedzy!.. Ale i na tem jeszcze nie koniec sprawy podatku gruntowego. Oto w rok lub dwa już po dymsjii gabinetu, odwiedziłem raz w Krakowie ministra Dunajewskiego i rozmawiałem o upadku rządu Badeniego. W ciągu rozmowy rzekł Dunajewski do mnie: „Jednak pierwsze znamię słabości rządu, było ustępstwo Pańskie w sprawie opustu podatku gruntowego o 2 miliony“. Gdy zaś na to opowiedziałem mu całą historję tej nieszczęsnej sprawy, odrzekł Dunajewski: „A to szczególnie! Bo gdy to samo co Panu zarzuciłem Badeniemu, otrzymałem od niego odpowiedź: „Ha, cóż, Biliński lekkomyślnie zrobił ustępstwo“. Z taką nieszczerością trudno chyba było rządzić skutecznie.

Druga kwestja z dziedziny podatkowej to podatek dochodowy. Mój poprzednik Ernest Plener poświęcił był cały swój czas, wolny od akcji politycznej, wprowadzeniu podatku dochodowego racjonalnego i mimo opozycji czeskiej przeprowadził w Izbie posłów znaczną część ustaw. Tylko ustawa finansowa o rozdziale nowych dochodów między państwo i kraje nie mogła już być uchwalona przez parlament. Ja tedy musiałem najprzód do tej części uzyskać aprobatę Izby, co nie było wielką sztuką. Dużo natomiast miałem trudności w przeprowadzeniu całego operatu w Izbie Panów, gdzie wielka szlachta była usposobiona bardzo nieprzychylnie. W pierwszej chwili hr. Khevenhüller wprost zamierzał przeprowadzić odmowę, czemu się oparłem stanowczo, świadom pomocy samego cesarza, który mnie do tego upoważnił. Po tem rozpoczęły się rozwickłe obrady komisji. Jeżeli zaś tam było powodzenie, zawdzięczałem to Ignacowi Plenerowi (ojcu), byłemu ministrowi skarbu w r. 1862, który jako prezes komisji mógł dzięki swemu wiekowi (między 80 a 90 lat) i swej powadze wprost teroryzować członków komisji, nie dopuszczając ich wcale do głosu, lub przerywając mowy dłuższe. Ja ze swej strony trzymałem się tej taktyki, że starałem się skłonić komisję w jej tendencjach

do zmian w projekcie Izby posłów, do skoncentrowania poprawki do jednego punktu zasadniczego, wreszcie do jawności fasyj podatkowych, która była dla szlachty, zwłaszcza konserwatywnej, przedmiotem namiętnego oporu. To mi się ostatecznie powiodło; przyjęto całą ustawę bez zmian, a tylko uchylono jawność. Gdy zaś sprawa weszła na narady pełnej izby Panów, zabrałem głos i zdołałem względami na interesy państwa, porwać większość za odrzuceniem poprawki. Tak to ustawa została przyjęta przez obie Izby w jednym brzmieniu, otrzymała w paźdz. r. 1896 sankcję cesarską i weszła w d. 1/1 1898 (w cztery tygodnie po mojem ustąpieniu) w życie. Rozporządzenia wykonawcze zostały wypracowane jeszcze za moich rządów. Austrija stanęła pod względem podatkowym na gruncie cywilizacji europejskiej!

Podatki konsumcyjne (pośrednie) przygotowywałem, jak wspomniano, w związku z ugodą węgierską. O ile jednak o to, niemniej o bank toczyły się skuteczne z Węgrami układy, kwestja „kwoty“ była ciągle przedmiotem wojny podjazdowej. *L u k a c s* był lojalny i dał mi na wiosnę 1897 na piśmie odpowiedź z obowiązkiem podwyższenia kwoty węgierskiej na cele wspólne; dziwnym trafem akt ten przepadł w ministerstwie austriackim po mojem odejściu, tak że przyszedłszy powtórnie do władzy w r. 1909, kazałem go szukać bezowocnie. Istnienie tego faktu potwierdził mi w paźdz. 1918 r. minister wspólny skarbu *Spitzmüller*, który w 1897 r. był moim urzędnikiem przydzielalnym i już wtedy bardzo się zajmował sprawami ugodowymi. Trudno nie dopatrywać w całym tym fackie niezbyt godziwej intrygi sfer węgierskich! *Banffy* zresztą wprost utrudniał załatwienie kwestji „kwoty“, jakkolwiek sam był nam ofiarował rozwiązanie Izby posłów węgierskiej, rozpisanie nowych wyborów z platformą podwyższenia kwoty. Przy nowych wyborach r. 1897 istotnie ministrowie i ich szef stawiali w mowach kandydackich programatyczne podwyższenie kwoty węgierskiej. Gdy jednak *Banffy* mimo to przy każdej sposobności żalił się na mnie z powodu mojej akcji kwotowej, skorzystałem ze sposobności rady

ministrów pod przewodnictwem cesarza na wiosnę 1897, (po otrzymaniu listu Lukacsa), ażeby rozwinąć z obszernymi motywami moje żądanie. Banffy bronił się wszelkimi siłami; gdy jednak przy końcu obrad cesarz oświadczył: „Ich muss sagen, der östereichische Finanzminister hat vollkommen recht; Ungarn muss eine anständige, ich wiederhole, eine anständige Erhöhung der Quote zu Gunsten Oesterreichs zugestehen“, — dał Banffy kominka i odrzekł: „Also wenn Euere Majestät dieser Anschauung sind, so würde ich vorschlagen, dass demnächst bei Gelegenheit Euerer Majestät Anwesenheit zur Enthüllung des Maria-Theresien Denkmals in Pressburg unter a. h. Vorsitz eine Beratung zwischen mir und Bádèni (tak zawsze akcentował nazwisko Badeniego) stattfinde, und da werden wir uns verständigen“. Naturalnie, że się cesarz zgodził na ten projekt filuta, który w ciągu kilku minut rozważył: 1) że do Pressburga ja jako minister ressortowy nie będę proszony, 2) że w ciągu uroczystości węgierskiej i „homagialnych“ zapewnień Węgrów cesarz mu nic nie zdoła odmówić. I dobrze wszystko obliczył! Uroczystość wypadła świetnie, uczestniczył w niej B a d e n i, ale ja nie zdołałem wydobyć od niego aż do upadku naszego ani słowa co do przebiegu konferencji dwóch prezesów ministrów. Po za mojami plecami wiedzieli o niej inni, niepowołani ministrowie ressortowi, ale mi nic nie opowiadali, sądząc, że naturalnie ja to muszę wiedzieć przedewszystkiem. Dopiero sporo lat później zgadało się o tem z ministrem Gleispachem, który bywał u nas zawsze; gdy jako prezydent sądu apelacyjnego w Grazu przyjeżdżał do Wiednia, a po któregoś śmierci pomagałem przez lata jego rodzinie, zwłaszcza dziełnej jego córce Joannie, w rozwikłaniu tragicznych iście stosunków majątkowych. Gleispach, bardzo z natury wesoły, odrzekł na moje zapytanie ze śmiechem: „No, konferencja się odbyła, ale Banffy postawił kwestję gabinetową, a na to Bádèni i cesarz ustąpili“. Taka to była moja dola!

Na r. 1897 przypada jeszcze jedna akcja moja. W jesieni 1896 przedłożyłem Izbie budżet na rok 1897, rozdzielony na dwie części: budżet zwyczajny i inwestycyjny; na pokrycie inwestycji zaproponowałem emisję papierów $3\frac{1}{2}$ procentowych (Investitionsrente). Inwestycji domagała się ludność słusznie w krajach i w parlamencie; w erze 4% renty było dla skarbu i gospodarstwa społecznego obniżenie stopy procentowej wobec danej sytuacji targu pieniężnego możebne i dobroczynne. Ale w parlamencie robiono mi niesłychane trudności i z jednym i z drugim. Nawet Koło polskie, marzące wiecznie o inwestycjach, wysłało przeciw mnie mowę Pinińskiego. Stopą niską nikt się nie zachwycał. Po długich walkach przeprowadziłem swoje projekta w komisji budżetowej i w Izbie, poczem, lawirując między dwiema grupami bankowemi: (Unionbank z prezydentem hr. Dubuskym i berliński Mendelsohn z jednej strony, grupa Rotschilda z dyr. Gustawem Mauthnerem z drugiej) zdołałem sprzedać 130 milionów guldenów renty $3\frac{1}{2}\%$ po $93\frac{1}{2}$ za sto. Interes ten, finansowo najświetniejszy, jaki przedtem i potem kiedykolwiek zawarł skarb austriacki, pozostał niestety unikatem, bo już w parę dni po jego zawarciu wybuchła wojna grecko-turecka. Bywała wprawdzie w monarchji w pierwszych latach bieżącego stulecia — i to znowu przypadkiem za moich rządów w banku austro-węgierskim — stopa procentowa bankowa $3\frac{1}{2}\%$ przez dwa przeszło lata. Ale w kredycie państwowym objawił się skutek tego faktu w szczęśliwej konwersji renty wspólnej z $4\frac{2}{3}\%$ na 4%. Tamtym razem zaś, t. j. r. 1897 skończyłem, właśnie z uwagi na grożącą wojnę, ze silniejszą grupą Rotschilda (ku wielkiemu żalowi słabszej), ale przy tej sposobności włożyłem na nią warunek, by do swego konsorcjum przyjęła Pocztową Kasę Oszczędności. Był to pierwszy krok na drodze do kierującego stanowiska, jakie Poczta Kasa Oszczędności zajęła z czasem, i to znowu za moich rządów w r. 1910, na polu kredytu państwowego. Wówczas był dyrektorem, później na mój wniosek gubernatorem kasy p. Schu-

ster, który po niedługim stosunkowo epizodzie jako minister handlu, powrócił do niej znowu. Ale duszą działu kredytu państwowego był już w r. 1897 zastępca dyrektora, p. Leth, później wicegubernator i dalej gubernator, potem minister skarbu, a w końcu gubernator Bodenkreditanstalt po Siegharcie. Leth przy każdej sposobności przypominał mi moje zasługi około Kasy Pocztovej.

W roku 1897 weszła na porządek dzienny najważniejsza i najniezwyklejsza sprawa: czeskie rozporządzenia językowe. Hr. Badeni już przy objęciu rządów przyrzekł Czechom takie rozporządzenia, naturalnie (!) na własną rękę, bez upoważnienia rządu. Rozpocząwszy prace odnośne, wciągnął do nich oprócz ministra Rittnera przedewszystkiem hr. Gleispacha, który jako minister sprawiedliwości i Niemiec najlepiej się nadawał do tej akcji. Także w przelicznych rokowaniach z Niemcami używał prezes pomocy i pośrednictwa Gleispacha. Ja byłem sam jedyny obecny na konferencji z posłami i przywódcami Niemców czeskich. Odbywała się ona w nocy, a ja byłem tak wyczerpany pracą własną, że nie mieszałem się do dyskusji, której całości nie znałem wcale. Niejednokrotnie kleiły mi się oczy; ale to jedno mogę potwierdzić, że Niemcy jak jeden mąż opierali się rozporządzeniu i odradzali stanowczo ich wydania. Równocześnie zresztą Badeni, także zapewne przez Gleispacha, traktował z posłami kurji większej własności niemieckiej w parlamencie o poparcie zamiarów rządu. Skończyło się podobno na tem, że kurja stanie po stronie rządu, a poseł jej Dr Baernreither wstąpi do rządu tuż po wydaniu rozporządzeń, jeśli się nie mylę, współ z prof. Kaizlem (Czechem), z dawna już zaprzyjaźnionym z Badenim. Projekt rozporządzeń był kilkakrotnie przedmiotem obrad gabinetu, ale tylko co do szczegółów, bo zamiar ich wydania był z góry bez gabinetu powzięty.

Rozporządzenia ujrzały światło dzienne zdaje mi się 2/4 1897 i wywołały natychmiast trojaki skutki: najprzód okrzyk

oburzenia w opinii niemieckiej, a w dalszym ciągu groźbę obstrukcji Niemców w Izbie, powtórnie zaś zawahanie się rządu węgierskiego w dotrzymaniu zobowiązań ugodowych, zwłaszcza co do „kwoty“ wobec rządu zagrożonego obstrukcją, a po trzecie utworzenie w Izbie większości antyniemieckiej. Wszystko doprowadziło wkrótce do przesilenia rządowego. Zwołał nas wszystkich ministrów hr. Badeni na poufną konferencję, gdzie oświadczył nam, że wniósł do cesarza prośbę o dymisję całego gabinetu (naturalnie bez naszej wiedzy) i że cesarz zwołał z tego powodu radę ministrów pod swoim przewodnictwem. Na drugi czy trzeci dzień wyjeżdżaliśmy wszyscy uroczyście z ministerstwa spraw wewnętrznych, gdzie Badeni urzędował i mieszkał do Burgu. Przed wyjazdem oświadczył sam Badeni: „Ihr könntet ja bleiben, aber ich bin so engagiert, dass ich unter allen Umständen gehen werde“. Po przybyciu do Burgu wezwał adjutant cesarski Badeniego z polecenia cesarza do tegoż biura. Po niejkiej chwili (nie sądzę, by to był cały kwadrans) wrócił Badeni i zaraz bez słówka rozmowy z nami, poprowadził nas do sali posiedzeń. Cesarz zagał obrady bardzo łaskawie z poleceniem, by każdy z nas objawił swoje zdanie o sprawie. O ile pamiętam mówiło nas czterech: najprzód ja i Rittner, potem Gleispach i Gautsch. Ja, a po mnie Rittner — stanęliśmy na stanowisku, że z uwagi na stwierdzoną przed 24 godz. w parlamencie większość prawicy przeciw-niemieckiej (przystąpili do niej bez wiedzy Badeniego i ku jego gniewowi Polacy — Jaworski nie był premiera przyjacielem!) należy się oprzeć na tej większości jako rząd parlamentarny; Gautsch i Gleispach przemawiali za utrzymaniem charakteru rządu urzędniczego (wszak Gautsch bardzo się gorszył, gdy ja z końcem 1896 przyjąłem ponownie mandat stanisławowski!). Po wyczerpaniu dyskusji pyta cesarz: „Was meint der Herr Ministerpräsident?“ Na to odpowiada Badeni dosłownie: „Also wenn Euere Majestät der Anschauung sind, dass wir ins Wasser springen, so werden wir es tun!“ Na to

cesarz uradowany uchyła dymisję, wyraża nam zaufanie i utrzymuje rozporządzenia w mocy z uwagi na dane Czechom przyrzeczenie. Oświadczenie Badeniego było oczywiście wynikiem kilkuminutowej rozmowy przed konferencją, było ono w rażącej sprzeczności z danem nam członkom gabinetu przed wyjazdem na konferencję oświadczeniem i stało się źródłem kilkumiesięcznych walk parlamentarnych, zakończonych haniebnym upadkiem rządu.

Po ogłoszeniu pisma odręcznego z wyrażeniem zaufania do rządu przeszły stronnictwa niemieckie do gwałtownej obstrukcji z hasłem „Aufhebung der Sprachenverordnungen“. Rozpoczęły się sceny nie do opisanego, stawiano nas w stan oskarżenia, posiedzenia trwające bez przerwy 1½ doby, insultowanie ministrów (Gleispach nie mógł dokończyć mowy, Baden i wyzwał Wolfa za obelgi na pojedynek) itd. Dla mnie było konsekwencją obstrukcji: najprzód wycofanie się rządu węgierskiego z obowiązku podwyższenia „kwoty“, potem znikanie nadziei przeprowadzenia ugody węgierskiej w nowej ułożonej formie, w końcu konieczność uczynienia pierwszych kroków na polu stosowania § 14 konstytucji. Swoją drogą czyniliśmy to nie przeciw konstytucji, lecz raczej z obawy o jej naruszenie. Kredyty budżetowe mogliśmy w danym razie przekroczyć, ale woleliśmy wydać na mocy § 14 rozporządzenie o kredytach dodatkowych; podobnie było z ulgami od podatku naftowego dla produktów używanych w przemyśle. A przecież i te pierwsze próby nie były miłe cesarzowi. Jak zawsze wielki mąż stanu, odezwał się do mnie, gdy mu przyniosłem do zatwierdzenia rozporządzenie o kredytach dodatkowych: „Aha, da wollen Sie diese Kredite sich selbst bewilligen!“ Co za świetna konstrukcja konstytucyjna, co za delikatne poczucie obowiązków konstytucyjnych. To też Rząd, a przynajmniej ja osobiście, nigdy bym nie był zastosował § 14 do spraw ważnych i zasadniczych. Niejednokrotnie czytałem w dziennikach, że rząd Badeniego przeprowadził ugodę węgierską na mocy § 14-go: tak łatwo i prędko dziś się wszystko

zapomina! Bo rzeczy stały odwrotnie. Po zwołaniu parlamentu na sesję jesienną, przekonawszy się, że cała ugoda nie da się już przeprowadzić z powodu obstrukcji, przedłożyliśmy parlamentowi ustawę tymczasową, przedłużającą na rok ugodę dotychczasową. Gdy i to prowizorium spotkało się w komisji z gwałtowną opozycją, zabrałem jednego razu głos na komisji, gdzie słowami wymownymi przedstawiłem niebezpieczeństwo przeprowadzenia tej ustawy drogą § 14-go. W końcu oświadczyłem, że ja tego nigdy nie uczynię i że jako stary parlamentarzysta przestrzegam kolegów przed narażaniem parlamentu na tak ciężkie niebezpieczeństwo. Bo cóż potem ostanie się temu paragrafowi?! Sprawdziły się niestety moje obawy i w samej istocie po naszym upadku zapanował § 14 aż do końca wojny, to znaczy z górą lat 20!

Zanim nadeszła jesień i z nią spodziewany upadek rządu, wybrałem się w lecie z żoną do Ischlu, ażeby ztamtąd oglądnąć wszystkie saliny rządowe. Wyjeżdżałem rano z szefem sekcji, bar. Jorkaschem, a wracałem wieczorem do hotelu w Ischlu, gdzie mnie oczekiwała żona, bardzo zresztą troskliwie odwiedzana przez przyjaciół, jak baronostwo Columbus i innych. Zwiedziłem najprzód (ze Salzburgu) Hall, a potem z Ischlu Laufen z centralą elektryczną i budującą się nową sztolnią, Hallstadt i Ebensee. Tamże poświęcono mi warstwę solną („Biliński Schacht“), która dosięgnie ręką ludzka za jakich 800 lat! Do Ebensee zabrałem ze sobą żonę na śliczną uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nową warzelnię mego nazwiska (znany dziś Biliński-Südwart).

Ale jeszcze przed uroczystością w Ebensee spotkałem pewnego dnia w hotelu w Ischlu na schodach służącego dworskiego, który mi przyniósł wezwanie od cesarza, bym w którykolwiek „według mego wyboru dzień przyszedł do niego — cesarz niema wcale do mnie interesu“ — około godz. 12, tak bym mógł po audjencji pozostać na obiedzie „familijnym“. Poszedłem na drugi dzień, a audjencja trwała od g. 12 tak długo, żeśmy się z cesarzem spóźnili na obiad, wyznaczony na $\frac{1}{2}$ do

2, co zrobiło jako rzecz niebywała wielki efekt. Przedstawiając mnie przed obiadem córkom, rzekł cesarz po chwili: „Nie zabieraj ministrowi tak wiele czasu rozmową, bo jest bardzo zajęty”. Przy obiedzie cesarz przerwał rozmowę ze mną i powtarzał córce Marii Walerji z zadziwieniem o opowiadaniu mego śp. ojca, iż za tegoż młodych lat ktoś jadał melony (podawano je właśnie przy stole) z tabaką! Ale nie o to mi chodzi, lecz o jeden szczegół z poprzedzającej obiad audjencji. Cesarz, omówiwszy ze mną mnóstwo spraw (o jednej z nich, o słynnej sprawie orderu dla dyrektora skarbu w Tryjeście pisałem w roku 1917 obszernie w „Neue Freie Presse“ w moich wspomnieniach o zmarłym cesarzu Franciszku Józefie), wkońcu uderzając ręką o manuskrypt na biurku, rzekł: „Da habe ich das Elaborat des Ministers Rittner, was sagen Sie dazu?“ Muszę sprawę najprzód przedstawić czytelnikowi. Czesi, wyzyskując brak doświadczenia Badenięgo i skaptowawszy go dla nieszczęsnych rozporządzeń językowych, chcieli go nadto nakłonić do zmiany konstytucji w drodze octroi. Parlament austriacki wychodził według patentów z lutego 1868 z wyborów pośrednich, przez Sejmy. To prawo wyboru dawało Sejmom wielką przewagę, bo odmawiając wyborów, mogły powstrzymać zebranie się parlamentu. Robił to zwłaszcza Sejm czeski, tak że parlament uchwalił na ten wypadek ustawę o „Notwahlrecht“ wybory bezpośrednie z konieczności. Sejm galicyjski nie zdobył się dzięki zabiegom hr. Gołuchowskiego i posła Ziemiałkowskiego na naśladowanie Czechów. Rząd liberalny Auersperga dążył jednak ciągle do zmiany konstytucji w duchu normalnych wyborów bezpośrednich i przesądził to w r. 1873 w drodze parlamentarnej ustawy. Polacy zwalczali tę ustawę, ale po jej przyjęciu zawarli z rządem ugodę, mocą której została wprowadzona jako stała instytucja posada ministra dla Galicji i powołano na nią Ziemiałkowskiego. Teraz w r. 1897 chcieli Czesi, by tę ustawę parlamentarną zniesiono patentem cesarskim, a Badeni poruczył tę pracę właśnie mini-

strowi polskiemu, następcy Ziemiałkowskiego w instytucji, wyszłej z kompromisu z Polakami. Baden i zgodził się więc i poruczył wypracowanie patentu Rittnerowi. Otóż ja wtedy, pamiętny tej historii; jak niemniej chwiejności cesarza w r. 1871, co do czeskich „artykułów fundamentalnych“, odrzekłem cesarzowi: „Ich bin dagegen“; a na dalsze zapytanie „warum“, odrzekłem śmiało: „weil Euere Majestät nicht bis zum Schluss ausharren werden“. Chwilkę nie stało tchu cesarzowi, a potem odrzekł energicznie: „Sie haben recht, wir werden es nicht machen“. Nigdy mi nie pamiętał mej śmiałości, a ja byłem kontent, że go odwiódł od złamania słowa cesarskiego. Zresztą historia ludów i parlamentów nie da się cofać dowolnie... Ale do dziś (1919) jest mi za to wrogiem Kramarz, któremu wówczas odmówiłem był udziału w tej akcji.

Jeszcze upadek nasz nie był dokonany. Było nawet kilka chwil pozornie jaśniejszych. Jedną spowodował smutnej pamięci pojedynek Badeniego z Wolfem. Rzeczą całą prowadził Baden z Gleispachem, nic nam innym nie wspominając. W kilka dni po moim powrocie z Cieplic (wrzesień 1897) nastąpiła katastrofa: Baden ranny, świat polityczny oburzony, kościół zgorszony. Cesarz bawił w Peszcie: wybierałem się do niego, by mu wszystko opowiedzieć stosownie do dłuższej rozmowy z Badenim. Byłem właśnie na obiedzie u Meissla (gdzie w 19 lat potem zamordowano hr. Stürgkha) i miałem wprost jechać na dworzec, gdy mnie nagle telefonem powołał jeszcze raz Baden. Wysłałem tedy naprzód urzędnika na kolej, by w razie potrzeby ze względu na ustanowioną audjencję peszteńską wstrzymał na krótko odejście pociągu i pojechałem fijkrem do Badeniego. Prosił on mnie, bym zdając cesarzowi sprawę o pojedynku, doniósł mu zarazem, że premier zamierza dla uspokojenia parlamentu usunąć Gauscha z gabinetu. Przyjechałem jeszcze w czas na dworzec ku wielkiej radości urzędników ruchu, a nazajutrz byłem na audjencji. Monarcha przyjął mile wiadomości o zdrowiu Badeniego, nie wyraził zdania o fakcie pojedynku, natomiast

zbył milczeniem propozycję co do Gautscha. Nic w tem dziwnego; wszak Gautsch już się cesarzowi nasuwał ze swoją pomocą, i we dwa miesiące niespełna później był już następcą Badeniego, który zapóźno się przekonał o dobrych radach przyjaciół (ja osobiście nic nie radziłem!), przestrzegających go, że Gautsch będzie czyhał na następstwo i po temu postępował. Pomimo to wszystko zrobiło to kolosalne w Wiedniu wrażenie (zwłaszcza u duchowieństwa i szlachty konserwatywnej), że cesarz, powróciwszy w kilka dni potem do Wiednia, wstąpił najprzód do Badeniego, by go odwiedzić w mieszkaniu (Badeni nie leżał, lecz siedział z ręką na temblaku), zanim się udał do Burgu. To była przedostatnia chwila świetlana. Druga miała charakter więcej poufny i prywatny. Wkrótce po wyzdrowieniu prezydenta ministrów odbył się ślub córki pp. Badenich Wandy z Zygmuntem Krasińskim, pierwsza partja w Polsce. Zjechała się cała szlachta, kościół 10-u Aniołów na Hof przepełniony był najwyższem towarzystwem polskiem i niemieckiem. Kościół był cudownie udekorowany. W pałacu ministerstwa, zapełnionym przelicznymi gośćmi, zastawiono w 3-ch salach 3 stoły, różniące się kolorami kwiecica: stół czerwony, biały dla państwa młodych i najbliższej rodziny i różowy. Myśmy siedzieli przy stole czerwonym. Cudne to wspomnienie wkrótce się zacięmiło: najprzód klęskami politycznymi, a potem chorobą pana młodego, który do kilku lat zostawił wdowę bezdzietną. Jeszcze jedna była chwila jasna z początkiem listopada (jeżeli się nie mylę), gdy Badeni w pełnej Izbie oświadczył z upoważnienia cesarza (o czem nas nie powiadomiono), że posiada nieograniczone zaufanie monarchy; ale i ten płomyk nadziei, w którą nikt nie wierzył, zgasł do dni kilkunastu.

Rozprawy Izby nad prowizorjum ugodowem toczyły się wśród strasznego łoskotu obstrukcji niemieckiej i były wszystkim innem, anizeli „rozprawami“. Przesilenie kroczyło gwałtownie ku rozwiązaniu. W połowie listopada przyszło do bójk

między stronnictwami około trybuny prezydenta Abrahamowicza. W natłoku chwycił poseł niemiecki Pfersche za otwarty szczyrek i podobno kogoś nim skaleczył. Ten postępek dziwnego profesora pragskiego (który dużo później na votum nieufności wyborców swoich w Aussig odpowiedział telegraficznie: „Wollen Sie sich gefälligst aufhängen“ i złożył mandat) zdecydował o losie rządu, parlamentu a i całej Austrii. Po zamknięciu posiedzenia zebrał się komitet egzekucyjny prawicy w mojej obecności, w sali, którą w ostatnich latach istnienia parlamentu austriackiego zajmował prezydent, przy stole w kącie pod oknem na lewo od wejścia. Warto sobie to zapamiętać dla ważności wydarzenia. Na posiedzeniu tem uchwalił Komitet po długiej naradzie, że nazajutrz wniesie poseł hr. Falkenhayn, dawny minister rolnictwa, ustawę, upoważniającą prezydenta do wyrzucania posłów awanturników siłą „brachjalną“ ze sali i że ta ustawa ma być natychmiast uchwaloną bez dopuszczenia dyskusji. Przyznaję szczerze, że się tej uchwale nie sprzeciwiałem, wiedząc, że w parlamencie angielskim i francuskim istnieją takie same przepisy, wprowadzone coprawda drogą legalną: za Gladstona wyrzucano Irlandczyków — Parmellistów ze sali. Chodziło tylko o wykonanie stosowne, o co ja miałem wezwać rząd, który siedział zebrany, oczekując mego powrotu. Wrażenie mojego sprawozdania było niejednolite: Welsersheimb i Gautsch potrząsali głowami. Bardeni przyrzekł pomoc, ale niestety dał się przekonać Welsersheimbowi (w poufnych rozmowach), że do takiej akcji nie nadaje się wojsko, jeno policja, kiedy w Londynie i Paryżu interweniują bez ubliżenia armji oddziały wojskowe, przydane prezydentowi Izby. A jużci godności posła ubliża nierównie więcej interwencja policjanta niż żołnierza. Na każdy sposób „władza“ była acz w niestosownej formie przygotowaną do walki z „rewolucją“ w parlamencie. Powiadomiony w czas cesarz skorzystał ze sposobności audjencji posła tyrolskiego,

opata ks. Treuinfelsa, ażeby go zachęcić gorąco do przygotowywanej (posłowi jeszcze nieznanej) akcji.

W ostatnią środę listopada 1897 uchwalono nowy regulamin bez dyskusji wśród najstraszniejszego łoskotu, a we czwartek miały być nowe przepisy po raz pierwszy stosowane. Ja się cokolwiek spóźniłem na posiedzenie Izby i zastałem już w sali wielki oddział policji, otaczający półkolem przydjum i ławę ministrów; komendę miał ówczesny słynny inspektor straży policyjnej, baron G o r u p, późniejszy prezydent policji, który jako taki nawiązał wraz z miłą i rozsądną żoną swoje stosunki towarzyskie z nami. Rozpoczęła się obstrukcja i rozpoczęto też obstrukcjonistów wykluczać z posiedzenia i mimo oporu wyrzucać, czy też wynosić z sali. Prezydent Abrahamowicz działał bardzo sprawnie i odważnie, mimo strasznych obelg i pocisku ciężkim kałamarzem ku jego głowie (rzucił go poseł Lecher i zrobił wielką dziurę w ścianie marmurowej; cesarz zawsze pamiętał to Lecherowi); tak samo po południu zastępca Dr K r a m a r z, późniejszy (1918) prezydent ministrów w republice czesko-słowackiej. Niemcy opozycyjni byli straszliwie wzburzeni: jednego z nich widziałem gorzko płaczącego z powodu tej obelgi parlamentu. Chrześcijańsko-społeczni pod wodzą L u e g e r a stali po stronie rządu i bronili go wobec Wiednia. W piątek rano działo się to samo. Popołudniu znowu przewodniczył K r a m a r z i był na punkcie wyrzucenia resztek opozycji i zarządzenia głosowania przez resztę posłów nad ustawą o prowizorium ugodowym. A b r a h a m o w i c z miał tymczasem wypocząć i utrzymać potem kontakt z komitetem egzekucyjnym prawicy, by w danym razie poinformować o stanie rzeczy K r a m a r z a. W istocie też późno po południu przybiegł na estradę prezydenta wysłannik Abrahamowicza, podobno dzisiejszy dyrektor kancelarii, szef sekcji K u p k a i coś szepnął Kramarzowi do ucha. I tu się rozpoczęła tragedia, którą nie łatwo przedstawić autentycznie. Podobno było tak, że Abrahamowicz, chcąc donieść o stanie niezmiennym w sytuacji, kazał powiedzieć

Kramarzowi słówko „Ausschliessen“; Kramarz w łoskocie zrozumiał „Schliessen“ i pojął to jako zmianę sytuacji. Zamiast tedy, jak było ułożone z prawicą i stronnictwem chrześcijańsko-społecznem, prowadzić obrady aż do nocy i uchwalić prowizorium ugodowe, Kramarz dzwoni i ogłasza uroczyście: „zamykam posiedzenie“.

Burza, jaka się w tej chwili zerwała, nie da się opisać. Opozycja święci tumultuarny tryumf, prawica rozwścieczona, *Lueger*, ciężko dotknięty w swej ryzykownej ofiarności dla prawicy, wypowiada *Baden* iemu dalszą pomoc. Dwa powyższe słowa Kramarza zgubiły system, służący właściwie interesom czeskim. Na drugi dzień rano w piątek, nie było posiedzenia oficjalnego, jeno liczne luźne zebrania posłów w parlamencie; tamże odbyła się Rada ministrów, która stwierdziwszy upadek, zastanawiała się nad dalszemi krokami. *Welsersheimb* i *Gautsch* byli za natychmiastową dymisją; na mój wniosek jednak postanowiła większość gabinetu proponować cesarzowi: rząd dotychczasowy uporządkuje i przygotowuje prowizorium w taki sposób, by cesarz mógł swobodnie w ciągu stycznia zamianować rząd definitywny. Poszczególni ministrowie mogą na życzenie prezydenta ministrów ustąpić już w czasie przejściowym. W piątek wieczorem miał wrócić cesarz z *Walsee*, z odwiedzin u córki *Walerji*, *Baden* i miał mu w sobotę przedłożyć nasz wniosek, tak że na niedzielę można się było spodziewać decyzji.

Przez sobotę i niedzielę ludność zalegała ulice i place około parlamentu: z rampy przemawiał *Lueger*, przyrzekając dymisję gabinetu. Ministrowie resortowi pracowali w sobotę po biurach, nie wiedząc, co się dzieje w Burgu. Ja w niedzielę rano pojechałem wśród tłumów ludności do *Rittnera* do biura, gdzieśmy rozmawiali o szansach gabinetu tymczasowego i o naszym tam pozostaniu, gdy w tem nadeszło od *Baden*iego telefoniczne wezwanie na Radę ministrów na dziś (niedziela) o g. 3., i to nie w sali Rady ministrów przy *Herrengasse*, lecz

w Ministerstwie spraw wewnętrznych, gdzie mieszkał i urzędował Badeni, gdzie jednak nie było dla ministrów sali obrad. To nam bardzo wpadło w oczy i naprowadziło na domysł dymisji. Jakoż o g. 3 zgromadziliśmy się wszyscy w sali przyjęć Badeniego, który nam oświadczył dosłownie: „Also meine Herren, Se. Majestät hat unsere Demission angenommen und den hier anwesenden Frh. v. Gautsch zum Ministerpräsidenten ernannt“. Na moją uwagę, że myśmy nie uchwalili dymisji, jeno prowizorium do stycznia, odrzekł Badeni: „Ja, ja, es wird bald ein diesbezügliches Protokoll hereingebracht werden“. Wszedł urzędnik, podpisaliśmy protokoły z ówczesnego „posiedzenia“, tak że w parę dni później musieliśmy podpisać równocześnie czystopisy dwóch protokołów, zupełnie ze sobą sprzecznych. Po odejściu Gautscha zostało nas jeszcze kilku, przyczem ja skorzystałem ze sposobności, by wspomnieć Badeniemu o pożyczce, zaciągniętej w kasie podręcznej ministerstwa skarbu przez hr. Gleispacha w d. 5/3 1897 w sumie 3700 guldenów. Jakkolwiek obecny minister Gleispach zapewniał, że sumę tę odda (niestety, jak się okazało później, nigdy nic nie mógł oddać), Badeni, bardzo przestraszony tym faktem, kazał natychmiast przelać tę wierzytelność na fundusz dyspozycyjny (ten sam, z którego r. 1896 darował nadwyżkę 5000 guldenów Körberowi). Na drugi dzień mieliśmy więc kasę Ministerstwa finansów, nie będącą bynajmniej funduszem dyspozycyjnym, w porządku.

Ale co działo się w sobotę, czy też w piątek wieczorem? My z Rittnerem dowiedzieliśmy się o tem dopiero po niedzieli. Oto w piątek pod wieczór wrócił cesarz z Wallsee; jadąc z dworca do Burgu, zauważył, że go wieziono bocznymi ulicami i zrozumiał zaraz, że ulice główne, zwłaszcza Mariahilfer-Strasse pełne są demonstrantów. Cesarz, mężczyzny z natury, rozgniewał się tą „ucieczką“, niemniej i demonstracjami, których nienawdził. Jeszcze wieczorem przyjął na posłuchaniu najprzód Gołuchowskiego, potem Badeniego. Nie wiem, czy i o ile Gołuchowski był osobiście chętny Badeniemu, ale z pewnością czuł się za-

niepokojony rozruchami i prawdopodobnie zalecił cesarzowi zmianę rządu. Pomimo to Badeni, przyjęty bezpośrednio po Gołuchowskim, odniósł wrażenie, że cesarz go chce utrzymać. Opowiadał to pełen zaufania bliższym sobie osobom w ciągu soboty: czy ten optymizm był uzasadniony, trudno ocenić. Faktem jest jednak, że w niedzielę rano zgłosił się do Badeniego nie zaprzyjaźniony z nim dyrektor kancelarii gabinetowej, radca stanu bar. Braun, lecz wbrew wszelkiej etykietce wysłany przez niego młodzieńki wówczas urzędnik kancelarii gabinetowej p. Hawerda, (późniejszy dygnitarz dworski i zarządca majątków cesarskich), z poleceniem wniesienia dymisji. Była to dla p. Hawerdy, jak mi później opowiadał, jedna z najprzykrzejszych misji, a już ci dla Badeniego prawie obelgą. Na to nastąpiło zwołanie rady min. na godz. 3-cią popołudniu.

Dymisja rządu Badeniego, a raczej okoliczności, wśród których ona nastąpiła, stanowiły przełom w dziejach monarchji. Dymisję tę wymusił lud na ulicy; Lueger ogłosił ją uroczystie z rampy parlamentu; nowy szef rządu Gautsch kazał zaraz rozesłać po wszystkich restauracjach, kawiarniach itd. kartki policyjne z doniesieniem o dymisji; z polecenia p. Gautscha, musiały koleje państwowe roztelegrafować wiadomość po wszystkich stacjach państwa. Skończyło się tym aktem to, co nazywano „autorytetem państwowym“. Zaczęła się epoka końcowa monarchji, jak to częstokroć przewidywałem wobec przyjaciół politycznych. Ani minister nie miał odtąd wysokiego jak dawniej (jeszcze za czasów Badeniego) — znaczenia, ani parlament nie zdołał uzdrowić siebie samego. W parlamencie rządziły odtąd zwyczajnie hałaśliwe mniejszości; reformę wyborczą wymusiły — znowu pod Gautschem r. 1906 — pochody ludowe. Dla okiełznania parlamentu stosowano co raz częściej § 14 konstytucji, (pierwszy p. Gautsch co do prowizorium ugodowego), aż do rządów absolutnych hr. Stürgkha § 14 w czasie wojny. A jeżeli po przegranej wojnie r. 1918 monarchja rozleciała się, za współdziałaniem młodego, słabego i niezdolnego cesarza

Karola jak spróchniałe pudełko, jeżeli na gruzach 700 letniej dynastji Habsburskiej zapanowała Rzeczpospolita, to dojrzanie tych przewrotów na szczęście nie krwawych, wynikło zapewne bezpośrednio z wojny światowej, ale pierwszym ich zarodkiem był niezawodnie dzień 27 listopada 1897: usunięcie rządu cesarskiego przez ulicę. Sześciotygodniowa zwłoka, proponowana bezowocnie na mój wniosek przez rząd, byłaby może odjęła upadkowi ten znak katastrofalny. Forma naszego upadku i towarzyszące mu okoliczności zniszczyły też we Wiedniu wszelkie ślady sympatji dla Polaków. Nigdy już — okazało się to jeszcze w lecie 1918 r. tuż przed rewolucją — nie zdołali się Polacy zjednoczyć z Niemcami. A Czechów nie mieli niestety nigdy za sobą aż do stworzenia państwa czeskiego r. 1918, od pierwszej chwili nieprzychylnego Polsce (vide Cieszyn!).

Hrabia Badeni wyjechał z rodziną z Wiednia nocą, nie pozegnawszy się z nami; nie wiedzieliśmy nawet, kiedy go można odprowadzić na dworzec. Osiadł napowrót w Busku; ale niestety wkrótce potem wyjechał do Paryża, gdzie się dał za pośrednictwem wiedeńskiego korespondenta „Times“ p. Blome skłonić przez jakąś damę dwuznaczną do wynurzeń politycznych, które mu odebrały sympatię cesarza, tak w nim dawniej zakochanego. W nieostrożnych tych rozmowach objadowych zraził sobie także arcyks. Franciszka Ferdynanda, który bez tego był na rząd nasz zagniewany za proklamację arcyksięcia Ottona następcą tronu w chwili, gdy on sam ciężko zapadł był na zdrowiu. Minister Rittner sprawował nawet urząd przygotowania politycznego arcyks. Ottona do objęcia tronu: urząd tak straszliwie bezskuteczny wobec niezdolności i niechęci ucznia, że wyzdrowienie jego brata starszego uważano jakiś czas za szczęście! Ale Badeni pozostał już na zawsze w niełasce u dworu, aż do tragicznej nagłej swej śmierci w wagonie. Serce jego nie zniosło widocznie przejść tych ciężkich. Widywałem go w międzyczasie niejednokrotnie w Sejmie, gdzie był wobec mnie bardzo przyjacielski i w domu jego brata Stanisława, który mi był znacznie

bliższym. Raz był p. Kazimierz jeszcze u mnie w biurze w Banku austro-węgierskim wraz z Koźmianem, późniejszym kolegą moim w Izbie Panów. Szkoda niezwykłego człowieka, który w kraju działał bardzo skutecznie, a na terenie nieznanym mu wiedeńskim musiał się zrujnować przy swojej zmienności i nie-
stałości. Osobiście go lubiłem, niemal go kochałem; nie mogę jednak ocenić, o ile posiadałem wzajemność.

Co do mnie samego, to dymisja z urzędu, na którym starałem się na każdym kroku uwzględnić obok spraw austriackich przede wszystkim sprawy polskie, jak niemniej życzenia sfer i interesentów polskich, w warunkach tak tragicznych, wyglądających na stały i niezmienny upadek polityczny, dotknęła mnie mocno. Przyczyniło się do tego żalosne pożegnanie z ciałem urzędniczym w sali niebieskiej ministerstwa; dalej płacz bratowej mojej Ludwikowej, która z mężem bawiła u nas właśnie wtedy; wreszcie konieczność pozostania w braku mieszkania na jakiś czas za zgodą następcy mego Böhma w gmachu ministerstwa, co odczuwałem jako upokorzenie. Złożywszy jeszcze tuż przed dymisją na ręce radcy stanu Brauna prośbę do cesarza o zamianowanie Kniaziołuckiego szefem sekcji (co też za uproszoną przezemnie zgodą Böhma nastąpiło wkrótce), cofnąłem się w zacisze pokoi mieszkalnych ministra, gdzie u boku nieocenionej żony i przy jej prawdziwie mądrym, pogodnym pojmowaniu dymisji odzyskałem wkrótce pożądany spokój. Wprawdzie już tym razem nie mogła nas odwiedzić droga matka nasza z Cieplic, która zwykła była bawić u nas w czasie od nowego roku do wiosny; niestety nigdy już w życiu nie była naszym gościem — myśmy ją odwiedzali przedtem i potem co lata. — Ale umysły nasze były zaprzątzone szukaniem i przyrządzaniem mieszkania, które znaleźliśmy w VIII okręgu przy Tulpengasse 3. Odnowienie mieszkania, zaniedbanego bardzo po śmierci zaprzyjaźnionego ze mną prezydenta sądu wyższego hr. Chorińskiego, wymagało całego miesiąca. Obróciliśmy na nie całe nasze drobne oszczędności i w d. 8. sierpnia 1898,

rozpoczęliśmy życie ze samej tylko emerytury przy Tulpengasse, gdzie nam Bóg dał wytrwać w doli i niedoli przez lat przeszło 21. I jakoś się to wszystko dało załagodzić! Urzędnicy ministerstwa skarbu ofiarowali mi na pożegnanie obraz spizowy haut-relief, dłuta Lewandowskiego, przedstawiający apoteozę ustawy o emeryturach wdów i sierót.

XI.

1898—1899: Służba w Kole polskiem.

Posiadałem na szczęście jeszcze mandat poselski, nie potrzebowałem przeto próżnować politycznie: a wszakże polityka to namiętność, ciągnąca polityków, jak trunek pijaków! Zgłosiłem się znowu w Kole, gdzie mnie dość chłodnie przyjął. Jaworski, pomny widocznie mej wizyty w r. 1895, gdzie mu na życzenie Badeniego wyłożyłem powody, dla których nie mógł przejść do gabinetu naszego. Parafazując tekst mego dekretu cesarskiego, przekazującego mi tymczasowe prowadzenie ministerstwa dla Galicji, odrzekł mi Jaworski wówczas w gniewie: „no to spełniaj-że wszystkie inne funkcje (!) w mojem zastępstwie“. Po mojej dymisji był zimny, ale nie przeszkodził temu, że mnie wkrótce Koło obrało swoim wiceprezesem. Było mi to dowodem, że dobrze zrobiłem, nie przyjmując zaraz po swej dymisji ofiarowanej mi bardzo usilnie świetnie dotowanej posady prezydenta banku, jakkolwiek nowo zamianowany szef rządu bar. Gautsch strasznie gorliwie mnie do tego nakłaniał. A może właśnie także dlatego tem bardziej posady nie przyjąłem!

Do rządu przyszedł tedy Gautsch i postanowił zrobić to, co wrożyłem Niemcom w komisji: przeprowadzić prowizorium ugodowe na mocy § 14 go. Nasze projekta definitywne pozostały w zawieszeniu, z wyjątkiem polepszenia „kwoty“, które Gautsch (nie chcę winić ministrów resortowych, którzy nie mieli wtedy wcale wpływu) zaprzepaścił, przyjmując żądanie Węgrów, by nasze umowy zgasły, jeżeli nie zostaną wniesione do par-

lamentu do 1/4 1898. Jak gdyby utrzymanie w mocy rozporządzeń językowych nie dawało było rządowi pewności, że obstrukcja niemiecka nie dopuści do przedłożenia ugody.

Co gorsza G a u t s c h nawet nie podjął próby, ażali zdołał dotrzymać terminu z d. 1/4 1898; przeciwnie nie zwołał parlamentu i zadowolając się prowizorjum z § 14-go, niemniej wdrożeniem — dla skompromitowania B a d e n i e g o — procesu z założoną przez nasz rząd gazetą „Reichswehr“ uciekł poprostu z końcem marca z urzędu. W jego miejsce wstąpił hr. T h u n z ministrem skarbu Kaizlem, angażowanym ongiś już przez Badeniego, z D i p a u l i m jako ministrem handlu i J ę d r z e j o w i c z e m jako ministrem dla Galicji. Thun przedewszystkiem usunął kwestję „Reichswehr“ i w ciągu swego całego urzędowania był dla spraw polskich o tyle przychylny, o ile gorliwy i niestrudzony minister J ę d r z e j o w i c z zdołał mu je przedstawić (mimo oporu biurokracji). Ale w sprawach polityki ogólnej rządził właściwie tylko z Czechami i dla nich: rozporządzenia językowe utrzymał, Niemców oprymował, aresztując nawet posłów wiedeńskich na ulicach, § 14-tym posługiwał się nieustannie, co wszystko spowodowało B a e r e n r e i t e r a do ustąpienia; a minister Kaizel podwyższył w drodze § 14-go nawet podatek od cukru. To samo uczynił gabinet na zgubę swoją i Austrii z definitywną ugodą węgierską; acz swoją drogą przedtem próbował przeprowadzić ją w drodze parlamentarnej. Wybrano tedy komisję ugodową, do której Koło mnie delegowało. Rozprawy szły w nieskończoność; rząd się zachowywał dość biernie, a T h u n żądał niejednokrotnie odemnie, bym walczył za postanowieniami, któreśmy swego czasu przyjęli niechętnie na żądanie Węgrów. Tyle jednak przynajmniej miałem satysfakcji, że mogłem wyraźnie zdeklarować na energiczne zapytanie znanego posła niemieckiego L e c h e r a, iż jako minister skarbu miałem na piśmie zapewnienie rządu węgierskiego co do podwyższenia kwoty węgierskiej (był to ów akt, wykradziony później).

Więcej niż ugoda interesowała mnie wówczas sprawa językowa. Wiedzano powszechnie, że rozporządzenia językowe Badeniego będą musiały z czasem być zawieszono z powodów tak politycznych, jak po części i rzeczowych. Toż jeszcze Badeni próbował w jesieni przed upadkiem przeprowadzić w zgodzie ze stronnictwami jakieś zmiany. Ale też wiedzano również powszechnie, że zniesienie rozporządzeń sprowadzi w miejsce obstrukcji niemieckiej, czeską. Stąd powziąłem był myśl wypracowania ogólnej dla całej Austrii ustawy językowej, któraby mogła zadowolić wszystkie strony, a przedewszystkiem tak Niemców jak Czechów. W ciągu pracy porozumiewałem się ze wszystkimi stronnictwami i postępowałem tym systemem tak, że uzyskałem zgodę Niemców, Słoweńców, Włochów, Rusinów a po części i Czechów. Kołu się na razie nie opowiadałem, znając jego antypatję do kwestji ruskiej, ale działałem w trwałem porozumieniu z Wojciechem Dzieduszyckim i przyjaznym mi wówczas szczególnie Kozłowskim. Tak powstał elaborat, który my trzej postanowiliśmy w najbliższych dniach zanieść Jaworskiemu. Ale losy pokierowały tem inaczej. Czeski dziennikarz z obozu staroczeskiego, dowiedziawszy się o moich planach, spytał mnie przy spotkaniu przed parlamentem, czy może o tem coś napisać do Pragi. Mimo prósb moich uczynił to istotnie w notatce, która się dostała w tłumaczeniu do dzienników wiedeńskich w sam dzień przed ułożoną przez nas pielgrzymką do Jaworskiego. Tenże wyczytawszy wiadomość zawezwał nas w parlamencie ad audiendum verbum i w największej złości sprzeciwił się akcji, która miała rzekomo być prowadzona za jego plecami przeciw niemu. Licząc na zmianę humoru, pojechałem na drugi dzień do prezesa, zapewniając go, że właśnie dziś mieliśmy być u niego w trójkę. I przedstawiłem mu, że projekt mej ustawy zawiera: 1) konstytucyjne ($\frac{2}{3}$ głosów) zabezpieczenie praw językowych z r. 1869, 2) to samo dla Rusinów, 3) zabezpieczenie praw dla języka polskiego na Śląsku i na Bukowinie. Nic to jednak nie pomogło: z uśmiechem

ojcowskim prosił mnie o zaniechanie całej akcji. Musiałem się poddać woli prezesa, ale nawet później, w chwili olbrzymich przewrotów do dziś dnia wierzę, że losy monarchji, a i nasze byłyby stały w chwili wojny światowej daleko korzystniej, gdyby się może wówczas powiodło załatwić sprawę językową i zjednać dla nas Czechów, Słoweńców, a może i Rusinów, bo były to czasy W a c h n i a n i n a i jemu podobnych!

Z ustawą językową w zanadru doczekałem upadku rządów, nam niezbyt przychylnych, T h u n a. I brałem jedynie udział w posiedzeniach polskiej komisji parlamentarnej, na której min. Jędrzejowicz dawał zwykle poszczególne i wyczerpujące wyjaśnienia, za co Kozłowski dosłownie do krwi dokuczał staremu prezesowi J a w o r s k i e m u, zarzucając mu nieczynność i niedbalstwo. Mutatis mutandis był to los wszystkich prezesów Koła! Ale tymczasem musiałem na wiosnę r. 1899 przebyć wraz z biedną żoną moją ciężkie dni straty naszej drogiej Matki, która wkrótce potem nagle wyzionęła ducha. Były to strasznie ciężkie dla serc naszych chwile: straciliśmy najlepszą, najbezinteresowniejszą przyjaciółkę.

Tymczasem żył jeszcze gabinet T h u n a, skazany jednak na śmierć przez hr. Gołuchowskiego. Minister spraw zagranicznych przybył mianowicie w lecie 1899 do Ischlu, ażeby przedstawić cesarzowi, że rząd hr. Thuna stanowi przeszkodę w dorocznym wyborze delegacji wspólnej, nieodzownej dla spraw wojskowych i dyplomatycznych. Może się hr. Gołuchowski mylił, że Niemcy zdołają obstruować wybory; później się przekonano, że to było niemożliwe, ale wówczas wierzono jeszcze w to niebezpieczeństwo. Ponieważ zaś całkiem co innego nie ulegało wątpliwości, tj. że ugody węgierskiej nie przepuszczą Niemcy w parlamencie, przeto cesarz zażądał od Thuna przeprowadzenia ugody stałej (nie prowizoryum) drogą § 14. Thun, oddany cesarzowi bezgranicznie, zgodził się na to, pod warunkiem, że przystaną na to Węgrzy wbrew duchowi ich konstytucji. Przystali też rzeczywiście, ale pod warunkiem zmian istotnych w ukła-

dach z czasów gabinetu Badeniego. Kwota dla Austrii korzystna odpadła, bank pozostał według układu. Natomiast musiała Austrija przyjąć nową, bardzo ważną, narzuconą jej przez Węgry zasadę, mianowicie, że na przyszłość nie wolno w rozmaitych terminach odnawiać układów handlowych z zagranicą i ugodowych z Austrią, lecz że przeciwnie termin upływu traktatów międzynarodowych ma być identycznym z upływem każdorazowej ugody węgierskiej. Zasada ta musiała Węgom dać możność, z której też korzystali istotnie — wymuszania na Austrii bądź to korzystnej dla siebie ugody przez utrudnianie zawierania traktatów, bądź korzystnych traktatów międzynarodowych przez utrudnianie ugody. Przytem rząd Thuna popełnił jeszcze jeden błąd taktyczny, odraczając w układzie prowizorycznym z Węgrami o § 14 sprawę przekazywania podatków konsumcyjnych (Überweisungsverkehr). Opowiadano sobie, że minister Kaizl wymyślił tę zwłokę w przypuszczeniu, że po zawarciu ugody prowizorycznej na mocy § 14 będzie jeszcze ten sam rząd powołany do przeprowadzenia także sprawy przekazywania i pozostanie parę miesięcy u steru. Były to jednak tylko iluzje.

Hr. Thun wybrał się był do Ischlu z postanowieniem, ażeby cesarzowi odradzić przyjętego już przez rząd, ale oczywiście zgubnego dla Austrii postanowienia co do identyczności terminu; w razie odmowy chciał podać się do dymisji i przerzucić odpowiedzialność na barki następnego rządu. Zamiar ten w istocie wykonał, ale — opowiadał mi to szef prezydium bar. Hauenschild na podstawie opowiadania swego szefa hr. Thuna — cesarz się temu sprzeciwił, a gdy przytem „spoglądnał na mnie“, opowiadał Thun, „swojami dobrymi oczami nie byłem w stanie mu się oprzeć“. Było to „stanowisko wazala“ (Vasallenstandpunkt), na którym Thun opierał swój stosunek do monarchy, trochę teoretyczniej uzasadniona słabość ministra wobec monarchy, niż wiadoma prosta słabość Badeniego. Tylko, że Badeni był cesarza ulubieńcem i otrzymywał od niego listy prawie miłosne, gdy Thun a cesarz nigdy nie lubił szczerze,

nawet wtedy, gdy go za G a u t s c h a (r. 1911) wyniósł do godności książęcej i poruczył mu w Czechach misje, które nigdy się nieudały. Muszę się zresztą osobiście pochwalić nieskromnie, że w ciężkich sprawach zasadniczych nigdy nie ustąpiłem cesarzowi wbrew przekonaniu swemu i zawsze zdołałem nakłonić go do przekonania mego. Raz jedyny (r. 1914) ustąpiłem w sporze z T i s z ą co do ilości ton rudy bośniackiej dla Węgier, a więc nie w sprawie zasadniczej, gdy cesarz, który tuż przedtem kilka razy w wielkich sprawach przyznał mi rację wobec Tiszy (o czym później) prosił mnie o ustępliwość słowami: „Tun Sie das mir zuliebe!“... Dość, że w sierpniu r. 1899 hr. Thun poddał się woli cesarza, trzymającego się „korrekt“ układu rządu tego samego Thuna z Węgrami, ażeby zapewnić delegacje, ogłosił § 14 tym ugodę bez kwoty i bez postępowania przekazowego i wbrew przewidywaniom Kaizla — otrzymał dla całego gabinetu dymisję.

Ja byłem wówczas po raz pierwszy w Ischlu, zajmowałem się naturą i whistem i po trochę tylko politykowałem z przyjaciółmi, nie przeczując, co się dzieje w najbliższym sąsiedztwie mojem, bo w „Hotelu Elisabeth“, naprzeciw okien mego pomieszkania. A i tego wówczas nie wiedziałem, że cesarz zawezwał ks. Alfreda Lichtensteina, brata Alojzego, do objęcia rządów. Z właściwą sobie komiką i równie właściwym dżalektem styryjskim opowiadał później książę, jak wysłannik cesarski, przybyły do jego pałacu wiejskiego w Styrii, zastał go właśnie w kąpieli, jak się książę bronił przeciwko natychmiastowej rozmowie i jak musiał na naleganie wysłańca na pół nagi wysłuchać rozkazu cesarskiego! Pojechał też potem do Ischlu, i we Wiedniu przez parę tygodni układał listę ministrów za wiedzą kandydatów a w części i bez niej: bo np. dla mnie przeznaczył był tekę kolei żelaznych bez zapytania mnie. Ale cała akcja rozbiła się o to, że cesarz wymagał programu ze zniesieniem rozporządzeń językowych, a ks. Lichtenstein, wierny nasz i Czechów sojusznik w „żelaznym pierścieniu“, nie

mógł się na ten krok zdecydować. Wkońcu już podobno był do tego gotów, gdy tymczasem cesarz zniecierpliwiony porzucił kombinacje z gabinetem Lichtensteina i powołał gabinet urzędniczy z namiestnikiem styryjskim hr. Clary na czele.

Było to już w drugiej połowie września, gdy po przybyciu wielkiej powodzi w Ischlu (od piątku popołudniu do czwartku rano, przez 6½ dni padał deszcz bez ustanku, a komunikacja w mieście odbywała się po części czołnami), po jakiej takiej naprawie drogi kolejowej, mogliśmy wyruszyć z powrotem do Wiednia, dokąd w towarzyszących nam w wagonie naszym pp. Max Mauthner'ów — on poseł i prezydent Izby handlowej, ona miła bardzo i światła osoba, oboje zapaleni politycy, żyli z domem naszym w stosunkach bliskich towarzyskich*) — przybyliśmy po długiej podróży i na kilku kolejach — koleją południową w nocy. W kilka dni później otrzymałem — jakto się pokazało potem w charakterze wiceprezesa Koła — wezwanie na audjencję do cesarza. Przyjęty nadzwyczaj uprzejmie, dowiedziałem się o powstaniu nowego gabinetu i cesarz prosił o popieranie tegoż gabinetu przez Koło. Trzymając się wobec monarchy zawsze ścisłej prawdy, odrzekłem, że poparcia tego przyrzec nie mogę, ponieważ Czesi, będąc już ciężko dotknięci zniesieniem rozporządzeń językowych, przyznanych im przed 2 i pół rokiem przez cesarza, byłiby gotowi dać się porwać do kroków rozpaczliwych, gdyby ich jeszcze opuścili Polacy. Jakkolwiek cesarz, znając moje przekonanie polityczne co do formy rządu, obiecywał mi kilkakrotnie gabinet parlamentarny z dniem 1/1 1900, jeżeli ustawa o przekazywaniu podatków będzie uchwaloną w drodze parlamentarnej, nie mogłem odstąpić od swojej opinii. Podobnie widocznie przemawiał przedemną do cesarza Jaworski, bo jakkolwiek mi o tem nic nie wspominał, poprowadził Koło do opozycji. Cesarz zaś, mimo przy-

*) Razu jednego jako minister, będąc tam proszonym na obiad męski, co prześlepiłem, zabrałem ze sobą żonę, co sprawiło dla obu stron niejaki kłopot, ale się wyjaśniło ku wielkiej wesołości.

krości mej odmowy, nie miał, sędzę, żalu do mnie, chyba że się ten żal może raz objawił przy audjencji, jaką miałem u niego stosownie do zwyczaju z tytułu zbliżającego się końca roku. Czesi bardzo narzekali z powodu drażniącego kwaterunku żandarmerji po wszystkich wsiach czeskich; ja zaproponowałem z tego powodu rządowi hr. Claryego pewien modus vivendi i przy sposobności wspomniałem o tem na audjencji. Na to cesarz: „Ich glaube nicht, dass Einquartierung der Gendarmerie von Abgeordneten abhängt“; na to odrzekłem: „das weiss ich Majestät und habe daher die Regierung ersucht, die Aufhebung der Einquartierung bei E. M. zu erwirken“; odpowiedź cesarza: das würde ich der Regierung nicht bewilligen“, na co ja odrzekłem: „dann ist es traurig, dass die Regierung bei E. M. so wenig Einfluss besitzt“. Na tem się skończyła audjencja, ale nie łaska cesarska dla mnie; pozostała jeno, jak się okaże później, obawa, że ja popieram zanadto Czechów. Ale z tego faktu wynika, jak błędnie oceniali moje życie polityczne ci, którzy mi przypisywali i do dziś (1919) przypisują zbytnią przyjaźń dla Niemców. Postępowałem w każdej sytuacji politycznej zawsze stosownie do jej właściwości i do jej oddziaływania na interesa polskie. Wówczas rolą Polaków było chronienie Czechów przed Niemcami, ośmielonymi zwycięskimi walkami z Bardenim.

W gabinecie Claryego zasiadali dwaj Polacy: jako kierownik ministerstwa skarbu Kniaziołucki, wciągnięty do gabinetu przez Kaizla i wstępującego doń jako ministra spraw wewnętrznych Koerbera; jako minister dla Galicji Chłędowski, mój dawny kolega z Namiestnictwa, w owej chwili najstarszy radca w ministerstwie polskiem (wówczas przy Schillerplatz 4), później, aż do śmierci sławny autor dzieł o sztuce włoskiej i wielki wogóle znawca sztuki. Z pierwszych zarządzeń Kniaziołuckiego, mianowicie z ustawy o zniesieniu stempla dziennikarskiego nie byłem zadowolony, bo ta reforma, sama w sobie wolnomyślna, przesuwała wpływy z dziennikarstwa konserwa-

tywnego na radykalne, bardziej rozpowszechnione (socjalistyczna „Arbeiterzeitung“ wychodząca w bardzo licznych egzemplarzach, została podobno wyratowana od upadku). Naturalnie musieliśmy wszyscy jak jeden mąż głosować za tą reformą, dość zresztą kosztowną dla państwa, ale właśnie ten przymus złościł wszystkich. Koło obradowało wówczas przy kolacji w hotelu Riedhof przy Wickenburggasse i wywodziło żale na ministra skarbu pod wodzą Kozłowskiego, który miał z Kniaziołuckim jakiś — nie pomnę już — konflikt na terenie komisji kontroli długów państwowych. Ja się znajdowałem w kolizji, bo byłem Kniaziołuckiemu bliski, a nie mogłem go słusznie bronić. Ażeby jeszcze o jednym wspomnieć ministrze: Koerber, jak wiadomo mój przyjaciel, gotował się już wówczas do swej bliskiej roli kierującej, tylko niezbyt potrzebnie krytykował swego szefa zanadto jawnie.

Ale ten szef hr. Clary, poczciwy, zacny, nam bliski, — bo spowinowacony dwukrotnie z ks. Radziwiłłami, ale mocno jak na szlachcica niemiecko-liberalny, a na polu politycznym dziecko niedoświadczone. Mimo opozycji naszej utrzymywałem z nim jawne stosunki i pragnąłem być mu pomocnym w ratowaniu ciężkiej dla państwa i dla nas sytuacji. Ale pomoc moja była bezskuteczną, bo biedny premier chodził ze wszystkim po radę do Niemców, którzy niby dla swej sprawy przeszkadzali wszystkim. Przedewszystkiem proponowałem Claryemu, żeby skutki zniesienia rozporządzeń językowych sparaliżować przy pomocy ustawy językowej, którą bym ja wniósł jako wniosek samoistny (Initiativantrag) w porozumieniu ze stronnictwami. Dla myśli tej zjednałem przedewszystkiem posła Kathreina, (późniejszego marszałka tyrolskiego, zagrożonego w czasie wojny przez głupią soldateskę (sądem doraznym!), który należąc do stronnictwa katolickiego, był bliskim konserwatystom, tudzież Czechom, zaś z uwagi na swój opór przeciw opresji Niemców w czasie walk Badeniowskich (uciekł wtedy jako prezydent Izby z Wiednia) posiadał także sympatję Niemców. Kathrein

gotów był wstąpić do gabinetu dla przeprowadzenia ustawy językowej, ale postawił za warunek, bym ja mu także towarzyszył. Nie bardzo to było nęcące, wchodzić do rządu tak słabego, przeznaczonego do ustąpienia w d. 1/1 1900 miejsca rządowi parlamentarnemu, zasadniczo mnie sympatycznemu; ale dla dobrej sprawy przewyciężyłem swój opór i przedstawiłem Claryemu całą tę kombinację. Naturalnie bardzo mu się to podobało, ale równie naturalnie p. szef rządu poszedł z tem do Niemców i otrzymał po kilkunastu dniach rekuzę. A dni tych było dla rządu wogóle nie wiele do dyspozycji, tak że odmowną odpowiedź Claryego otrzymałem około końca października, pozostało zatem około 8-u tygodni. Sprawa ta znalazła oddźwięk w jakiejś — niepomyślnie już — komisji izbowej; a gdy z tego tytułu zaatakowała mnie „N. Fr. Presse“, przyboczny wówczas organ rządu, dałem się unieść wobec siedzących na ławie ministrów Kniaziołuckiego i Chłędowskiego, używając niesłusznego zwrotu, że „temu rządowi nie warto podać ręki“. Chłędowski zapomniał o tej obrazie jak się przekonałem parę lat później w rozmowie z nim w Ischlu; ale Kniaziołucki bliższy mi z serca nie zdołał już nigdy powrócić do dawnego ze mną stosunku, czego mocno żałowałem.

Nawiązałem potem kombinację drugą. Oto Clary, powróciwszy z Pesztu, oświadczył w Izbie wiedeńskiej, że pod żadnym warunkiem nie podpisałby jakiego rozporządzenia z mocy § 14. Mam powody przyjmowania, że do błędu tego nakłonił go Kniaziołucki, który na tej „zasadzie“ złamał sobie w 2 miesiące później karierę. Bardzo to bowiem pięknie bronić parlamentaryzmu i bardzo słusznie, bronić się od § 14 jako wyłączonej siły w państwie: potwierdził to późniejszy los hr. Stürgkha. Ale po dokonanej już publikacji całej prawie ugody węgierskiej § 14-tym przez Thuna, było błędem politycznym, zarzekać się wydania jeszcze ostatniego rozporządzenia w sprawie przekazywania podatków spożywczych. Że deklaracja Claryego była błędem, to rzecz jasna, bo przyznawszy się bez

najmniejszego powodu w parlamencie do tego, co miał w sercu z przekonania zachęcił niejako Czechów, by mu nie dozwolili przeprowadzić ustawy w drodze parlamentarnej. Ale ja licząc się już z tym błędem Claryego, zaproponowałem mu, by cały kompleks ugody tej, tak część konstytucyjną, wydaną § 14-y m z obowiązkiem uzyskania dodatkowej zgody parlamentu, jak ustawę o przekazywaniu podatków spożywczych przedłożyć pod obrady osobnej komisji ugodowej. Tym razem zgodzili się Niemcy. Wybrano w Izbie komisję, która mnie wybrała prezesem, poczem Niemcy oświadczyli przez usta pośła hr. Stürgkha, że się z pełnem zaufaniem poddają kierownictwu mojemu. („wir werden Seiner Excellenz vertrauensvoll bei dieser schwierigen Aktion folgen“). Pierwszym warunkiem powodzenia, jest dla prezesa bezstronność, zwłaszcza wobec opozycji; to też postanowiłem między innymi na żądanie Czechów, a za zgodą Niemców, że posiedzenia będą się odbywały w takich a takich godzinach przed południem i po południu, a mają się kończyć o g. 10 wieczór. Przytaczam ten szczegół podrzędny, bo na nim rozbiło się później wszystko. Rozpoczęły się tedy obrady, bardzo spokojne i rzeczowe, trwały, o ile się nie mylę, od początku listopada aż ku połowie grudnia i rokowały szczęśliwe uchwalenie wszystkich ustaw. Aż nagle pewnego wieczora — było to może około 10 grudnia — przystępuje do mnie hr. Clary i oświadcza że cesarz niezadowolony z mojego kierownictwa, że obrady się przewlekają bez potrzeby i że przeto cesarz wymaga, bym posiedzeń nie zamykał o g. 10. wieczorem, lecz prowadził obrady późno w noc. Zrozumiałem zaraz, że „cesarz“ kazał mi to powiedzieć co jemu powiedział Clary, a ten powiedział cesarzowi to, co jemu powiedzieli Niemcy. Ale odrzekłem, że zaraz porozumię się z członkami Polakami, którzy, jak zawsze, zastosują się do woli cesarskiej. Uczyniwszy to, zaraz oświadczyłem szefowi rządu, że tak ja jak moi ziomkowie widzimy w żądaniu rządu pogrzebanie ustaw ugodowych, że jednak zaraz dziś postąpię według woli cesarskiej. Gdy się zbliżała godzina 10,

zabrałem głos, ażeby zawiadomić komisję, że wyrażono wobec mnie życzenie, ażeby wbrew umowie obrady prowadzono po za godzinę 10. Życzenie to, pojmując jako wniosek, poddałem pod głosowanie; zostało ono wśród wielkiego wzburzenia Czechów przyjęte głosami Czechów i Polaków. W dalszym tedy ciągu obrad zabrał głos czeski poseł Kaftan (bardzo łagodny zresztą i ustępliwy) i rozpoczął przemowę w języku czeskim. Był to pierwszy wypadek w parlamencie, iżby w komisji którejkolwiek (co innego w pełnej Izbie) przemawiano w języku nie-niemieckim: zasługa to była Niemców i Clarye'go. Po rozpoczęciu się mowy, oddałem tymczasowe przewodnictwo memu zastępcy, ażeby się mógł udać do domu na $\frac{1}{2}$ godzinki na kolację, a powróciwszy zastałem dalej mówiącego Kaftana. Po dalszej godzinie przyszedli do mnie Niemcy z desperacją o pomoc; zasięgnąłem więc wiadomości od Czechów, którzy oświadczyli, że Kaftan, będzie mówił do rana, że jednak skończy zaraz ale tylko pod warunkiem, że po nim nikt nie będzie mówił, jeno posiedzenie będzie natychmiast zamknięte. Naturalnie zgodzili się na to Niemcy i poszliśmy wszyscy do snu się ułożyć. Ale wraz z nami ułożyła się do snu także komisja. Jak aż do owego wieczora szły prace bardzo gładko i rzeczowo, tak że można się było spodziewać przyjęcia operatu ugodowego, tak odtąd panowała w komisji obstrukcja Czechów. Na jednym z niewielu jeszcze posiedzeń bezowocnych przystąpił do mnie Clary z zapytaniem, czy nie byłbym gotów, teraz wstąpić do rządu z programem ustawy językowej. Odpowiedziałem, że w tej sytuacji i w tej porze spóźnionej (połowa grudnia) nie mogę już powrócić do dawnej propozycji mojej. Pamiętne mi jest jeszcze miejsce w sali komisji budżetowej, gdzie staliśmy z Clarym i prowadzili krótką tę, ale doniosłą rozmowę: dokonał tem Clary dzieła, rozpoczętego przez Jaworskiego, dzieła uśmiercenia myśli zgody narodów na podstawie ogólnej ustawy językowej.

Posłannictwo Claryego było u swego końca; nie udały się obrady komisji ugodowej, potrzeba więc było do rozporządzenia

z § 14 go hr. Thuna dodać jeszcze jedno co do przekazywania podatków i to przed d. 31/12 1899. A że hr. Clary wyrzekł się § 14-go, przeto musiał go w tem zastąpić następca. Gabinet jego podał się do dymisji, a na czas przejściowy kilkunastodniowy poruczono rządu ministrowi kolejowemu p. Witteko wi, który jako kierownik („Leiter“) miał sobie dobrać kilku ministrów i więcej „Leiterów“ celem publikacji w drodze rozporządzenia z § 14 ustawy konstytucyjnej całkowitej wraz z przekazywaniem podatków ugody węgierskiej. Pan Wittek zamierzał — i to słusznie — wprowadzić do swego gabinetu Kniaziołuckiego, nie tylko jako Polaka, lecz także jako dotychczasowego kierownika, który właśnie w ostatnich tygodniach bardzo energicznie i skutecznie pracował nad ugodą. Nie tylko mianowicie pozawierał był z rządem węgierskim i bankiem austr.-węg. wszelakie umowy, przewidziane moją (i Thuna) ustawą bankową, lecz zdołał nadto skłonić Węgrów do pewnej, co prawda drobnej podwyżki ich kwoty na cele wspólne. Stąd propozycja pana Witteka. Ale programem Witteka było przeprowadzenie ugody § 14-ym, a p. Kniaziołucki trzymał się deklaracji przeciw temu paragrafowi. Nadaremnie więc Wittek głaskał rękę Kniaziołuckiego, ofiarując mu spełnienie wszelkich stawianych warunków a w szczególności nominację rzeczywistym ministrem; nic mu to nie pomogło, nawet odwołanie się na wolę cesarską; Kniaziołucki odmówił. Skutek odmowy Kniaziołuckiego objawił się przedewszystkiem w tem, że cesarz nie przyjął „Leiterów“ na podziękowaniu pożegnalnem, lecz kazał im powiedzieć: „Die sollen in Ihre Büro's zurückkehren“. Ale co ważniejsza, krok nieroztropny Kniaziołuckiego ciążył na nim całe życie, nie tylko na jego karierze (otrzymał godność tajnego radcy dopiero za min. Korytowskiego, podobno r. 1908 i poszedł na emeryturę z niską pensją szefa sekcji za mego ministerstwa 1910), lecz także na całym jego usposobieniu i nawet stanie zdrowia. Pozostał malkontentem, w rozgorczeniu niejednokrotnie bywał za ostrym w swych reskryptach, które ja jako minister musiałem

łągodzić, a ostatecznie choroba serca nie była bez związku ze samowolnie sprowadzonym rozczarowaniem. Z żalem przyjacielskim widziałem te wszystkie objawy aż do jego śmierci, a on sam, łącząc to rozczarowanie mimowoli z żalem do mnie z powodu owego zajścia w parlamencie, zachwiał się cokolwiek w uczuciach swych dla mnie. Tak to działa polityka na ludzi: a jednak, kto jej raz zakosztował, nie wyrzeknie się jej już nigdy, jak pijak nałogu. Wiem to z własnego tyloletniego doświadczenia!

Drugi w gabinecie Claryego minister Polak Chłędowski odszedł z jasnym pogodnym obliczem. Aż do śmierci swej r. 1921 oddawał się w samotności sławnym badaniom w dziedzinie sztuki i stał się pierwszą na tem polu powagą naszą.

Pan Wittek zaś, wydawszy rozporządzenie co do ugody węgierskiej, złożył w ciągu stycznia urząd tymczasowego prezesa gabinetu i wstąpił ponownie jako minister kolei do gabinetu następnego.

Na Sejmie zajmowałem się wszelakimi sprawami, najbardziej jednak interesowała mnie katastrofa starej nietykalnej do wówczas Kasy Oszczędności lwowskiej, wciągniętej w wir ryzykownych interesów naftowych przez Wolskiego i jego szwagra Stanisława Szczepanowskiego. Fakt ten bolał mnie i jako Polaka, dbałego o dobrą opinię instytucyj naszych, jak niemniej naszych mężów stanu, i jako dawnego członka Kasy Oszczędności, tudzież i jej dyrekcji. Powszechnie czczony dyrektor Zima dał się porwać czy to myśli wspierania przemysłu naftowego, czy też sugestji ze strony genialnego Szczepanowskiego; obaj ci niezwykli mężowie padli ofiarą transakcyj, które ich niestety przywiodły przed kraty sądowe i przerwały na zawsze świetną karierę idealistycznego Szczepanowskiego. Sejm zaś uważał dla dobra kraju, jak i przelicznych posiadaczy książeczek oszczędności zająć się losem kasy: przejęto na kraj gwarancję za wkładki i ustanowiono z ramienia Sejmu naczelnego dyrektora Kasy w osobie Stan. Niezabitowskiego.

Ja byłem referentem sprawy w Sejmie w imieniu komisji, której przewodniczącym był Dunajewski, nie zbyt zresztą przychylny takiemu rozwiązaniu sprawy. Kasa została uratowana. Niezabitowski, mój dawny uczeń, zabrał się gorliwie i skutecznie do pracy i utorował sobie drogę do łaski marszałkowskiej, gdy wypadła z rąk wielkiego Badeniego i nadspodziewanie dzielnego Adama Gołuchowskiego. Niezabitowski był marszałkiem spokojnym, rozumnym, jakkolwiek za mało siebie samego ceniącym; dzierżył łaskę jako wierny włodarz kraju przez cały czas wojenny, — po zajęciu Lwowa przez Moskali także w Wiedniu — aż w czasie rokowań pokojowych (maj 1919) rząd warszawski kazał przeprowadzić likwidację Wydziału krajowego w sposób niezgodny ani z zasługami połwiewkowemi Wydziału, ani ze słusznym poczuciem godności ustępującego marszałka.

O sprawie upadku banku kredytowego we Lwowie i jego dyrektora Marchwickiego nie piszę bliżej, bo ani w Sejmie ani po za nim nie miałem z nią styczności osobistej. Ale mnie także interesowała, bo ceniłem wielkie zdolności finansowe Marchwickiego, jakkolwiek tem mniej mogłem zrozumieć lekkość, z jaką wciągnął w wir swych milionowych spekulacji finansowych i giełdowych liczne sfery, zwłaszcza prócz prezesa banku ks. Ad. Sapiehy swych adoratorów i dobrodzieji, obu Badenich.

XI.

1900—1909: Gubernatorstwo banku austro-węgierskiego.

Zachowanie się Koerbera za rządów Claryego było jasną wskazówką, iż zdolny ten, wytrawny i wytrwały mąż stanu gotuje się do objęcia rządów. Bywał on u cesarza na audjencjach już do Nowego Roku; a że stosunek nasz od czasów Badeniewskich był niezmiernie przyjacielski, więc desygnowany szef rządu już 6. stycznia, a później 13. stycznia zapo-

wiedział się do mnie biletami na konferencję. Zaraz przy pierwszym spotkaniu zaproponował mi wstąpienie do gabinetu; gdy jednak wymieniał tekę skarbu, odrzekł, że już jest związany z Böhm-Bawerkiem. Jego zaś propozycję wstąpienia jako minister dla Galicji ja znowu odrzuciłem a limine, ponieważ przy całym uznaniu znaczenia tego ministerstwa jako placówki dla obrony interesów kraju, nie mogłem się pogodzić z myślą, zamiany pierwszej teki resortowej w gabinecie na tekę bez resortu odrębnego. O decyzji tej zawiadomiłem bliskich mi zawsze wówczas Kniaziołuckiego i Dzieduszyckiego, Jaworskiemu się jeszcze nie zwierzyłem, znając jego dla mnie nieprzychylność. Ale Koerber, który tworząc rząd w ścisłym porozumieniu z Niemcami, chciał widocznie mieć także przeciwwagę w Polaku, nie dał za wygraną. Udał się więc do żony mojej, znajomej mu od czasu mej prezydentury kolejowej i tak długo jej perswadował, aż ją zdołał nakłonić do oświadczenia się za przyjęciem ministerstwa bez teki. Poddałem się temu orzeczeniu żony, której rady były mi zawsze zbawienne, ale postawiłem warunek zajęcia wyjątkowego w gabinecie stanowiska, na co się Koerber zgodził. Wskutek tego napisałem — znowu w porozumieniu z Dzieduszyckim i Kozłowskim — rodzaj układu między szefem przyszłego rządu a mną, mocą którego miałem być niejako wiceprezydentem rządu w tem znaczeniu iż każda konferencja szefa ze stronnictwami i każda jego enuncjacja wymagały mojej uprzedniej zgody. Koerber nie podpisał układu, czego też nie wymagałem, ale oddał mi go stosownie do końcowej klauzuli z ustnem oświadczeniem, iż się nań w zupełności zgadza. To mi było przy jego charakterze dostatecznem. Na drugi dzień poszedł z tem do cesarza, który się układowi nie sprzeciwił, tylko kilkakrotnie pytał z zadziwieniem, czy istotnie chcę iść na ministerstwo bez teki. Podobno właśnie 6/1 przyniósł mi Koerber tę wiadomość wprost z Burgu. Uważając aprobatę cesarza za fakt dokonany, zniósł się Koerber z Niemcami, w których wszelako znalazł liczne obiekcje:

były to odblaski niemieckiego żalu z powodu mojej polityki nie tyle za Badeniego, ile za Claryego. Wskutek tego rzecz się przeciągała, a Koerber spodziewał się cierpliwością uzyskać Niemców. Aż razu pewnego — było to zapewne pod koniec stycznia — odbyła się według dzienników konferencja u ministra spraw zagranicznych hr. Gołuchowskiego z prezesem Jaworskim, a wkrótce potem zawezwał mnie Jaworski do parlamentu na rozmowę, w ciągu której dość ironicznie i brutalnie, bez podania źródła i powodu, oświadczył, że ja do gabinetu nie wejść. Odrzekłem mu spokojnie, że w takim razie stanie się tylko to, co odpowiada moim pierwotnym życzeniom. Widocznie Niemcy użyli pomocy ministra spraw zagranicznych, który, pragnąc dojścia do skutku rządu definitywnego, zdolnego do przeprowadzenia ugody węgierskiej, wpłynął na Jaworskiego, a może i na cesarza. W kilka dalszych dni bowiem później odwiedził mnie Koerber, bardzo zirytowany zakończoną właśnie audjencją u cesarza, w której cesarz kazał mnie powiedzieć, że uważa mnie jako twórcę nowego statutu bankowego, za jedynie powołanego do jego wprowadzenia w życie, że mnie prosi usilnie, bym przyjął powołanie na Gubernatora Banku austro-węgierskiego i że gotów jest spełnić każdy warunek, który bym miał z tego tytułu postawić. Naturalnie, że nie postawiłem warunków i że się na propozycję cesarza zgodziłem, najprzód z powodu jej rzeczowego uzasadnienia, a powtórę, że cesarz nie mógł się oprzeć Niemcom, przeciwnym memu wstąpieniu do gabinetu, ale także i gubernatorstwu, czego dowodem napady ich organu „N. Fr. Presse“. To też, gdy w kilka tygodni potem, już jako Gubernator, zeszedłszy się z przywódcą Niemców, posłem Grossem, zrobiłem w rozmowie aluzję do ówczesnej akcji Niemców, odrzekł mi Gross z uśmiechem: „Na ja, wir wussten eben nicht, dass Euere Exzellenz immer auf die Füße fallen“.

W mieszkaniu mojem przy Tulpengasse, gdzie tyle się odbywało przedtem i potem epizodów historycznych Polski i Austrii,

odwiedził mnie w kilka dni po Koerberze jego minister skarbu Dr Böhm-Bawerk z formalną prośbą przyjęcia gubernatorstwa banku; a 20 lutego napisał mi Koerber *) list z powinszowaniem do koronnej nominacji, zwalczanej do ostatniego dnia przez „N. Fr. Presse“.

Dnia 2 marca 1900 objąłem urzędowanie na uroczystym posiedzeniu Rady generalnej, gdzie w wielkiej mowie rozwinąłem swój program. Po raz pierwszy stanął b. minister na czele tej Rady; ale też bank stał się przez nowy statut wielką, pierwszą instytucją obu państw. — Z drugiej strony byłem ja osobiście dla banku „czerwoną chustą“, ponieważ jako minister starałem się ze stanowiska państwa sprzedać bankowi przywilej jak najdrożej i przesądziłem ostatecznie, że dawny dług państwa 80 mil. Złr. czyli 160 mil. koron, spłacony w ciągu lat niemal 40-u dość znacznie został z funduszów rezerwowych banku umorzony aż do wysokości 60 mil. koron. To też mój program został w Radzie generalnej przyjęty bardzo chłodno, a w „Neue Freie Presse“ wprost nieprzyjaźnie. Potrzebowałem potem na to szeregu lat, by czynem konsekwentnym przekonać zastępców akcjonariuszy w Radzie generalnej, że program identyczności interesów państwa z interesami zakładu da się przeprowadzić. W lutym każdego roku zwykłem był po odbyciu walnego zgromadzenia akcjonariuszów banku zapraszać całą Radę generalną i wyższych urzędników, niemniej komisarzy obu rządów na kolację do Sacher'a. W toaście na pierwszym takim zebraniu (1901) prosiłem zgromadzonych o „zaliczkę 50% zaufania“, w nadziei, że się dorobię reszty. Na ostatnim takimże zgromadzeniu (1909) oświadczył szef wytrwałej opozycji radca generalny Fryderyk Suess (brat wielkiego geologa i polityka Edwarda), że musi mnie zapewnić o 100 procentach zaufania Rady“.

Ale droga do tego celu była i trudna i uciążliwa. Trwała

*) Gdy to piszę, dochodzi mnie wiadomość o zgonie tego wiernego przyjaciela mojego (dnia 6/3 1919).

ona lat 9, które swoją drogą stanowią dla mnie wspomnienia pracy pouczającej, spokojnej, skutecznej dla monarchji, pozytywnej dla mego zdrowia fizycznego i dla uspokojenia politycznego po ciężkich walkach parlamentarnych, wkońcu dla moich stosunków finansowych i towarzyskich. Płaca, acz nie przesadna bo 48.000 Kr. z kas banku prywatnego i należąca mi się nadal z kas rządowych emerytura ministra 20.000 Kr. dozwoliły mi przy oszczędności drogiej mej żony, poczynić znowu znaczniejsze zaoszczędzenia po ich wyczerpaniu w chwili dymisji z r. 1897; zaś wolne od prac biurowych wieczory dozwoliły mi zawiązać stosunki ściślejsze z szeregiem osób i rodzin gwoli uprawiania szlachetnej gry whista. Trzech najbliższych mi partnerów: Glanza, Jorkascha-Kocha i Liharzika, później Halbana i panią Muth zabrała już śmierć nieubłagana. I lekarz Dr Eder, w którego domu gościnnym (żona, I-o voto Rebhann, osoba wielce miła, wychowana w Krakowie po polsku) odbywały się przy grze kolacje wysmienite, już nie żyje; natomiast baron Czeditki nadzwyczaj sympatyczna i wzorowa jego żona druga, także nam bardzo blizcy, cieszą się jeszcze zdrowiem, (ona niestety zmarła 1920 wkrótce po mojej Niezrównanej). Służba w banku dała mi nadto poznać okolice monarchji, do ówczas mniej mi znane z czasów kolejowych, bo nie położonych przy kolejach państwowych. Według dawnego mego systemu kolejowego, zwiedzałem miejsca, w których się znajdowały lub miały być zakładane filje, ażeby poznać ludność, urzędników i gmachy, które w znacznej części kazałem wystawić nowe. Zwiedziłem tym sposobem wielką część Węgier (w Peszcie wystawiłem wspomniały pałac na „Placu Wolności“, gdzie ongiś powieszono prezydenta ministrów hr. Bathayaniego), z wyjątkiem Siedmiogrodu; zwiedziłem naturalnie Galicję — w Kołomyji oglądałem grób śp. ojca mego i dawny dom rodzinny, gdzie bywaliśmy jako młode małżeństwo i gdzie r. 1875 zmarł dobry i nieszczęśliwy mój ojciec; — zwiedziłem Czerniowce, gdzie zamieszkałem jako gość u prezydenta rządu, ks. Hohenlohego, później-

szego ministra i ochmistrza dworu cesarza Karola, miasto, posiadające jeszcze liczne żywioły polskie w sferach inteligencji; zwiedzałem Berno i Ołomuniec w Morawji, Pragę, Reichenberg, Königrätz — z wieży ad hoc wystawionej oglądałem szczegółowo pole bitwy z r. 1866, pozycje obu armij i grupę drzew, z których się wysunęła zwycięska armia następcy tronu pruskiego; — dalej Eger — gdzie oglądałem pamiątki rządów i morderstwa Wallensteina, — wreszcie Pilzno i sąsiedni Marienbad; zwiedzałem — tym razem z nieocenioną żoną moją — w południowym Tyrolu cudnie położony Bozen wraz z sąsiednim ślicznym Meranem, cudowny historyczny Trydent z pomnikiem Dantego, przyparty do stromych gór Rovereto, poczem wraz z żoną udałem się prywatnie nad urocze jezioro Garda, gdzie przepędziliśmy święta Wielkanocne (1905) w przepysnej Riva, wśród gajów cytrynowych nad modrem jeziorem i w Gardone już na ziemi włoskiej, używając wszystkich tych cudów natury, które dziś po wojnie stały się własnością Włochów.

Wszystkie jednak powyższe zewnętrzne korzyści z urzędu gubernatora nie idą w porównanie z głównym jego celem publicznym. Cesarz miał istotnie rację, że ja byłem powołany z natury rzeczy do tego urzędu, i dał mi tem sposobność do tryumfu, jaki się nie wielu wydarza śmiertelnikom. Statut bankowy był moim dziełem: jego polityczną konstrukcją była równorzędność Austrii i Węgier („Parität“). W tej równorzędności dopatrywała się opinja austriacka zdrady interesów austriackich; dziennikarstwo przepowiadało zniszczenie Austrii przez Węgry, przewagę zarządu węgierskiego na szkodę Austrii; deputowany niemiecki Schaup, wielki ale bardzo rozumny dziwak, z którym byłem na stopie tak bliskiej, że za czasów mojej prezydentury kolejowej podejmował mnie z żoną w czasie przejazdu przez jego stację w swoim słynnym browarze w Górnej Austrii w Zips (— takiej samej gościnności doznałem w onych czasach także w Okocimie polskim jeszcze za życia ojca dzisiejszego bar. Goetza) — ten sam Schaup oświadczył mi po wydaniu

statutu bankowego, że na całe życie nie chce mieć więcej stosunków ze mną! A obecnie było mojem zadaniem dowieść czynem, że tych niebezpieczeństw niema, że równorzędność jest właśnie tylko równorzędnością. Niestety Schaup zakończył tymczasem życie!

Pierwszem zadaniem było przeprowadzenie równorzędnej organizacji statuarnej. Polegała ona na tem, że w radzie generalnej zasiadało dwóch wicegubernatorów, mianowanych przez rząd austriacki i węgierski, dalej równa ilość radców z Austrii i Węgier, wkońcu dwóch komisarzy rządowych ze strony obu rządów. Ponadto w Wiedniu i Budapeszcie ustanowione były dwie dyrekcje, pod przewodnictwem wicegubernatora odnośnego państwa i złożone z tamtejszych członków Rady generalnej: dyrekcjom służyło najważniejsze prawo: wymierzanie kredytów. Ale dla utrzymania jednolitości postępowania dodaliśmy każdej dyrekcji jako referenta austriackiego względnie węgierskiego inspektora centralnego, mianowanego przez Radę generalną i podległego gen. sekretarzowi. Ten zaś sekretarz generalny był właściwym dyrektorem banku, podlegał jednakowoż po za Radą generalną gubernatorowi, a raczej tegoż prawu weta. Sekretarz gen. był wszechmocny, o ile nie napotkał na veto; rzeczą zaś gubernatora było, najprzód przeprowadzić swym wpływem zasadę, że każda ważniejsza sprawa musi być przed rozstrzygnięciem jemu przedłożoną — w akcie lub ustnie — a powtóre wykonać swoje veto w razie uzasadnionym. Że zaś wyrobił się zwyczaj, iż przy gubernatorze austriackim, jakim ja byłem, urzędował generalny sekretarz Węgier i odwrotnie, przeto tak się znowu neutralizowały wpływy austriackie i węgierskie. Oto szkic organizacji „parytetycznej“, którą przeprowadziłem zaraz i utrzymałem cały czas konsekwentnie. A organizacja ta nie wykluczała wcale pełnego równouprawnienia wszystkich języków w monarchji. Językiem urzędowym wewnętrznym był w całej monarchji, a więc i we Węgrzech (!) wyłącznie język niemiecki; natomiast ze stronami korespondowały filje we wszystkich języ-

kach krajowych, nie tylko po węgiersku. Ztąd za moich rządów obsadzono wszystkie posady filjalne Polakami (byli i Rusini), Czechami (i Niemcami), Włochami, Chorwatami itd. I napisy na banknotach umieszczone były po stronie austriackiej we wszystkich językach krajowych, po węgierskiej przynajmniej także w języku chorwackim.

Poprzednikiem moim na stanowisku gubernatora był Węgier, były profesor ekonomji Dr Kantz; sekretarzem gen. był Mecenseffy, z rodu wprawdzie Węgier, ale z obywatelstwa Austrjak i Niemiec, a z języka(!) Polak. Dzielnym ten człowiek musiał już dlatego ustąpić, że gubernatorem został obywatel austriacki; ale nadto Rada gen. była mu wrogą, ponieważ przegrał partję przeciw mnie jako ministrowi skarbu. Gdyśmy r. 1896 dobijali targu o umorzenie na koszt banku 15 milionów guldenów z dawnego długu państwowego, podałem mu w mojem biurze dobre cygaro, nazywając je „Bestechungszigare“. Bo w sprawach fachowych Mecenseffy mówił ze mną po niemiecku, nie po polsku; dzieci wychował po niemiecku, a jeden ze synów generała nie odznaczał się w r. 1914/5 jako przyboczny osławionego arcyks. Józefa Ferdynanda miłością dla ludności polskiej Cygaro, a raczej moja groźba, że oddamy przywilej innej grupie kapitalistów poskutkowały, za co Rada gen. chciała go wyrzucić gwałtem już w pierwszych tygodniach i tylko memu wpływowi, powiodło się, utrzymać go — dla przyzwoitości wobec wiekowego zasłużonego człowieka († r. 1920) — do czerwca. Wtedy przedstawiłem Radzie generalnej do nominacji Węgra Prangera, do ówczas zastępcy Mecenseffego. Dziwna była mieszanka w tym dumnym ze swego pochodzenia synu chłopca z Rokoszc w komitacie niemieckim: twardy, zarozumiały, wszystkiemu przeciwny jak prawdziwy Węgier, ale zdolny, dobry, świątły, pełen wielkich idei jak każdy inny szlachetny człowiek. Nim się między nami ułożyły stosunki w duchu powyższym, było trochę trudności; ale pojmując każdą sprawę ważniejszą ze stanowiska wyższego, a pragnąc zarazem skutecznego prze-

prowadzenia równorzędności w banku, zdołał się Pranger poddać memu wpływowi, tak jak i ja się nie usuwałem od jego wpływu, i powstał między nami stosunek pełen zaufania i przyjaźni, zbawienny dla banku i społeczeństwa.

Wspólnymi teraz siłami zabraliśmy się przedewszystkiem do wdrożenia takiego postępowania w administracji, jakiego wymagała sumiennie przeprowadzona zasada równorzędności. I powiodło się nam wpływem na urzędników, na cenzorów przy sposobności podróży urzędowych, a w szczególności na obie dyrekcje stworzyć takie postępowanie przy wymiarach kredytu, żeby nie było powodu przypisywania jakiegś winy powyższej zasadzie. Były w ciągu mojego urzędowania wnoszone niejednokrotnie żale słuszne czy niesłuszne; były w szczególności ze strony ludności polskiej wnoszone skargi z powodu upośledzenia kredytu. Ale jak te skargi usunąłem postanowieniem poufnym, że rolnikom, potrzebującym do obrotu swoim kapitałem z natury rzeczy dłuższego niż 3-miesięcznego terminu, wolno było prolongować, weksle — wbrew duchowi statutu! — dwa razy, do 9 miesięcy, tak w ogólności przy całym oddaniu się wielkim interesom Austro-Węgier i waluty, nigdy nie zapominałem o potrzebach kraju mego rodzinnego. Wysyłałem inspektorów dla pouczenia urzędników o znaczeniu kredytu rolniczego. Jeden z nich zapewnił nas po powrocie z objazdu, że weksel rolnika wielkiego w Galicji, więcej wart, niż niejeden weksel fabryczny w Czechach. Starąłem się ponadto chronić instytucje polskie od upadku, jak świadczy ratunek Galicyjskiego Banku Hipotecznego przez nielegalny wprost lombard niewydanych jeszcze listów zastawnych około 700.000, przywiezionych nam osobiście przez dzielnego dyrektora *Lazarusa*. Pozaatem jednak nigdy w ciągu lat 9-u nie było ani jednej skargi ze strony obywateli austriackich, jakoby bank z ich krzywdą pomagał Węgrom. Służyliśmy przeciwnie tak sumiennie Austrii i Węgrom, że bank, acz jednolity uważany był w Austrii za austriacki, a w Węgrzech za węgierski. I to była moja дума największa, to satysfakcja za doznane ciężkie zawody,

to wynik szczęśliwego z woli Opatrzności składu rzeczy, że właśnie w moje ręce dostała się — znowu nie zupełnie zgodnie z wolą moją — administracja banku przy jego pierwszym przeobrażeniu, że jako twórca nowego statutu mogłem światu dowieść jego zbawiennosci dla obu państw monarchji. Rzadko tak losy kierują, jak pokierowały ręką dobrego cesarza, który, wbrew woli stronnictw niemieckich oddał mi tego atuta w ręce.

Z takim warsztatem w rękę zabraliśmy się z Prangerem do wielkich prac ekonomicznych, wynikłych z ustaw z r. 1892 o przywróceniu waluty złotej. Komisarze austriacki (Gruber) i węgierski (Popovics) byli nam przy tem pomocni, wiedząc, iż niemamy przed nimi tajemnic, a pragniemy tylko dobra ludności i państwa. Nowy statut banku opierał się już na ustawach walutowych z r. 1892, ale nie wypowiedział jeszcze zniesienia waluty przymusowej banknotów, to znaczy przywrócenie prawa publiczności, żądania w zamian za banknoty złota. Ażeby to najwyższe stadjum reformy osiągnąć i zrealizować (wojna światowa zniszczyła tymczasem wszystkie owoce prac naszych), potrzeba było z jednej strony gromadzić zapasy złota na targach światowych, a z drugiej strony wdrożyć publiczność w używanie złota. Pierwsze zadanie ułatwiły nam oba rządy, składając zapasy złota z kas swoich do kas banku; dalsze zapasy gromadziliśmy w drodze handlu i interesów bankowych, tak że r. 1909 w chwili mego ustąpienia z banku skarb złoty wynosił $\frac{5}{4}$ miliarda koron. Ażeby zaś wolno puścić w obieg złote monety, potrzeba było narad z obu rządami, które się odbyły za udziałem ministrów Böhma i Lukacsa, komisarzy rządowych Grubera i Popovicsa, generalnego sekretarza Prangera i moim w dniu 8/8 1901 w mieszkaniu mojem w Ischlu (Franz Carlplatz, 5). W historycznej tej konferencji postanowiono emisję monet złotych dobrowolną, niezawisłą od prezentacji banknotów. W porze objadowej przeniosła się konferencja do hotelu Elisabeth, gdzie goście nasi objadowi tak długo jeszcze radzili, aż minister Lukacs (wówczas bliski 60-letni mąż rozwiedziony, ojciec córki zamężnej) nie dał się

powstrzymać od pospiesznej ucieczki do swojej narzeczonej, wówczas rozwódki, późniejszej eleganckiej żony swojej (byłem u nich r. 1912 w czasie delegacji jako minister wspólny na objedzie). Ale konferencja, acz przerwana, wydała owoce. Rozpoczęliśmy zaraz, wśród wielkiego wrażenia u publiczności, wydawanie złota; tylko że ta publiczność, przywykła do banknotów była nie zadowolona i zwracała przy każdej sposobności złoto — Bankowi, tak, że tygodniowe wykazy filij naszych dawały obraz znacznej emisji złota w poniedziałki i również znacznego jego wpływu do kas w soboty! Tak więc bank pozostał jedynym rezerwoarem złota, a banknoty uzyskały na targu wyższą niż złoto wartość (agio). Czy tak było dobrze, czy doświadczenia wojny światowej nie dowiodły, że złoto trzyma się dłużej u publiczności (Niemcy!), niż w banku, który w Austrii stracił prawie całe złoto i doczekał się disagio banknotów w wysokości 75%? W piątym roku wojny (1918/9) w czasie rokowań pokojowych banknot przedstawia wartość 25 halerzy (zamiast 100) za koronę, we trzy lata później (1921) notuje się w Zurychu za 100 koron austr. niżej 30 centimów. Wszystko dzięki strasznej inflacji, spowodowanej przez oba rządy w czasie wojny, nadmiar przegranej.

Tego nikt wówczas za mego gubernatorstwa nie mógł przeczuwać, gdy złoto się mnożyło, stopa procentowa wynosiła $3\frac{1}{2}$ od sta, a bank przedsiębrał nowe środki ochrony złota przed zagranicą, nie drogą podwyżki stopy procentowej na modłę angielską, lecz drogą oryginalnej polityki dewizowej. Polityka ta polegająca na zastępowaniu w obrocie międzynarodowym złota dewizami, wydawanymi tylko na realne interesa kupieckie, znaną dziś jest całemu światu; ale wówczas była moim pomysłem i monopolem, podziwianym a niepojętym w Europie. Pod tem wrażeniem zgłosił się u mnie na wiosnę 1908 r. ówczesny ambasador niemiecki p. Tschirsky z pisemnem poleceniem od kanclerza Rzeszy Niemieckiej, wyrażającym prośbę o przyjęcie delegacji Banku Rzeszy, celem pouczenia się o na-

szej metodzie dewizowej. Naturalnie, żeśmy się na to zgodzili, delegacja była zachwycona, co się też uwidoczniło na śniadaniach, wydanych najprzód przezemnie u Sachera, dla Niemców i Austro-Węgrów a potem przez Tschirskyego u niego w pałacu ambasady niemieckiej. W czasie wojny światowej ratowano się w całym świecie ile możności tą metodą. Dla mnie zaś było to nietylko udziałem w triumfie z reformy, w której od początku brałem udział stanowczy, lecz nadto zaczątkiem stosunków towarzyskich z ambasadorem, które się stały przyjacielskimi i przetrwały wojnę, nie bez pewnej korzyści dla sprawy polskiej.

Nie jestto zadaniem moich „wspomnień“ podawać szczegółów wszystkich tych reform; ale dla czytelnika, żadnego szczegółów dołączam tutaj odbitkę*) odczytu, jaki miałem d. 2/10 1906 na zjeździe prawników i ekonomistów polskich w Krakowie. Odbitka ta, przetłumaczona na język niemiecki, znalazła niespodziewany rozgłos w całej Europie. Z najrozmaitszych państw żądano jej nadesłania, a jeszcze r. 1918 musiałem jeden egzemplarz wysłać dla uniwersytetu w Christjanji. Ztąd opinja o mojej znajomości spraw walutowych (por. N. Reforma z d. 12/4 1919 Nr. 260).

Perjod gubernatorski życia mego, pełen, jak wspominałem przyjemności i wygod, pozostawił jednak w pamięci mej pewną gorycz a to dlatego, że w jego ciągu najdroższa żona moja, doówczas bardzo zdrowa, zaczęła poważnie nedomagać. Z roku na rok pojawiały się cierpienia, które niezawodnie sprowadziły chorobę.

W czasie gubernatorstwa mego bawiłem na wiosnę w Krakowie z okazji 500 letniego jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego, który na uroczystem wspianiem posiedzeniu w kościele św. Anny zaszczyił mnie doktoratem *honoris causa*. Poznałem wtedy po raz pierwszy wielkiego Sienkiewicza, z którym się później zetknąłem bliżej dopiero w czasie wojny światowej, gdy późną jesienią 1914 wybierał się przez Wiedeń

*) Patrz na końcu książki.

do Szwajcarii i jako poddany rosyjski, doznając trudności paszportowych ze strony władz austriackich, zażądał odemnie jako ministra pomocy, której mu naturalnie udzieliłem z wszelką gotowością. Zapewniał mnie zresztą przy tej sposobności, że jest z przekonania zwolennikiem akcji austro-polskiej. Po swym wyjeździe rozwinął Sienkiewicz w Lozannie zbawienną akcję humanitarną, z której korzystały po części także akcje wojennej dobroczynności polskiej, spoczywające w moich rękach.

Z końcem lutego 1905 upłynęło było pięciolecie mego gubernatorstwa z ramienia rządu austriackiego. Była teraz kolej na Węgrów. W czasie mej obecności w Budapeszcie wyraził jednak minister skarbu *Lukacs* „prośbę“, bym przyjął gubernatorstwo także z ręki Węgrów na ich pięciolecie. Było to dla mnie i korzyść wielka i wielka satysfakcja, bo mogłem się przekonać, że jak w Austrii, tak i w Węgrzech nie było skarg na mój zarząd. Zrobiło to wielkie wrażenie w Austrii, boć Węgrzy nie zwykli wydawać cokolwiek z rąk swoich. *Stanisław Badeni* uważał to za wielki tryumf. Muszę też przyznać, że był to — ostatni swoją drogą — dowód przychylności Węgrów dla mnie. W późniejszych czasach bowiem miałem w nich tylko wrogów. Zresztą nawet ten sam *Lukacs* był mi wprawdzie w czasie mego pierwszego piastowania teki skarbowej w ciągu układów 1895/6 ustępliwym partnerem, już jednak w 1897 r. cofnął zobowiązanie co do kwoty węgierskiej.

W 1907 roku wyjechałem imieniem Banku do Dalmacji dla poznania stosunków monetarnych w sąsiedztwie Czarnogóry. Minister finansów *Korytowski* dał mi do dyspozycji statek skarbowy „Spalato“ urządzony z większym komfortem, niż „Biliński“, powstały dla użytku Trjestu za rządów moich. W drodze towarzyszyła mi moja żona. Była to pierwsza z licznych potem podróży na wodach Adriatyku, które należały do najrozkoszniejszych chwil życia naszego. Podróż jachtem — przystępna tylko nielicznym milionerom — jest ideałem podróży morskiej, dając swobodę dysponowania statkiem wyłącznie na rzecz po-

siadacza. Jako cicerone towarzyszył nam dyrektor skarbu z Zary, dawny mój podwładny i znakomity urzędnik prezydent Hoc e v a r (innym razem także z piękną młodą żoną swoją). Znając każdy zakątek, każdą wysepkę, każdą zatokę, był mistrzem w ułożeniu programu jazdy, zarówno jak w udzielaniu wyjaśnień. Kapitan Miličević, także dawny mój podwładny (załoga składała się tylko ze służby skarbowej) przyczyniał się do zabawy swoją wesołością. Cały dzień, wolny od wycieczek najcudowniejszych, spędzaliśmy na pokładzie przy powietrzu wspaniałem. Na zakończenie podróży była zawsze iluminacja statku. Niestety! podróż tę zaciemniła smutna wiadomość, otrzymana rano przy śniadaniu na statku w zatoce uroczej Gravosa (siostrzycy położonej tuż za górą cudownej Raguzy): brat mój Ludwik, równie nam drogi brat i przyjaciel, jak dziś Marjan, zmarł nagle w Żółkwi. Nie mogło być mowy o wyjeździe na pogrzeb, bo najprzód telegram doszedł mnie drogą biura mego wiedeńskiego za późno, a potem miałem obowiązek urzędowy, dotrzeć do Cattaro, gdzie głównie obiegały monety czarnogórskie. Po wysłaniu więc depeszy kondolencyjnej do Żółkwi, której nigdy mojej bratowej nie doręczono — pogrzeb był, czego nie wiedziałem, we Lwowie — ruszyliśmy przez Raguzę, pełną najcudowniejszych budowli włoskich i położoną wspaniale nad morzem, do zatoki Cattarskiej, przypominającej najwspanialsze fiordy północne. I dziwna ironja losu nasłała mi w ciągu tego setki innych telegramów: — gratulacyjnych z powodu wyboru z Rzeszowa do Rady państwa. A biedny brat mój Ludwik, acz widocznie skłonny do paraliżu serca, przyspieszył sobie śmierć niezawodnie przez wielkie umęczenie, spowodowane własną kandydaturą poselską, na którą się godziła i ludność i władza krajowa, a od której musiał na żądanie namiestnika hr. Potockiego ustąpić w ostatniej chwili na rzecz dotychczasowego posła Stanisława Starzyńskiego, mimo że tenże publicznie i wobec mnie i wobec brata zrezygnował był z zamiaru kandydowania. Ciężki miałem o to żal do kolegi swego Starzyńskiego, musia-

łem jednak wysłuchać słusznego po części tłumaczenia jego przymusem politycznym i partyjnym.

Roku 1908 wybraliśmy się z wiosną na wielkanoc — z powodu niedomagania drogiej żony mojej — na kilkutygodniowy pobyt na wyspę Brioni blisko Poli. Wyjazd nasz był znowu zaćmiony nadeszłą tuż przed opuszczeniem domu wiadomością o zamordowaniu namiestnika Potockiego przez rusina Siczynskiego, wiadomością równie dla mnie straszną jako dla Polaka, jak i dla wielkiego adoratora biednego ś. p. p. Andrzeja. Brioni samo to perła, nie znaleziona, lecz stworzona przez znanego przemysłowca i b. dyrektora hut żelaznych, pana Pawła Kupelwiesera (zmarłego w marcu 1919). Genjalny ten człowiek, iście jakby Amerykanin we Wild-West zakupił od zarządu wojskowego dziką, pełną owadów i chorób malarycznych wyspę z fortami obronnymi i stworzył z niej po kilku latach rajską, zdrową, żyzną połąć ziemi, pełną najcudowniejszej fauny i flory. Nad przystanią stanęło kilka hoteli, przebudowanych lub pobudowanych przez właściciela, gdzie goście mogli używać wszelakich rozkoszy świetnego powietrza, kąpeli i wycieczek morskich, spacerów nieskończonych, widoku burzliwego Sirocca itd. Tam zamieszkaliśmy na parę tygodni z pożytkiem dla zdrowia mej żony, stamtąd wyjeżdżaliśmy statkiem motorowym (po raz pierwszy w życiu) do Fasany i dalej automobilem w górę nad brzeg Poli; tam byliśmy jeszcze w parę lat później, ja jako minister skarbu, kilkugodzinnymi gośćmi, obwożeni autem po całej wyspie. Tylko na jednym ze spacerów 1908 r. odczuła moja żona bardzo boleśnie skutki nieprzezornej chodzenia naprzeciw Sirocca!

Aczkolwiek stanowisko gubernatora banku wspólnego było z natury rzeczy apolitycznym, nie obyło się przez cały czas mego urzędowania aż do pobytu w Bośni włącznie bez sposobności do udziału w polityce austriackiej, a nawet węgierskiej. Za pięcioletnich rządów Koerbera, który umiał sobie sam radzić z Kołem polskim, zajmowałem się głównie popie-

raniem u swego przyjaciela (Koerber zmarł niestety w marcu r. 1919) wszelakich spraw polskich i niepolskich, przedstawianych mi ze strony prywatnej i uznawanych przezemnie za słuszne. Koerber był szefem rządu bardzo niezwykłym: mięszał się we wszystkie sprawy poszczególnych narodów i w razie potrzeby sam niemal osobiście je załatwiał. Wielu ludziom zdołałem w owym czasie być pomocnym skutecznie.

Dla charakterystyki Koerbera przytoczę tu sprawę następującą. Celem zwiedzenia filji banku w Reichenbergu zjechałem tam r. 1902 czy 1903 i doznałem bardzo uroczystego i serdecznego przyjęcia u miasta i wielkich przemysłowców (bar. Liebig, Ginzkey, właściciel ślicznego Maffersdorf i tamtejszej fabryki dywanów itd.). Miasto wydało dla mnie bankiet, na którym w toaście święcono moje dawne zasługi kolejowe i odwoływano się do mej opieki w sprawach kolejowych. Wiedząc, że chodzi o to, by rząd zechciał połączyć torem dwa dworce, które miały jedynie komunikację fjakrami, przyrzekłem swoją pomoc, aczkolwiek mnie zapewniano, że minister kolei (Wittek) i jego urzędnicy, zwiedzając Reichenberg, nic w tym nie widzieli drożnego, że podróżny, przybywszy z Cieplic na dworzec arcyprymitywny, musi dla kontynuowania podróży do Wiednia, zleść najprzód przez karkołomne liczne schody na ulicę i tam szukać fjakra, któryby go chciał zawieść na bliski dworzec główny.

Po powrocie do Wiednia, zwróciłem uwagę Koerbera na ten mankament. Nie minęło od tej rozmowy mojej z Koerberem 10—14 dni, gdy zaczęto mnie z Reichenbergu bombardować telegramami dziękczynnymi. I co się okazało? Koerber zażądał z ministerstwa kolei aktów i sam natychmiastową nakazał budowę toru, łączącego oba dworce w Reichenbergu.

W dzień Sylwestra 1904 skończyły się niestety rządy Koerbera, a zastąpił go G a u t s c h, po raz drugi szef gabinetu. Jakkolwiek znaliśmy się dobrze z czasów Badeniego, stosunki moje z Gautschem były dość zimne. W lutym 1905 był

u mnie osobiście z powinszowaniem ponownej nominacji gubernatorem: pozatem nie widywaliśmy się wcale. Ale za to dziwnym trafem zetknąłem się wówczas z polityką węgierską. Po upadku hr. Khuena-Hedervary z powodu ustawy wojskowej przyszedł do steru nieparlamentarny, znieawidzony narodowi rząd generała Fejervaryego, który rozpedził parlament wojskiem. Opozycja z Kossuthe'm na czele, małym synem wielkiego ojca, dyktatora z r. 1848/9, postanowiła użyć wszelkich środków, by się dostać do władzy. W tym samym czasie lub nie na długo przedtem założono w Wiedniu nowy dziennik „Die Zeit“, do którego się zbliżyłem z uwagi na trwałą naówczas nieprzyjaźń starego dziennika „N. Fr. Presse“ dla mojej osoby. Tym sposobem poznałem bliżej redaktora i założyciela „Zeit“, profesora Izydora Singera, izraelite, który dla utrzymania nowego dziennika poświęcił cały swój wielki majątek, człowieka bardzo światłego i wymownego. Singer utrzymywał bliskie stosunki z opozycją we Węgrzech, wtajemniczał mnie we wszystkie jej plany i przedstawił mi swego głośnego korespondenta budapeszteńskiego, późniejszego posła Juliana Weissa. Obaj ci panowie, stojąc po stronie opozycji węgierskiej, starali się pozyskać mnie dla jej usiłowań usunięcia rządu absolutnego — wstrętnego narodowi — mimo sympatycznej figury Fejervaryego. Podzielając rozumiały te uczucia narodu węgierskiego i przypuszczając, że opozycja, prosząca o pomoc zechce odstąpić od niejednego ze swych postulatów radykalnoniepodległościowych, podjąłem się po radzie z Prangerem jako Węgrem pośrednictwa. Że zaś jako minister nieczynny nie mogłem uzyskiwać przystępu do audjencyj prywatnych inaczej, jak tylko przez szefa rządu lub przynajmniej szefa kancelarii gabinetowej p. Schiessla (audjencje powszechnie nie nadawały się do takiej akcji wcale), postanowiłem użyć pomocy zaprzyjaźnionego ze mną szefa sztabu generalnego, ówczesnego barona, późniejszego hr. Becka. Było to na wiosnę r. 1906. Generał miewał u cesarza stałą audjencję prywatną co środy:

urządziłem z nim przeto akcję tak, że mu co tydzień pisałem do odczytania cesarzowi list obszerny o sytuacji na Węgrzech i o ofertach opozycji węgierskiej, a Beck mi list ten zwracał po audjencji z ustną lub pisemną odpowiedzią o przebiegu audjencji. Korespondencja ta znajduje się w papierach moich. Na podstawie tej komunikacji przyjąłem pewnego czwartku — pamiętam to, bo żona miała w ten dzień swój jour, tak że dyskretny przystęp do mego mieszkania był utrudniony — męża zaufania Kossutha, hr. Theodora Batthyany'ego, któremu towarzyszył Singer. Od znajomego prof. Singera usłyszałem najajutrz jego opinię o sposobie, w jaki „wziąłem“ węgierskiego magnata. Po krótkiej dyskusji musiał się dać przekonać, że opozycja ma tylko wtedy szanse dojścia do władzy, jeżeli uzna wbrew swemu programowi wspólność słowa, tudzież bankową Węgier z Austrią i, co za tem idzie, wspólne zawieranie traktatów handlowych. Doniósłszy o tem zwycięstwie cesarzowi, zaproponowałem ubicie targu osobiście z Kossuthe m. W tym celu miał Kossuth przybyć potajemnie do Wiednia i zamieszkać dla dyskrecji u Prangera w banku, na co się w Budapeszcie zgodzono. I już była cała sprawa tuż do załatwienia, jenerał Beck przysłał mi liścik pełen nadziei, gdy cesarzowi przyszły do głowy skrupuły co do usunięcia Fejervaryego po za tegoż plecyma. Kazał więc Fejervaryemu wprost traktować z opozycją i przegrał niestety partję. To znaczy Fejervary wprawdzie ustąpił i Kossuth przyszedł do steru (formalnie jako minister handlu w gabinecie Weckerlego), ale o uznaniu wspólności handlowej nie chciał już w tych warunkach słyszeć. Przeciwnie zdobył dla Węgrów prawo osobnego traktowania z państwami obcemi, a ponadto wobec rządu austriackiego, którego od r. 1909 ja byłem członkiem (za Bienertha) wystąpił — swoją drogą z bajeczną niedołążnością — za podziałem banku biletowego na dwa banki skartelowane. Zarząd banku już r. 1908 rozważał środki zapobieżenia takiemu rozdziałowi. Kossuth był zresztą

fanatycznym wielbicielem osoby cesarza, który znowu mnie przy jakiejś sposobności opowiadał, że Kossuth nie jest wcale trybunem, raczej „okrągłutkim hofratem“, który za to posiada dar cudownej francuszczyzny. Koniec końców, wskutek szlachetności cesarza opozycja węgierska doszła była r. 1906 do steru bez ofiar i pochłonęła nawet austriacki rząd Hohenlohego: ale mnie osobiście zapamiętał cesarz moją interwencję, tak że gdy po upadku Gautscha był wezwany Koerber do narady co do następcy, cesarz nie mógł się nachwalić, jakie ja mam stosunki z Węgrami (przyszedł z tą wiadomością do mnie osobno Koerber). A jednak na koniec mej kariery urzędowej poróżniłem się z Węgrami bezpowrotnie.

Krótki epizod polityczny wydarzył mi się z początkiem 1909 roku tuż przed upadkiem Gautscha, któremu się nie powiedziało przeprowadzić reformy wyborczej, raz przezeń twardo odepchniętej, a potem gorąco pożądanej. Z powodu trudności z Kołem polskim przybył do mnie Gautsch z prośbą o pośrednictwo. Po rozmowie z prezesem Koła Wojciechem Dzierduszyckim przekonałem się, że niema zgody Koła z Gautschem i zawiadomiłem o tem otwarcie szefa gabinetu.

Gdy po jego upadku książe Hohenlohe, prawdziwe dziecko w polityce, jak się przekonałem z jednorazowej z nim rozmowy, zabawił przy Herrengasse tylko kilka tygodni, objął po nim rządy w czerwcu 1906 baron Maksymiljan Beck, do ówczas szef sekcji w ministerstwie rolnictwa z Korytowskim jako ministrem skarbu. I teraz rozpoczęła się robota polityczna. Becka znałem ze stosunków towarzyskich; przedtem jeszcze za rządów Badeniego przybył do mnie nasz minister rolnictwa z gorącą prośbą, bym się zgodził na mianowanie radcy sekcyjnego Radcą dworu extra statum, ażeby się nareszcie mógł ożenić z rozwiedzioną żoną słynnego dziennikarza i szefa sekcji w ministerstwie spraw zagranicznych, ongiś sekretarza wielkiego Andrassego, Węgra Doczy'ego. Moje przyzwolenie ówczesne, nie znane mu zapewne, umożliwiło przyszłą karierę

Becka, bo inaczej nie byłby na czas został szefem sekcji, bez czego znowu nie mógłby według zwyczaju być powołanym do objęcia rządów! Dość, że Beck z Dzieduszyckim jako ministrem dla Galicji objął przede wszystkim spuściznę po Gautschu: reformę wyborczą. W Izbie posłów przeżył przeliczne trudności mimo swej wielkiej zręczności w traktowaniu stronnictw; w Izbie panów wyglądało na upadek ustawy. Cesarz „demokratyczny“ pomagał osobiście wpływać na stronnictwa; dla pozyskania Polaków telegrafował do Marszałka Stanisława Badeniego, który jako członek delegacji w Budapeszcie otrzymał telegram z gorącą prośbą o pomoc. Badeni przybywszy do Wiednia zniósł się ze mną, poczem zwołałem do siebie do banku konferencję wszystkich polskich członków Izby Panów. Historyczna ta konferencja odbyła się w wielkim komplecie w sali dyrekcyjnej od Strauchgasse wieczorem, wśród oświetlenia, które robiło wrażenie w sąsiedztwie. Po długiej dyskusji zgodzili się wszyscy mniej lub więcej chętnie na głosowanie za ustawą: tylko ks. Jerzy Czartoryski pozostał przy zdaniu odmiennem. W ślad obrad komisji wyborczej, w której ja także brałem jako członek Izby Panów udział w dyskusji, reforma wyborcza wraz z „Numerus Clausus“ Izby Panów (to było Izby życzenie kompromisowe) została przyjętą ostatecznie.

Ustawa wyborcza zawierała między przelicznymi innowacjami (4-o przymiotnikowe prawo wyborcze według pomysłu Węgra Kristoffy'ego, krótki czas prezydenta ministrów) także innowację, że członkom Izby Panów wolno piastować także mandat z wyboru do Izby posłów. Kiedy więc dotychczas powołanie do Izby Panów było w danych warunkach dekapitacją polityczną dla przeciwników rządu (tak się stało z naszym Madejskim, bardzo znakomitym politykiem), od teraz mógł każdy powrócić do czynnej polityki poselskiej. Mnie osobiście nie nęciło to postanowienie, choćby dlatego, że w gruncie rzeczy gubernator „wspólny“ nie był powołany do czynnej polityki „austriackiej“.

To też raczej zająłem się w gabinecie kandydaturą ukochanego brata Ludwika, o której tragicznym końcu opowiedziałem wyżej. Ale pewnego dnia w końcu 1907 r. otrzymałem od namiestnika hr. Andrzeja Potockiego list z zapytaniem, czy bym nie przyjął kandydatury do Rady państwa. Za listem tym poszły dalsze (są w moich papierach) tak naglące, że musiałem się mimo szkrupułów konstytucyjnych zdecydować na propozycję. Ponieważ mój dawny okręg stanisławowski był już zajęty, namiestnik zaproponował mi Rzeszów, dokąd się 2-go maja nocą udałem, tak że d. 3/5 stanąłem przed wyborcami. Przedtem otrzymałem był list od kolegi Głębińskiego ze Lwowa z ofiarowaniem pomocy w zamian za sympatyczne traktowanie narodowej demokracji. Przyjąłem to tem chętniej, że burmistrz Jabłoński należał do tego stronnictwa. Na stacji rzeszowskiej zastałem konie, nadesłane mi uprzejmie przez dawnego kolegę, ministra Jędrzejewicza, właściciela Starej Wsi pod Rzeszowem. Na mieszkanie zaprosił mnie naczelnik filji bankowej, obiady i kolacje odbywały się w formie bankietów u burmistrza; mowa kandydacka była dobrze przyjęta. Razem zebrawszy, poszło wszystko gładko; nie potrzebowałem nawet stawiać się przed wyborcami w Sędziszowie i Ropczycach. Po powrocie do Wiednia, wyjechałem wkrótce do Cattaro, gdzie na statku otrzymałem wspomniane gratulacje wyboru.

Wszedłszy do Izby, postanowiłem pierwotnie zachowywać się z rezerwą. Na zaproszenie prezydenta ministrów Becka rozmówiłem się z nim dość szczegółowo; położyłem jednak główny nacisk na to, by nie załatwiał żadnej ważniejszej sprawy ruskiej, nie porozumiewając się przedtem z Kołem. Otrzymawszy to przyrzeczenie, zdziwiłem się tem bardziej, gdy w jesieni 1907 pojawił się w „Neue Freie Presse“ artykuł z wyczeniem całego szeregu koncesyj narodowych, przyznanych Rusinom. Przeczytawszy to w kuloarach parlamentu, poleciałem do Izby, gdzie bar. Beckowi zrobiłem gwałtowną scenę z powołaniem się na jego powyższe przyrzeczenie. Otrzymałem na to odpo-

wiedź, że o koncesjach wiedział tak minister Dzieduszycki jak wiedział prezydent Koła. Wybiegłszy z Izby, spotkałem w kuluarach prezydum Koła, mianowicie prezesa Abrahamowicza, Głabińskiego, a zdaje się Dulębę oraz Stapińskiego. Na moje zapytanie wszyscy panowie zaprzeczyli stanowczo, jakoby się byli zgodzili na koncesje. Poszliśmy zatem wspólnie z Dzieduszyckim i razem z zaproszonym przez nas Beckiem do pokoju ministerjalnego i tam się okazała zupełna niejasność i nieszczerłość sytuacji. W rezultacie musiał wyniknąć kryzys, w którym mi wtedy przypadła mimo mej woli rola decydująca. Musiał więc ustąpić Dzieduszycki, ale także Abrahamowicz. Na miejsce ministra kandydowano Dulębę i Abrahamowicza; ja sądziłem, że w danej chwili sposobniejszy był Abrahamowicz; na miejsce prezesa postawiłem stanowczo kandydaturę Głabińskiego. Plany te powierzyłem Beckowi, który przedstawił je cesarzowi, przyniósł mi w odpowiedzi wątpliwości cesarza co do lojalności Głabińskiego, jako przywódzcy „der Allpolen“. Po porozumieniu się z Głabińskim, otrzymałem od niego krótką deklarację lojalności, którą Beck zaniósł znowu do cesarza, poczem obie kandydatury uzyskały aprobatę cesarską. Ale wybór Głabińskiego doznawał oporu; pracowałem jednak całą forsą za dawnym uczniem swoim i następcą na katedrze, rokującym wielkie nadzieje; w ostatniej chwili przeważała się szala, gdy zdołałem nakłonić za Głabińskim ks. Pastora i tegoż grupkę klerykalną.

Stosunki moje dobre z nowym prezesem Koła ułatwiły mi wdrożenie akcji porozumienia Koła z Rusinami; tak wtedy bowiem, jak później i do ostatniej chwili mojej działalności politycznej propagowałem ciągle przekonanie, że naszym obowiązkiem, starać się, bez względu na widoki o porozumienie z narodem sąsiednim, który zresztą wówczas nie był wyrządzony był nam jeszcze tak strasznej krzywdy, jak w r. 1918/9 przez zabór podstępny i półroczne przeszło ostrzeliwanie najdroższego sercu naszemu Lwowa. Na moją propozycję zgodził się prezes Głā-

biński na zaproszenie posłów Kostia Lewickiego i Wasilki celem obrad nad ugodą. W lecie r. 1908 odbywały się te narady pod przewodnictwem prezesa Koła w biurze mojem bankowem i za moim współudziałem. Po kilkutygodniowych obradach od lipca do września doszła ta „conférence à quatre“ do wyników, ustalonych przezemnie na żądanie konferencji w dołączonym do tego arkusza schemacie. Zawiera on cały szereg najdonioślejszych reform w stosunku Polaków do Rusinów i stanowi dowód wielkiej patrijotycznej ustępliwości po obu stronach. Jak też byłyby się potoczyły sprawy nasze krajowe, gdyby projekt ten został był przyjęty przez obie strony! Czy Rusini byłiby mimo to licytowali siebie w pokoju i wojnie aż do wojny iście hajdamackiej?! Bóg to raczy wiedzieć. Jedno natomiast wiemy, że z tej pracy nie pozostało szczypty owoców. Rusini może coś omawiali w swoim gronie, a może też czekali na naszą inicjatywę, boć według schematu nasze koncesje miały pierwszeństwo a koncesje ruskie miały być dopiero następstwami naszych i stanowić potem razem nierozzerwalną całość. U nas zaś niestety cała akcja wcale nie upadła, lecz rozlaża się i to wcale nie ze złej woli prezesa Koła. Pan Głębiński rzucił myśl porozumienia z Rusinami zaraz po zebraniu się Rady państwa w jesieni pomiędzy posłów naszych; dodał też uwagę, że byłoby dobrze poruczyć mnie tę akcję. Ale to nie starczyło. Czy pokazał komu projektu nasze, czy mówił o tem na Kole lub komisji parlamentarnej, tego nie wiem; starczy mi sam fakt, że koledzy moi kołowi, jak zawsze i całe życie mi niechętni, przyjęli opornie myśl mojej interwencji i sam ten fakt — zdaje się — skłonił prezesa do porzucenia całej myśli, tak pięknie i skutecznie prowadzonej przez niego samego.

**Schemat
wyników konferen-
cji polsko-ruskiej.**

Koło polskie i Klub ruski, przeprowadziwszy gruntowne narady nad doprowadzeniem trwałej ugody między obydwojma kraj zamieszkującymi narodami,

powzięły następujące uchwały, które podają do wiadomości kraju i państwa w niniejszym uroczystym manifeście:

I. Koło polskie zobowiązuje się wpłynąć na rząd wspólnie z klubem ruskim:

A) ażeby utworzone zostały w kraju następujące posady, przeznaczone dla urzędników-Rusinów:

a) posada trzeciego wiceprezydenta namiestnictwa;

b) posada drugiego wiceprezydenta sądu apelacyjnego we Lwowie;

c) posada zastępcy wiceprezydenta Rady szkolnej krajowej;

d) posada dalszego inspektora szkół krajowych;

B) ażeby przy sądach uposażonych w dwie posady przyzdyjalne, w miarę opróżnień prezydentem lub wiceprezydentem bywał mianowany Rusin;

C) ażeby wice-marszałkiem sejmu bywał mianowany kandydat z grona polityków ruskich;

D) ażeby do służby politycznej w kraju przyjmowano ukwalifikowanych kandydatów ruskich;

E) ażeby do ministerstwa oświaty powołany został referent — Rusin;

F) ażeby do ministerstwa dla Galicji powołany został wyższy urzędnik — Rusin.

II. Koło polskie wniesie wspólnie z klubem ruskim i zobowiązuje się prze-

prowadzić projekt ustawy o uniwersytecie lwowskim treści następującej:

- a) uniwersytet lwowski, im. ces. Franciszka jest i pozostanie uniwersytem polskim;
- b) w miarę zgłaszania się ukwalifikowanych docentów prywatnych ruskich będą tworzone dalsze katedry ruskie na wydziale prawnym i filozoficznym (z wykluczeniem instytutów), które jednak wespół z istniejącymi już katedrami ruskimi nie mogą przenościć 25% wszystkich katedr zwyczajnych i nadzwyczajnych na każdym z tych fakultetów z osobna;
- c) skoro cyfra 25 procentów zostanie osiągnięta, najdalej jednak po upływie lat... od daty sankcji ustawy w mo-
wie będącej, rząd ma obowiązek przystąpić do założenia osobnego uniwersytetu ruskiego w Galicji.

III. Koło polskie wpłynie na rząd wspólnie z klubem ruskim, ażeby subwencje rządowe — o ile się je rozdziela według narodowości, przyznawane były w wyższej mierze także dla ludności ruskiej.

IV. Koło polskie oświadcza gotowość wejścia z klubem ruskim w układy co do zmiany ordynacji wyborczej do Rady państwa na podstawie zasady katastru narodowego w Galicji wschodniej, pod warunkiem, że przy tej reformie oznaczone będzie w całej pełni

prawo ludności polskiej w Galicji wschodniej do reprezentacji w Radzie państwa.

- V. Koło polskie zobowiązuje się, za pośrednictwem pp. namiestnika i marszałka, niemniej za pośrednictwem członków Koła, będących zarazem posłami sejmowymi, działać w tym kierunku:
- a) ażeby założone zostały w kraju trzy nowe gimnazja ruskie w Brzeżanach, Stryju i Drohobyczu, a mianowicie jedno w ciągu roku od czasu podpisania niniejszej ugody, drugie na dwa lata po założeniu pierwszego, trzecie po dalszych dwóch latach;
 - b) ażeby przez pomnożenie seminarjów nauczycielskich, niemniej przez przychylne traktowanie języka ruskiego w nauce utrakwistycznej, umożliwiono wychowanie nauczycieli z zupełną znajomością języka ruskiego;
 - c) ażeby prywatne seminarjum ruskie żeńskie we Lwowie zostało upaństwowione i zutrakwizowane bez szkody dla języka ruskiego;
 - d) ażeby subwencje krajowe dla celów ruskich były wynierzane hojniej, i żeby w szczególności subwencji na budowę teatru ruskiego nie czyniono zawisłą od wprowadzenia większości polskiej do składu komisji teatralnej;
 - e) ażeby na członka wydziału krajowego delegowano Rusina, należącego do obozu klubu ruskiego;

f) ażeby uznano w zasadzie, że Rusinom przypadałoby według ordynacji wyborczej obowiązującej 35 posłów sejmowych z wyboru, i ażeby zatem w razie powiększenia ilości posłów sejmowych przyznano Rusinom — przy ewentualnem zastosowaniu zasady katastru narodowego — pomnożenie mandatów sejmowych w takim stosunku, w jakim obecnie stoi cyfra 35-u do sumy wszystkich posłów sejmowych z wyboru.

VI. Klub ruski uznaje:

- a) jedność polityczną i administracyjną kraju;
- b) prawa autonomiczne Sejmu krajowego i dążenia do ich rozszerzenia;
- c) státus quo prawny co do języka urzędowego w kraju (język wewnętrzny polski, zewnętrzny w Galicji wschodniej obok polskiego i niemieckiego także ruski) i prawo ustalenia tego stanu w drodze ustawodawczej, niemniej dążenie do rozszerzenia go na dalsze urzędy, zakłady i organa rządowe w kraju;
- d) istnienie ludności polskiej we wschodniej części kraju i jej prawo do dalszego rozwoju na równych warunkach prawnych z ludnością ruską, jak w szczególności prawo zakładania szkół i kościołów dla mniejszości polskich na wsi i t. p.

VII. Klub ruski zobowiązuje się:

- a) wyprzeć się jawnie i otwarcie współnictwa z posłami agitatorami i dziennikami radykalnymi;
- b) współdziałać z społeczeństwem polskim w dążeniu do uspokojenia ludności ruskiej i do zgody społecznej, narodowej i religijnej, niemniej w odpieraniu agitacji radykalnej politycznej i społecznej, posługującej się strajkami i tym podobnymi środkami;
- c) przy wyborach do Rady państwa, Sejmu i innych ciał reprezentacyjnych postępować lojalnie w duchu zasad tej ugody;
- d) przyznawać się przy każdej sposobności jawnie i otwarcie, słowem i piśmie do ugody niniejszej.

VIII. Koło polskie i klub ruski obiecują sobie, prowadzić w Radzie państwa politykę na zasadach wspólnych i zobowiązują się w tym celu:

- a) stworzyć wspólny organ dla porozumiewania się w sprawach politycznych i narodowych większej wagi;
- b) używać lojalnie całego swego wpływu w tym kierunku, ażeby w rządach parlamentarnych zasiadali reprezentanci obydwóch narodów sprzymierzonych, to znaczy: oprócz polskiego ministra dla Galicji jeden Rusin i przynajmniej jeden Polak.

IX. Koło polskie i klub ruski obowiązują się uzyskać ratyfikację niniejszej trwałej ugody u szerszych kół narodo-

wych, mianowicie u stronnictw narodowych i u prasy narodowej.

- X. Koło polskie i klub ruski oświadczają uroczyście, iż uważają wszystkie postanowienia niniejszej ugody za całość nierozzerwalną, która ma wejść w życie równocześnie w całości swych postanowień i w tym celu postanawiają w szczególności, że przepisy punktów I i V tej ugody mają wejść w życie natychmiast po zgodnem uchwaleniu ustawy o uniwersytecie lwowskim (punkt II), o języku urzędowym w kraju (punkt VI, litera c).

Ileż to trosk politycznych bylibyśmy sobie oszczędzili w przyszłości, gdybyśmy byli wtedy zawarli z Rusinami ugodę! O ileż byłby łatwiejszy nasz stosunek do nich w czasie wojny. A kto wie, czy krew niewinna przelana 1918/9 przez nieszczęśliwych braci naszych we Lwowie, nie była konsekwencją błędu popełnionego r. 1908, kiedy to „Ukraińcy“ nie poczuli się byli jeszcze w mocy i kiedy biurokracja i wojskowość austriacka nie była ich jeszcze wyniosła do znaczenia niemal pierwszorzędnego w państwie! Ile zmian w tem dziesięcioleciu!

Rok 1908 wciągał mnie zresztą mimo mej woli w politykę. Na Wielkanoc byliśmy, jak opisywałem na wyspie Brioni, równocześnie z pp. Beckami. Morderstwo, dokonane na osobie zasłużonego równie Polsce jak Austrii hr. Andrzeja Potockiego, bywało z natury rzeczą przedmiotem częstych rozmów moich z prezydentem ministrów. Był on nieustannie niemal zajęty myślą obsadzenia posady namiestnikowskiej w tak ciężkiej chwili. Między kandydatami — jak wiadomo został wkrótce mianowany jeden z pierwszych mężów naszych Dr Bobrzyński — był także ówczesny minister skarbu Korytowski, dawny naczelnik

skarbu krajowego w Galicji, jako taki obeznany dobrze z administracją kraju, późniejszy następca Bobrzyńskiego. W jednej z takich rozmów zapytał mnie Beck, czy w razie przejścia Korytowskiego do Lwowa jabym niechciał objąć teki skarbu. Na krótką moją odpowiedź odmowną odrzekł Beck: „Ach wiem ja, że Pan w terażniejszej kombinacji nie zechce wrócić do polityki czynnej“. Było w tem trochę racji. Nie miałem chęci porzucenia służby bankowej, ale też i nie miałem chęci łączenia się z rządem, niedalekim upadku. Baron Beck przeprowadził reformę wyborczą i wcale dobrze ugodę węgierską i wyczerpał siły swe polityczne tą ciężką i skuteczną pracą. W pracy tej byłbym może chętnie wziął udział od początku, o ile bym się mógł oderwać od banku; ale wstępować do gabinetu na to, żeby za parę miesięcy podać się z nim do dymisji, to rzecz cokolwiek nierozsądna. Odtąd stosunek mój do bar. Becka był jeszcze chłodniejszy, aż do czasu, gdy w trzy lata później oddałem publicznie hołd jego zasługom; ale co do jego propozycji przyznał mi w rozwoju wypadków rację.

W listopadzie r. 1908 rząd Becka był już w stanie dymisji; następcą upatrzony miał być baron Bienenrth. W ciągu swoich rokowań ze stronnictwami, zaprosił bar. Bienenrth także mnie do siebie, a wychodząc ze stanowiska słusznego, że ja jestem zwolennikiem rządu parlamentarnego, jaki on zamierzał utworzyć, zaproponował mi wstąpienie w charakterze ministra kolejowego. Charakter przyszłego gabinetu nęcił mnie: zgodziłem się w zasadzie, ale na tekę skarbu, bo kto raz piastował tę tekę pierwszorzędną, nie może przyjąć już innej, choćby tak miłej sercu memu teki kolejowej. Stało na tem, że Bienenrth będzie tymczasem rokować dalej ze stronnictwami. W nocy z d. 17. listopada rozbiła się cała kombinacja, acz wszystkim dogadzająca, o opór Kramarza, który jak całe swe życie, tak i wtedy okazał się nieszczęśliwym przywódcą narodu. Wszak w r. 1919 jako czeski prezydent ministrów, wyniesiony na to stanowisko przez idiotyzm austriackich sądów wojennych, skazu-

jących go na śmierć za zdradę stanu („zdrada“ była u niego w pragnieniach, nie w czynach), nie przywiózł z Paryża pokoju dla Czechów tak korzystnego, jaki by im musiał być przypaść w udziale pod rządem mniej brutalnym. Dość, że bar. Bienerth odstąpił od myśli utworzenia rządu parlamentarnego i z polecenia cesarza objął przewodnictwo w prowizorycznym rządzie „Kierowników“ („Leiterów“) ministerjalnych. Kierownikiem takim został szef sekcji, Polak baron Jorkasch bardzo mi bliski i oddany, a moje współdziałanie ministerjalne zastrzegł sobie Bienerth z zapewnieniem, że niechcąc w niczem przesądzać moim przyszłym zarządzeniom, każe mnie w czas informować o ważniejszych akcjach ministerstwa skarbu. Pozostałem więc jeszcze gubernatorem, ale dnię tego cudownego urzędowania były już niestety policzone. Należy mi drugi pięcioletni perjołd urzędowy upływał dopiero z końcem lutego 1910: miałem więc jeszcze przed sobą pięć kwartałów spokojnego i dostatniego życia, a ponadto miałem widoki, płynące z prawa zwyczajowego, otrzymania ze strony banku przy ustąpieniu daru honorowego w kapitale lub rencie według mego wyboru. Wszystko to musiałem poświęcić dla polityki, co swoją drogą znaczy dla dobra kraju i narodu. Pozostała mi zwykła płaca ministra — bez mieszkania, którego z zasady nie chciałem już zajmować i bez daru honorowego, wykluczonego z natury — wobec ministra skarbu, przełożonego Banku. A na zakończenie, jak się okaże, Koło polskie wyrzuciło mnie z ministerstwa! Sic fata tulere!

XIII.

1909—1911: Drugi raz ministrem skarbu.

Po nowym roku 1909 rozpoczął Bienerth starania około utworzenia gabinetu stałego (Bienerth II), ale już nie parlamentarnego, lecz urzędniczego. Przybył do mnie do domu i zaproponował mi ministerstwo kolei. Oświadczyłem po dłuższej konferencji, że najprzód nie mam zamiaru opuszczać banku i że

powtórę mimo mojej dawnej miłości dla spraw kolejowych i dla personalu kolejowego, jeszcze mi wówczas bardzo oddanego, nie mogę przyjąć wydziału, stojącego niżej skarbowego, który już raz piastowałem. Po kilku czy kilkunastu dniach przybył do mnie z polecenia Bieniertha jego szef sekcji i prawa ręka całego szeregu premierów Dr Sieghart, o którym będę pisał później, z ponowną bardzo wszechstronnie uzasadnioną propozycją przyjęcia teki kolejowej. Może nie bez racji był argument, że na tej tece nie tak łatwo paść ofiarą konjunktury politycznej, dosięgającej zwykle najprzód ministra skarbu. Ale moja odpowiedź pozostała zgodnie z radą najdroższej żony i przybyłego umyślnie z Krakowa do Wiednia kochanego brata Marjana taka sama, jak wobec barona Bieniertha, i zdawało się, że spokój mój będzie zachowany. Aż razu jednego, pod koniec stycznia wzywa mnie w banku do telefonu Sieghart i powiada dosłownie: „Also Exzellenz, Ihr Wunsch ist uns Befehl; Sie wollten das Finanzportefeuille, der Ministerpräsident wird es Ihnen in einer halben Stunde anbieten“. Przyszedł też do biura mego bar. Bienierth ze słowami: „Exzellenz, ich biete Ihnen das Finanzportefeuille an, werde mich aber heute nicht mehr abweisen lassen, sondern hier verbleiben, bis Sie es annehmen!“

I tak się znowu po raz trzeci zmieniły losy moje, wbrew woli mej, ale widocznie z woli Boga, którego mądrości poddaję się całe życie kornie po nieudanej — za każdym razem próbie oporu. Przyjąłem tedy po raz drugi kierownictwo w pałacu na Himmelfortgasse; przyjąłem godność ministra urzędniczego, nie zbyt mi zasadniczo dogadzającego. Z tego powodu nie porozumiałem się z Kołem polskiem przed przyjęciem, jeno zgłosiłem się do niego zaraz potem; tymczasem zresztą prezydjum Koła, nie wyjąwszy wiceprezesa Stapińskiego powitało mnie już przedtem w mem biurze. Podnoszę osobę p. Stapińskiego, który ze swem stronnictwem ludowem wstąpił był zdaje się z końcem 1907 czy na początku 1908 roku do Koła za rządów Becka, podobno, pod wpływem ministra Korytowskiego.

Wnoszę to ostatnie z gorących owacyj, jaką tam minister skarbu robił na kolacji, urządzonej wówczas z tytułu ich wstąpienia. Ale i ja nie byłem obcym akcji wstąpienia ludowców do Koła: próbowałem ją przeprowadzić jeszcze dawniej jako wiceprezes Koła, nie zdołałem jednak przewyciężyć oporu p. Stapińskiego, zaś na jakiś czas przed ową kolacją układałem wraz z Bobrzyńskim nowy statut Koła, który miał umożliwić ludowcom wstąpienie do Koła i dezygnowanie Stapińskiego wiceprezesem.

O ile pamiętam, dnia 3 lutego 1909 odbyło się zaprzysiężenie całego gabinetu Bienierth II u cesarza, poczem pojechałem wprost do ministerstwa skarbu, ażeby objąć urzędowanie z rąk, tyle mi zaprzyjaźnionego bar. Jorkascha, który niestety w kilka tygodni potem zeszedł ze świata ku wielkiemu żalowi mojemu. Wjechawszy do pałacu ks. Eugenjusza, spostrzegłem obraz niezwykły: cała wspinała klatka schodowa od góry aż na I piętro zajęta była przez setki urzędników w strojach galowych. Byli to urzędnicy tak ministerstwa, jak wszystkich innych władz skarbowych, którzy tą owacją nigdy niebывałą pragnęli mi wyrazić wdzięczność za dawną troskę o ich losy. Z odkrytą głową przeszedłem te drogie mi szeregi i wkrótce potem stanąłem przed nimi w wielkiej sali „czerwonej“, ażeby na mowę powitalną szefa sekcji Kniaziołuckiego odpowiedzieć serdecznie i fachowo. Niestety więcej może szczęścia przyniosła ta mowa moja w ciągu dwóch lat urzędnikom, niż mnie samemu! W jednym mianowicie ustępie mowy zaznaczyłem z uczuciem troski znane zresztą pogorszenie stanu finansów, dodając, że przed laty dwunastu pozostawiłem w kasach 300 milionów guldenów gotówki (wtedy było to strasznie wiele, po wojnie 300 milionów mniej znaczą!), kiedy w danej chwili kasy były prawie puste. Ustępem tym mej mowy tem mniej mogłem mieć zamiar dotknięcia któregoś z moich poprzedników, ponieważ — pominąwszy znany fakt, że parlament parł zawsze ku zwiększonym wydatkom — od mego ustąpienia r. 1897 urzędowali jako moi

następcy: Böhm-Bawerk, Kaizl, Kniaziołucki, znowu Böhm-Bawerk, Kosel i wreszcie przez ostatnie trzy niespełna lata Korytowski. A jednak właśnie p. Korytowski, który w czasie mego gubernatorstwa był ze mną tak zaprzyjaźniony, że w 60. rocznicę moich urodzin (15/6 1906) przyniósł mi w imieniu cesarza osobiście wielką wstęgę orderu Leopolda, uczuł się moją mową tak ciężko dotkniętym, że przez cały czas mego urzędowania mnie podkopywał, Stapińskiego (według tegoż własnych zapewnień późniejszych), nasyłał na moją zgubę, a wkońcu wraz z Kozłowskim zorganizował jawnie i skutecznie Koło polskie gwoli utracenia mnie z urzędu. Wiele później dopiero się to wyjaśniło i przywrócił się dawny stosunek koleżeński; wówczas wyszło ztamtąd zarzewie całego szeregu przesilen, z których się składało moje powtórne piastowanie urzędu ministra skarbu w Austrii*).

Pierwsze przesilenie wybuchło — tym razem nie z poduszczenia Korytowskiego — zaraz w marcu. W jesieni 1908 ogłoszono patent cesarski o aneksji Bośni; wskutek demonstracyjnego oporu Serbji groziła na wiosnę wojna z tem państwem. Zanim w pierwszych dniach kwietnia minęło to niebezpieczeństwo pod naciskiem Francji (z prezydentem Clemenceau) na korzyść monarchji, zarząd armji gotował się do wojny i potrzebował pieniędzy. Gotówki w kasach nie było, musiałem przeto zaciągnąć pożyczkę; a tymczasem parlament był przez Bienertha odroczone z powodu obstrukcji Czechów z Kramarzem na czele. Kurs renty był — jak na owe czasy — tak niski (80%), że nie mogłem się zdecydować na jej emisję w myśl istniejących z mocy ustaw upoważnień. Wychodząc tedy ze stanowiska, że „salus rei publicae“ stoi ponad wszystkim, zdecydowałem się za poradą słynnego finansisty, gubernatora Bodenkreditanstalt p. Thaussiga, zaciągnąć bez osobnego pozwolenia par-

*) Czytałem d. 29/10 1921 r. w I. rocznicę spoczynku niezrównanej mojej żony w grobowcu cieplickim!

lamentu pożyczkę bieżącą (na krótki termin), zwłaszcza, że mojem zdaniem dawniejsze upoważnienie na emisję renty zawiera, jako majus, także zaciągnięcie pożyczki przemijającej, jako minus. Jakkolwiek więc słynny szef sekcji Gruber późniejszy gubernator banku austro-węg., powaga europejska w sprawach walutowych (zmarł raptownie w kwietniu 1919 r.), pytany przezemnie o radę, wyrzekł ze zwykłym swym sarkazmem: „Ja, wenn Euere Exzellenz in den Abgrund springen wollen...!“, zawarłem interes z grupą Rotschilda. Zaciągnąłem jeżeli się nie mylę, 200 milionów na 4% po kursie 96% płatnych po dwu latach. Jeszcze w ostatniej chwili próbowano tę rzecz rozbić. Najprzód zaniepokoił się moi koledzy w Radzie ministrów, wyczytawszy pogłoskę w dziennikach; ale ja znalazłem obronę u Bieniertha, którego wczas wtajemniczyłem w moje plany. Potem próbował wpływać na mnie redaktor „Neue Freie Presse“, słynny M. Benedikt, który od 1896 r. aż do ówczas (1909) był moim stałym, zjadliwym przeciwnikiem (w czasie gubernatorstwa podsycał to cokolwiek może mimo woli gen. sekretarz Pranger, lubując się w wizytach Benedikta, składanych jemu a nie mnie w banku), ale w owej chwili odszukał mnie o północy w domu Liharzika, gdzie bawiłem w gościnie i zaproponował zgodę w zamian za odroczenie pożyczki aż do zwołania Rady państwa. Wszelako sytuacja polityczna była tak groźna, że na drugi dzień podpisałem układ i dostarczyłem armji pieńędzy. Po zapewnieniu pokoju — a pożyczka nasza przyczyniła się z pewnością do tego — po zwycięstwie dyplomatycznym wielkiego ministra spraw zagranicznych hr. Aerenthala zwołaliśmy Radę państwa. Zaraz na pierwszym posiedzeniu Izby posłów zdałem sprawę o pożyczce. Dyskusje nad tą sprawą były bardzo gorące; Czesi, sympatyzując ze Serbami, napadali na mnie przez usta Kramarza bardzo gwałtownie, ale większość Izby zatwierdziła pożyczkę dodatkowo, to znaczy, nie uznając wprawdzie mego stanowiska prawnopolitycznego co do prawa emisji, ale udzieliła mi t. zw. „Indemnitaet“. Wielki raut, który wraz z nieo-

cenioną żoną moją, pełną taktu, dystynkcji i czarującej gościnności, wydaliśmy wówczas na znanych nam z czasów pierwszego dzierżenia przezemnie teki skarbu salonach ks. Eugenjusza, był zarazem widomym znakiem odniesionego w duchu pokoju zwycięstwa.

A kiedy już jestem przy sprawach wojskowych, to chciałbym opowiedzieć, że zaraz w początkach mego urzędowania potrafiłem skłonić admirała hr. Montecuccoli do opuszczenia dotychczasowych bezowocnych starań o budowę nowej floty („Dreadnoughty“) z bieżącego budżetu i wniesienia osobnej ustawy z planem budowy na lat pięć. Później brałem przez całe dwa lata udział czynny w naradach wspólnej konferencji nad powiększeniem kredytów wojennych, przekonałem swego kolegę węgierskiego (Lukacsa) o praktyczności moich projektów i wreszcie będąc już in statu demissionis, z końcem 1910 r., przeprowadziłem za zgodą ministra wojny Schönaicha, żądającego cyfr niemożliwych (za tą zgodą stał mu się wrogiem następca tronu, arcyks. Franciszek Ferdynand) jednogłośnie uchwałą konferencji tak co do budowy floty, jak co do wznoszących kredytów na cele armji lądowej na czas pięcioletni od 1911 do 1915 r. Naturalnie przerwała wojna ten system w rok przed jego ostatecznem zrealizowaniem; ale tymczasem powstały były i 3 dreadnoughty i liczne nowe formacje w armji. Bez tego byłaby wojna zaskoczyła monarchję w stanie bezbronnym; swoją drogą należała do tego także uchwała o reorganizacji armji, która została zgodnie z uchwałą austriacką przeprowadzona we Węgrzech w czerwcu 1912 r. przy pomocy gwałtu parlamentarnego ze strony prezydenta Izby Tiszy!

Sprawy wojskowe, a jak się później okaże także bankowe należały do wyjątków, w których miałem powodzenie, wszystko inne połączone było z wiecznymi przesileniami. Ze sprawy aneksyjnej wynikło wkrótce nowe dla mnie przesilenie. Oto jeszcze za czasów Jorkascha powstał był konflikt rządu austriackiego ze wspólnym ministrem finansów bar. Burianem z powodu koncesji, jaką tenże udzielił grupie finansowej węg-

gierskiej na założenie w Sarajewie Banku rolniczego („Bosn.-herz. Agrarbank“), upoważnionego do wykupu chłopów węgierskich („kmetów“) z ich stosunku poddańczego na sposób naszej indemnizacji. Baron Jorkasch wysłał był podobno jeszcze w grudniu 1908 z powołaniem się na ustawę z r. 1880 organizację Bośni bardzo ostrą notę do barona Buriana z żądaniem cofnięcia aktu koncesji. Otóż w kwietniu, więc już za rządów moich, wniosła opozycja południowo-słowiańska, prowadzona przez Sustersicza, ale także przez Kramarza (nie bez wiedzy Korytowskiego i Stapińskiego) interpelację do rządu, co zamierza czynić w dalszym ciągu z akcją rządu poprzedniego. Jako powołany do tej sprawy minister odrzekłem tymczasowo, że mojem zdaniem indemnizacja winna się odbywać przez rząd, że zresztą o dalszych krokach zdam sprawę. Toż zaraz wniosłem tę trudną kwestję na Radę ministrów i otrzymałem upoważnienie do traktowania z p. Burianem. Po kilku konferencjach zaproponował minister wspólny, żeby się zgodzić na takie wyjście, iż on wprawdzie nie cofnie aktu koncesji, do którego wydania był samoistnie upoważniony, w ramach ustawy organizacyjnej z r. 1880 o zarządzie krajów okupowanych, że jednakowoż gotów jest zawiesić przyznane bankowi prawo skupu „kmetów“ aż do decyzji przyszłego Sejmu. A że bank byłby z natury rzeczy i według koncesji upoważniony do wykupu „kmetów“ tylko na dobrowolne żądanie obu stron, opozycja zaś austriacka stanęła — mojem zdaniem słusznie — na stanowisku wykupu obowiązkowego, przeto Sejm musiał stanąć przed zadaniem odrzucenia także i tej kwestji zasadniczej. O tych konferencjach zdałem obszernie sprawę Radzie ministrów i uzyskałem jednogłośnie upoważnienie przyjęcia oferty barona Buriana i zajęcia takiegoż stanowiska wobec komisji bośniackiej Izby posłów.

Obrady komisji zagałem jako minister obszernem exposé, wkońcu bardzo ostro zganiłem postępek rządu wspólnego i wyraziłem zasadniczą zgodę na zapatrywania opozycji. Zwróciłem

wszelako uwagę, że Bośnia otrzymała nową z rąk cesarza konstytucję, że wkrótce odbędą się wybory do nowego Sejmu, któremu służy niewątpliwie prawo decyzji tak co do potrzeby wykupu „kmetów“ jak co do powołanego dla tej akcji organu, jak wreszcie co do zasady dobrowolności lub obowiązkowości wykupu. Podniosłem przytem, że p. Burian zgodził się na zawieszenie prawa wykupu przez bank i zobowiązuje się dalej wnieść w przyszłym Sejmie ustawę o wykupie „kmetów“ do zupełnie swobodnego jej załatwienia. W końcu exposé zwróciłem uwagę, że jako stronnik zasady autonomicznej nie mogę się sprzeciwić powyższemu wyjściu i nie mam prawa wkraczać dalej w atrybucje Sejmu, którego decyzji musimy się poddać według zasady: „Roma locuta, causa finita“. To moje sprawozdanie wywołało formalną burzę opozycyjną i rozpoczęła się rozwlekła nad niem dyskusja, pełna ataków na moją osobę. W ciągu dyskusji raz odpowiadałem, widząc przypadkowo naprzeciw najostrzejszych oponentów, księży Kreka i Koroszece (r. 1919 ministra państwa południowo-słowiańskiego), niemniej posła Stapińskiego, pracującego z ramienia p. Korytowskiego na moją zgubę. Wtedy powołałem się znowu na zasadę autonomiczną i użyłem porównania z punktu widzenia polskiego, że gdyby n. p. austriackie Koło polskie zajmowało się jakąś ważną sprawą księstwa poznańskiego, to musiałoby się przecież mimo opinii najsprzeczniejszych, zdać ostatecznie na decyzję grona posłów w Sejmie pruskim. Nic to nie pomogło. Przeciwnie, opozycja udała się do prezesa rządu, bar. Bienthertha z żądaniem mojej dymisji, na co otrzymała odpowiedź, że ja w całej tej akcji mam pokrycie w jednogłośnej uchwale Rady ministrów, obznajomionej ze wszystkimi tej akcji szczegółami. Dopiero wtedy skończyły się narowy i przyjęto moje sprawozdanie głosami Niemców i Koła polskiego z wyjątkiem ludowców Stapińskiego. Wkrótce potem zaś nowo wybrany Sejm bośniacki uchwalił wykup „kmetów“ dobrowolny przez władze rządowe; a losy tak zrządziły — podobnie jak ongiś przy statucie

bankowym — że w trzy lata później ja sam jako następca bar. Buriana kontynuowałem dzieło wykupu.

Ale dla mojej osoby sprawa bośniacka jeszcze się nie była skończyła po uchwale komitetu bośniackiego, która miała przejść do Izby austriackiej. Tu muszę jednak dla wyjaśnienia sprawy sięgnąć nieco w przeszłość. Gdy w 1892 r. objąłem był urząd prezydenta kolei, nie zastałem tam wcale zorganizowanej służby dziennikarskiej, tyle ważnej dla administracji, stojącej w ciągłym związku z publicznością. Zaangażowałem przeto dwóch młodych dziennikarzy jako wolontariuszów z miesięcznym honorarjum: Niemca Zygmunta Sonnenscheina i Polaka Oswalda Obogiego. Obaj, już z pochodzenia swego sprytni publicyści, spełniali tak dobrze swoje obowiązki, że odchodząc w trzy lata potem na Himmelfortgasse, postarałem się o przyjęcie ich obu do stałej służby kolejowej. Losy ich późniejsze były odmienne: Niemiec, zagłębiwszy się w dziedzinie taryf kolejowych, doprowadził w końcu do urzędu naczelnego szefa taryfowego i wyszedł ze służby — nie potrzebując już dalszej mojej pomocy — z orderami najwyższego urzędnika (szefa sekcji) i wyniesiony do stanu szlachectwa jako „Ritter von Solvis“. Polak, idąc powoli w górę i zaglądając czasem do mnie w ministerstwie, zgłosił się do mnie w dzień, gdy jako gubernator banku miałem ową wielką mowę wstępną, której potrzeba było pewnej opieki dziennikarskiej. Zadanie to spełnił p. Obogi i zaraz wszedł ze mną w układy o przejście go ze służby rządowej do Banku. Tylko że w banku nie była to łatwa sprawa, bo najprzód od 1816 r. (daty założenia Banku), nigdy nie było tam referenta dziennikarskiego, a powtóre dlatego, że zarząd banku miał opinię cokolwiek antysemicką. Ale ostatecznie p. Obogi wstąpił do służby bankowej na warunkach świetnych. Służył mi tam w miarę możliwości dobrze i zaczął wydawać za mojem zezwoleniem i poparciem czynnem pismo perjodyczne „Polnische Post“, które stało się organem Koła polskiego z uwagi na dobre stosunki tak moje, jak Obogiego i jego współredaktora A d a m a

Nowickiego z prezesem Głębińskim. Gdy zostałem ministrem, znowu zabrałem p. Obogiego z Banku, gdzie otrzymałem na pożegnanie znaczne relutum z funduszu emerytalnego; zapewniłem mu też postanowieniem cesarskim prócz tytułu radcy rządowego znaczne pobory i korzystne warunki wypowiedzenia stosunku służbowego. Przy tym powrocie do służby rządowej stał się jednak wielki błąd taktyczny: p. Obogi nie miał potrzeby wyrzeczenia się swojej „korespondencji“, ale powinien był wyrzec się podpisywania jej jako współredaktor. Podobno — tak on twierdzi, a ja nie pamiętam tej rzeczy i muszę tem bardziej przyjąć jego twierdzenie za prawdę — był p. Obogi gotów skreślić swój podpis, ale ja mu pozwoliłem sua sponte prowadzenie dalsze. Jeżeli tak było, to tem większy był błąd po mojej stronie, bo nie tylko w zasadzie nie powinien urzędnik rządowy łączyć w swej osobie także redakcję, lecz w praktyce wysnuto ztąd wniosek, że korespondencja jest moim organem. A że właśnie wtedy wrzała walka zaciepła między p. Stapińskim a demokracją narodową, więc gwałtowne ataki „Polnische Post“ — a raczej jej dodatku „Korespondencja wiedeńska“ — pochodzące ze zjadliwego pióra zdolnego ale mało skrupulatnego p. Nowickiego przeciw panu Stapińskiemu przypisywano mojej inspiracji. Tak myślał p. Stapiński, tak atakowali również posłowie Kozłowski, Kolischer, a może i Korytowski i t. d. Na każdy taki artykuł „Korespondencji“ odpowiadał p. Stapiński najcięższymi obelgami na mnie w swoim organie. Ja osobiście nie miałem chwili czasu do myślenia o tych artykułach lub też do ich odczytywania. Ale pewnego razu spostrzegłem, że organ Stapińskiego napadł mnie z powodu mojej mowy w komisji bośniackiej i nazwał mnie „płatnym pachółkiem“. Przedłożyłem ten artykuł ze skargą Kołu polskiemu*) i otrzymałem wotum ufnosci na wniosek ks. Stojalowskiego, pierwszego w gruncie ludowca

*) Pisałem 9/6 1919 w poniedziałek Zielonych Świąt w cudownym Tulln-berbach na werandzie włoskiej w towarzystwie żony najdroższej.

i założyciela stronnictwa katol.-ludowego, otoczonego już wówczas wrogami tak z kół katolickich, jak innych, swoją drogą nie bez winy własnej. Ale to votum nic nie pomogło, jak nie pomogło wyjaśnienie, że p. Obogi otrzymał z Banku przy odejściu jedynie należną mu a niewielką odprawę. Ataki obustronne ludowców i wszechpolaków na siebie, ale zawsze na mojej skórze, powtarzały się coraz gwałtowniej. Wtedy to Nowicki zgłosił się do mnie z oświadczeniem, że podpis Obogiego na wydawnictwie ich, postawiony za mojem zezwoleniem, jest dobrze nabytem prawem majątkowem, że przeto cofnięcie tego zezwolenia stworzyłoby casus belli redakcji, to znaczy narodowych demokratów przeciwko mej osobie. Tymczasem rozpoczęły się w Izbie posłów rozprawy budżetowe. Opozycja południowo-słowiańska, podsycana przez Stapińskiego, obsypywała mnie obelgami, a przy głosowaniu postawiła wniosek uchylenia pozycji budżetowej, w której zawarte były pobory Obogiego. Wniosek, przejęty z obyczajów angielskich, niesłychany w historii budżetów austriackich, został odrzucony, ale głosowało za nim polskie stronnictwo ludowe. Powstało we mnie przeczucie, że osłabiam gabinet walkami osobistymi, których nie umiem usunąć, tak że właściwie byłoby moim obowiązkiem, albo ustąpić z rządu, albo jakimś środkiem tym walkom kres położyć. Z drugiej strony doszły mnie wiadomości, nie wiem czy pewne i szczerze, jakoby p. Obogi, doówczas bardzo lojalny, powodowany zawistnością polityczną, po części zaś niezadowolony ze sposobu, w jaki broniłem jego poborów w Izbie (podobno za mało podnosiłem jego osobiste zdolności i zasługi) zaczyna propagować odsunięcie się narodowych demokratów odemnie. Nawet p. Kniaziółuckiego, który pełen jakiejś goryczy stawał mi czasem w drodze w dobrotliwem załatwianiu życzeń poszczególnych urzędników, zaczęto wobec mnie posądzać o konspirację z Obogim (w Krakowie miał Kniaziółucki wobec członków rodziny otwarcie przepowiadać mój upadek zaraz w kilka miesięcy po objęciu teki). To wszystko razem skłoniło mnie do wezwania Obo-

giego, by złożył podpis redaktorski albo urząd. Motywowałem to względami spokoju w gabinecie i Kole, ale i względem naturalnym, że mi „bliższa koszula...” Obogi zdecydował się na złożenie podpisu, ale z powodu niezrozumienia konieczności tej mojej decyzji stracił u mnie zaufanie i rzadko się ze mną widywał. Gdy zaś po dwu niespełna latach ustępowałem, wezwany do mnie na pożegnanie, dał p. Obogi mi dość wyraźnie do zrozumienia, że upadam dla braku jego pomocy, której zawdzięczałem dawniej swoje sukcesy polityczne. Miałem wówczas uczucie, że właściwie należałoby mu powinszować niezwyklego o sobie samym wyobrażenia... Adam Nowicki, protektor Obogiego stanął już otwarcie przeciwko mnie aż do skutku w dwa lata niespełna. Ale przynajmniej ustał szkodliwy dla całego rządu niepokój polityczny w formach dotychczasowych. Stosunek z Obogim nie poprawił się już nigdy, mimo kilkakrotnych prób z jego strony. Tymczasem zaś po owych zajściach szef sekcji Kniaziołucki poszedł w emeryturę, obsypany przezemnie honorami i zabezpieczony w dostatnie dochody; ale z nim — a to dla mnie było zawsze bolesne — nie przywrócił się dawny stosunek aż do jego zgonu.

Na lato 1909 wyjechaliśmy z żoną moją do Ischlu, ale zamiast willegiatury — nie był to urlop, lecz pobyt wiejski z biurem przydzielanym w osobie bar. Deweet bardzo mi oddanego — powstały nowe przesilenia. Już w czasie rozprawy budżetowej zapowiedziałem konieczność nowych podatków dla uchylecia niedoboru; zamierzałem mianowicie podwyższyć podatki spożywcze od trunków, zwłaszcza od piwa. Na Radzie ministrów mówiłem o tem niejednokrotnie, nie spotykając oporu.

Na sesję pierwszą musiały być opracowane projekty ustaw, w lecie więc musiały być przez Rząd uchwalone zasadnicze ich podstawy. Jak zwykle w sierpniu na dzień 18. zjeżdżali się wszyscy ministrowie na nabożeństwo uroczyste i na obiad kardynałski z okazji urodzin cesarskich. Na dzień 20. wyznaczone było posiedzenie gabinetu. Przybywszy wczas do Wiednia po-

dyktowałem stenotypistce obszernie dla gabinetu exposé w sprawie reformy podatkowej, a 19-go rano poszedłem do prezydenta ministrów, by go prosić o poparcie dla programu, a w szczególności dla najważniejszego pod względem dochodów dla skarbu podatku od piwa. Baron Bienerth ani słowem, ani miną nie objawił opozycji. Wychodząc od niego, spotkałem w poczekalni ministra handlu Weisskirchnera. Żył wtedy jeszcze leader jego obozu Lueger, którego po śmierci następcą na krześle burmistrza wiedeńskiego był Weisskirchner. Swoją drogą zaraz po śmierci Luegera r. 1910 Weisskirchner nie usłuchał był głosu Wiedeńczyków, wzywających go do zamiany teki ministra na burmistrzostwo. Marzył on wtedy podobno o zastąpieniu bar. Bienertha, opowiadał mi bowiem wówczas cesarz z własnego impulsu: „Weisskirchner würde sicher der beste Bürgermeister sein; er will aber nicht gehen, weil er Minister-Präsident zu werden hofft. Er wird jedoch nie Minister-Präsident, dazu hat er nicht die Eignung; er sollte Bürgermeister bleiben“. Weisskirchner łudził się jeszcze do lata 1911 r., aż przypadłszy z krete sem wraz z całym swoim stronnictwem przy wyborach do Rady państwa, zdecydował się osiąść w ratuszu. I jak zwykle mądrze, ocenił go cesarz: Weisskirchner był burmistrzem gorliwym aż do ukończenia wojny, wśród najcięższych trudności aprowizacyjnych, aż znowu w 1919 r. przypadłszy z krete sem wraz z całym swym stronnictwem przy wyborach gminnych, dał się znowu wybrać do „Zgromadzenia narodowego“ republiki niemiecko-austriackiej, gdzie został obrany prezydentem Izby. Otóż wracając do mego spotkania z nim, muszę stwierdzić, że jak go później pobili obydwaj socjaliści, tak i wówczas w roku 1909 pobili on z Luegerem mnie ale zarazem i skarb państwa! Witając go, rzekłem, że właśnie prosiłem szefa o poparcie mych projektów podatkowych, na co on odrzekł, że właśnie przyszedł po to, by się sprzeciwić podatkowi od piwa. Lueger — dodał Weisskirchner — ubił swego czasu burmistrza Prixa (Prix umarł dosłownie wskutek kilkuletnich

nękających napadów opozycji z Luegerem na czele) z powodu zamierzonego zaprowadzenia „des Bierkreuzers“, jakżeż może dziś jako szef większości zgodzić się na podwyższenie podatku od piwa. Mimo tej przestrogi poszedłem do domu spokojny, bo oparty na zachowaniu się Bienertha; ale wieczorem zgłosiło się do mnie kilku z rzędu dziennikarzy z zapewnieniem, że według ich informacji podatek od piwa upadnie w jutrzejszej Radzie ministrów. Opowiadali mi też o odbytem zeszłej nocy w Praterze zgromadzeniu stronników Weisskirchnera, kandydujących go na ministra skarbu.

Na drugi dzień spełniły się te przepowiednie. Ja, pełen wiary w zapewnienie Bienertha, przemawiałem z zapałem za całym programem, nie wyjąwszy podatku od piwa, najobfitszego w projekcie źródła dochodów. Po mnie oświadczył się przeciw podatkowi od piwa Weisskirchner imieniem stronnictwa. Potem zabrał głos minister oświaty hr. Stuergh, proponując kompromis tej treści, żeby podatek od piwa pozostawić co do podwyżki pojedynczym krajom koronnym na cele autonomiczne (Sejm dolno-austriacki mógł dobrowolnie zrezygnować z tego dochodu), zastrzegając ustawodawstwu państwowemu na przyszłość wykupno tych podatków krajowych na rzecz skarbu państwa. Trzeci i ostatni z rzędu mowca, prezydent ministrów, przemawiał do mnie z wyrazem żalu, że z powodu stanowiska stronnictwa chrześcijańsko-społecznego musimy zrezygnować z podatku od piwa, niemniej z prośbą, bym z tego powodu nie opuszczał gabinetu. Była to widoczna konspiracja z ostatnich 24 godzin, zasługująca na to, bym na nią odpowiedział dymisją. A jednak nie uczyniłem tego, pomny nieustannych konspiracji stronnictw kołowych, czyhających na moją zgubę z jakichkolwiek powodów. Oświadczyłem spokojnie, że kolegów nie opuszczę w tak ciężkiej pod względem skarbowym chwili i będę się starał uzupełnić program w inny sposób. Uczyniłem to w ciągu dalszego pobytu w Ischlu, z czego powstał w parlamencie po przedłożeniu projektu w jesieni plan podatkowy

„szerszy i „ściślejszy“, wiodący bezcelowe życie aż do wybuchu wojny! Że zaś decyzja moja przeciw dymisji nie była błędną, przekonałem się z wypadków, które się ściśle z tą moją decyzją związały.

Oto zanim jeszcze się wybrałem z powrotem do Ischlu, zgłosił się do mnie (20 sierpnia 1909) poseł Stapiński z oświadczeniem chęci zbliżenia się do mnie politycznie. Miałem już dawniej osobiste sympatje dla niego; ówczesne zbliżenie jego łagodziło opozycję południowych Słowian, niemniej przynosiło pomoc w Kole przeciw narodowym demokratom; a pomoc była, jak się okaże, właśnie wtedy skuteczną, gdy dzięki opozycji wszechpolskiej nastąpiła w 1½ roku później moja istotna dymisja. Pan Stapiński nie stawiał wobec mnie jako ministra skarbu żądań wygórowanych: domagał się upaństwowienia gimnazjum prywatnego w Łańcucie i wspominał o trudnościach Banku parcelacyjnego we Lwowie, założonego przez stronnictwo ludowe. Sprawę tę znałem już przedtem. Zarząd banku, przedsięwziąwszy nieostrożnie zakupno wielkich majątków na cele parcelacji, popadł w kłopoty finansowe, z których mógł wyniknąć upadek banku, opartego na wkładach milionowych ludu wiejskiego. Niema rządu, któryby nie chciał pomóc bankowi w takim położeniu. Min. Korytowski dał koncesję na Bank ludowy, do dziś istniejący, z pewnością nie w celu kupienia Stapińskiego, bo go już miał w ręku, ja dałem pomoc starszemu Bankowi parcelacyjnemu znowu nie w celu kupienia sobie Stapińskiego. W podobnem jak tenże bank położeniu znalazł się w kilka tygodni później podobny bank w Celowcu, założony środkami biskupa, księży i chłopów; jak Stapińskiemu tak i posłowi ks. Walcherowi nie mogłem odmówić pomocy dla zapobieżenia bankructwu tysięcy chłopów. To samo stało się z jednym z banków tryesteńskich. Pomocy tej udzielano wówczas z zapasów kasowych, tak zw. „Kassenbestände“, o których stopnięciu wspominałem był w mowie wstępnej. Z zapasów tych otrzymała była Kasa Oszczędności

lwowska w 1898 r. za ministerstwa Böhma 2 miliony koron za pośrednictwem Banku krajowego we Lwowie, przyjmującego gwarancję wobec rządu. Otóż ja przekazałem z tej sumy $1\frac{1}{2}$ milj. dla Banku parcelacyjnego — bo Kasa Oszczędności już była prawie uzdrowioną — a $1\frac{1}{2}$ miliona koron przekazałem Bankowi krajowemu wprost dla banku Stapińskiego, który tym samym otrzymał pożyczkę 2 milionów koron, zdaje się na 2^o/_o. Tym sposobem bank był uratowany. Bóg widzi, że za to nie żądałem od Stapińskiego zapłaty lub politycznej wdzięczności; ale skutki dodatnie wynikły dla mnie w $1\frac{1}{2}$ roku później. Po odejściu Stapińskiego napisałem zaraz list do prezesa Koła p. Głabińskiego z zawiadomieniem go o zmianie sytuacji. Tę lojalność moją odpłacono mi tem gorętszem podjęciem walki naspół z obrażonym p. Nowickim, a to pod pozorem, że list mój był napisany już post festum.

Po tem wszystkim wróciłem w drugiej połowie sierpnia 1909 r. do Ischlu, gdzie wśród wypoczynku z ukochaną żoną moją, zabrałem się do przygotowania nowego planu finansowego. Prace trwały przez całe lato; od czasu do czasu wzywałem do Ischlu potrzebnych mi do pomocy szefów sekcji i referentów ministerjalnych, którym przy tej sposobności ofiarowaliśmy zawsze gościnność naszą. Zanim zresztą mogłem wnieść w parlamencie te projekta, a i po tym czasie zaczęły się zarysowywać kontury nowych trudności i przesileń.

W jesieni 1909 r. zarysowała się wielka sprawa ze świata bankowego, która została załatwioną na wiosnę r. 1910. Dyrektor Thausig, po śmierci bar. Bezecny'ego, nie tyle finansisty, co muzyka (na dworze ex-cesarza Ferdynanda w Pradze wykształconego z biednego chłopca), obrany gubernatorem banku „Bodenkreditanstalt“, jeden z najzdolniejszych finansistów monarchji, znany w Europie z talentu i energii, tyran licznych banków zarówno jak rządów, które się go bały i o radę prosiły, zmarł w jesieni r. 1909 z zakażenia krwi od farb zielonych na tapetach w apartamentach wspaniałych pałacu bankowego przy

Teinfaltstrasse. Zmarły był ze mną w stosunkach chłodnych (innych po za rodziną nieznał) ale dobrych; jak się później dowiedziałem, pisał do hr. Aerenthala w czasie przesilenia bośniackiego energiczne listy, by się starał o powołanie mnie na Himmelfortgasse, a gdy to nastąpiło, dał mi dobrą radę co do zaciągnięcia długu bieżącego. Stratę jego więc odczułem szczerze jako minister skarbu. Świat go zresztą nie lubił dla jego szalonych sukcesów i nagromadzonych bogactw, zazdrozczono mu zaszczytu zawiadywania funduszami cesarskimi, ale go się bano tem więcej. Tem gorliwiej przeto zajęto się kwestją jego następcy.

Będąc jako minister skarbu powołany do przedstawienia cesarzowi kandydata na miejsce gubernatora, powziąłem zaraz od pierwszej chwili myśl powołania na ten urząd szefa sekcji z Rady ministrów Dra Rudolfa Siegharta, a to dla jego dobrych stron, niemniej jak dla pewnych ujemnych. Znałem go od r. 1895, zastałem go jako malutkiego urzędnika, powołanego przez ministra Plenera do ministerstwa skarbu wprost z podrzędnego miejsca w jakiejś wiedeńskiej redakcji. Powołanie nastąpiło oczywiście na prośbę teścia Siegharta, słynnego prof. Uniwersytetu wiedeńskiego i późniejszego członka Izby Panów, Dra Grünhuta. Sieghart zasługiwał na tę zmianę miejsca działalności tak swą pilnością jak zwłaszcza nadzwyczajnymi zdolnościami. Zwrócono moją uwagę na te jego zdolności, zarazem poruczyłem mu wypracowanie projektu „ustawy przeciw kartelom“ według moich wskazówek. Praca wypadła świetnie — złe języki urzędnicze twierdziły, że się to stało przy pomocy teścia, słynnego prawnika. Ale mniejsza o to! Autor otrzymał wtedy na mój wniosek najniższy zapewne, ale pierwszy swój order, z którego do dziś jest dumny. Nie mając dla niego awansu w ministerstwie, zrobiłem go „inspektorem podatkowym“ w IX randze — in partibus. Później szło mu to łatwiej. Po mojem ustąpieniu powołał go baron Gautsch do prezydjum Rady ministrów; z ustąpieniem Gautscha po trzech

miesiącach wrócił Sieghart do ministerstwa skarbu i szedł tam powoli w górę. Ale r. 1900 już go wzięli Koerber do Rady ministrów na stałe i miał w nim prawą rękę. Sieghart pozostał tam także za ministerstw Gautscha (II), Becka, no i Bienertha i zajmował już stanowisko szefa sekcji, tajnego radcy, posiadał wielką wstęgę orderu Fr. Józefa itd. A to wszystko nie za darmo. Jakie były jego zdolności wynika choćby z faktu, że za ministerstwa Becka przewodniczył w komisji międzyministerjalnej dla ugody węgierskiej i był tej istotnie dobrej dla Austrii ugody duchowym twórcą, acz przedtem nigdy się temi sprawami nie zajmował. Bo też samem szczęściem, bez wielkich zdolności nie potrafi chyba nikt stać się niezbędną podporą trzech z rzędu rządów (nie mówiąc już o naszym rządzie, niedawno powołanym przed śmiercią Thausiga). Czy chodziło o wpływy w parlamencie, czy o wpływy na sfery finansowe, czy redakcję ustawy jakiejś politycznej, np. językowej, czy o wybór lub wymianę ministra, czy wreszcie o zasilenie „funduszu dyspozycyjnego“, tego kardynalnego narzędzia politycznego w rękę prezydenta ministrów: zawsze i wszędzie prowadził akcję z wielkiem powodzeniem pan Sieghart. (Przypominam choćby moją nominację do gabinetu Bienertha). To też zawsze lubiłem i ceniłem tego niezwyklego człowieka, butnego i ludziom imponującego, a przytem np. całe życie niezmiernie wiernego znacznie mniej inteligentnemu Sonnenscheinowi (późniejszemu von Solvisowi) tylko dla tego, ponieważ ojciec Sonnenscheina, rabin w jakimś miasteczku morawskim, wspierał przed laty młodego Siegharta, syna biednego żyda w temże miasteczku!

A jednak te wszystkie działania i zasługi w Prezydjum Rady ministrów miały wielką słabą stronę: nie tylko formalną, ile że prezes rządu nie powinien się poddawać wpływowi wszechmocy, choćby najzdolniejszego urzędnika, ale także materialną, ile że przy powyższych akcjach nie obywało się bez demoralizacji w niejednym kierunku. Poprostu: „à la guerre comme à la guerre“! Ztąd szerokie koła sarkauły nie bez po-

wodu na tyranię ubocznego jakoby rządu, a następcę tronu, arcyks. Franciszek Ferdynand, który ukochanego swego desygnowanego premiera, bar. Becka znenawidził śmiertelnie, gdy ten został ministrem Franciszka Józefa, nie wahał się opowiadać wszędzie, że Beck „wraz ze swą żydówką i ze Sieghartem powinni być powieszani na latarni na Grabenie“. I ja osobiście widziałem w Siegharcie, przy całej mej życzliwości dla jego osoby i zdolności, niebezpieczeństwo dla państwa i dla rządu naszego, jeżeliby Sieghart miał pozostać nadal „majordomus“ w prezydjum rządu. Natomiast miałem głębokie przekonanie, że przeniesiony na każdą inną, stosowną dlań pozycję, będzie spełniał znakomicie poruczone mu przez państwo obowiązki. I oto dla czego upatrzyłem go sobie na gubernatora „Kreditanstalt“.

Podobne myśli przechodziły widocznie przez głowę barona Bienertha. Wkrótce po opróżnieniu posady gubernatora rzekł do mnie w parlamencie: „Prawda, że Pan nie zechce się angażować co do obsadzenia tak ważnego posterunku bez porozumienia się ze mną?“ Odrzekłem, że nie tylko tego nie uczynię, ale przeciwnie wkrótce się z nim o tem rozmówię. W kilka dni potem zaszedłem do jego biura w parlamencie, ażeby mu przedstawić konieczność zamianowania Siegharta. Jeżeli się nie mylę, wspomniał on wtedy wprost o „zabiegach“ Siegharta; ale na każdy sposób przyznał, że mówiąc ze mną w parlamencie, miał tę kandydaturę na myśli i upoważnił mnie, bym cesarzowi przedstawił ją ustnie także i w jego imieniu. Cesarz bardzo chętnie zgodził się na Siegharta, którego miałem wkrótce zaproponować w piśmiennem sprawozdaniu.

Niebawem złożył mi — na skutek rozmowy z Bienerthem — wizytę dziękczynną Sieghart; i bodaj czy nie od niego wyszła zupełnie niepotrzebnie przedwczesna wiadomość o planach rządu i dostała się do sfer interesowanych z niemałą szkodą dla sprawy. Nie minęło długo, a zgłosił się do mnie szef domu Rotschilda, baron Albert Rotschild, bardzo dobrze mi znany zarówno z czystego charakteru, jak ze słabej inteligencji

jeszcze z czasów pierwszego ministerstwa mego. Głęboko zirytowany kandydaturą Siegharta, dla którego oczywiście nie miał sympatji, starał się dowieść mi szkodliwości gubernatorstwa tego pana. Nie tałem mu, że z jego zapatrywaniem się nie zgadzam. Ale jego wpływy w Radzie nadzorczej banku, mającej dla formy przedstawić kandydata, były jak wszędzie tak i w „Bodenkreditanstalt“ bardzo silne. Istotnie i najwidoczniej pod wpływem bezpośrednim Rothschilda, powstała oporna akcja Rady nadzorczej i po raz pierwszy objawiła mi się w opowiadaniu cesarza, że bar. Chertek, naczelny szef dyrekcji zarządu majątków cesarskich (dawny kierownik ministerstwa finansów w początkach ery Taaffego, potem szef sekcji (wygnany za frondę przez Dunajewskiego w ciągu 24 godzin na posadę dyrektora skarbu do Pragi), delegowany z ramienia dóbr cesarskich do Rady nadzorczej „Bodenkreditu“, wyraził się przeciw kandydaturze Siegharta. Na moje zapytanie, co na korzyść swego zdania przytoczył Chertek, odrzekł cesarz: „Właściwie nic, ale ja go się wypytam bliżej, gdy powróci z wycieczki świątecznej w góry“. Było to przed Bożem Narodzeniem 1909 r. Aż do tego wyjaśnienia miałem czekać ze sprawozdaniem pisemnem. Po Nowym Roku rzekł mi cesarz na moje zapytanie: „Tak, tak, mówiłem z Chertekiem, ale to widocznie tylko kaprys jego, bo mi żadnych nie przytoczył powodów. Niech Pan tego nie uważa za przeszkodę w akcji rządowej“. Poszedłszy z tem do Bienertha, ułożyłem z nim, że zaproszę do siebie całą Radę nadzorczą, ażeby ją przekonać o pożyteczności zamiarów rządu. Postanowiliśmy to nie tylko dla rzeczy samej, lecz także dlatego, że baron Bienerth, wezwany do arcyks. Franciszka Ferdynada, znalazł w nim zajadłego przeciwnika kandydatury Siegharta. Zebranie Rady nadzorczej zagałem zapewnieniem, że znam dokładnie zdolności Siegharta i że według silnego przekonania mego Rada będzie kiedyś szczęśliwą ze swego gubernatora. Dyskusja była dość gorąca. Pomagał mi bardzo gotliwie Madejski, który od lat wielu był członkiem Rady, wów-

czas już bardzo ciężko chory; zabrał on mnie pod koniec posiedzenia do drugiej sali dla zapewnienia swej pomocy. Niestety widziałem go wówczas (zapewne w styczniu lub lutym 1910) po raz ostatni: zmarł w pięknym domu swoim na cudownej wyspie Lussin-Grande, gdzie raz z żoną moją odwiedzaliśmy zaprzyjaźnioną z nami panią Madejską. Konferencja z Radą nadzorczą wypadła tak, że można by już było myśleć o wniesieniu wniosku do cesarza, gdy nagle zawiadomił mnie Sieghart, że arcyks. Następca tronu rozwinął szaloną przeciw niemu agitację; że w szczególności wysyła adjutantów do każdego z członków Rady nadzorczej z poleceniem i radą, sprzeciwienia się tej kandydaturze. Baron *B i e n e r t h* zbadał rzecz i zdał o tem sprawę cesarzowi i stanęło na tem, że na razie wstrzymamy akcję, aż cesarz zdoła przekonać arcyksięcia. Tak to nienawiść osobista przeważała u arcyksięcia Franciszka Ferdynanda względy publiczne, które zdaniem rządu wymagały usunięcia Siegharta z prezydium Rady ministrów, ale też wymagały zarazem postawienia go na miejscu ze stanowiska państwa stosownem. Boć wysłać go ni ztąd ni zowąd do Linzu, jak tego podobno żądał arcyksiążę, znaczyłoby stworzyć bez potrzeby męczennika bardzo niebezpiecznego, zmarnować wielkie zdolności i obalić wszelakie zasady biurokratyczne. Znowu więc czekaliśmy z założonemi rękami na wynik interwencji cesarskiej. Aż oto w kilka tygodni, zdaje się w drugiej połowie marca, cesarz wezwał do siebie *B i e n e r t h a*, ażeby za jego pośrednictwem wyrazić dla mnie rozkaz wniesienia natychmiastowego wniosku o nominację Siegharta, do której się arcyksiążę niema prawa mięszać. Tego jednak nie mogłem przeprowadzić dosłownie, bo wniosek mój miał być oparty na propozycji Rady nadzorczej, a Rada była pod wrażeniem opozycyjnej agitacji arcyksięcia. Dla pozyskania więc Rady nie użyłem tym razem drogi kolegjalnej, lecz pośrednictwa jednej osobistości. W czasie posiedzenia Izby Panów zaprosiłem do kuloaru członka Izby, prezydenta Izby handlowej wiedeńskiej, *Paula Schöllera*, znajomego mi na równi niemal ze zmarłym

jego bratem Filipem, gorliwym ongiś radcą generalnym banku (słynnym posiadaczem wielkiego zakładu dla psów rasowych w Neuwaldegg pod Wiedniem!) Pan Paweł, szef „dynastji“ Schöllarów, zajmujący tę godność nie tyle z talentu, ile z bogactw, fizycznej godności i z wszelakich urzędów rzeczywistych i honorowych, Pan na pałacu przy Johannesgasse, współwłaściciel fabryk cukru, młynów parowych, fabryk tkanin, później aż do śmierci prezydent Izby handlowej wiedeńskiej, właściciel trustu dzienników „półoficjalnych“ i t. d. i t. d., uważał zawsze za swój obowiązek, stać po stronie nie tylko dworu, ale i każdorazowego rządu. W sprawie gubernatora był w kolizji: rząd chce zamianować Siegharta, a znowu arcyksiążę nakazuje opozycję. W tym ciężkim konflikcie obowiązków zaskoczyłem pana prezydenta żądaniem, by swym wpływem spowodował Radę nadzorczą (której podobno był wiceprezesem) do natychmiastowego przedstawienia kandydatury Siegharta. Na pół zastraszony, na pół tajemniczy odrzekł mi, że wobec wiadomego stanu rzeczy nie może spełnić tego żądania. Odpowiedziałem mu, że wiem o agitacji arcyksięcia przeciw Sieghartowi, znanej także cesarzowi, ale że mam właśnie od cesarza ścisły rozkaz postawienia wniosku, korzystnego dla Siegharta.

W tydzień później — było to podobno w połowie marca 1910 r. nastąpiła na wniosek Rady nadzorczej nominacja Siegharta gubernatorem, którego taż sama Rada przyjęła chłodno. Ale w krótkim czasie ziściła się moja przepowiednia: stał on się ulubieńcem i wszechmocnym kierownikiem wielkiego banku, rozszerzył olbrzymio jego zadania przez łączenie z wielkim przemysłem żelaza, nafty, cukru (zrzeczył fabryki Schöllera) itd., tak że po latach sześciu była Rada nadzorcza gotowa stanąć do walki o Siegharta choćby z cesarzem. Zapewne, nie z cesarzem Franciszkiem Józefem!... Arcyksiążę, następca tronu nie zapomniał klęski, jakiej doznał, i mnie i Sieghartowi. Ze mną utrzymywał później stosunki pozornie niezłe, ale w tak zw. testamentie swoim politycznym odsądził mnie na równi z nie-

chrzczonymi ludźmi, od zdolności brania udziału w pracach kierowniczych państwa; będzie o tem mowa później. Mnie zresztą nikt nigdzie nie był w stanie wyrządzić jakąś awanią polityczną. Ale Sieghart, odsądzony w testamencie Franc. Ferdynanda od czci i wiary, został na wniosek wrogiemu mu ministra skarbu Dra Spitzmüllera z rozkazu młodego cesarza Karola po prostu wypędzony z urzędu gubernatora w sam dzień Wigilii Bożego Narodzenia 1916 r., w pięć tygodni po zgonie cesarza Franciszka Józefa. Rada nadzorcza była gotowa sprzeciwić się formalnie temu aktowi gwałtu i uległa tylko pod wpływem namowy samego Siegharta, który zresztą odczekawszy cierpliwie pory stosownej, został z końcem 1919 r. już w Austrii republikańskiej ponownie wybrany wolnym „Prezydentem“ tego samego „Bodenkreditanstalt“.

Tak się zakończyło „przesilenie Siegharta“, który zresztą zaraz w kilka tygodni po swojej nominacji oddał rządowi wielką przysługę w ważnej bardzo sprawie. Chodziło o postępowanie przy zaciąganiu stałych pożyczek rządowych. Od wielu lat spoczywało prawo emisji rent państwowych w Austrii a i Węgrzech w ręku tak zw. „grupy“, ściślej grupy Rotschilda, złożonej z Rotschilda jako bankiera, z najbliższego mu finansowo banku „Kreditanstalt für Handel u. Gewerbe“ i (od czasów Thausiga) także z „Bodenkreditanstalt“. Dunajewski próbował w r. 1882 przełamać ten pierścień przy pomocy nowozałożonego „Länderbanku“ (z gubernatorem Ludwikiem hr. Wodzickim, dawnym marszałkiem krajowym) i jego francuskich spółników; próba ta nie powiodła się z powodu wielkiego bankructwa domu Bon to u x w Paryżu, który wciągnął w niemałe kłopoty założycielkę Länderbanku słynne tow. w Paryżu „Société générale“. Po raz drugi ja podjąłem próbę w r. 1897 przy emisji $3\frac{1}{2}\%$ renty inwestycyjnej, chcąc ją oddać „Unionbankowi“; i ja musiałem od niej odstąpić z uwagi na wybuchającą wojnę turecko-grecką. Ale przynajmniej przeforsowałem wówczas po raz pierwszy wstąpienie rządowej Kasy

Oszczędności Pocztowej do „grupy“. W roli tej dość podrzędnej pozostawała Kasa aż do r. 1910. W tymże roku miałem zarządzić emisję renty państwowej. Po naradzie ze swoimi fachowcami w ministerstwie postanowiłem oddać tę emisję wprost samej Kasie Pocztowej z poleceniem zniesienia się z innymi bankami, a w szczególności z grupą Rothschilda. Chcąc o tem uprzedzić grupę, zaprosiłem dyrektora Kreditanstalt, b. ministra finansów egipskich p. Blum a-Paszę, który po śmierci Thausiga objął przewodnictwo w grupie. Przyszło, że z Thausigiem byłbym był musiał walczyć intensywniej; pan Blum poddał się na razie po jakimś oporze. Emisja w nowej formie powiodła się świetnie. W lecie musiałem przygotować stałą organizację do emisji jesiennej. Ale tymczasem powstała nowa przeszkoda w nowym dyrektorze zakładu kredytowego. Blum został prezydentem, a dyrektorem p. Aleksander Spitzmüller.

Spitzmüllera zastałem za pierwszego ministerstwa mego roku 1895 młodym urzędnikiem w prezydium ministerstwa skarbu, gdzie go chętnie powitałem jako syna naszego lekarza domowego. Zdolny i gorliwy, acz natury trochę gwałtownej (urodzony z Węgierki!) był mi bardzo pomocny w pracach około ugody węgierskiej. Po mojem ustąpieniu szedł ciągle w górę, objął referat kredytowy, a nie mogąc szybciej awansować, przeszedł, poradziwszy się ze mną, wówczas już gubernatorem Banku austro-węgierskiego, na posadę prezydenta Krajowej Dyrekcji skarbowej w Wiedniu, z której go Sieghart „wypożyczył“ sobie był do komitetu dla ugody węgierskiej przy Radzie ministrów. Już wtedy wydawało mu się, może nie bez racji, że jego pracy nie oceniono należycie (nie nadano mu pożądanego baronatu). Gdy objąłem r. 1909 po raz drugi ministerstwo skarbu, zaproponowałem Spitzmüllerowi, który był sam kandydatem Siegharta na moją tekę, powrót do ministerstwa w randze szefa sekcji i objęcia sekcji budżetowej w miejsce Engla, którego czynność wydawała mi się z daleka nie odpowiednią. Spitz-

müller odmówił, a ja się wkrótce pojednałem z Englem, który zaakceptował mój program i wykonywał go tak sumiennie, że ja wyjednałem mu u cesarza baronat. Tymczasem prezydent dyirekcji stawał się coraz bardziej malkontentem, może w poczuciu znakomitej istotnie działalności swojej; wkońcu zaangażował się tak ostro w sporze ze swoimi urzędnikami, że Rada ministrów musiała na mój wniosek przyznać urzędnikom rację. Było to na wiosnę r. 1910. Wkrótce potem przyszedł do mnie Spitzmüller z prośbą o zwolnienie go z urzędu, ponieważ zamierza przyjąć posadę dyrektora w Kreditanstalt. Nie mało było ztąd kłopotów. Bo najprzód cesarz, niechętny urzędnikom, przechodzącym na posady prywatne, nie zgodził się na mój wniosek, wyniesienia Spitzmüllera, stosownie do jego życzenia, do stanu rycerskiego. (Z trudnością wyjednałem też później tytuł radcy dworu dla Szarskiego, ustępującego z ministerstwa skarbu na posadę dyrektora w Banku przemysłowym lwowskim, gdzie zresztą dotychczas znakomite oddaje krajowi i społeczeństwu usługi.) Powtórnie miałem niemal znowu kryzys wewnątrz ministerstwa przy obsadzeniu posady po Spitzmüllerze, którą wbrew energicznemu oporowi szefów sekcji z najstarszym Meyerem (późniejszym ministrem) na czele, nadałem nielubianemu, niesfornemu, ale znakomitemu w służbie Koksteinowi. A po trzecie powstał mi w nowym dyrektorze „Kreditanstalt“ Spitzmüllerze przeciwnik przodownictwa Kasy Pocztovej przy emisjach.

W lecie 1910 odwiedził mnie p. Spitzmüller, ażeby się przedstawić urzędowo jako nowo mianowany dyrektor i zarazem pomówić o emisjach. Nie był on przeciwnikiem Kasy Pocztovej, ale nie chciał jej pozostawić stanowiska zupełnie niezawisłego, jeno pragnął dodać jej z urzędu do boku konsorcjum emisyjne, złożone z grupy i ewentualnie z innych banków. Nie chciałem się zgodzić na tę przymusową organizację, którą Kasa Pocztowa miała stworzyć z własnej woli, po czem rozszliśmy się z zamiarem pomówienia o tem jeszcze powtórnice. Na drugi dzień odwiedził mnie gubernator Sieghart i w ciągu

rozmowy o emisji zgodził się bez trudności na stanowisko dominujące Kasy Pocztowej, bez obowiązkowego konsorcjum. Wkrótce potem kazał mnie Spitzmüller w ciągu Rady ministrów prosić telefonicznie o pilną rozmowę. Przyjąłem go zaraz w gmachu Rady przy Herrengasse. Przyszedł z propozycją odbycia u mnie konferencji wraz z Sieghartem w sprawie emisji: musiałem mu na to odrzec, że Sieghart już się oświadczył za moją myślą. Odszedł strasznie zirytowany i czy sam, czy przez pośredników spowodował zebranie dyrektorów wszystkich banków w sprawie emisji. A trzeba wiedzieć, że grupa, zwłaszcza jej przywódzca Thausig, traktowała inne banki (były między innymi bardzo wielkie, jak Länderbank, Eskomptgesellschaft, Anglobank, Bankverein itd.) wprost brutalnie przy rozdziale emisji. Teraz miały te banki ująć się za grupą. A jednak walka była bardzo gorąca, wytworzyły się dwa obozy, i tylko dzięki świetnej i gwałtownej przemowie dyrektora Krasny'ego z banku „Eskomptgesellschaft“ uzyskała moja myśl większość.

Tak zwyciężyła myśl utrzymania emisji renty w rękach zaufanego, w całej Europie szanowanego zakładu rządowego Kasy Oszczędności Pocztowej (założonej ongiś na wniosek i czynną akcję naszego wielkiego posła Hausnera, swego czasu secesjonisty z Koła polskiego z okazji wojny rosyjsko-tureckiej!) Była to zdobycz stała dla państwa i skarbu: za pomoc w walce wyjednałem dyrektorowi Krasny'emu wyniesienie go do stanu szlacheckiego. Pomędzy Spitzmüllerem zaś i Sieghartem powstała od tego czasu wojna osobista, z której gubernator, gładszy i zręczniejszy, wychodził tak długo zwycięsko, aż dyrektor Spitzmüller, powołany już za hr. Stürgkha na ministra handlu, został przez nowego cesarza mianowany ministrem skarbu (arcyks. Franciszek Ferdynand polecił go „w testamencie“ w nagrodę subwencji Kreditanstaltu na cele humanitarne dobroczynnej ale skąpej księżnej Hohenberg) i w tym charakterze postawił — sua sponte lub może raczej z rozkazu cesarza — wniosek o odwołanie Siegharta z gubernatorstwa.

Oto obraz moich kłopotów publicznych z pierwszej połowy r. 1910, w której ponadto moja biedna żona ciężko zaniemogła.

Jedną tylko miałem wówczas chwilę jaśniejszą w życiu mem publicznem. Było to za przyjazdu kanclerza niemieckiego Bethmanna-Hollwega celem przedstawienia się u dworu. Poprzednik jego ks. Bülow tak strasznie dał się we znaki polskości jako twórca ustawy o przymusowem wywłaszczeniu, że musiało mi zależeć na wybadaniu usposobienia następcy. Zapowiedziany był dla gościa obiad intymie u ministra spraw zagranicznych Aerenthala w Schönbrunnie w tak zw. „Stöckl'u“, budynku dworskim o ślicznej architekturze i wielkiej elegancji, oddawanym zawsze przez cesarza ministrom spraw zagranicznych (czy też kanclerzom) na pobyt letni w pobliżu monarchy. Losy tego budynku zmieniły się później tragicznie: cesarz Karol oddał go osławionemu „wiszatelowi“ chłopów polskich i niedołądce w bitwach pod Rawą i Łuckiem, arcyksięciu Józefowi Ferdynandowi, jakoby dla „kierowania“ armią lotników, a Rzeczpospolita austriacka oddała „Stöckel“ na urządzenie „tingłów“ i tym podobnych zabaw publicznych. W owym obiedzie mieli wziąć udział prócz gospodarza i gościa, ambasador niemiecki p. Tschirsky ze świtą, prezydenci ministrów austr. i węgierski i ja. Aerenthal i Tschirsky, obaj bardzo mi oddani, przyrzekli mi urządzić po obiedzie spokojną z gościem rozmowę en deux w sprawie polskiej, naturalnie było to jeszcze za czasów pokojowych. Gdyśmy się zeszli, pan Bethmann po dłuższej rozmowie oświadczył mi, że kursu zmienić nie może („Sie können von uns eine Zickzackpolitik nicht verlangen“), ale zapewnił, że będzie bezstronnym i chętnym wobec Polaków („Ich werde keine Politik der Nadelstiche betreiben“) i że spodziewa się ułożenia stosunku przyjaznego, „wenn auch die Gegenseite ihren guten Willen zeigt“! Tłumaczył mi to na szeregu przykładów. Prosiłbym czytelnika, żeby wrażenie tej rozmowy ocenił sub specie nie dzisiejszego odrodzenia Polski (piszę w lipcu 1919), lecz ówczesnej sankcji

pruskiej ustawy o wyłączeniu. O tyle rozmowa stanowiła dla mnie chwilę jaśniejszą. Nie przeszkodziła ona swojej drodze kanclerzowi, dopuścić w 1911 i 1912 r. do kilku wypadków stosowania osławionej ustawy ku wielkiemu zgorszeniu delegacji polskiej w Wiedniu i Budapeszcie ku wielkiemu kłopotowi Aeren-thala i jego następcy, Berchtolda. Ale ten sam Bethmann-Hollweg nie zawahał się, w czasie wojny po zdobyciu Warszawy oświadczyć w parlamencie niemieckim, że naród polski musi być wolnym we własnym państwie i że „tysiącletnia wojna Niemców z Polakami musi ustać“. Moze kierownicy Koła polskiego w Berlinie mieli rację, gdy mi wówczas, odwiedzając mnie r. 1915 jako prezesa Koła wiedeńskiego w Ischlu, przez usta posła Seydy na moje zapytanie odpowiedzieli, że znając Niemców, nie mogli po owej deklaracji kanclerza podać ręki do zgody. Zнали Niemców z kategorii krwiożerczego L u d e n - d o r f f a. Ale o Bethmannie jest mi wiadomem z ust hr. Stuergha, że gdy w rok później zabiegi kanclerza we Wiedniu u hr. Tiszy o autonomję dla Rumunów (celem zapobieżenia odstępstwu Rumunów od państw centralnych) nie odniosły skutku, zawołał do Stuergha z żalem na Tiszę: „Glauben Sie denn nicht, dass auch wir entschlossen sind, unser Verhältnis zu den Polen in Preussen vollständig auf den Kopf zu stellen?“, to znaczy nawrócić zupełnie. Czy Bethmann byłby był pomimo to wszystko właśnie r. 1916 w jesieni po złamaniu potęgi Rumunów i zdobyciu Bukaresztu gotów zawrzeć z Rosją pokój kosztem Polski, jak tego w swoich pamiętnikach pragnie b. minister Helfferich, tego nie mogę ocenić, ale i nie mogę uwierzyć. Bo Bethmann był, jak się okazuje z dziejów powojennych i z jego pamiętników wojennych, przecież jedynym i ostatnim mężem stanu w Niemczech w czasie wojny światowej.

Podatki. — Choroba żony.

Do przyjemności życia mego ministerjalnego nie należały chyba obrady w komisji podatkowej nad projektami podatko-

wemi, wypracowanemi w myśl uchwał Rady ministrów z dnia 19 sierpnia 1909 r. Przez całą zimę toczyły się te obrady ociężale, z drobnym odcieniem abstrakcji, a to z uwagi, że żadne stronnictwo nie miało chęci poświęcenia się dla skarbu. Obrady przeciągnęły się też do r. 1910 i trwały niemal bez przerwy przez wiosnę, lato i jesień, o ile nie przeszkadzały temu obrady budżetowe.

Na wiosnę 1910 roku został mój udział w pracach komisji utrudniony przez ciężką chorobę żony mej drogiej. Bywały chwile straszego niebezpieczeństwa i dopiero po wielu tygodniach zabłysła z łaski Boga Najmiłosierniejszego nadzieja raptunku. Okazała się konieczność wyjazdu nad morze, aby usunąć straszne osłabienie. A tymczasem dalej toczyła się dyskusja nudna, prowadzona z premedytacją gnuśnie gwoli pogrzebania projektów. Mając w drugiej połowie kwietnia ważne konferencje wspólne w Budapeszcie, postanowiłem, mimo toczącej się dyskusji podatkowej, towarzyszyć żonie w podróży i pozostawiłem zastępstwo szefom sekcji. Wzięto mi to za złe w komisji, w której rozpuszczono bajkę, że ja wyjechałem do Dalmacji dla targowania się z Chorwatami o koncesje ekonomiczne. Zmieniała się jednak opinia, gdy po powrocie powołałem się na chorobę żony, zwłaszcza wobec posła polskiego Diamanda, dla którego od tego czasu zacząłem nabierać sympatji, przekształconej później w przyjaźń niemal i w szczere zaufanie. Podatki przepadły bez tego. Wybrawszy się z żoną w podróż adriatycką — była to już trzecia, bo r. 1909 na Wielkanoc byliśmy także na Adriatyku i doświadczyliśmy cudów bożych na morzu. Na dworcu we Wiedniu mogła się żona nocą ledwie dowlec do wagonu; rano w Trieście była już silniejszą; popołudniu musieliśmy z powodu burzy schronić się do Poli, gdzie nas powitał wysłannik admirała hr. Montecuccolego z zaproszeniem na śniadanie na drugi dzień w południe. Tresyną jechaliśmy do portu wojennego, czółnem motorowem z powrotem: śniadanie było na statku „Franz Ferdinand“, gdzie przed południem łąziłem z admirałem

po kolosalnych drabinach sznurowych dla oglądnięcia szczegółowo statku. Żona moja dostała się z łaski Boga dobrze na pokład i z do-
brej nadzieją co do wyzdrowienia wyjechała na trzeci dzień
w dalszą drogę. Spędziliśmy cały dzień pod Sebenico na
rzece Zerk o, której wodospady podziwialiśmy rok przedtem.
Zpowrotem zwiedzaliśmy produkcję soli morskiej na jednej
z wysp, a żona obstałowała sobie tam cudowne oryginalne ko-
ronki dalmatyńskie. Po zwiedzeniu wysp Lussin-Piccolo
i Lussin-Grande (z wizytą u pp. Madeyskich) i po ilumi-
nacji pożegnalnej w Porto Cigale wylądowaliśmy w Riece,
skąd nocą udaliśmy się do Budapesztu, żona z łaski Boga cał-
kiem uzdrowiona. Na zamku królewskim, gdzie minister spraw
zagranicznych bar. Aerenthal był gościem cesarskim, odbyły się
konferencje wspólne z nowym już rządem (premier bar. K h u e n,
minister Skarbu, dawny mój, niezbyt słowny przyjaciel Lu-
k a c s): zapadły uchwały w sprawach kredytów wojskowych,
bardzo utrudnione przez niemożliwość reformy wojskowej we
Węgrzech.

Po powrocie do Wiednia nie zastałem najmniejszego pó-
stępu w pracach podatkowych komisji. Żadne stronnictwo nie
chciało przyjąć odpowiedzialności za całość programu; socjaliści
popierali tylko podatki bezpośrednie, „burzuje“ tylko pośrednie,
a większości nie było dla niczego. Rozprawy wlokły się aż do
końca rządów naszych i ciągnęły się bezskutecznie jeszcze za
czasów ministra skarbu Wacława Zaleskiego (1912).

Ja zaś tymczasem próbowałem przeprowadzić przynajmniej
osobno podatek od zapalek. Gen. dyrektor Länderbanku
p. Lohnstein (zmarły nie długo potem), człowiek bardzo
porządny, honorowy, niezachłanny na zyski, przytem zaliczony
do stronnictwa antysemitycznego, przedłożył projekt takiego po-
datku. Bez monopolu skarbowego, miał on być publicznym
w formie banderoli, za pośrednictwem towarzystwa „Solo“, za-
wisłego od Länderbanku. Podwyżka ceny miała być minimalna,
dochód obliczono na wiele milionów; zarazem miano skupić

wszystkie fabryki (zwłaszcza w Galicji), wytwarzające trujące zapalki z siarką.

Chodziło o zapewnienie sobie większości w Izbie, zwolennicze monopolów rządowych, przeciwnej wielkim przedsiębiorstwom. Pan Lohnstein obiecał pomoc stronnictwa chrześcijańsko-społecznego. Gdy rzecz zaczęła się przewlekać i burzyć stronnictwa, zwołałem wspólnie z Bienertem przedstawicieli wszystkich stronnictw na konferencję. Może należało zwrócić na to uwagę Lohnsteina, acz zapewnienia jego co do antysemitów powtarzały się prawie codziennie. Na konferencji wystąpiłem ja z projektem od rządu, a socjaliści z projektem monopolu. Inni się zawahali, spoglądając na antysemitów. Przywódca ich, p. Gessmann, przestraszywszy się socjalistów, przeszedł na stronę monopolu rządowego. Upadła więc propozycja Lohnsteina, który mi robił wyrzuty, tłumacząc, iż nie będąc przezemnie uprzedzony, nie miał czasu obrobić Gessmanna... Tak to ciężko mi szło wszystko w owym ministerstwie!

Bank biletowy.

Ponieważ ugoda węgierska p. Becka nie zawierała w sobie postanowień o Banku biletowym, było i mojem zadaniem przeprowadzić odnośne rokowania z Węgry. Jak wspomniałem wyżej, r. 1908/9 Kossuth zamierzał rozbić bank parytetyczny, a ówczesny prezydent ministrów a zarazem minister skarbu, znakomity Weckerle, acz również przekonany o potrzebie jednolitości Banku, nie stawiał przeszkód ministrowi handlu Kossuthowi, toczona ze mną na konferencji dziecinnego sporu co do pożytku kartelu dwóch banków. Toż jeszcze ja sam na wiosnę r. 1909, dopiero objąwszy tekę skarbu, miałem na posiedzeniu wspólnem w gmachu węgierskim w Wiedniu sposobność odparcia naiwnych projektów Kossutha. Ale r. 1910 był już u steru rząd liberalny Khuen a z ministrem skarbu Lukacsem, zwolennikiem jednolitego banku biletowego, partnerem moim z r. 1895/6. Nie chodziło już więc o walkę z rządem

węgierskim, lecz o rokowanie z zarządem banku. Ale tu nie mieliśmy takich trudności jak w r. 1896, bo tym razem nie chodziło o wielkie sprawy finansowe towarzystwa bankowego, lecz uporządkowaliśmy tylko wiele szczegółów, między innymi dalszy silniejszy udział rządów w zyskach Banku, emisję banknotów mniejszych itd. Pozostały dwie wielkie sprawy zasadnicze: ochrona stałości waluty i wprowadzenia zawieszonych dotychczas obowiązkowych wypłat w złocie. Dzięki radom znakomitego wicegubernatora *G r u b e r a*, który mnie w tym celu odwiedził w domu, powiodło się obu rządów skonstruować obowiązek banku strzeżenia waluty od *disagia* pod grozą utraty przywileju. Ale Węgrzy pragnęli jeszcze jak najszybszej wymiany banknotów na złoto („*Barzahlungen*“), kiedy Austriacy obawiali się tego doktrynerstwa węgierskiego właśnie z uwagi na ochronę waluty. Odbywaliśmy nieskończone konferencje dwóch premierów i dwóch ministrów skarbu, aż wreszcie udało mi się na ostatniej z tych konferencji nakłonić *Lukacsa* do przyjęcia następującej mojej propozycji: jeżeli jeden z parlamentów (przypuszczalnie węgierski), uchwali wypłaty w złocie, wolno choćby jednej z Izb drugiego parlamentu (przypuszczalnie austriackiego) unieważnić uchwałę pierwszego, jeżeli to uczyni w pewnym krótkim terminie. Dla kompromisu skróciliśmy Węgom ten termin. Tego samego dnia na Radzie ministrów austriackiej, oświadczył *B i e n e r t h*, że przyjscie do skutku ugody bankowej jest moją zasługą.

Jeden z drobniejszych szczegółów tej ugody z Węgrami powiódł mi się na samym końcu następującą sztuczką. Chodziło o rozdział zysków z dewiz między Austrię i Węgry z uwagi na to, że ongiś jako gubernator musiałem Węgom dla pochlebiaenia ich stanowisku „*globusowemu*“ zrobić koncesję, przeniesienia części dewiz do zakładu głównego w Budapeszcie ażeby się mogło nazywać, że w stolicy Węgier odbywa się handel dewizami. Otóż już po dopięciu ugody, o której dopiero była mowa, miał dla ustalenia klucza rozdziału zysków z dewiz przybyć do Wiednia minister *L u k a c s*. Odbyszmy narady ze swoim;

referentami, ustanowiłem odpowiednią, to znaczy interesom obu państw odpowiadającą formułę rozrachunku; a znając niesłowność kolegi węgierskiego, kazałem przed jego przybyciem przygotować protokół, zawierający dla obu stron obowiązek skasowania tej formuły... Przybył też p. Lukacs, a przekonawszy się o sumienności mego wniosku, zgodził się na moją propozycję podpisania natychmiastowego przygotowanego już w dwóch egzemplarzach protokołu. Po odczytaniu protokołu podpisaliśmy go obaj w obecności moich doradców Grubera i Wimmera. Wieczorem minister odjechał bardzo zadowolony. Aliści na drugi dzień zdaje mi Gruber sprawę o telefonicznej rozmowie z Budapesztu w której wezwany do aparatu przez podsekretarza stanu Teleszky'ego musiał się od niego nasłuchać gwałtownych wyrzutów za „oszukanie“ Węgrów w protokole. Takim też było zawsze stanowisko p. Teleszky'ego, gdy później został sam ministrem skarbu. Drapieżność tego zdolnego bardzo Węgra poczułem jeszcze niejednokrotnie jako minister wspólny. Ale wówczas wygrałem: „oszukałem“ Węgrów, to znaczy: nie dałem pokrzywdzić Austrii.

Budowa kanałów w Galicji.

Zanim zdążyłem nową ustawę bankową wystylizować, przedłożyć parlamentowi i bronić jej w Izbie, popadłem w nowy kryzys; tym razem zabójczy, bo przez własne spowodowany stronnictwo. Chodziło o sprawę budowy kanałów w Galicji. Od ustawy Koerbera z r. 1904, wydanej lekkomyślnie równocześnie z ustawą o kolejach alpejskich dla rzekomego uspokojenia parlamentu, stało na porządku dziennym stronnictw, zwłaszcza Koła polskiego, budowa kanałów Dunaj-Odra-Wisła-Dniestr. Nacisk ze strony naszej, był tem bardziej uzasadniony, że rozpoczęcie tej właśnie budowy zwlekało się z roku na rok, kiedy tymczasem Czesi przez swoje wpływy w rządzie przeprowadzili znaczną część kanałów czeskich, a i kraje południowe

zdołały zrealizować budowę kolei. Za kanałem naszym działało nie tylko ciągle i wytrwale Koło polskie, lecz także Polacy w rządach poprzednich: Korytowski, Dzeduszycki i Abrahamowicz. Nie mogli jednak dojść do celu z tego samego powodu, z którego się niepowiodły usiłowania Dulęby i moje z następnym rządem tj. z powodu uporu prezydenta ministrów. Nie był za kanałem baron Beck, nie był też za nim baron Bienert, który oświadczał na Radzie ministrów przy każdej sposobności: „diesen Wahnsinn werde ich nicht mitmachen“. Dla polskich ministrów w obu rządach, którzy nie postawili byli budowy kanałów za warunek wstąpienia do gabinetu, wynikały ztąd wielkie kolizje w gabinecie Bienert'a. Rzecz stała się krytyczna, gdy min. Weisskirchner pod naporem Polaków zażądał na Radzie ministrów kredytu na budowę części kanału Kraków-Zatonek. Prezydent Bienert i inni ministrowie niemieccy podnosili konieczność oszczędzenia funduszy państwowych na cele wojskowe, a ten argument utrudniał Dulębie i mnie stawianie kwestji gabinetowej, tem bardziej, że i my obaj, przekonani o naturalnej konieczności wykonania ustawy kanałowej, zaniedbaliśmy byli postawić to wykonanie za warunek wstąpienia do gabinetu. W tej ciężkiej kolizji obowiązków powziąłem myśl, odszkodowania krajów interesowanych w niedoszłej budowie kanałów, za pomocą funduszy państwowych w gotówce, z której każdy kraj byłby w możności albo sam budować swoje kanały albo zaspokajać inne pilniejsze potrzeby krajowe. Uzyskawszy dla tej myśli aprobatę premiera, porozumiałem się z kilku wpływowymi kolegami z Koła (Stapińskim, zdaje się że i z Głębinińskim) i zaofiarowałem Kołu dla Galicji sumę największą ze wszystkich: 125 milionów w rencie austryjackiej, wówczas stojącej wyżej parytetu. Baron Bienert sprosił delegatów wszystkich interesowanych krajów na konferencję, na której ja imieniem Rządu przedstawiłem nasze propozycje. Po niejakich targach i podwyższeniach (przy czem objawiała się zawiść co do „przywileju“ dla Galicji) zgodzono się, acz bez entuzjazmu na pro-

jektu rządowe. Nastąpiło to także ze strony polskiej, której delegatów nie pamiętam, naturalnie jednak był tam obok Abrahamicza także przeszkodą Głabiński, a ponadto byli namiestnik Bobrzyński i marszałek Badeni. Ale po rozejściu się reszty uczestników konferencji polskiej podniósł Marszałek, a za nim Namiestnik konieczność, zniesienia się ze Sejmem i pozyskania go dla rządu, który w gruncie rzeczy uchyla stan prawny, tak bardzo ważny dla krajów. Chętnie się na to zgodziłem wspólnie z prezesem rządu.

Otrzymawszy od barona Bienertha pełnomocnictwo nieograniczone, przemawiania i działania w imieniu całego rządu, wyjechałem wkrótce (zapewne w październiku) na sesję sejmową, gdzie rozpocząłem rokowania z każdym stronnictwem z osobna. Nie łatwe były te rokowania, bo każde stronnictwo inne podnosiło skrupuły i trudności; każde też w innej formie powzięło uchwałę. Ale w końcu zgodzono się na plan mój we wszystkich stronnictwach: tak z uwagi na wysokość sumy przyrzeczonej, cennej na wypadek ciężkich czasów — byłaby się przydała w czasie wojny! — jak w nadziei, że kiedyś państwo przecież zacznie samo budować, jak zresztą i z uwagi na obowiązki finansów państwowych dla wzmocnienia armji, zwłaszcza na wypadek wymarzonej wojny z Rosją... Z lekkim sercem powróciłem do Wiednia i zabrałem się do przygotowania projektów, gdy na raucie w ministerstwie węgierskim a latere powitał mnie poseł Kozłowski ze znaną swą słodyczą zapytaniem: „jak Ty to właściwie robiłeś, żeś zdołał cały Sejm przekonać wbrew interesom kraju?” Zrozumiałem co to znaczy i wkrótce poczułem na swej skórze. Zawiązał się tryumwirat Kozłowski-Korytowski-Głabiński celem nakłonienia Koła do obstawiania przy kanałach. Rozpoczęto agitację gruntowną przeciw mojej osobie na zebraniach w kawiarni Puchera i na herbatach u posła Kozłowskiego; nie zaproszono mnie wcale do przedstawienia sprawy na Kole w myśl owej konferencji, odbytej za udziałem Koła Polskiego. Poczem po długich i bardzo namiętnych roz-

prawach uchwalono w Kole żądać budowy kanałów. Uchwałę zaniósł do premiera Głębiński z żądaniem mego ustąpienia, na co miał mu Bienerth ofiarować moją tekę. Namiętność osobista tak urosła, że np. poseł Korytowski zapraszał socjalistów do wniesienia w Izbie interpelacji z powodu mianowania mego brata Marjana inspektorem poczt w Krakowie. Swoją drogą socjaliści odmówili (podobno za wpływem szlachetnego jak zawsze posła Diamanda), a minister handlu Dr Weisskirchner, przełożony mego brata, oświadczył w obecności mojej bardzo stanowczo Bienerthowi, że ze mną o tej nominacji czysto fachowej nigdy nie mówił, zaś interpelantom da odpowiedź odmowną i energiczną. Szeł gabinetu był tak zastraszony uchwałą Koła, że wytknął nawet hr. Stuerghowi bardzo przykro powołanie mego bratanka (syna Józefa) do ministerstwa oświaty, dokonane znowu z własnej inicjatywy ministra dla braku urzędnika ze znajomością języka ruskiego. I tę także sprawę poruszył w parlamencie między stronnictwami p. Korytowski, uproszony o to przez zaprzyjaźnionego mu burmistrza Podgórze pod Krakowem, którego syn obawiał się w ministerstwie konkurencji mego bratanka! Ze spraw prostych i naturalnych zrobiono „prywatę” i „korupcję”.

Wskutek uchwały Koła co do mojej osoby, p. Bienerth niezadowolony także z innych jeszcze członków swego gabinetu, wniósł z początkiem grudnia 1910 dymisję całego gabinetu; chciał prócz mnie pozbyć się jeszcze ministrów spraw wewnętrznych, rolnictwa i robót publicznych. Cesarz przyjął dymisję i poruczył aż do zmiany rządu dalszą administrację ministrom dymisjonowanym. I otóż tak się rzeczy dziwnie złożyły, że wniesiony tymczasem z końcem listopada przezemnie nowy statut bankowy został w grudniu postawiony na porządek dzienny Izby do pierwszego czytania; w toku dyskusji byłem przeto zmuszony zabrać już jako minister in statu demissionis kilka razy głos w Izbie, nie dla obrony, bo nikt statutu nie atakował, jeno dla wyjaśnień. Tym sposobem przyniosły mi losy „in statu demissionis” cały

szereg prawdziwych tryumfów oratorskich i fachowych w Izbie. Podobno trzy wypowiedziałem wielkie mowy, ex abrupto, bez przygotowania, bo na zapytania mówców i za każdym razem byłem formalnie obleżony przez oklaskujących mnie słuchaczy. Po ostatniej takiej mowie tuż przed ferjami świątecznymi wyszedłem z ławy ministrów, mówiąc sobie w duchu, iż to była moja pieśń łabędzia! A szef prasowy narodowej demokracji, p. Nowicki, opisując tę scenę w „Słowie Polskiem“ lwowskiem, umieścił na swym artykule nagłówek: „Koniec karjery“. W dwa lata później (1912) tenże sam Nowicki zawarł z mną w wspólnym ministerstwie finansów umowę co do subwencji pisma, przeznaczonego aż dla — Bośni!... Że zresztą w tym samym czasie, t. j. już jako demisjonowanemu ministrowi, powiodło mi się sprowadzić w łonie konferencji ministerjalnej wspólną ugodę w sprawie sfinansowania reformy wojskowej, opowiedziałem już wyżej.

Z tych to powodów dymisja zapowiedziana, a jednak ciągnąca się od czterech prawie tygodni, nie wywarła na mnie zbyt przykrego wrażenia. Minęły święta Bożego Narodzenia, poczem w dniu ostatnim grudnia, odbyło się jak zwykle w „Burgu“ uroczyste zgromadzenie dygnitarzy, składających cesarzowi życzenia noworoczne na ręce W. Ochmistrza i W. Ochmistrzynie. W galowych mundurach przybyli i wszyscy ministrowie: służący ugalonowany woła głośno nazwisko przybywającego, który się zresztą już przedtem musiał zapisać na liście Ochmistrza (ks. Montenuovo, krewny cesarski, pochodzący z babki Marji Louizy, b. żony Napoleona W. i jej męża hr. Neipperga) przyjmuje go przy drzwiach apartamentu, w którym na środku wielkiej kanapy, jakby na tronie siedzi W. Ochmistrzynie, nie podnosząca się — jakoby cesarzowa! — z miejsca, nawet wobec pań najwyżej urodzonych. Ceremonja hiszpańska w pełnem słowa znaczeniu! Setki znajomych się witają, rozmawiają i żartują. Mnie wita zaprzyjaźniony ze mną arcybiskup X. Marschall z wyrzutem, że go Rząd nie zaproponował na miejsce księcia-Metropolity (później znowu kardynała). Perswaduję mu, że minister wyznań

(hr. Stuergh) nie mógł postąpić inaczej, bo nie miałem prawa mu powiedzieć, że cesarz życzył sobie powołania na to miejsce biskupa z Triestu, ks. Nagla, mając Marschallowi (b. katechecie i zaufanemu arcyks. Franciszka Ferdynanda) coś do zarzucenia w sprawie tegoż małżeństwa z hr. Chotek. Po krótkich uściskach dłoni rozchodzą się panie i panowie do domów, aby zdjąć strój świąteczny po użyciu go przez pół godziny. Na drugi dzień 1-go stycznia wielki obiad galowy u W. Ochmistrza w apartamentach „Burgu“, w zastępstwie cesarza, a więc znowu w strojach galowych: z pałaszami przy stole! Obiad zresztą zawsze, jak co roku, doskonały. Po obiedzie spotykają się ministrowie przy czarnej kawie, a ja im żartem powiadam: „wiecie, dla nas kilku był to obiad skazańca („Henkersmahl“). Na to przystępuje br. Bienert do mnie i do kilku innych kolegów (tych, którzy mieli być wyrzuceni!) prosząc każdego z nas na drugi dzień (każdego na inną godzinę) do siebie do biura. Było to zatwierdzeniem mego żartu. Nazajutrz o oznaczonej godzinie przychodzę do szefa gabinetu, oświadczając mu zaraz u wstępu, iż przynoszę mu gwoli wręczenia osobistego kilka aktów tajnych, których nie chcę pozostawić w biurze. Na to on pół żartem: „ależ ja Panu przecież nic jeszcze nie powiedziałem“. „Ależ ja przecież wiem, iż muszę wyjść z gabinetu“ odpowiedziałem i dodałem żartobliwie: „W. Exc. kazał nam przyjść do siebie celem odebrania sobie „książeczek służbowych“ (jakoby dla służby domowej) „więc ja przychodzę po moją książeczkę“. P. Bienert zrozumiał moją ironję z powodu formy dymisji, o której z nami nie mówił ani on ani cesarz i zaczął bardzo uprzejmie opowiadać o swoim i cesarza żalu, który mi na pożegnanie nadał brylanty do Wielkiej wstęgi orderu Leopolda. Kochając cesarza, byłem zadowolony tak z tego odznaczenia (pominąwszy „znaczną wartość brylantów“) jak niemniej z patentu, w którym mnie cesarz nazywa swoim kuzynem („Vetter“). Ale w przedpokoju zastałem bar. Haerdla, ministra spraw wewnętrznych, także odchodzącego, który mnie

powitał: „Ich höre, Sie bekommen die Brillanten. So werden bei uns Männer wie Exc. Biliński behandelt“. Myślał oczywiście o w. wstędze orderu św. Szczepana, orderze najwyższym, którego i później nie otrzymałem. Ale do takich żalów „chińskich“ trudno chyba rozumnemu człowiekowi się uciekać!

Dymisja nastąpiła zdaje się 10 stycznia 1911 r. i była dla mnie — szczerze mówiąc — znacznie mniej przykra, niż pierwsza (1897) i trzecia (1915). W pałacu ministerstwa nie mieszkałem; listy nieliczne zabrałem z biurka i w jednej chwili byłem — „wolny“. Tylko owe urządowanie pogrobowe „im Peterstübchen“, o jakim opowiadałem po dymisji Badeniego, było mi przykre. Nietylko dla samej rzeczy tragi-komicznej, ale także z powodu przykrych pożegnań. Nie pamiętam, czy się z personelem urzędników żegnałem in corpore; ale zachodzili do mnie przeliczni urzędnicy. Radca Łopuszański, genialny pracownik (zmarł niestety r. 1913) dostał ataku płaczu, całując ręce moje! Szefowi prezydjum Gleissnerowi wyrobiłem u cesarza kierownictwo sekcji. Personal urzędników ofiarował mi w parę miesięcy później szafę na książki w stylu empire, z napisem; „Fautori suo benevolo, incomparabili laborum comunium socii“. Przemawiał gorąco bar. Engel.

XIV.

1911—1912: Pierwsze prezesostwo w Kole Polskiem.

Jeżeli się nie mylę, dymisja gabinetu Bienierth II i powołanie gabinetu Bienierth III nastąpiły d. 11 stycznia 1911 r. O ile chodziło o teki polskie, to moja teka (skarbu) nie dostała się już w ręce polskie, jeno została poruczona szefowi sekcji, tajn. radcy Mayerowi, znakomitemu znawcy podatków bezpośrednich, mojej „prawej ręce“ w tym dziale skarbowym. Za to tekę kolei objął prezes Głabiński. W miejsce Dulęby powołano jako ministra dla Galicji szefa sekcji z minist. rolnictwa Wacława Zaleskiego, syna żyjącego jeszcze wówczas

namiestnika i ministra Filipa, a wnuka namiestnika Wacława, który mimo zawodu swego jako poeta torował w „gubernium“ lwowskiem drogę dla hr. Agenora Gołuchowskiego ojca. Prezesem Koła został wybrany bezpartyjny poseł Łazarski.

Za pierwszy swój obowiązek uważałem, w wykonaniu mandatu poselskiego, zgłosić się w Kole jako szeregowiec i oddać się do dyspozycji prezesa. Pilnie chodziłem na posiedzenia Izby i często stawałem przy pulpicie któregoś z dawnych kolegów ministrów bądź dla gawędki, bądź dla poparcia jakiejś sprawy polskiej, publicznej lub prywatnej. W stronnictwach niepolskich spoglądano na mnie — według opowiadań późniejszych — z pewnem zajęciem, podziwiano moją zrozumiałą zresztą skromność i wymyślono podobno wtedy według parlamentarnego obyczaju przydomek czy też przezwisko: „der weisse Fuchs“ na podobieństwo nazwy słynnego Freycinetta: „la souri blanche“. Pierwszy epitet odnosił się do barwy włosów moich. Zaraz w początkach mej czynności poselskiej odniosłem owoce zgody z posłem Stapińskim. Jak dawniej był mi wrogiem, tak w owych dniach ciężkich był mi przyjacielem i nie zmienił się do dnia dzisiejszego. Przedewszystkiem ofiarował mi bez wezwania czy prośby miejsce swego stronnictwa w izbowej komisji bankowej, gdzie przeżyłem ciekawe chwile. Minister Meyer miał w pierwszych dniach swego urzędowania obowiązek zastępowania projektu rządowego o statucie banku austro-węgierskiego; w czasie rozprawy ja zabrałem wielokrotnie głos jako zwykły członek komisji i odpowiadałem na liczne zapytania tudzież wątpliwości innych kolegów. Minister, zabrawszy głos przy końcu, prosił komisję, by uważała moje wywody za rzeczowe, ponieważ on nie mógł w przeciągu kilku dni zapoznać się z nieznanym mu przedtem przedmiotem. Na innem posiedzeniu wypadło tak jakoś z toku rozprawy, że musiałem zapewnić, iż szef rządu brał udział we wszystkich rozprawach bankowych z rządem węgierskim. Na to zabrał zaraz głos bar. Bienerth, ażeby oświadczyć wyraźnie, że cała zasługa tego znakomitego przed-

łożenia mnie się należy. Był to jakby dalszy ciąg sukcesów grudniowych! Rozprawy w pełnej Izbie nad statutem odbyły się dopiero w lipcu już za rządów Gautscha. Nie brałem rozmyślnie udziału w tych krótkich obradach; ale po ich zakończeniu polecił Gautsch napisać w półurzędowym organie „Fremdenblatt“ artykuł wstępny z gorącymi pochwałami moich zasług około załatwienia sprawy bankowej.

Mimo to nie był mój stosunek do rządu bez przerwy dobrym, naturalnie nie pod względem osobistym. Z okazji nominacji nowego gabinetu urządził Tonio Wodzicki z Krakowa (hr. Antoni Wodzicki zmarły niestety 1918 r., był mi zwłaszcza w czasach mego drugiego prezesostwa Koła wiernym przyjacielem) obiad u Sachera. Miejsce po prawej ręce prezydenta ministrów przypadło mnie w udziale. W ciągu rozmowy wspomniał mi sąsiad o wizycie, złożonej mu przez redaktora Herzoga. Jakób Herzog, albo jak go nazwali w parlamencie „Jajnkef Herzog“, był redaktorem pisma tygodniowego „Montagrevue“, w którym harcował co poniedziałku znakomitem piórem znakomitego polityka. Ongiś przyjaciel i doradca polityczny Taaffego, znał wszystkich i wszystko w polityce jak mało kto, a dzięki swej energii i — dodajmy — megalomanji, był równie cennym przyjacielem jak niebezpiecznym przeciwnikiem. Barona Bienertha Herzog lubił; kochał po Taaffem tylko Koerbera, a potem mnie i moją żonę, którą uważał za moją współpracowniczkę polityczną. Kochał mnie tak, że tegoż samego roku 1911 — w grudniu — zaatakował ówczesnego ministra skarbu Zaleskiego pozornie w mojej obronie, w sposób, który mnie w obliczu Koła polskiego, posądzającego mnie o współnictwo, zmusił do zerwania z nim stosunków. Bolało mnie to tem bardziej, że nie zbyt długo potem zmarł redaktor a z nim upadło i pismo jego. Otóż w styczniu 1911 opowiadał mi mój sąsiad na objęciu bar. Bienerth, że Herzog z okazji objęcia trzeciego rządu przyszedł złożyć mu powinszowanie, ale zarazem i pożegnanie. „Byłem“ rzekł Herzog, „bardzo oddanym pań-

skiemu rządowi; gdy się jednak Excel. pozbył jedynej silnej podwaliny rządu, ministra finansów Bilińskiego, jestem przekonany, że rząd wkrótce runie bez sławy i dlatego więcej tu nie powrócę". Dotrzymał słowa zarówno jak przepowiedni! Obaj z Bienertem byliśmy trochę wzruszeni tem opowiadaniem, bo stosunki nasze osobiste były wyborne; ale powód do scysji politycznej znalazł się wkrótce. Opozycja Czechów zaczęła być tak gwałtowną, że rząd uważał za konieczne, rozwiązać Izbę. Koło polskie było temu bardzo przeciwne: na ogół z niechęcią do agitacji wyborczych, zaś w szczególności narodowi demokraci z obawy przed utratą większości w Kole. Bez względu na tę ostatnią konstelację ja osobiście byłem i działałem przeciw rozwiązaniu. Nie miałem wówczas dalszych ambicji. Poseł Stapiński odstąpił mi jedno miejsce ludowców także w komisji parlamentarnej, gdzie mi się tak wiodło w uzyskiwaniu wpływu na kierunek uchwał, że z całego przekonania byłem przeciw rozwiązaniu Izby, to znaczy za opinią Koła. Pewnego dnia baron Bienert zwołał w parlamencie w jednej ze sal Izby Panów konferencję posłów (może i członków Izby Panów) i przedłożył swoją myśl rozwiązania z prośbą o opinię. Między posłami polskimi byłem i ja proszony. W ciągu dyskusji zabrałem głos. Jako dawny członek tego samego rządu byłem widocznie tak wzruszony, że słowa ówczesne zatarły się całkowicie w mojej pamięci; wbrew zwyczajowi nie zapamiętałem sobie z nich ani jednego. Wiem tylko, że przemawiałem bardzo gorąco przeciw rozwiązaniu z tym skutkiem, że po konferencji bar. Bienert z ironicznym uśmiechem zarzucił mi opozycję przeciw rządowi, a koledzy z Koła obsypali mnie pochwałami.

Nic to nie pomogło: Izbę rozwiązano i przepowiednia Herzoga zaczęła się ziszczać dosłownie. W Galicji od r. 1908 rządził namiestnik Bobrzyński. Ostatnimi wyborami kierował był hr. Potocki, przyjaciel i protektor demokracji narodowej, u której p. Bobrzyński znalazł opozycję tak silną w sejmie i kraju, że nie mógł wejść w ślady swego poprzednika. Powo-

łany przez prezesa gabinetu do Wiednia, namiestnik odwiedził mnie uprzejmie i oświadczył gotowość popierania mojej kandydatury, jeżeli się prezes gabinetu na to zgodzi. Po kilku dniach doniósł mi p. Bobrzyński, że bar. Bienerth z całą chęcią zgodził się na popieranie mego wyboru przez namiestnika. Musiałem tedy najprzód skwitować szefa rządu za jego gotowość. Wydarzyło się było właśnie, że byłem proszony na śniadanie do mego przyjaciela min. obrony krajowej p. Georgi'ego. Znałem go jeszcze chłopcem z domu rodziców mej żony, a ojciec jego, b. pułkownik, był mi pamiętny z r. 1866, gdy zapoznawszy się z mym śp. ojcem w Cieplicach, często bardzo towarzyszył mi wraz ze mną w ogrodzie. Moja żona była niezdrowa i nie mogła wziąć udziału w śniadaniu, ale i Bienerth nie mógł przyjść i zastąpiła go jego żona. Po śniadaniu, będąc w rozmowie z panią Bienerthową (osobą bardzo żywą z krwi południowo-słowiańskiej i miłą, znaną nam jeszcze z lat 1895/7 z młodym wówczas swym mężem), usłyszałem z jej ust żal z powodu rozejścia się mego z jej mężem. Na to odpowiedziałem uprzejmie, że to nie musi doprowadzić do ochłodzenia stosunków, byle tylko się postarał o sposobność wzajemnego wypowiedzenia swych żalów. W kilka dni bar. Bienerth za radą swej żony zaprosił mnie do siebie i otwarcie mi opowiedział o powodzie tego zaproszenia. Odrzekłem serdecznie, że chętnie pozostanę z nim w dawnych stosunkach, byle mi wyjaśnił trzy sprawy. Zapytałem go mianowicie: dlaczego będąc ulubieńcem redaktora „N. fr. Presse“, nie postarał się o to, by ten dziennik nie atakował mnie niemal codziennie przez cały czas moich urzędów? dlaczego mnie opuścił w sprawie podatku od piwa? dlaczego po za moimi plecami ofiarował tękę ministra skarbu już r. 1909 Głabińskiemu, który to opowiadał w Kole? Na to odrzekł: żona „N. fr. Presse“ nie mógł tego mimo usiłowań wymóżyć, że co do piwa musiał ustąpić Luegerowi, a co do Głabińskiego dodał ze znanym swym uśmiechem sarkastycznym „Wissen Sie, Herr Głabiński hatte die Gewohnheit, dem Klub

über meine Aussprüche und mir über die Vorgänge im Klub immer das Gegenteil zu erzählen“. Być może, iż Bienerth miał przy tych słowach na myśli akcję parlamentarną ugodową, którą r. 1910 w lecie podjął był, niestety bez skutku, p. prezes Głabiński i gwoli której odwiedzał wówczas najprzód mnie w Ischlu, a potem w Kitzbühel barona Bienertha. Prezes gabinetu może sobie przypominał, że wtedy ja sam wysłałem do niego do Kitzbühel telegram szyfrowany, aby go uprzedzić dla kontroli o kierunku wywodów prezesa Koła w Ischlu. Dość na tem, że musiałem zawrzeć zgodę bez niechęci. Od tego czasu dochował mi Bienerth od r. 1916 hrabia Bienerth-Schmerling — (wnuk słynnego Schmerlinga, otrzymał to wyniesienie od cesarza Franciszka Józefa przy ustąpieniu z namiestnikowstwa wiedeńskiego) — przyjaźń aż do swej śmierci w lecie r. 1918. Na kilka dni przedtem mówiłem z nim jeszcze dłużej w ogrodzie przed ratuszem.

Namiestnik Bobrzyński dotrzymał mi obietnicy poparcia przy wyborach, acz do ówczas nie byliśmy jeszcze do siebie zbliżeni. Przypuszczam, że za jego zgodą czy też może inicjatywą zwolennicy i sojusznicy jego ze Sejmu: konserwatysta profesor Jaworski, słynny w czasie wojny prezes Naczelnego Komitetu Narodowego, ludowiec Stapiński i demokrata German (trochę czasem chwiejny, ale razem zebrawszy przychylny mój adherent — uczony w sprawach edukacji publicznej) poruszyli wobec mnie myśl, ażebym po wyborach mógł objąć godność prezesa Koła. A i prezes Łazarski oświadczał mi niejednokrotnie, że powinienem kierować sprawami polskimi. Narodowi demokraci nie mieli po tem, co zaszło słusznego powodu stawania w akcji wyborczej po stronie moich przeciwników. Ale widocznie skłoniło ich do tego wspomnienie wyrządzonej mi w przesileniu kanałowem krzywdy: rzecz ludzka. Dowiedziałem się o tem przypadkowo. Pozeł hr. Skarbek rozmawiał ze mną w Kole o szansach wyborów w poszczególnych okręgach. Gdy przy okręgu rzeszowskim wspominałem, że tam będę kan-

dydował, odrzekł mi: „a my tam ekscelencji nie dopuścimy“. W ten sposób przestrzegł mnie szczęśliwie przeciwnik i ułatwił zwycięstwo. Walka wyborcza była bardzo ciężka, kilka razy sam namiestnik w częstych do mnie listach wyrażał poważne obawy o wynik. Ale w końcu otrzymałem większość ogromną. W towarzystwie drogiego i nieodstępного brata mego *Marjana* udałem się naprzód do Rzeszowa samego, gdzie na zgromadzeniu narodowi demokraci, porwawszy część socjalistów, odparli moje wywody przeciw p. *Głabińskiemu* (opowiadałem między innymi o naszych wspólnych konwentykłach z Rusinami) tak silnym naporem od głębi sali ku trybunie, że byłbym może został stratowany ławkami i nogami pchanego z tyłu tłumu, gdyby nie był wyskoczył na ławkę w mojem pobliżu przewodca socjalistów, adwokat *Dr. Pelzling*, człowiek bardzo światły i honorowy, i gorącemi słowy skłonił swoich adherentów do powstrzymania naporu. W końcu zgromadzenie przyjęło moją kandydaturę; ale ze sali wyszedłem w stanie jakiego nie zaznałem nigdy przedtem i potem: pot ściekał ze mnie aż do skarpetek i butów! Noc po tem zgromadzeniu spędziłem w wagonie śpiący, kiedy brat mój wspólnie z adwokatem wiedeńskim *Dr. Zipsere*m, bardzo patrijotycznym żydem polskim, przybyłym przypadkowo do Rzeszowa, pisali komunikaty o mojej mowie do dzienników. Rano przybyliśmy do Sędziszowa, gdzie nas podejmował ks. proboszcz *Sapecki* i podobno mnie szczerze popierał mimo rzekomych swych sympatyj endeckich. Obiad był bardzo smaczny, zgromadzenia wyborców po za tem nie było. Powozami udaliśmy się do Ropczyc, gdzie na walnem zgromadzeniu zawotowano mi zaufanie. Końmi dojechaliliśmy do stacji kolei i powróciliśmy do Wiednia. Wkrótce nastąpiły wybory i zakończyły się mojem zwycięstwem. Bardzo pomocnym był mi komisarz powiatowy p. *Żarliński*, nie dopuszczając do wybryków opozycji. Pomagał także były burmistrz *Jabłoński*, mimo że był właściwie kandydatem endeków. Z góry mi zresztą ułatwił te wybory, pomagając mi bardzo przy sprawozdaniu poselskiem, które składałem

podobno r. 1908, przejeżdżając przez Rzeszów do Stanisławowa, gdzie u dawnych miłych wyborców kandydowałem wtedy skutecznie po raz ostatni o mandat sejmowy, zgasły potem r. 1913 po reformie wyborczej. Panu Jabłońskiemu winien byłem wiele wdzięczności za jego gościnność na usługach politycznych.

Mimo wszelakich trudności, zostałem wybrany wielką większością do Rady państwa. Zgodnie z przepowiednią redaktora Herzoga po tych wyborach gabinet barona Bieniertha, którego bezskutecznie przestrzegałem przed rozwiązaniem Izby, musiał ustąpić. Następcą Bieniertha został bar. G a u t s c h.

Tymczasem jednak zebrało się nowe Koło polskie, ażeby przystąpić do wyboru prezesa. W dniu poprzedzającym zgromadziły się kluby, a i ja udałem się do mego klubu konserwatywnego, któremu przewodniczył K o r y t o w s k i. Od upadku mojego wcale się z nim nie spotykałem. Przy końcu obrad klubu zabrałem głos, ażeby, podnosząc potrzebę jedności w ciężkiej chwili grożących przewrotów politycznych, zapewnić kolegów klubowych i ich prezesa uroczyście pod słowem honoru, że zarówno mowy mojej powitalnej w Ministerstwie skarbu w r. 1909 nie kierowałem przeciw panu K o r y t o w s k i e m u, jeno stwierdziłem różnicę w stanie kas od r. 1897 do 1909, jak z drugiej strony nigdy ani bezpośrednio ani pośrednio nie powodowałem jakiegokolwiek polemiki dziennikarskiej przeciw panu Korytowskiemu. Na to p. Korytowski powstał i podał mi rękę, a w tej chwili weszli jako goście wysłańcy stronnictwa ludowego, by konserwatystom zaproponować moją kandydaturę na prezesa Koła. Obaczywszy mnie wysłańcy z p. K ę d z i o r e m (późniejszym polskim ministrem robót publicznych) na czele, postawili przy mnie otwarcie mój wybór, ale na podstawie pisemnych „pacta conventa“ co do budowy kanałów. Odrzekłem, że trudno mi formalnie podpisywać przedłożony cyrograf, że jednak mimo przekonania, iż moja oferta z r. 1910 byłaby była dla kraju w danych warunkach korzystniejszą, chętnie pójdę za żądaniem Koła, rozpoczęcia budowy kanałów przez państwo. Na tej podstawie zostałem

na drugi dzień wybrany prezesem wszystkimi głosami przeciw endeckim. Ich stałym leaderem był odtąd hr. Skarbek. Publikacją przemowy mojej dziękczynnej zajął się owego wieczora w braku innego dziennikarza młody reporter parlamentarny „N. fr. Presse“ Paweł Flandra, którego znałem dawniej z kuluarów i odtąd dopuściłem do znoszenia potrzebnych prezesowi Koła wiadomości politycznych, zwłaszcza, z kół lewicy.

Gdy wkrótce zjawił się u mnie bar. Gautsch w mieszkaniu mojem na Tulpengasse, z prośbą o poparcie rządu przez Koło polskie, postawiłem jako warunek budowę kanałów, który został przez niego przyjęty. Izba ówczesna miała prócz drobnostek załatwić tylko statut banku austro-węgierskiego; a chociaż w tej dyskusji już nie brałem udziału, baron Gautsch, chcąc jak mi doniesiono, dać mi dowód przyjaźni politycznej, kazał w organie rządowym „Fremdenblatt“ ogłosić ów wspomniany już przezemnie wielki artykuł wstępny, sławiący moje zasługi około przyścia do skutku tej reformy bankowej. Wkrótce posłowie rozjechali się na wakacje letnie, a i ja wybrałem się z żoną moją najdroższą, jak zwykle do Ischlu. A niedługo znowu potem przybył tam prezydent ministrów na audycję u cesarza, po której, przybywszy do mnie na dłuższą konferencję, oświadczył mi, że cesarz zgodził się na program natychmiastowego rozpoczęcia budowy kanałów. Tak więc zatwierdzony został pakt między rządem i Kołem polskiem, tak zostały zabezpieczone kanały.

Ale stałość tego paktu nie dała się utrzymać przy chwiejnym usposobieniu szefa rządu. Baron Gautsch nie mógł się zdecydować w wyborze między własnym rządem obecnym, a przyszłym tak zw. „parlamentarnym“, który nam z własnej inicjatywy obiecywał. Nie byłby tego uczynił bez upoważnienia cesarza, który nam to samo przyrzekał z końcem r. 1899. Ale te dwa wypadki były przecież odmienne. W r. 1899 cesarz przyrzekał rząd parlamentarny na Nowy Rok 1900, jeżeli parlament przed końcem roku uchwali ustawę o przekazywaniu poda-

tków spożywczych. Parlament jednak odmówił spełnienia warunku, przeto cesarz, zwolniony tem od swego słowa, zamianował rządy urzędnicze Witteka i Koerbera. Roku 1911 przyrzekał z upoważnienia cesarskiego to samo baron Gautsch, ale pod warunkiem jeżeli się jemu zaufa. Nieuchwytny ten warunek spowodował wieczne zmiany w sytuacji politycznej i co wieczora nieomal inne plany. Poseł Wassilko, wielki Gautscha przyjaciel, przypominał mu codziennie, że potrafi się utrzymać tylko wtedy, jeżeli „będzie się konsekwentnie trzymał Bilińskiego“. Ale ta rada nie uchyliła wiecznej zmienności, a moje codzienne niemal rozmowy z prezesem rządu, nie doprowadzając do wyjaśnienia sytuacji, nie zdołały też powstrzymać katastrofy. Była jesień, koniec października, w Izbie rozprawa budżetowa. Utartym zwyczajem miał imieniem Koła przemawiać prezes. Podałem więc Kołu po krótko tok myśli mojej przyszłej mowy — a przypominam, że nigdy mów naprzód nie pisałem — przyczem położyłem nacisk na żądanie rządu parlamentarnego, zawsze stawiane przez Koło polskie. Koło na tę myśl moją się zgodziło. O tem, by rządy Gautscha wysadzać moją mową w powietrze, nie myślałem ani na chwilę; nie stosowałem też do podobnego celu myśli mej mowy, chciałem tylko gorąco bronić systemu parlamentarnego przyrzonego przez cesarza. A jednak stało się inaczej! Nadszedł moment, w którym przypadała na mnie kolej mówienia. Izba była bardzo spokojnie usposobiona, i niezwykle pełna. Gdy zabrałem głos w oświetlonej świetnie sali, zgromadzili się liczni posłowie innych stronnictw około ław polskich, reszta ustawiła się w cudownych grupach na wszystkich schodach i kondygnacjach wzdłuż głównej ściany aż do krzesła prezydenta. Na trybunach siedziała publiczność, wzmocniona urzędnikami parlamentu i służby; nawet kelnerzy z restauracji zgromadzili się na górze. Podobnie uroczyście i artystycznie ugrupowanej Izby nigdy nie widziałem. Wrażenie to działało na moją wyobraźnię już z góry. Druga impresja tkwiła w bezpośrednim otoczeniu. Jako prezes zająłem należne mi miejsce (mównic jeszcze wtedy nie znano) na dole

sali w I-ej ławce polskiej; tam stanęli naokoło mnie wszyscy socjaliści z p. Daszyńskim na czele, widocznie ciekawi, jak się zachowam wobec porannej mowy premiera, który w dziwnem rozdrażnieniu zaatakował tak Czechów jak i socjalistów. Rozpocząłem mowę wśród spokoju, potem wśród wzrastających stopniowo przerywań socjalistów dla podbechtania mego ducha krytycznego. Bronilem tezy rządu parlamentarnego zasadniczo i historycznie, chwaliłem dawny rząd Becka, ganiłem późniejsze, wzywałem Gautscha do zmiany w kierunku parlamentarnym i zakończyłem dwugodzinną mowę wykrzyknikiem: „Ekscelencjo, prowadź nas!” Ale Ekscelencja, bład jak ściana, powstał tuż po mojej mowie i wraz z całym gabinetem opuścił Izbę. Posłowie się rozprószyli, prezydent zamknął posiedzenie. Ja wychodzę ze sali, a tu w kuloarze przypada do mnie Wassilko słowami: „Aber Excellenz, um Gottes Willen, Sie haben ja die Regierung gestürzt!” Nic o tem nie wiedziałem!

Na drugi dzień w Kole p. minister Zaleski zapytał mnie o cel mowy. Odrzekłem zgodnie z prawdą, iż przemawiałem według instrukcji Koła, a nie przeciw rządowi; zgodzono się, by rząd wydał odpowiedni komunikat. Zaleski z wielką ironją przeciw mnie interpretował treść komunikatu wobec dziennikarzy. Na trzeci dzień musiałem wyjechać do Lwowa na Sejm. Tam zastał mnie telegram, że rząd barona Gautscha ustępuje, a prezydentem ministrów desygnowany jest hr. Stuerghk. Po moim powrocie właśnie w dniu zadusznym (2. XI. 1911), odwiedził mnie w mieszkaniu mojem hr. Stuerghk, ażeby mi ofiarować sojusz z Kołem Polskiem. Odrzekłem, że warunkiem sojuszu jest przejęcie przez nowy rząd zobowiązań bar. Gautscha co do kanałów. Stuerghk warunek przyjął. Na konferencji odbytej później w Prezydjum Rady Ministrów w obecności komisji parlamentarnej Koła Polskiego — pakt ten systematycznie spisano i zatwierdzono. Co do innych spraw naszych nie było w rozmowie ze Stuerghkem trudności. I tak została przyjęta znana formułka o Rusinach „nic bez nas”, a tylko osoba mini-

stra kolei Forstnera była przezemnie zakwestjonowaną. Pan Forstner zrobił był jako szef sekcji za czasów gabinetu Bienenrtha ówczesnemu ministrowi kolei Wrbie taką scenę, że zmuszony został wziąć stały urlop, ażeby pójść na emeryturę. Pan Głabiński, minister kolei w gabinecie Bienenrth III, dał był podobno Forstnerowi przyrzeczenie „amnestji“, nie miał jednak już czasu go wykonać. Po p. Głabińskim objął ministerstwo kolei jako kierownik szef sekcji Dr. Röhl, człowiek fachowo bardzo wykształcony i w Kole naszym mocno lubiany. P. Röhl wykonał przyrzeczenie swego poprzednika, to znaczy powołał Forstnera z urlopu do służby, nie spodziewając się, że p. Forstner rozpocznie zaraz przeciw niemu wojnę podjazdową z zamiarem zajęcia jego miejsca. Ponieważ zaś Koło tembardziej pragnęło widzieć u steru stale Rölla, politycznie bardzo umiarkowanego (ożenionego ze siostrzenicą bliskiego Kołu br. Czedika), ile że Forstner znany był jako radykał niemiecki z Czech, przeto się energicznie przeciwstawiłem nominacji Forstnera, naszego — jak się okazało w czasie wojny — wroga politycznego. Ale cała moja opozycja nie odniosła skutku. Stuerghk był widocznie związany przyrzeczeniem właśnie z Niemcami czeskimi i pozyskał już cesarza dla Forstnera. Na tej sprawie trudno chyba było robić kombinację, zwłaszcza, że Stuerghk dawał jak najuroczystsze gwarancje za Forstnera dla spraw polskich. Zdołałem więc tylko spełnić akt wdzięczności Koła dla Rölla, wyjednywając mu z trudnością baronostwo (chciano mu dać godność tajnego radcy). W kilka dni zaś potem p. Forstner, wracając z przysięgi od cesarza, pojawił się u mnie w domu w pełnej gali i powtórzył zapewnienia swej przyjaźni dla nas Polaków. „Dotrzymał“ jej święcie, wprowadzając w czasie wojny r. 1915 na kolejach państwowych galicyjskich język urzędowy niemiecki nawet dla sług i robotników! Ale za to muszę już tu przyznać, że hr. Stuerghk mimo braku sympatji dla Polaków, dochował nam przyjaźni politycznej aż do swej śmierci.

Nim się zaś jeszcze rozpoczęły prace z rządem hr. Stuerghka,

złożył mi wkrótce wizytę pożegnalną bar. Gautsch, zapewniając mnie przy tej sposobności, że jego dymisja nie była spowodowana moją mową. Ja odwrotnie go zapewniałem, że mowa moja nie miała takiego zamiaru na celu. Ostatni, niestety, raz widziałem się z Gautschem w rozmowie poufnej, a w latach późniejszych tylko pobieżnie w Izbie wyższej. Był to człowiek światły i politycznie dojrzały, ale zmienny, niepewny i tchórzliwy. Zawsze upadał za wcześnie, nie chcąc katastrofę upadku doprowadzić do ostatecznego rozwoju. Złe języki tłumaczyły sobie to chęcią nabywania coraz wyższych odznaczeń cesarskich. Był on niezawodnie próżny, ale jednak mąż stanu wyższej miary, chociaż wyszkolił się politycznie dopiero jako wielokrotny minister, powołany z dykcji Teresianum. Gautsch umarł, zdaje się, w 1918 r. Żona jego, córka słynnego winiarza Schlumbergera, zmarła dużo wcześniej, była z nami w wielkiej zażyłości, a córka ich starsza, późniejsza baronowa Klein, była perłą naszych salonów w pałacu Eugeniusza 1895—7 r. Sam Gautsch był mężczyzną bardzo eleganckim.

Jeszcze przed upadkiem rządu Gautscha — w drugiej połowie września 1911 r. — odbywały się, z uchwały powziętej w Kole na mój wniosek, obrady ugodowe z Rusinami. Brała w nich udział nasza komisja parlamentarna, a ze strony Rusinów Kost Lewicki i Petruszewicz. Ja, przewodnicząc, starałem się pozyskiwać Rusinów także formami grzecznymi; zaprzeczam jednak stanowczo opowiadaniom częstym posła hr. Stan. Skarbka, który nie był członkiem naszych obrad, jakoby miał być oświadczyć Rusinom, że ja jestem Rusinem, ponieważ pochodzę z Wielkiej Pilicy... Co najwięcej mogłem powiedzieć — czego sobie wcale nie przypominam — że pochodzę także z Rusi, z Wielkiej Pilicy. Obrady te nie miały niestety już granic tak szerokich, jak r. 1908: we 3 lata później stała już na porządku reforma wyborcza, a Rusini o czym innym nie chcieli mówić, jak o sposobie opanowania sejmu przez mniejszość ruską. Rozprawy były też dość bezowocne, tak że zostały

wkrótce przerwane, a raczej przeniesione do Lwowa, gdzie obradowała komisja wyborcza sejmowa. Tam właśnie bawiłem tuż przed powołaniem St u e r g k h a. Ale z obrad naszych wiedeńskich wynikała dla mnie pewna przykrość. Ze strony narodowych demokratów zasiadał w prezydjum poseł P t a ś. Muszę powiedzieć, że działał tam, zwłaszcza jak na przynależność swoją partyjną, bardzo umiarkowanie, więc pożytecznie. Wywodom jego przysłuchiwałem się często nie bez upodobania. Tembardziej zadziwił mnie list jego, w którym wyrażając żal, iż ja go w sprawach komisji pomijam, składa swój do niej mandat. List ten niesprawiedliwy, rozżalił mnie tak, że go w formie skargi odczytałem w Kole. Na to wprawdzie p. G ł ą b i ń s k i jako prezes grupy dezawuował p. Ptasia, w którego miejsce sam został wybrany do sprawy ruskiej (konferencji z Rusinami już więcej nie był!); ale p. Skarbek oświadczył mi, że odczytanie listu było aktem nieprzyjaźni, na który jego stronnictwo odpowie wojną... Wnosił też odtąd rozmaite wnioski przeciwko mnie — zawsze bezowocnie. Raz znowu przyznał mi się otwarcie, że umyślnie nie zwrócił uwagi mojej na to, gdy Koło przez mylną interpretację regulaminu mogło być się zawikłać w wielką przykrość przy głosowaniu w Izbie, czemu ja w ostatniej chwili zapobiegłem. Prawda, że to p a t r j o t y c z n e ?!

A było wówczas spraw — obok ruskiej — sporo ważnych. Interpelowaliśmy rząd o traktowanie niesprawiedliwe wychodźców naszych („o b i e ż y s a s ó w”) przez rząd pruski; chcieliśmy interpelować rząd w sprawie tworzenia gubernji Chełmskiej. W tej ostatniej sprawie miałem kilka konferencji z ministrem spraw zagranicznych hr. A e r e n t h a l e m (raz także u mnie w domu), który bardzo energicznie interweniował w Petersburgu, ale odradzał interpelacji, gdyż mogłaby sparaliżować jego interwencję. Z tego powodu ja osobiście byłem za odrzuceniem interpelacji, narodowi demokraci tembardziej za jej wniesieniem. Dopiero przyjazd dwóch posłów do Dumy z Królestwa skłonił Koło do odstąpienia od interpelacji. Nazwiska posłów nie pomnę:

jednym z nich był zdaje się D y m s z a, z którym konferowałem także u siebie w domu. Mimo to wszystko gubernię Chełmską utworzono, ale co wszystko od tego czasu wypisał na jej miejscu palec boży!!

W tym samym czasie zmarł nagle minister skarbu Dr. M e y e r. Był to mój dawny urzędnik wielkich zdolności i powaga pierwszorzędna w sprawach podatków bezpośrednich. Ja go zamianowałem szefem sekcji, później prezydentem komisji statystycznej centralnej, i oddałem mu, ustępując, ster skarbu. On to wraz z dawnym szefem sekcji B ö h m-B a w e r k i e m wypracował reformę podatków, w szczególności dochodowego. W mowie swej budżetowej za Gautscha byłem jednak zmuszony skrytykować ostro politykę finansową ministra Meyer'a. Jeżeli zaś krytykowałem, to nie jego samego, lecz niektóre kroki jego polityki, ale bynajmniej nie chciałem obniżyć jego wartości. Toż chętnie zgodziłem się później wobec S t u e r g k h a na pozostanie Meyera w jego rządzie na miejscu ministra skarbu i na to otrzymałem zapewnienie, że to moje oświadczenie będzie Meyerowi bardzo miłe. Niestety nie długo trwała ta radość! Niespodziewana śmierć Meyera stanowiła dla rządu zarówno jak dla Koła polskiego wydarzenie bardzo doniosłe: dla rządu ze względu na znaczenie tej teki, dla Koła dlatego, ponieważ ono zawsze stało przy tradycji D u n a j e w s k i e g o, żądania portfelu skarbu dla Polaka. Prezydjum Koła zaraz się też zajęło tą sprawą i dowiedziałem się przytem od wiceprezesa A b r a h a m o w i c z a (szwagra Zaleskiego), że prezes gabinetu zamierza poruczyć tę tekę ministrowi galicyjskiemu Z a l e s k i e m u. Po części z uwagi na konieczność pozostawienia Zaleskiego przy pracy na Rennwegu, po części ze względu na jego barwę konserwatywną w prezydjum Koła, wypłynęła inna kandydatura, mianowicie szefa sekcji G a ł e c k i e g o, do której się też prezydjum skłoniło. Kiedy zawiadomiłem o tem Zaleskiego, oświadczył mi, iż S t u e r g k h nigdy się na tę kandydaturę nie zgodzi, zwłaszcza że stronnictwa niemieckie stoją na tem samym stanowisku. Zara-

zem zapytał mnie Zaleski o radę, czy on sam ma przyjąć ofiarowaną mu tekę. Odrzekłem mu otwarcie, że on jako minister dla Galicji ma świetną opinię, że niezawodnie pozyska taką samą i w ministerstwie skarbu, ale będzie przedtem musiał tyle nabyć wiadomości — z rzeczami skarbowymi nie miał nigdy do czynienia — że łatwo może sobie tem nadwerżzyć zdrowie. Niestety nie usłuchał tych moich słów, zaiste proroczych! Objął tekę skarbu, zagłębił się bardzo w jej problematach, ale też i zginął ostatecznie w młodych latach na ciężką chorobę sercową. Właśni jego urzędnicy opowiadali, że przy przedstawianiu mu ciężkiej jakiej kwestji, spostrzegali gwałtowne z powodu nadmiernego natężenia umysłu drganie nerwów jego. Nie można też zaprzeczyć, że się p. Zaleski wkrótce wżył w nowy ressort, że umiał w parlamencie przedstawiać zręcznie nawet rzeczy, których nie mógł dobrze zrozumieć, że z zaprowadzeniem loterii klasowej miał nawet wprost pewne powodzenie. Ale zupełnemu powodzeniu stały, przy całym jego wielkiem uzdolnieniu, na przeszkodzie nietylko zdrowie szwankujące, lecz nadto pewna zarozumiałość czy manja wielkości, a po części także pewien pociąg do jednostronnego wpływania na Stuergha w sprawach już nie skarbowych, lecz politycznych. Jednym słowem ambicja niepohamowana z pewnym drobnym odcieniem fałszu ubiła najprzód męża stanu, a potem człowieka. Trzy lata rządził na Himmelfortgasse; w lecie 1914 wyjechał nad Adrjatyk, gdzie dostał tak straszego krwiotoku sercowego, że mało ducha nie wyzionął. Wrócił do Wiednia, dożył wybuchu wojny, zaciągnął niewielką pożyczkę amerykańską (zdaje się 100 milionów dolarów), latem musiał zamieszkać na wsi pod Wiedniem, późną jesienią wziął dymisję i wyjechał do Meranu, gdzie zmarł w samą wigilję Bożego Narodzenia. Na parę dni przed śmiercią, gdy go lekarz objaśnił otwarcie o stanie choroby, napisał list do Stuergha (z którego ust to wiem), by mu u cesarza wyjednał wyniesienie do stanu hrabskiego dla lepszej pozycji rodziny (żona była z domu hr. Mycielska). Gdy Stuergh wręczył ten list cesarzowi

i odczytał mu go, z oczu Franciszka Józefa spłynęły rzewne łzy, poczem rozkazał, by nie czekano na przepisane posiedzenie Rady ministrów i postawienie wniosku, lecz by zaraz wystawiono dokument nobilitacji. Na drugi dzień nastąpiła publikacja i zrobiła olbrzymie we Wiedniu wrażenie. Biedny pan Wacław dożył jeszcze tej chwili. W dalsze cztery lata zmarła pani hr. Zaleska we Lwowie od granatu ukraińskiego właśnie w chwili, gdy klęcząc, choremu synowi podawała lekarstwo.

Ale wróćmy do chwili nominacji Zaleskiego ministrem skarbu. Ja z nim jako ministrem dla Galicji miałem stosunek znakomity; obaj pracowaliśmy gorliwie dla spraw krajowych, szczególnie dla budowy kanałów. Stosunek ten przesunął się zaraz w pierwszych dniach po objęciu przez niego teki ministra skarbu przez artykuł Herzoga, który koniecznie mnie chciał mieć ministrem. Opowiadałem już o tem w innym miejscu, jaką dałem wtedy Zaleskiemu satysfakcję. Jesienna mowa moja przeciw Gautschowi, a może i moja rada przeciw objęciu teki skarbu, skłoniła Zaleskiego do pewnej zmiany frontu. Mimo to razem jeszcze pojechaliśmy w grudniu do Krakowa na uroczyste położenie kamienia węgielnego pod budowę kanałów; ale z Zaleskiego pierwszej przemowy na miejscu w polu, wśród głębokiego śniegu, musiałem odczuć pointę, że to minister skarbu przemawia, który dając pieniądze, umozębnia ich budowę. W tym względzie Zaleski miał i nie miał racji. Ale ja na śniadaniu czy też obiedzie, danym przez miasto Kraków, odpowiedziałem na ten dylemat. W toaście swoim wskazałem, że zasiadają tu trzech ministrów skarbu, z których każdy pragnął szczerze kanałów: Korytowski, ja i Zaleski. Jeżeli dopiero trzeciemu powiodło się je zrealizować, to dlatego tylko, że miał za sobą prezydenta ministrów. Bo w istocie — tego nie mówiłem wyraźnie — Beck był dla kanałów obojętny, Bienerth był ich stanowczym przeciwnikiem, dopiero Stuerghk był, jako spadkobierca Gautscha, ich zwolennikiem. A dlaczego? Bo ja jako prezes Koła postawiłem mu je za warunek, podobnie jak jego poprzed-

nikowi Gautschowi. Więc kto był twórcą kanałów? Toast mój wywołał wrażenie i pewne rozdrażnienie. Obecny Kozłowski próbował prywatnie robić mi ciężkie wyrzuty, które odparłem z całą energją. Odezwało się w nim widocznie sumienie z kampanji, prowadzonej przeciw mnie dokładnie przed rokiem!

Kanał Kraków-Zatonek zaczęto budować na wiosnę r. 1912 i przeprowadzono dość daleko, ale wojna w r. 1914 wstrzymała wszystko, a już przedtem podobno powstały pewne trudności u firmy Zacharjewicz i Sp., której roboty zostały oddane. Tymczasem zaś stosunek mój z Zaleskim zaczął się psuć dalej. Będąc we Lwowie, usłyszałem, że z jego otoczenia wyszła baśń, jakobym ja chciał zwalić Bobrzyńskiego; we Wiedniu zwołał do siebie bliskiego mi dziennikarza, ażeby mu opowiedzieć, że on się czuje zupełnie na wysokości ministra skarbu, że jednak ja intryguję przeciw niemu, chcąc zająć jego miejsce. Dziennikarz opowiedział mi o tem naturalnie. Zgryzłem się tem o tyle więcej, że nigdy najdrobniejszego kroku nie przedsięwzięłem ani też słowa nie wypowiedziałem przeciw Zaleskiemu. Jeszcze we Lwowie ofiarował mi swe pośrednictwo Tonio Wodzicki, krewny jego żony; uprosiłem go więc teraz w Wiedniu, by Zaleskiemu wyperswadował podobne podejrzenia. Stańło na tem po rozmowie Wodzickiego z Zaleskim, że ten ostatni odwiedzi mnie w domu i omówi rzecz całą. Ale dziwnym trafem nie przyszło do tej rozmowy, bo Zaleski zamówił się do mnie na pewną godzinę popołudniu, a w tym samym właśnie czasie zepsuty był przypadkowo dzwonek w drzwiach do przedpokoju. Zaleski chodził cały kwadrans przeddrzwiami, a ja chodziłem niespokojny w domu, aż wreszcie na moje zapytanie telefoniczne otrzymałem z ministerstwa odpowiedź, że minister wrócił właśnie przed chwilą odemnie. Nim zaś mogliśmy się zejść ponownie, zaszły zmiany, które zatarły drobne te zajścia. Ja zostałem mianowicie ministrem skarbu wspólnego, o czem opowiem później.

Muszę jednak jeszcze raz wrócić do chwili nominacji Za-

leskiego ministrem skarbu (koniec listopada 1911), ponieważ przez ten akt zostało opróżnione ministerstwo dla Galicji. Tradycyjnie przypadało ono tym razem — wniosek wychodził zazwyczaj od Koła — stronnictwu ludowemu, któremu przywodził Stapiński. W pokojach ministerjalnych parlamentu odbywała się właśnie jakaś narada poselska pod przewodnictwem hrabiego Stuergha, stąd mnie wywołano do przedpokoju. Jeżeli mnie pamięć nie myli, czekał na mnie poseł Kędziorski czy też w dwójkę ze Średniawskim, żeby mi powiedzieć, że klub ludowców pragnie wysłać do gabinetu prezesa swego Stapińskiego. Mając wobec tego kolegi obowiązek wdzięczności z wiosny 1911 r., najchętniej zaniósłbym powyższą wiadomość do prezesa gabinetu. Tymczasem jednak prezes sam, bez porady z Zaleskim, odmówił tej kandydaturze aprobaty, powołując się na to, że p. Stapiński miał wówczas jakiś proces prasowy, czy coś podobnego. Nie mogąc dalej nalegać, wróciłem do przedpokoju i zaraz wyraziłem opinię, że najstosowniejszym kandydatem w dzisiejszej epoce kanałowej jest poseł Kędziorski. Ale mimo moich najgorliwszych perswazyj, poseł ten nie przyjął teki i dopiero w pełnych 8 lat później (1919 w grudniu), zdecydował się w wskrzeszonej tymczasem Ojczyźnie przyjąć tekę ministra robót publicznych w gabinecie Skulskiego (po upadku Paderewskiego). Znowu więc klub ludowców miał zabrać głos i w samej rzeczy mianował kandydatem posła Wróbla. Mojem zdaniem był to kandydat w danym wypadku bardzo stosowny: młody, energiczny wicedyrektor kolei państwowych, wymowny, z ludem w bliskich znajdujący się stosunkach, bardzo pewny i honorowy. Ale inne zdanie o nim miał p. Zaleski, którego ślepo słuchoał hr. Stuergh. Minister Zaleski znalazł był gdzieś na nieszczęście starą fotografię jakiegoś pochodu Krakusów, między którymi znajdował się także p. Wróbel w stroju kmiecym. Jużci nie jako dyrektor kolei, lecz jako obywatel i poseł wiejski! I cóż to za zbrodnia czy dyshonor, ubrać strój krakowski i wyjść w nim na ulicę?! Wszelako: Roma (Zaleski) locuta,

causa finita — kandydatura Wróbla odpadła. Wieczorem tego samego feralnego dnia miałem długą konferencję w parlamencie z Stapińskim; pozostawał jeden tylko kandydat: poseł Długosz. Ale on sam bronił się od tego, a jego prezes Stapiński także nie bardzo się na jego kandydaturę zgadzał. Stosunek między obu tymi panami był dlatego drażliwy, ponieważ pan Długosz, jako bardzo zamożny, wzbogacony nafciarz, musiał z natury rzeczy ponosić ofiary pieniężne na cele stronnictwa, a p. Stapiński, przyjmując pieniądze na stronnictwo, narażał się na — niesłuszny, jak się przekonałem dowodnie — zarzut, że używa ich dla siebie. Ostatecznie skończył się ten stosunek w rok później konfliktem i obustronną katastrofą. Ale wtedy trzeba było wyleźć z kłopotu szukania kandydata: jednego z włościan zamianować ministrem, jeszcze wówczas nie było widocznie na czasie (choć Bojko, Średniawski i Witos mogliby byli słusznie mieć pretensje); hr. Lasockiego, którego dużo później z najlepszej poznałem strony, Stapiński nie uważał widocznie jeszcze za dojrzałego. Pozostał przeto Długosz, na któregośmy się obaj zgodzili i na którego zgodził się zaraz hr. Stuergh, gdy mu zaniósłem odnośną propozycję. Długosz zaś dla uniknięcia teki ministerjalnej, zamierzał tego samego wieczoru wyjechać za granicę; stanęło przeto między Stapińskim i mną na tem, że prezes klubu ludowców odwiezie mnie mojami końmi do domu i uda się niemi wprost stamtąd na dworzec, ażeby tam Długosza w ostatniej przyłapać jeszcze chwili. W ciągu godziny przybyli obaj do mnie do domu, gdzie Długosz z najprzód przebył napad płaczu, zanim się zgodził na moje katagoryczne żądanie przyjąć tekę. Nazajutrz powitałem nowego nominata w „Grand Hotelu“, gdzie już zastałem Stapińskiego i najzyczliwszego dla Polski Amerykanina-nafciarza M. Garvey'a, dawnego Długosza pryncypała, później kolegę w nafcie. Zresztą Długosz dla ostrożności politycznej sprzedał zaraz swoje przedsiębiorstwa naftowe — miał mieć dawniej takie szczęście, że jak Mojżesz, gdzie zatknął laskę,

tam tryskała nafta! — a zatrzymał w ręku tylko posiadłości ziemskie. We 24 godzin dziennik urzędowy opublikował nominację ze wstępem „Lieber von Długosz!“ Złe języki bawiły się opowiadaniem, iż nominat wyjednał sobie na prędcę per nefas słówko „von“ na dowód „starego szlachectwa“.

Minister Długosz zabrał się zaraz gorliwie do pracy, wyszukiwał ważne sprawy, pilnował ich troskliwie i zdawał o nich Kołu relację ku tegoż zadowoleniu. Brał naturalnie udział w uroczystościach otwarcia kanałów, niemniej w pracach sejmowych około reformy wyborczej. Ze mną długi czas utrzymywał stosunki przyjazne; nawet po mojem ustąpieniu z prezesostwa Koła, odwiedzał mnie w domu, jako wspólnego ministra finansów (przyczem tylko w sposób trochę nieostrożny znajdował upodobanie — w naszej pannie Eliziel). Z wdzięcznością brał także udział w objedzie dyplomatycznym w grudniu 1912, a r. 1915 pierwszy wraz z p. Kędziorem zaproponował mi ponowny wybór na prezesa Koła. Dużo później stosunki nasze doznały gruntownej zmiany. Ale to czasy późniejsze!

W chwili nominacji Długosz a ministrem stała na porządku sejmowa reforma wyborcza, której poświęciłem czas mój w ten sposób, że przez kilka miesięcy jeździłem wielokrotnie na dłuższy pobyt do Lwowa, przerywając go za każdym razem na parę dni powrotem do Wiednia do żony. Praca w Sejmie, gdzie Rusini stawiali reformie codziennie nowe przeszkody, szła niesłuchanie ciężko. Najlepsze moje stosunki z nimi, nie ułatwiały pracy.

W drugiej połowie sesji nastąpiła krótka w pracach sejmowych przerwa, nie tylko z powodu świąt Bożego Narodzenia 1911, lecz także z powodu krótkiej sesji delegacyj wspólnych we Wiedniu, do których jako prezes Koła wszedłem według zwyczaju ponownie po latach 20! Na ławie ministrów siedział jeszcze hr. A er ent hal, któremu w jednej — jedynej — przemowie wyraziłem zaufanie Koła. Przemowa ta dotyczyła sprawy ruskiej. Jeżeli się nie mylę, Starorusin Korol przemawiał w rozprawie budżetowej za utrzymaniem wpływów

rosyjskich w Galicji, gdzie urządzano cerkwie prawosławne, przekupowano duchowieństwo itd. Przeciw tym wywodom wystąpił Wassilko w duchu samoistości narodowej Rusinów galicyjskich, a ja w popieraniu jego mowy starałem się dowodzić, że Rosja także w swoich granicach państwowych wytepia narodowość ruską przez religję prawosławną. Naturalnie mój kolega hr. Skarkek był niezadowolony z mej mowy. Zaraz po Nowym Roku powróciłem znowu do Lwowa.

Prace sejmowe szły także w nowym roku bardzo ciężko. Wraz z namiestnikiem Bobrzyńskim starałem się sprowadzić dwie strony: Polaków i Rusinów do pewnej wspólności przekonania; ale zadanie to rozbijało się o codzienną niemal zmianę w taktyce Rusinów. Raz było blisko do zgody, drugi raz w Sejmie grzmiały fanfary obstrukcji ruskiej; jednego dnia dawaliśmy pokojowe deklaracje w Sejmie (ja w imieniu Polaków), drugiego dnia było prawie wszystko zerwane. Z końcem stycznia zdawało się, żeśmy tuż tuż u brzegu, gdy raptem prezes ruski Kost' Lewicki dał wręcz przeciwne oświadczenia. W nadziei, że w miesiącu lutym dobijemy ostatecznie targu, który miał zakończyć epokę „Sejmu polskiego“, dając Rusinom mniejszość niemal rządzącą, wyjechałem zdaje się w dzień uroczystości Matki Boskiej Gromnicznej r. 1912 do Wiednia na dni parę. Zima wtedy przypominała bardzo dokładnie zimę napoleońską przed 100 laty. Pociągi ledwie się mogły przekopywać przez śniegi, mrozy ścinały krew w żyłach. Miałem jak zawsze, do dyspozycji wóz salonowy z czasów mej prezesury kolei austriackich (po wojnie zwrócono mi go dopiero r. 1919 do Warszawy, alem go nie mógł przed dymisją swoją użyć ani razu!) Gdy wyjeżdżając wtedy ze Lwowa, wyszedłem po schodach na peron, przedstawiło się oczom moim dziwne zjawisko natury: na szynach stał olbrzymi lodowiec, lśniący od śniegu i lodu, z wewnątrz oświetlony jakby słońcem. Z zadziwieniem usłyszałem wezwanie, bym się udał do wnętrza lodowca: był to mój wóz salonowy! W lo-

dowcu więc odbyłem podróż do Wiednia, z której nie miałem już powrócić do Lwowa jako prezes Koła. Znowu zawisł nad głową moją cud Boży!

XIV.

1912—14. Teka ministerstwa finansów wspólnych. Wybuch wojny światowej.

Nazajutrz czy dwa dni po święcie, była to sobota, siedziałem z żoną drogą przy obiedzie, gdy mi przyniesiono olbrzymią kopertę, zawierającą wezwanie do cesarza na dzień następny, w niedzielę o godz. 11. Nie dopatrywałem się w tem niczego zadziwiającego: widocznie chciał cesarz usłyszeć coś odemnie o stanie rokowań z Rusinami. Na drugi dzień wybrałem się do zamku Schönbrunn w zachodniej części Wiednia, wstąpiłem po drodze do kościoła Mariahilf i pojechałem najspokojniej na audjencję. Cesarz powitał mnie bardzo serdecznie, zapytując żartobliwie, dlaczego się pojawiaam u niego tak strojnie, na co odpowiedziałem w sposób naturalny, że taki jest zwyczaj dla ministrów nieczynnych. Po chwili zaczyna mi cesarz opowiadać, że hr. Aehrenthal chory bez nadziei, że cesarz musiał się zdecydować na nowego ministra spraw zagranicznych w osobie hr. Berchtolda, że ten jednak jest obywatelem węgierskim (mało zresztą mówiącym po węgiersku), że przeto minister finansów wspólny bar. Burian będzie musiał jako Węgier ustąpić, ażeby według zwyczaju między trzema ministrami wspólnymi: spr. zagranicznych, skarbu i wojny był tylko jeden Węgier a dwóch Austriaków. Wskutek tego, dodał w przyspieszonym tonie: „werde ich Sie zum gemeinsamen Finanzminister ernennen“. Gdy w osłupieniu, chcąc wskazać na obowiązki moje prezesa Koła, wymówiłem słowa: „Aber Majestät“, przerwał mi szybko i wśród śmiechu i giestykulacji zawołał: „Nein, nein, keine Ablehnung, Sie müssen den Posten annehmen“. Poddawszy się woli cesarza, mogłem swobodnie wywodzić moje troski o Koło,

o sprawę ruską itd. On jednak na to zaczął przytaczać argumenta, przemawiające za mną, jako to znajomość spraw ekonomicznych, moją zgodliwość, moje dobre stosunki z czasów pierwszej ugody i gubernatorstwa w Banku austro-węg. z Węgry (niestety to nie dopisało z winy Węgrów!), słowem tak był przekonany o naturalnej niejako konieczności mojej kandydatury, że w końcu zapytał żartobliwie: „Jako, więc Pan nie wiedziałeś, po co Pana wzywam?“ Musiałem mu zaręczyć honorem, że nic nie wiedziałem, że wracam właśnie ze Lwowa i że głowa moja zajęta była sprawą ruską, co do której załatwienia pomyślnego mam teraz obawy. Ale to wszystko nie pomogło: wróciłem do żony drogą jako minister finansów wspólnych i wielkorządca Bośni i Hercegowiny. Na moje szczęście i nieszczęście!

Jak powstała kandydatura moja? W tę samą niedzielę zapowiedziany był do pp. Zaleskich wielki objad biskupi, na który i ja byłem proszony. Poszedłem naturalnie, i to już w charakterze desygnowanego ministra i przyjmowałem powinszowania. Wtedy to arcyb. Teodorowiczowi, memu sąsiadowi przy stole, a późniejszemu przeciwnikowi politycznemu, dawałem zapewnienie, że będzie mi na nowem stanowisku trochę łatwiej działać w sprawie chełmskiej. Miałem później także sposobność wpływania skutecznego na ministra spr. zagranicznych (Berchtolda) w sprawie wywłaszczęń poznańskich. Swoją drogą rząd pruski nie dotrzymał przepowiedzianego zresztą trochę przyrzeczenia swego i przeprowadził expropjację r. 1912: pierwsze i ostatnie przed r. 1919, w którym fundusze komisji kolonizacyjnej zostały przeznaczone do likwidacji na rzecz skarbu niezawisłej Rzeczypospolitej Polskiej! Na ów objad był proszony także p. Stapiński. Gdy wszedł do sali, powitał go gospodarz słowy: „no, przyjął nominację bez trudności“. Czy nie znaczyło to, że pan Wacław przez hr. Stuergha starał się wpłynąć na cesarza, by rządowi usunął z drogi przeszkodę w osobie kandydata na prezesa ministrów?! Byłem w istocie takim kandydatem, nietylko we własnym przekonaniu — innej ambicji wogóle nigdy nie zaznałem, — lecz także w przeko-

naniu innych. Wszakże za czasów hr. St u e r g k h a, tenże w ciągu tych kilku tygodni Rady państwa, w których pełniłem urząd prezesa Koła, nie czynił jednego ważnego kroku politycznego bez porady ze mną. A i dziennikarze, oglądający z trybuny wszystkie zajścia w Izbie, tak mi określali sceny z rozpoczęcia posiedzeń: „prezes ministrów siedzi na ławie i spogląda na Izbę; wchodzi prezes Koła; prezes rządu zrywa się, zasiada z nim na znanych dwóch krzeselkach obok ław polskich i bardzo gorliwie mu opowiada; obaj wstają, prezes rządu zadowolony wraca na ławę urzędową!“ Wszak ja w tych kilku tygodniach mego urzędowania takie nawiązałem był stosunki ze wszystkimi stronnictwami, że wydarzały się głosowania (jak np. w sprawie zająć wyborczych w Drohobyczu, lub w sprawie uniwersytetu włoskiego), przy których cała Izba stosowała się jakby po wojskowemu do mojego głosowania! Wszak wpływ mój na stronnictwa niemieckie (prezes Dr. G r o s s, późniejszy prezydent Izby) był tak wielki, że w kulorach zrobiono zjadliwy dowcip: „przez nominację ministra skarbu wspólnego stracili Niemcy swego przywódcę...!“

Pod wpływem tych wrażeń postawiłem c e s a r z o w i w parę dni później, po zaprzysiężeniu pytanie, czy prawdziwe są wieści o wyparciu mnie przez rząd z parlamentu — boć jako minister wspólny musiałem złożyć mandat, — na co cesarz swoim łagodnym odrzekł głosem: „Aber das ist ja alles nicht richtig“. A ponieważ cesarz brzydził się kłamstwem, nigdy nie przebaczył kłamstwa (z tego powodu zawsze był uprzedzony przeciw premierowi węgierskiemu W e c k e r l e m u), i nigdy sam nie kłamał, przeto owe odezwanie się ministra Zaleskiego było chyba tylko fanfaronadą lub wyrazem jego życzeń osobistych. Faktem jest, że odtąd byliśmy z Zaleskim aż do jego śmierci na jaknajlepszej acz nie zbyt szczerzej stopie, że mnie dość często odwiedzał w mojem biurze.

Bardzo natomiast serdeczny i szczerzy miałem stosunek ze St u e r g k h e m, który jak zaraz zobaczymy, moją nominację przypisywał dogorywającemu już A e r e n t h a l o w i, swoją drogą

spowodowanemu przez samego Stuerghka. Od chwili mej nominacji, aż do mego ustąpienia z urzędu przychodził do mnie prezes gabinetu, często na długie konferencje o sprawach wspólnych, austriackich, a i polskich. Te ostatnie konferencje o sprawach naszych były oparte na poleceniu danem mi przez cesarza na audjencji po zaprzysiężeniu, bym, skoro już muszę ustąpić z urzędu prezesa Koła, dalej zastępował i chronił sprawy polskie. Na tej podstawie konferował ze mną szef rządu, konferowali namiestnikowie Bobrzyński i Korytowski, konferowali marszałkowie Badeni i Gołuchowski (Adam), konferował prezes Koła Dr. Leo (którego wybór przeparałem u konserwatystów), a w końcu i prezes Komitetu Narodowego Wł. Leopold Jaworski, oraz posłowie polscy i ruscy. Na tej samej podstawie cesarz, u którego prawie z reguły bywałem dwa razy w tygodniu na audjencjach, dawał chętnie posłuch moim sprawozdaniom o rzeczach polskich, jakby o resorcie moim własnym. Były to też najcudniejsze chwile mego życia publicznego!... I otóż Stuerghk opowiedział mi raz jednego historję mego powołania na ministra finansów wspólnego. Hr. Aerenthal, chory na nieuleczalną chorobę „mleczną“, konał przez cały styczeń 1912 r. przy zdrowych zmysłach i w gorliwej pracy i trosce o cesarza i Monarchję. Razu jednego odwiedził go hr. Stuerghk i zastał go leżącego na szeslongu w rozmyślaniach o przyszłości. Nagle Aerenthal się zrywa, dzwoni na urzędnika i każe mu natychmiast jechać do Schönbrunn, ażeby cesarzowi oświadczył co następuje: „Ja jestem Austriakiem, po mojej śmierci musi być mianowany Węgier, wskutek tego bar. Burian jako Węgier nie może pozostać w rządzie; błagam przeto cesarza, by w miejsce Buriana raczył zamianować jedyne odpowiedniego na to miejsce kandydata, Bilińskiego!“ Powody za mną przemawiające przytaczał potem Stuerghkowi, któremu przeto łatwiej przyszło po śmierci Aerenthala zgodzić się jako austr. prezydentowi ministrów na nominację moją ministrem wspólnym. Czy przytem nie miał odrębnego uczucia zadowolenia z mego usunięcia z parlamentu

i czy o tem nie mówił z Zaleskim, czy może sam nie naprowadził Aerenthala na kombinację, którą ten podał potem zaraz cesarzowi, to inna kwestja. Był mi zresztą hr. St u e r g k h wiernym współpracownikiem przy administracji bośniackiej z mocy ustawy z r. 1889 (o której później) aż do chwili, gdy po trzech latach hr. T i s z a zażądał od niego zgody na moje usunięcie. Ale widocznie, tak musiał postąpić. I ja mu tego nie wziąłem za złe; raczej, jak zobaczymy, on się tego odemnie obawiał. Minister rządu węgierskiego hr. K h u e n - H e d e r v a r y zgodził się był na moją nominację także bez szkrupułów i to nawet drogą telegraficzną.

Tak więc miałem zasiąść w pałacu przy Johannesgasse, 5, zbudowanym dos-á-dos z pałacem ks. Eugenjusza przy Himmelpfortgasse, jako pendent dla tegoż samego właściciela. Nie sprowadziłem się do mieszkania bardzo przestronnego, pozostałem, jak zawsze, przy Tulpengasse, ale zająłem biura, a po wyprowadzeniu się pp. B u r i a n ó w także mieszkanie, które kazałem urządzić na apartamenty recepcyjne, gdzie z najdroższą żoną urządzałem liczne, powiedziałbym wspaniałe przyjęcia wieczorne, oficjalne i prywatne obiady i śniadania aż do grudnia 1914, w którym to już czasie wojennym, było śniadanie dla moich rodaków, uchodźców z Galicji. Aranżement kwiatów u nas było słynne. Zajmował się niem radca B e i g e l, Węgier, bardzo zdolny, ale chętniej oddany takim urządzeniom, niż pracy biurowej. Pobierając prócz zwykłej płacy ministra osobno należną za administrowanie Bośni płacę 24.000 Koron i mając, jak prezydentowie ministrów i minister spraw zagranicznych, osobny fundusz dyspozycyjny, mogłem czynić i bardzo wiele uczyniłem dla dobroczynności tak prywatnej jak publicznej i utrzymywać dom gościnny. Toż te trzy lata, w których przez salony nasze przesunęły się szeregi dyplomatów, ministrów własnych i obcych, członków do parlamentów, notablów bośniackich, nie licząc całego bez wyjątku towarzystwa polskiego w Wiedniu, stanowiły istotnie świetne w naszym życiu momenty. Żona moja współ-

działała niestrudzenie z wdziękiem nieporównanym, a po ukończeniu rautów zostawało zawsze zaproszonych kilkanaście osób, które z nami dopiero spożywały wesoło kolację daleko po północy. Był to jednakowoż ostatek naszej świetności, startej wojną i chorobami! Nad biurkiem mojem w Warszawie u góry wisi obraz Ukrzyżowanego, a u stóp pod nim portret śliczny narzeczonej mojej, pierwszej świetności mojej; pod kątem na drugiej ścianie u góry, kościół cieplicki, w którym ślub braliśmy, ta druga świetność nasza; a wreszcie pod nim niewielki obraz pałacu przy Johannesgasse, miejsca ostatniej świetności naszej. „Sic transit gloria mundi“!... Ale wracajmy do prozy!

Potrzeba mi było pożegnać się z Kołem po krótkiej stosunkowo pracy prezydjalnej i trzeba się było pożegnać z wyborcami i zwrócić im mandat, którego brak dał mi się później czuć bardzo dotkliwie. Pojechałem tedy do Rzeszowa, gdzie bardzo uroczystie odbyło się posiedzenie pożegnalne w radzie miejskiej, a potem wielki objad, wydany przez miasto. Zaraz musiałem powrócić do Wiednia, ponieważ cesarz życzył sobie bym pojechał do Budapesztu celem wyperswadowania hr. Khuenowi myśli dymisji. Cesarz go bardzo lubił w przekonaniu, że on piastuje urząd „aus persönlichem Attachement“ dla jego osoby; Khuen zaś kochał istotnie cesarza, ale nie widział innego sposobu wyjścia z kolizji z parlamentem, obstruującym reformę wojskową, jak w drodze koncesyj, na które się znowu cesarz nie godził, choćby dlatego, że one odpowiadały wnioskowi Appony'ego Alberta, niezbyt lubianego u dworu. Pojechałem więc do Pesztu, gdzie bez tego winien byłbym się przedstawić jako nowy minister wspólny. Udało mi się na razie, Khuena uspokoić, ale jego minister skarbu, dawny mój partner, fachowy p. Lukacs Lajos, zapewnił mnie, że Khuen się nie utrzyma i że będzie należało powołać na tegoż miejsce jego samego, Lukacsa. Stosownie do rady cesarza, nie pojechałem z Pesztu do Krakowa na intronizację ks. biskupa Sapiehy, stałego zresztą przeciwnika mego politycznego (pismo jego „Głos

Narodu“ stale mnie krzywdziło i czerniło sposobem narodowych demokratów). Wróciłem więc prosto do Wiednia, aby objąć urzędowanie.

A) Przed wojną.

Pierwszy z urzędników zgłosił się do mnie w osobie szefa prezydjalnego p. K u h - C h r o b a k a. Pozostał do ostatniej chwili, wiernie przy moim boku, jako radca, potem jako szef sekcji: urzędnik sumienny, gruntowny, honorowy. Przed dwoma laty kupił willę w Meranie: obecnie tam mieszka jako obywatel włoski, ale przyjeżdżając stamtąd od czasu do czasu, odwiedza mnie odkąd zamieszkałem ponownie w Wiedniu. W dzień mojej nominacji odwiedził mnie w domu dziennikarz P a w e ł F l a n d r a k, o którym była wyżej mowa; zaraz przyjąłem go za szefa mego biura prasowego i zrobiłem najlepsze doświadczenia. Był mi on w końcu bardzo pomocnym w akcji ratunkowej dla uchodźców naszych. Na drugi dzień odwiedził mnie słynny (nie sławny), mocno komiczny dziennikarz niemiecki, M e n d e l S i n g e r z „Tagblattu“, prorokując mi — bezskutecznie!! — objęcie Ministerstwa spraw zagranicznych! W parę dni później, po otrzymaniu nominacji i zaprzysiężeniu pojawiłem się w Ministerstwie i przyjąłem zebranie urzędników, których imieniem przemawiał do mnie najstarszy rangą urzędnik: szef sekcji tajny radca T h a l l o c z y, Węgier, historyk, człowiek zacny ale dziwak stary kawaler, później mój niby adorator i pośrednik u rządu węgierskiego, chętnie wciągany do wszystkich moich akcji i często w nich pomocny. Nie uważałem go za zbyt mądrego, ale muszę stwierdzić, że jako historyk przepowiedział mi trafnie, iż morderstwo arcyksięcia Franciszka Ferdynanda nie przeminie bez bardzo ciężkich katastrof historycznych. Zginął Thalloczy wskutek wypadku kolejowego, który sam spowodował nieświadomie, gdy jako komisarz cywilny przy armji austr. w Belgradzie (r. 1915) kazał w ostatniej chwili wstawić dla siebie wóz salonowy (1) do pociągu. W służbie prezydjalnej pod przewodnictwem

Kuh-Chrobaka miałem prócz Węgra, p. Beigla, o którym już wspomniałem, Polaka Jerzego hr. Dzieduszyckiego, słusznie mi zaleconego przez namiestnika Bobrzyńskiego, jako pilnego, zdolnego i zręcznego urzędnika, wreszcie Bośniaka Božidora Céroviča, Serba, pełnego zdolności, charakteru i wielkiego do mnie przywiązania osobistego. Po wojnie był on najpierw zastępcą posła, a potem konsulem generalnym Jugosławiji w Wiedniu.

Prace ministra skarbu wspólnego jako takiego były bardzo skromne. Akta pod szyfrą R. F. M. („Reichsfinanzministerium“) odnosiły się do wspólnych obrachunków obu państw w monarchji i do spraw łaski monarszej dla personalu wspólnego (wojsko i dyplomacja). Wszystko to załatwiała jedna sekcja (Węgier Szalaya); ja ze swej strony wpływałem głównie na przyznawanie łask monarszych w szerokim zakresie. Właściwe finanse w monarchji spoczywały w rękach dwóch ministrów skarbu: austriackiego i węgierskiego. Wielkie za to były agendy w sprawach bośniackich; akta z szyfrą B. H. (Bośnia-Hercegowina) były nieskończone. Minister był właściwie prezydentem ministrów dla wszystkich działów Bośni. Ile jest w państwie nowożytnym resortów, tyle było sekcji lub przynajmniej departamentów fachowych w ministerstwie: sprawy wewnętrzne, wojskowe, kolejowe, sprawiedliwości, kultury krajowej, oświaty i wyznań. Wszystko to załatwiano tu w najwyższej instancji, nie wyłączając zatwierdzania wyroków śmierci lub uzyskania łaski cesarskiej. Organizacji tej odpowiadały w niższej instancji urzędnicy „rządu krajowego“ w Sarajewie, złożonego z „szefa krajowego“ i jego zastępcy, niemniej z szeregu „szefów sekcji“, jakby ministrów na czele każdego wydziału, jakoto: sprawy wewnętrzne, skarbu, sprawiedliwość, oświata i wyznanie, komunikacje, kultura krajowa (ostatni wydział stworzony przezemnie). Władza ustawodawcza spoczywała w rękę konstytucyjnego cesarza (pod konstytucyjną odpowiedzialnością ministra wspólnego) za zgodą „sejmu krajowego“, zaprowadzonego konstytucją z 1908 r. z okazji aktu

aneksji krajów, do ówczas według traktatu berlińskiego (1878) tylko „okupowanych“. Z tego to aktu właśnie groziła r. 1909 owa wojna, z którą miałem do czynienia jako minister austriacki. Widocznym aktem uspokojenia Europy wschodniej i krajów anektowanych była podróż cesarska z r. 1910, urządzona przez mego poprzednika br. Buriana z wielkim skutkiem agitacyjnym i bez „wypadku“, o jaki tam na południu nie trudno. Pojawienie się wiekowego monarchy o formach istic patryarchalnych, podziało wręcz entuzjastycznie na szerokie koła ludności.. Na jak krótko miało to wszystko jednak mieć walor!

Z organizacją powyższą prowadzić politykę postępu narodowego i kultury europejskiej wobec ludu, starego w dziejach ale młodego w cywilizacji, było dla mnie — z mojem uczuciem narodowem i doświadczeniem parlamentarno-administracyjnem — rzeczą wprost nęcącą. Wiedziałem, że niewola wiekowa zdeprawowała ludność, językowo jednolitą a religijnie i politycznie podzieloną na trzy „narody“: serbski, chorwacki, muzułmański. Mimo to miałem wiarę w powodzenie swoje, zagrożone atoli z góry wielką przeszkodą: ustawą z r. 1886 o „zarządzie krajów okupowanych“. Po zdobyciu Bośni i Hercegowiny powstała dla monarchji kwestja: czyją kraje te są własnością i kto ma nimi rządzić? Ponieważ zdobyto je wspólnemi wojskami i wspólnemi środkami, przeto stały się one własnością wspólną i miały być rządzone przez ministra wspólnego. Ale — i tu widać jeden z tysięcy objawów węgierskiej „finezji konstytucyjnej“ — sprawy Bośni i Hercegowiny nie mogły należeć do „spraw wspólnych“, bo te zostały określone ugodą austro-węgierską z r. 1867 ograniczającą się do dyplomacji, wojska i wspólnego skarbu. Temi trzema działami administrowali ministrowie wspólni samoistnie (z niejaką kontrolą wspólną przy dyplomacji) za współudziałem ustawodawczym „wspólnych delegacji“. Rozszerzać tych spraw wspólnych według katechizmu węgierskiego nie wolno było, stworzyć zaś grupę trzecią obok Austrii i Węgier (strasliwy trjalizm!) nie wolno było jeszcze mniej, pod karą zbrodni stanu

(madziarskiej!) Z tego wynikało, że Bośnia i Hercegowina były właściwie w administracji tak Austrii jak Węgier (za pośrednictwem wspólnego ministra skarbu), a delegacjom wolno było tylko obradować o stosunkach tych krajów, ale nie wolno było uchwalać ich budżetu obok wspólnego. Budżet ten zaś uchwalał sejm bośniacki, ale znowu ani równolegle z uchwałami budżetowymi obydwu parlamentów dla obydwu państw monarchji, ani równolegle z budżetem wspólnym, uchwalanym przez delegacje, lecz jako *sui generis* pod wpływem Austrii i Węgier. Jednym słowem, prawdziwy wytwór wszechmadziarskiej fantazji, kornie przyjęty przez Austrię!

W tej myśli wydane w obu parlamentach jednobrzmiące ustawy z r. 1868 postanawiały, że minister wspólny zarządza krajami „za uprzednim porozumieniem z obu rządami w sprawach ważniejszych“, to znaczy: przed wydaniem ważnego rozporządzenia musiał je minister wspólny (skarbu) przesłać do obu rządów; zgodzą się oba, to zarządzenie nastąpi; nie zgodzą się, to minister wspólny musi dalej traktować o każdy szczegół, aż uzyska zgodę obu na te szczegóły; w razie przeciwnym zarządzenie nie nastąpiło. A dalej: jeżeli minister skarbu chciał przedłożyć sejmowi bośniacko-hercegowińskiemu projekt ustawy, musiał nim manipulować w podobny, a raczej jeszcze bardziej skomplikowany sposób, bo najprzód trzeba było zgody obu rządów na uzyskanie u cesarza „sankcji wstępnej“ (Vorsanktion) w każdej monarchji potrzebnej do wniesienia ustawy w parlamencie — a znowu potrzeba było zgody obu rządów po uchwale ustawy na jej przedłożenie do sankcji, chociaż uchwała nie zmieniła w niczem brzmienia ustawy przy sankcji wstępnej. Jeżeli zaś Sejm, choćby za zgodą rządu krajowego w czemkolwiek zmienił projekt ustawy, nie wolno go było przedłożyć do sankcji monarszej przed uzyskaniem zgody obu rządów na zmiany; w razie przeciwnym ustawa nie przychodziła do skutku, musiała być w razie potrzeby na nowo przedłożoną Sejmowi i przebywać losy projektu pierwszego.

Nikt sobie nie zdoła wyobrazić mitręgi, zgryzot i złości, które ministerstwu wspólnemu sprawiało stosowanie ustawy z r. 1868. Przytem należy wiedzieć, że rząd austriacki — i to każdy — powodował się przy rokowaniach powyższych bezwzględnie i tylko istotnym interesem dla dobra krajów okupowanych. Ztąd rząd austriacki prawie zawsze zgadzał się, i to szybko, na projekta ministra wspólnego, pracującego z natury dla dobra tych krajów; ztąd w wypadkach wyjątkowych tylko powstawały ze strony Austrii konflikty jak n. p. z baronem Burianem w sprawie banku agrarnego madziarskiego dla wykupu pańszczyzny! Rząd węgierski zaś — znowu każdy, ale ze stopniowaniem odpowiadającym naturze każdorazowego szefa rządu — powodował się jedynym celem: ucisku Bośni i Hercegowiny na korzyść Węgier, a na niekorzyść Austrii. Naturalnie, że ta tendencja nie potrzebowała się objawiać zbyt ostro wobec ministra-Węgry, który bez tego musiał jej hołdować; natomiast ujawniała się często bardzo silnie wobec ministra-Austrjaka. Ja pragnąłem istotnie rozwoju tych krajów i nie widziałem racji pokrzywdzenia Austrii dla Węgier, jeno byłem bezstronnym. To też trochę trudności robił mi już K h u e n, jeszcze więcej L u k a c s, a wprost akcesu hr. T i s z a. Przez te konflikty w końcu też upadłem. A jeżeli ten sam los nie spotkał przedtem Buriana, to stało się to tylko dlatego, że Węgier, zwalczany przez Austrję, był zawsze w położeniu mniej niekorzystnym, niż minister wspólny z ramienia Austrii. Jako Polak zaraz w pierwszych tygodniach swego urzędowania zająłem się gorliwie kolonistami polskimi w Bośni, którym przy pomocy ks. biskupa S a p i e h y zapewniłem duszpasterzy, a za pośrednictwem czcigodnego prezesa Tow. Szkoły ludowej w Krakowie, p. B a n d r o w s k i e g o, założenie szkół polskich.

Wojna światowa zastała mnie przy tece ministra wspólnego. Działalność moja rozpadała się przeto na przedwojenną (luty 1912—28. VI. 1914) i wojenną (do 7. II. 1915). Chcąc rządzić temi krajami, musiałem przedewszystkiem poznać choć cząstkę

jego ludności, pamiętnej mi zresztą z r. 1891. Na razie więc zaprosiłem sobie notablów wszystkich trzech wyznań w liczbie około 20. Przybyli najznakomitsi z działaczy sejmowych, w szczególności trzej prezydenci sejmu: Wojslav Sola (serb), Mandić (chorwat) i Basagić (muzułmanin), ostatni w towarzystwie kościelnego naczelnika: Šerifa-Arnautovića. Odbywałem z nimi przy udziale przybyłego z nimi także szefa krajowego, generała Potiorka, przez szereg dni całodzienne konferencje. Rozmowy prowadziliśmy w języku niemieckim, który Bośniacy prawie wszyscy z małymi wyjątkami dobrze znali; w razie potrzeby pomagałem im i sobie językiem ruskim, znacznie bardziej zbliżonym do serbskiego, niż polski. Usposobienie było serdeczne: używając mimowoli do nich zwrotu „Wy“, zjednałem ich sobie wkrótce. Naturalnie że jeszcze ważniejszą rolę odgrywało nieprzerwane podawanie czarnej kawy i papierosów. Języka serbskiego zaś zacząłem się uczyć w parę tygodni później, u szefa sekcji Cerovića, tak że podczas pobytu w Bośni mogłem sobie w tym języku już trochę pomagać. Dokładnie nigdy po serbsku nie mówiłem; czytałem jednak bez trudności.

Obrady odnosiły się z jednej strony do spraw ekonomicznych, zwłaszcza budowy kolei, z drugiej strony do spraw narodowych: rządu parlamentarnego i języka urzędowego. O kolejach traktował z ludnością już bar. Burian, od którego jednak nie mogłem mimo mej prośby dowiedzieć się szczegółów. Poinformowawszy się więc obiektywnie a dokładnie o życzeniach kraju, obiecałem zająć się szczerze kolejami. Żądań rządu parlamentarnego odradzałem bardzo z uwagi na znane mi zapatrywania cesarza i na potrzebę mianowania niektórych członków rządu krajowego także z poza sejmu, z pomiędzy obywateli obu państw monarchji. Obiecałem natomiast wedle możliwości powoływać do rządu Bośniaków i uczyniłem to wkrótce, mianując Serba tamtejszego Zurunića szefa oddziału spraw wewnętrznych w miejsce dotychczasowego szefa, Niemca austriackiego barona

Pittnera, którego odwoławszy do Wiednia, zamianowałem tam gubernatorem banku krajowego dla Bośni i Hercegowiny. W sprawie zaprowadzenia języka urzędowego w miejsce dotychczasowego niemieckiego radziłem, by byli cierpliwi i pogodzili się na każdy sposób z myślą, iż w zarządzie kolei żelaznych pozostanie język niemiecki urzędowym z przyczyn wojskowych, podobnie jak w Galicji. Zaprosiwszy w końcu gości na śniadanie do Sacher'a, połączone z równie pięknymi toastami, wyprowadziłem ich do domu, a sam zabrałem się do sprawy kolejowej.

Węgierski prezydent ministrów hr. Khuen złożył tymczasem swój urząd, nie mogąc sobie dać rady z opozycją przeciw ustawie wojskowej, dawno już uchwalonej w Austrii. Pewnego ranku, wezwany wraz z Berchtholdem przez cesarza, zastałem go w stanie desperacji i apatii, w jakim go nigdy ani przedtem ani potem nie widziałem. Dymisja ulubieńca jego Khuena tak go przeraziła, że z pochyloną głową zapytywał tylko raz po raz: „co mam robić?“ Ponieważ Berchthold nic nie odpowiadał, przeto ja za każdym razem doradzałem powołania Lukacsa, pomny jego niedawnej w Peszcie przepowiedni. Dopiero po całym szeregu takich samych pytań i odpowiedzi, stanęło na powołaniu Lukacsa. Cesarz przyszedł znowu do siebie i nigdy już tak nie odczuł ustąpienia szefa gabinetu węgierskiego ani też austriackiego. Dowiadywałem się we 4 lata później, jak cesarz przyjął wiadomość o zamordowaniu hr. Stuergha, z którym wszak dzielił dolę i niedolę całego czasu wojennego. Zapewniano mnie, że był bardzo wzruszony i zmartwiony, ale ani chwili nie stracił siły woli, acz stał właściwie już nie wiele dni przed śmiercią własną. Była to ta sama siła woli, z którą jako ostatnie słowa swego życia wydał był po gorącej modlitwie wieczornej rozkaz dla służącego: „jutro rano zbudzić mnie jak zwykle o godzinie 4-ej!“

Nowy prezes ministrów Lukacs odwiedził mnie w biurze i wyraził prośbę, bym go w jakiś sposób zalecił arcyksięciu Franciszkowi Ferdynandowi, który bardzo niechętnie

przyjmował ministrów, zwłaszcza węgierskich, jeżeli nie był z góry za ich zamianowaniem. Jak już wspominałem gabinetu bar. Becka, swego dawnego ulubieńca i nauczyciela, ani razu nie przyjął, ponieważ Beck rzekomo bez jego wiedzy przyjął był tekę. Tylko minister skarbu Korytowski był raz przyjęty, ale podobno niezbyt mile. Podobnie było z Wekerlem, o czym mi sam opowiadał, w czasie gdy po raz drugi był ministrem skarbu austriackiego. Dla mnie był następcą tronu w chwili przyjęcia urzędu ministra wspólnego pozornie łaskaw, jeżeli wolno przypuścić, że przebaczył mi zarówno rzekomą „zdradę Austrii“ w ugodzie węgierskiej (moje 1. ministerstwo), jak nominację Siegharta (2. min.). Może był cokolwiek łaskaw per antitesam do Buriana który nosił „grzeszne znamię“ Węgra. Toż gdy mu się przedstawiał jako tegoż następcą, przyjął mnie pełen radości „że ten łajdak, gałgan Burian został wreszcie wypędzony“. Pomyślałem sobie w tej samej chwili, że tak samo będzie kiedyś mówić z okazji mojej dymisji. Tragiczny los jednak chciał, że się jej nie doczekał! Zresztą „niełaska“ pojawiła się bez tego wkrótce. Na owej audjencji powitalnej i jedynej za ministerstwa wspólnego (dawniej bywałem u niego częściej!) zaczął coś mówić o lasach bośniackich i doradzał bardzo ich eksploatację w drodze rozdawania małych obszarów. Nawiasem mówiąc cesarz, który go (słusznie!) nie lubił, powiedział mi, gdy mu przy sposobności wspomniał o tych lasach: „miej się Pan na ostrożności przed jego „fachową wiedzą“, bo jemu się zdaje, że wszystko rozumie fachowo“. Ótóż widocznie w myśl tej „fachowości“ zażądał raz Arcyksiążkę odemnie przez swego adjutanta, bym mu zawsze przesyłał akta lasowe przed ich załatwieniem. Odpowiedziałem, że nie wolno mi przesyłać aktów urzędowych nikomu niepowołanemu: gotów jestem jednak przesyłać zawsze wykazy lasów, przeznaczonych do publicznej licytacji. Od tego czasu zaczęła się „niełaska“, a gdy nareszcie bank Siegharta: Bodenkreditanstalt zrobił mi ofertę na bośniacką pożyczkę, a ja mimo żądania arcyksięcia nie wykluczyłem go od ofert, otrzymałem na piśmie „das

höchste Misfallen“, które spokojnie zamknąłem w biurku. Bo w sprawie następcy tronu stałem w ogóle na stanowisku, które raz przy sposobności określiłem cesarzowi, że mianowicie na podstawie przykładów dziejowych uważam rządy dwóch naraz cesarzy za nieszczęście, i że znam przeto tylko jednego cesarza. Niestety sam cesarz, acz zgodził się wtedy na moją zasadę, nie zawsze się jej trzymał wobec samego arcyksięcia. Bez potrzeby przyznawał mu pod jego presją rozmaite prawa, zwłaszcza w dziedzinie wojskowości, które sprowadzały niepokój w administracji wojskowej, bo np. minister wojny, przedstawiając wnioski cesarzowi, nie mógł postąpić za własnym przekonaniem, jeno musiał uwzględnić przeciwną często decyzję arcyksięcia. Raz byłem sam świadkiem takiej słabości u cesarza, a jednocześnie braku charakteru u arcyksięcia. Baron Conrad był za czasów kryzysu okupacyjnego szefem sztabu generalnego z ramienia arcyksięcia; Aerenthal nie dał mu się przeciw do wojny, Conrad musiał ustąpić. Za zgodą arcyksięcia został jego następcą słynny generał Blasius Schemua, którego r. 1912 zastałem na tej pozycji i poznałem jako znakomitą głowę polityczną. Pod koniec tegoż roku, w czasie pierwszej wojny bałkańskiej powstały pogłoski o ustąpieniu Schemuy. Otwarty ten człowiek udał się do arcyksięcia z zapytaniem, czy sobie życzy jego ustąpienia. Otrzymał odpowiedź, iż przeciwnie pragnie jego pozostania. W kilka dni dowiedział się świat o ustąpieniu Schemuy i ponownej nominacji Conrada. Byłem wtedy właśnie u cesarza. Monarcha zaczął się bardzo żalić, że pod naciskiem arcyksięcia musiał powołać znowu Conrada, jakkolwiek więcej skutku przypisuje pracy Schemuy. Gdy zapytałem, dlaczego daje się powodować i co robi ze Schemuą, odrzekł, że trudno się oprzeć przeszłemu (na wypadek wojny) naczelnemu komendantowi armji w doborze szefa sztabu. Zaś od Schemuy otrzymał — jak mi mówił cesarz — podanie o spensjonowanie, które naturalnie byłoby wielką szkodą dla armji... Po audjencji telefonowałem panu Schemui, żeby nie robił cesarzowi przykrości i pozostał w służbie, co też nastąpiło. Ale

w czasie wojny Conrad umiał go usunąć od sposobności odniesienia zwycięstwa i posłał go na emeryturę.

Powszechniej znany był drugi podobny wypadek. Wstępując do rządu wspólnego, zastałem tam ministrem wojny gen. Auffenberga, powołanego na ten urząd na żądanie arcyksięcia. Cesarzowi osobiście nie był on sympatyczny i dla swojego wyglądu żydowskiego, i dla protekcji arcyksięcia. Gdy więc tenże zażądał raptem odwołania Auffenberga, cesarz chętnie to spełnił mówiąc do mnie przy sposobności: „der ist ja nicht mein Minister, der Thronfolger hat ihn gewünscht“. Następcą Auffenberga został jen. Krobotin, słynny artylerzysta, a i zwycięski dowódca w wojnie światowej. Usunąwszy swego ulubieńca Auffenberga z ministerstwa, pragnął arcyksiążę w swojej znanej „dobroci“ uniemożliwić mu także otrzymanie, a raczej zatrzymanie komendy. Mając więc poruczone sobie w zastępstwie cesarza naczelne kierownictwo manewrów wojennych, urządził je w Czechach w ten sposób, że oddał dowództwo armii przyjacielskiej generałowi Brudermannowi w warunkach najkorzystniejszych, zaś dowództwo „armii nieprzyjacielskiej“ w warunkach wręcz katastrofalnych Auffenbergowi. W dniu bitwy jednak Auffenberg, osaczony ze wszystkich stron, użył podobno manewru Napoleona w bitwie pod Ulmem, i pobił Brudermanna na głowę. Arcyksiążę, który przybył z rodziną automobilem na pole bitwy, aby się delektować klęską Auffenberga, zastał go w roli wielkiego zwycięskiego wodza! Coś podobnego odbyło się później w kasynie wojskowym przy tak zw. „grze wojennej“ (Kriegsspiel). W czasie wojny (arcyksiążę już nie żył) potwierdziły się doświadczenia z manewrów: Brudermann przegrał bitwę pod Lwowem i stracił Lwów, Auffenberg jedyny wygrał świętą bitwę pod Rudnikiem. Cesarz nadał mu baronat z przydomkiem „z Rudnika“. Gdy jednak Auffenberg wytknął arcyksięciu Józefowi Ferdynandowi — podobno ulubieńcowi Franciszka Ferdynanda, a przynajmniej późniejszego cesarza Karola, ślepego naśladowcy Franciszka Ferdynanda — wielki błąd, który spowo-

dował upadek Lwowa, wytoczono nie arcyksięciu, lecz Auffenbergowi proces o „zdradę tajemnic wojskowych“, a cesarz idealnie zresztą sprawiedliwy, zgodził się — jakby pod presją już zmarłego Franciszka Ferdynanda — nie tylko na proces, lecz także na odebranie mu dyplomu nobilitacyjnego wraz z komendą. Tylko dla pamięci arcyksięcia stracono najlepszego wodza, a dopiero w 1916 r. po ofenzywie Brusilowa, ułatwionej przez nowy ciężki błąd i niedbalstwo arcyks. Józefa Ferdynanda, został ten nieudolny wódz i intelektualny sprawca morderstw tysięcy na niewinnych chłopach polskich w Galicji zachodniej (autentycznie) odwołany przez cesarza Franciszka Józefa. Młody cesarz zaś zrobił go za to naczelnym wodzem lotnictwa! Takie to były dzieje z zamordowanym później w Sarajewie następcą tronu.

Ale wróćmy teraz o 4 lata wstecz do węgierskiego prezydenta ministrów Lukacsa i jego życzenia, poparcia go u arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Byłem, jak wspomniano wtedy, „niby to“ w łasce i poleciłem Lukacsa „łasce“ arcyksięcia listem, napisanym przez mego szefa prezydjalnego Kucha do zaprzyjaźnionego mu adjutanta arcyksięcia. Skutek był dobry: dopuszczono Lukacsa do audjencji. Ale ja, obiecując mu to, prosiłem go o zgodę na pewną częściową realizację programu kolejowego w Bośni i Hercegowinie. Przyrzekł mi to ustnie, ale w liście późniejszym wykręcił się, widocznie pod wpływem nowego ministra finansów Teleskyego, jednego z najzatwardziałszych Madziarów. Odpisałem mu na ten list bardzo ostro. A że posiadałem od cesarza przywilej, przesyłania mu bez odrębnych sprawozdań odpisu każdego aktu, któryby go mógł interesować, posłałem w odpisie i mój list do Lukacsa, na co, jak zawsze otrzymałem moje pismo z powrotem w kopercie z nagłówkiem: „der Kaiser an seinen gemeinsamen Finanzminister“. W parę dni potem rzekł mi cesarz: „no ale grzeczny chyba ten list nie był!“ — na co odpowiedziałem: „Ja też nie zamierzałem w tym wypadku być grzecznym“.

W czerwcu 1912 wyjechałem po raz pierwszy do Bośni

i Hercegowiny, by poznać bliżej kraje, któremi rządziłem. Po drodze zatrzymałem się w Budapeszcie. Towarzyszyła mi w podróży naturalnie moja żona, mająca „reprezentować niejako cesarzową“. Przyjechawszy do stolicy węgierskiej, zastaliśmy w mieście silne oddziały wojska z powodu demonstracji przeciw Tiszzy. Oto Tisza, jako prezydent parlamentu, uznał w swym patriotyzmie, że dla dobra państwa, dla umożliwienia jego obrony od wrogów, wolno pogwałcić formy parlamentarne. Ustawa wojskowa musiała nareszcie być uchwaloną i przeprowadzoną wbrew opozycji i obstrukcji: uczynił to prezydent Tisza, zgwałciwszy opozycję i dał monarchji gwarancję reformy armji. Ulica demonstrowała przeciw temu, ale Klio zapisała czyn Tiszzy z pewnością między najzasłużeńsze w dziejach węgierskich. I gdyby Tisza był się zadowolił tem swoim dziełem, gwałt wyjątkowy byłby mu naród wybaczył; imię Tiszzy byłoby stanęło obok imienia Deaka. Ale Tisza miał dalsze ambicje; pragnął zostać prezydentem ministrów; osiągnąwszy zaś ten cel, kazał swemu zastępcy na krześle prezydjalnem Izby Posłów wyrzucać z niej największych patriotów węgierskich. Opór jednostek w Sejmie zwalczał w razie potrzeby pojedynkami; po nieudanej próbie powstrzymania wojny, stał się jej najgorliwszym wobec całej Europy obrońcą. W końcu zginął najniesprawiedliwiej od ręki morderców jako rzekomy twórca wojny. Kto zdoła przewidzieć, jakieby dziś były losy Europy, gdyby Tisza nigdy nie był został prezesem rządu i gdyby był pozostał przy swoim oporze przeciw wojnie i złożył urząd prezesa!

Na drugi dzień pożegnaliśmy gościnny hotel „Angol Kiraly-na“ (królowa angielska), gdzie zawsze zajeżdżałem jako minister austriacki i jako gubernator. Około północy przybyliśmy do mostu na Sawie, który dzieli Brod chorwacki od Brodu bośniackiego: stanęliśmy na ziemi bośniackiej! Przyjęci uroczyście przez władze rządowe i gminne, przesiadaliśmy się z wagonu salonowego austriackiego dla toru normalnego do wozu bośniac-

kiego dla toru wąskiego, który nas po podróży dość niewygodnej przywiózł około południa do Sarajewa.

Jako zarządca Bośni i Hercegowiny był minister skarbu wspólnego wprost przedstawicielem i zastępcą cesarza: jego przybycie do stolicy lub innej miejscowości witano hukami armat z fortecy i odgłosem wszystkich dzwonów. Wśród takiego powitania wysiadłem wraz z moją żoną z wagonu na peron, gdzie stały zgromadzone reprezentacje wszystkich władz wojskowych, cywilnych, duchowych i samorządowych. Przedstawienie przez szefa kraju trwało długo: na przemowy odczytywałem odpowiedzi w języku krajowym. Z wielkiej tej w moim życiu a i w losach narodu serbskiego chwili mam pamiątkę w licznych fotografiach. Po przyjęciu powróciłem do wagonu, w którym pozostała moja żona, powitana przez naczelnika kraju i prezydium sejmu, i z nią razem pojechałem koleją do miejsca kąpielowego Illidža, przeznaczonego na nasze pomieszkanie w czasie pobytu sarajewskiego. Kąpiele Illidža (dawniej Illidže), oddalone od Sarajewa kilka kilometrów, są własnością krajową. W ogromnym parku stoi szereg wil i większych domów. W jednym z nich urządzono nam ładne mieszkanie z 3-ch pokoi ze wspólną werandą. Na dole w sąsiednim domu, złączonym krytą werandą, była wielka restauracja, gdzie wszyscy towarzysze podróży jako nasi goście spożywali z nami obiady i kolacje. Na kolację przybywali często do nas goście z miasta. W sali balowej dawałem raz wielki objad oficjalny. Innym razem dawała moja żona w naszym mieszkaniu podwieczorek dla pań muzułmańskich. Według przepisu musiała moja żona, ustrojona w całą ile możliwości bizerę swoją, usiąść na fotelu i siedząc oczekiwać gości. Panie miejskie chorwackie, serbskie a także polskie i niemieckie były jej pomocne w podejmowaniu gości słodyczami i cygaretkami. Kosztowności stroju pań muzułmańskich wynosiły chyba wielki majątek. Ja z tego wszystkiego naturalnie nic nie widziałem, gdyż cały świat męski musiał opróżnić dom długo przed przybyciem gości.

Żona moja musiała ponadto prawie codziennie zwiedzać kościoły i klasztory, szkoły, muzea, świątynie wszelkich wyznań i t. d. Ja mogłem rzadko w tem uczestniczyć. Oglądaliśmy razem tylko zakład artystyczny skarbowy, fabrykę tytoniu, braliśmy udział w zabawie ogrodowej na cele dobroczynne itd. Sam zwiedzałem szpitale, bardzo modnie urządzone systemem pawilonowym dla każdego rodzaju chorób. Wielką natomiast manifestację urządzili dla nas kolejarze, których rozmaite życzenia byłem w możności spełnić: parę tysięcy urzędników i robotników przybyło wieczorem z rodzinami do Illidže, zaopatrzeni w strojne lampiony, zgromadzili się przed naszym domem, gdzie urządzono dla nas bardzo ładne podjum i wśród mów i aklamacji defilowała cała falanga przed nami! O bukietach i kwiatkach itp., jakimi obsypywano moją żonę, nie będę chyba mówił. Zresztą niejednokrotnie witano mnie aklamacjami na ulicach, n. p. gdy wychodziłem z zakładów szkolnych serbskich, wielkim utrzymanych sumptem kościoła serbskiego.

Codziennie wyjeżdżałem rano z Illidže do Sarajewa pociągiem osobowym lub automobilem. Prawie codziennie pracowałem w rządzie krajowym: albo z szefem rządu albo z referentami, albo ze stronami, albo z całym korpusem urzędniczym, wreszcie z deputacjami episkopatu itp. Przeważającą rolę odgrywały konferencje z reprezentantami stronnictw parlamentarnych, którym przedewszystkiem złożyłem wizytę w prezydjum Sejmu. Potem odbyło się kilka posiedzeń ze zgromadzonym (naturalnie prywatnie) Sejmem w wielkiej sali posiedzeń, gdzie z trybuny przedstawiałem posłom projekta kolejowe rządu. Diskusja nie była zbyt ożywioną, zwłaszcza, że się musiała odbywać w języku niemieckim, co mimowolnie psuło ducha w zgromadzeniu; niestety, tyle nie mogłem się doówczas nauczyć języka serbskiego, aby módz prowadzić dyskusję fachową!

Z Sarajewa udaliśmy się do Mostar. Droga do Mostar prowadzi koleją wąskotorową, zębatą, przez górę Ivan z wielkim na szczycie (4.480 m) tunelem, przez Konjicę i Jabla-

nicę (rodzaj miejsca kąpielowego) i potem dolinę Narenty. Na dworcu w Mostar było przyjęcie urzędowe, podobnie jak w Sarajewie. Zajechaliśmy do hotelu rządowego „Narenta“, gdzie się odbył także oficjalny objad, za udziałem prawosławnego duchowieństwa, wydany przezemnie. Mieliśmy wielkie i ładne mieszkanie, ale moskity nie bardzo uprzyjemniają życie w Mostar. Zwiedzaliśmy słynne źródła rzeki Unny, przedmiot legendy historycznej. Historyczny zresztą jest w mieście most rzymski przez Narentę, budowany pod kątem. Zwiedzaliśmy także wielkie składy wina hercegowińskiego, wspaniałe co do barwy i smaku, tak czerwone jak i białe. Burmistrz Mujaga Mula-Mehmedović, Muzułmanin, słynny administrator, towarzyszył nam w wycieczkach; raz byłem u niego na konferencji w sprawie zakupu hotelu przez miasto.

Z Mostaru wyjechaliśmy koleją do Motković, gdzie nas przyjęto ogólnem dzwonów odgłosem, i skąd oczekujący nas statek skarbowy „Zara“ dowiózł nas wodami Narenty, już na terytorjum dalmatyńskim, na pełne morze. Statek wojenny z generałem Potiorkiem czekał w porcie i odprowadził nas jeszcze jakiś czas na morzu; generał był u mnie proszony na objad, poczem z generałem przejechaliśmy czółnem motorowem mojego statku do jego statku, gdzie na pożegnanie wypiliśmy kielich wina. Powróciwszy na „Zarę“, wypłynąłem z powrotem do domu. Statek „Zara“ (Zadar) był nowy, budowany na skutek polecenia, wydanego przezemnie jeszcze w czasie, gdym po raz wtóry był ministrem skarbu austriackiego. Był on większy i może wygodniejszy, niż używany przez nas dawniej „Biliński“, stacjonowany w Trieście. W Sebenico, porcie wojennym, ja sam odwiedziłem komendanta na statku, witany tam honorami należnemi wojskowemi. Po ślicznej pogodnej podróży zawinęliśmy do Triestu, gdzie oglądaliśmy jeszcze statek wielki emigracyjny, poczem nas pociąg dowiózł do Wiednia.

Tam nie długo zabawiłem. Załatwiwszy rzeczy najpilniejsze, wybrałem się z żoną do Ischl, nie na urlop, lecz na

pracę na wsi; zabrałem ze sobą szefa sekcji (Cerovića) i urzędnika manipulacyjnego z maszyną do pisania. Najprzód poszedłem do cesarza, aby mu ustnie powtórzyć dokładnie, co mu już pokrótce o podróży swej telegrafowałem; dodałem przytem, że mam nadzieję, iż cierpliwością przeprowadzę bośniackie projekta kolejowe. Wkrótce też pojawiły się w sprawozdaniach szefa kraju propozycje tworzenia większości sejmowej, ewentualnie bez Serbów. Zasypywano mnie szeregami wniosków co do programu większości; musiałem każdym razem kreślić rzeczy niemożliwe. Wreszcie stanęło na tem, że się utworzy większość chorwacko-muzułmańska ad hoc dla uchwalenia ustawy kolejowej. W późną jesień 1912 r. uchwalono ją, poczem uzyskała sankcję monarszą. Potrzeba jeszcze było analogicznych ustaw w Austrii i Węgrzech i długo trwało, zanim przedłożono projekta ustawodawcze w obu parlamentach. Stało się to na wiosnę 1913 r., a tymczasem rząd krajowy przygotowywał projekta techniczne do budowy. Celem uzyskania funduszków na budowę kolei bośniackich, otrzymałem już w jesieni 1913 propozycje ze strony gubernatora Siegharta. Odbływały się też o to u mnie liczne konferencje konsorcjum bankowego. Ale trudności były nie do zwalczenia, gdyż konsorcjum chciało koniecznie otrzymać monopol budowy, ja zaś byłem naturalnie zdecydowany, rozdawać roboty partjami w wolnej konkurencji, tak, by otrzymywały je dobre firmy z Bośni, Austrii i Węgier. Gdy się układy wprawdzie nie rozbiły, ale rozłazyły (a o same już układy spadła na mnie tak zw. „niełaska“ arcyksięcia Ferdynanda), nawiązałem za pośrednictwem Thalloczego stosunki z „Dresdener Bank“ i zawarłem układ po kilkutygodniowych ściśle tajnych rokowaniach. Zdecydowałem się stopę procentową podwyższyć z ówczesnych $4\frac{1}{2}$ na 5%, ale za to uzyskałem kurs emisyjny 96 za 100 i ponadto bardzo korzystne warunki co do oprocentowania nieużytej gotowizny. Pożyczka wynosiła 60 milionów koron, a to 30 milionów na budowę kolei, a 30 na inne inwestycje: sumy jak na owe czasy (1914) ogromne.

Gdy się banki austriackie i węgierskie dowiedziały o układzie, powstały wielkie kwasy, a nawet mój przyjaciel Sieghart atakował mnie w „N. Fr. Presse“. Ale rzecz się utrzymała, mimo przeszkód ze strony ministra finansów węg. Teleszky'ego, a co niebezpieczniejsza, ze strony pruskiego ministra handlu p. Sydowa. Gdy mianowicie bank zgłosił się do rządu pruskiego o prawo notowania („kotowania“) papierów nowej pożyczki na giełdzie berlińskiej, rząd zaczął robić trudności i stawiać warunki, mocą których Bośnia miałaby jako ekwiwalent zobowiązać się do zakupu pewnych towarów, np. lokomotyw itd. w Prusach czy Niemczech. To znaczy, miała to być tak zw. pożyczka „bałkańska“, kiedy Bośnia i Hercegowina wprawdzie położona na Bałkanie, stanowiła jednak część monarchji i tam miała wolny targ na kupna i sprzedaże. Pierwszych dni kwietnia 1914 r. zapowiedział się był p. Sydow do Wiednia i został zaproszony do nas na śniadanie. Zaprosiłem mu do towarzystwa ambasadę niemiecką, poselstwo bośniackie, hr. Stürgkha, bar. Buriana i w. i. Na śniadaniu tem ukochana żona moja była podziwiana przez gości, których czarującym sposobem swym bawiła. Niestety wkrótce potem zapadła na ciężką chorobę, której ulec miała w Warszawie. Było to ostatnie nasze przyjęcie oficjalne przy Johannesgasse. Ja przy owem śniadaniu nie byłem w usposobieniu zbyt dobrym, bo zaraz po niem wyznaczoną była konferencja z Prusakiem. Goście się więc rozeszli, zaczęły się narady, na których tak rząd austriacki jak węgierski dowodziły ministrowi pruskiemu, że Bośnia i Hercegowina nie są kolonią, zmuszoną płacić za pożyczki obstalunkami. Perswazje te nic nie pomogły, gość nasz odjechał bez zmiany zdania i zachodziła obawa, że pożyczka spełnie na niczem. Aż minister kolei Förster, interesowany w budowie kolei bośniackich i świadek walk obu rządów napisał mi z propozycją, bym zechciał wysłuchać jego zaufanego i szefa sekcji finansowej Dr. Grienbergera. Znałem tego urzędnika zdolnego z czasów, gdym po raz pierwszy był ministrem skarbu austriackiego. Pracował on w ministerstwie skarbu

w biurze kolejowym i bardzo ściśle i ostro pilnował interesów skarbu; za mego gubernatorstwa był już szefem departamentu kolejowego w ministerstwie. Ale za ministerstwa Böh m-Ba-werka, mego następcy z r. 1897, lecz i za Kaizla r. 1900, przyszło do jakiegoś starcia, które doprowadziło do przeniesienia Grienbergera z ministerstwa skarbu do krajowej dyrekcji skarbu, tj. do wygnania. Wygnaniec, dawny przeciwnik ministerstwa kolejowego, potrafił nawiązać tam stosunki przyjacielskie; następca Böh ma, minister Korytowski zgodził się na moją prośbę na utworzenie nowej dla Grienbergera posady przy ministerstwie kolejowym. Tam był szefem przydzielonym p. Forster, późniejszy minister kolejowy: obaj byli już przyjaciółmi, czy też się zaprzyjaźnili. P. Grienberger stał się Egerją ministra, zyskał na wpływach i stanowisku, a z wdzięczności dla mnie za poparcie zgłosił się do mnie na Johannesgasse z propozycją pomocy. Forma jej była nieco komiczna. Minister Sydow był z powołania (!) alpinistą; do Wiednia nie przyjechał do mnie, jeno na walne zgromadzenie towarzystwa „Deutsch-österreichischer Alpenverein“, z którym i ja miałem stosunki za prezydentury kolejowej, kiedy to towarzystwo wybudowało most „Biliński-Brücke“. Ale p. Grienberger był także alpinistą i jako taki już dawniej zaprzyjaźniony z Sydowem; byli przeto razem na walnym zgromadzeniu, poczem minister wyjechał via Triest na wyspę Korfu, gdzie miał zamówioną audjencję u cesarza Wilhelma, właściciela dawnej wili cesarzowej Elżbiety austriackiej. Grienberger oświadczył mi tedy, że telegraficznie dosięgnie ministra w drodze, dopędzi go osobiście w Trieście i wyjedna tam „kotowanie“ obligacyj bośniackich na giełdzie berlińskiej bez żadnych warunków. „Gesagt, getan“, jak mówią Niemcy; ja się zgodziłem na propozycję, a we trzy dni mieliśmy prawo „kotowania“. Czy nie jest to zabawne?!

Ale wróćmy do lata 1912. Minęło ono w Ischlu wśród pracy i przyjemności w cudnej przyrodzie. Z żoną moją drogą urządzaliśmy wycieczki w cudowną okolicę lub przejeżdżki w sa-

mym Ischlu. W hotelu codziennie była z Wiednia torba z aktami; liczne szły telegramy, zazwyczaj szyfrowane, do Sarajewa i z powrotem. Gdy przybył z Wiednia lub Sarajewa jaki referent, prosiłiśmy go wraz z urzędnikami bawiącymi w Ischlu razem ze mną na objad. Razu jednego odwiedził mnie wielki przedsiębiorca lasowy, pan „tajny radca“ bawarski (był obywatelem bawarskim) Steinbeis. Minister Kallay wydzierżawił mu przed laty olbrzymie obszary lasów dziewiczych w Bośni zachodniej, za cenę śmiesznie niską, ale wówczas nieodzowną, jeżeli wogóle miała nastąpić eksploatacja lasów. Steinbeis, genialny przedsiębiorca w gatunku amerykańskich farmerów na dalekim wschodzie, rozpoczął wyrąb drzewa, założył spółkę akcyjną, w której sobie zachował większość akcji, pobudował tartaki, zbudował kawał kolei lasowej do Knin na granicy Dalmacji, jako połączenie do Sebenico nad morzem; tamże urządził sobie port dla drzewa. Roku 1912 miał Steinbeis już przeszło 71 lat, ale mimo to obchodził pieszo wszystkie lasy i tartaki. Jego przybycie do Ischlu miało na celu, zaprojektować mi odkupno swoich przedsiębiorstw dla skarbu bośniacko-hercegowińskiego. Projekt ten podobał mi się bardzo, gdyż dawał mi naprzód sposobność eksploataowania lasów Steinbeisa jeszcze racjonalniej, niż on sam to czynił, bo w związku z innymi wielkimi obszarami lasów rządowych. Ale ponadto dostawałem do ręki kolej, którą mogłem wykończyć aż do linii głównej i złączyć z nią przyszłą kolej kopalnianą, przeprowadzić się mającą do pokładów rudy żelaznej w Prjeda. Przyjąłem więc chętnie do wiadomości myśli pana Steinbeisa i obiecałem prowadzić dalsze rokowania w Wiedniu z nim i jego zastępcą, adwokatem Dr. Ludwikiem Schüllerem, jednym z najznakomitszych finansistów przemysłowych, jakich spotkałem w życiu publicznym (służył mi potem także w sprawach polskich). Zanim się z nim spotkałem we Wiedniu, miałem, o ile się nie mylę, jeszcze w Ischlu konferencję w tej sprawie z referentem spraw lasowych szefem sekcji bar. Klim-

burgiem, któremu się rzecz bardzo podobała. Załatwiliśmy ją potem w Wiedniu we czwórkę.

Tymczasem w Ischlu sezon dobiegał końca. Po urodzinach cesarskich (18. VIII.), na które zawsze jako minister czynny wyjeżdżałem do Wiednia na nabożeństwo uroczyste i takiż objad u kardynała (ministrowie austriacy miewali prócz tego radę ministrów), rozjeżdżali się goście, a z końcem sierpnia i cesarz opuszczał Ischl. Często bywałem u niego na audjencjach, a na jednej z nich wspomniałem mu, że się zgłosił do mnie z Pesztu poseł Michał Karolyi. Cesarz radził mi tylko, bym się przed nim miał na ostrożności; a zanim ten pan przyjechał, otrzymałem zwykłym zwyczajem zaproszenie na objad dworski. O ile pamiętam, objad był wyznaczony na sobotę; zaproszenie było mi doręczone we wtorek czy środę. Aliści w piątek przedpołudniem odwiedził mnie dyrektor gospodarstwa dworskiego, radca dworu Prileszky. Pan Prileszky (Węgier), był mistrzem sztuki kulinarnej z zamiłowania; jego największą radością było urządzenie objadów i kolacyj na podobieństwo dworskich, mając do dyspozycyji wszystkich dostawców dworskich, umiał urządzać wszystko równie wybrednie jak stosunkowo niedrogo. Był też zawsze na usługi prezydenta ministrów lub ministrów wspólnych; przynajmniej nam na Johannesgasse oddawał tym sposobem wielkie usługi: potrzeba było tylko obstalować u niego i w końcu zapłacić, resztę t. j. jadło i napój wraz z naczyaniem, usługą i muzyką (to było wtedy modne) dostarczał p. Prileszky bez najmniejszych kłopotów czy trudów dla gospodyni. Otóż przyszedłszy do mnie, p. Prileszky oznajmił mi, iż z rozkazu cesarza, ma prosić na objad jutrzejszy także moją żonę. Odpowiedziałem spokojnie, że bardzo dziękuję za łaskawą pamięć cesarza i zaraz poproszę do siebie żonę, żeby usłyszeć, czy nie będzie jakich trudności toaletowych. Żona weszła i zapewniła, że z uwagi na porę objadową ($1\frac{1}{2}$ do 3) ma ze sobą odpowiednią garderobę. Na te nasze chłodne oświadczenia zawołał p. Prileszky: „Ależ Państwo zapewne nie wiedzą, jakie

znaczenie etykietałne ma to zaproszenie Pani! Na objady dworskie w Wiedniu prosi się wszystkie osoby powołane („hofffähig“), panów i panie; natomiast na objad rodzinny („Familiendiner“) prosiło się dotychczas z pań poza rodziną cesarską tylko żony ambasadorów, jako reprezentantów osoby panującej. Od kiedy rządzi dynastia Habsburgów, żadna jeszcze ministrowa nie była proszoną na objad rodzinny — Pani jest pierwszą taką ministrową, a zaproszenie wyszło z własnej inicjatywy cesarskiej. Naturalnie zmieniliśmy ton naszej podzięki, a ja się w rok później (1913) przekonałem, że powyższe opowiadanie było prawdziwe. I wtedy znowu była moja żona proszona, a przybyła później z mężem hrabina Berchtoldowa (z domu hr. Karolj, dama orderu gwiazdzystego), telefonowała do Prileszkyego, dlaczego ona nie proszona na objad z mężem. Prileszky przedstawił tę prośbę cesarzowi, który wprost odmówił słowy: „ponieważ jej się to nie należy“. Hrabina nie dała za wygraną i tak długo telefonowała do Prileszkyego, aż ten — jak mi opowiadał — musiał znowu przedstawić cesarzowi prośbę. Na to cesarz: „Aber warum? Es gebührt ihr ja nicht!“; na co Prileszky odrzekł, że hrabina powołuje się na moją żonę. Ostatecznie rzekł cesarz: „Das war doch was anderes. Aber wenn sie so bittet, dann meinethwegen“. W gruncie były to wszystko drobnostki, ale w monarchji wielkiego przecież znaczenia, bo cesarz chciał widocznie przez niezwykłą grzeczność dla mojej żony dać mi dowód uznania dla mojej pracy. To też zaproszenie jej zrobiło ogromne wrażenie u publiczności w Ischlu. Gdyśmy wsiadali do powozu, ażeby wyjechać do willi cesarskiej, zgromadziło się przed domem mnóstwo osób i kilku fotografów; jedną z fotografii mam u siebie na pamiątkę. Pisma ilustrowane wiedeńskie wszystkie przyniosły artykuły z rycinami o naszym zaproszeniu. Cesarz był bardzo uprzejmy, jego córka arcyks. Walerja także, sąsiedzi mojej żony przy stole to samo. Przy czarnej kawie na terasie cesarz kilkakrotnie mówił z żoną, zwłaszcza, gdy w jej imieniu dziękowałem za łaskawe zaproszenie.

Arcyksiężna kazała po objedzie przyprowadzić swoje dzieci, aby je przedstawić mojej żonie; a gdy mówiła z moją żoną stale po francusku, cesarz usłyszawszy, zawołał: „Du musst mit der Excellenz nicht französisch sprechen, sie spricht auch deutsch“. Czy arcyksiężnie było trochę trudno mówić po francusku, wątpię. Dwa razy w 1912 i 1913 r. widział cesarz w ten sposób moją żonę przy objedzie rodzinnym i czynił to dla wspólnej naszej radości. Ale musiał i poza tem słyszeć o niej niejedno dobre, bo nabrał o niej wyobrażenie najlepsze. Dowiedziałem się o tem od mojego następcy na krześle ministra wspólnego, p. Koerbera, gdy mi w lutym 1915 r. przyszedł z polecenia cesarskiego powiedzieć, że cesarz chcąc wyznaczyć mojej żonie — na wypadek mojej śmierci — pensję wdowią, kazał szukać w aktach, komu i kiedy wyznaczono do ówczas pensję najwyższą. Przekonawszy się, że to się stało u hrabiny A er n t h a l, wdowy po wielkim ministrze spraw zagranicznych, najwyższym w randze z ministrów, cesarz taką samą pensję (16.000 kor., na owe czasy bardzo wiele), przyznał mojej żonie, motywując to ustnie wobec Koerbera nadzwyczajnymi własnościami jej charakteru. Jak zawsze i wszędzie najszlachetniejszym z ludzi był Franciszek Józef.

W parę dni po pierwszym owym objedzie zjechał do Ischlu hr. Michał Karolyj, wówczas szef opozycji parlamentarnej, później (przy przewrocie 1918 r.) szef rządu komunistycznego, detronizator króla Karola, demoralizator armji węgierskiej nad Piawą. Ponieważ Karolyj zapowiedział był najściślejsze incognito, przeto moi urzędnicy musieli ułożyć formalny plan kampanji, ażeby odwrócić od tego gościa uwagę czeredy dziennikarskich reporterów, którzy cały dzień oblegali tak dom, w którym myśmy mieszkali, jak przeciwległy hotel Elżbiety. Karolyi tam nie zjechał, lecz przyszedł piechotą z dworca, zawinięty w płaszczu i wielki miękki kapelusz, tak że dzienniki sygnalizowały wizytę generała Marterera (z kancelarji wojskowej cesarskiej) u mnie. W rzeczywistości ja zaś tego generała nigdy nie widzia-

łem, a tylko w 5 lat później, już za cesarza Karola, otrzymałem od niego w zastępstwie wypędzonego raptem dyrektora kancelarii cywilnej Schiessla list z odmową audjencji mojej, jako prezesa koła, u cesarza. Ze strachu przed Rusinami — a przed kim on nie miał strachu! — biedny Karol z trudnością zdecydował się dopiero w parę dni później dezawuować generała Marterera.

Michał Karolyi jest zjawiskiem fizycznie wcale nie okazałym. Szczupły, niewielki, szepleniący; ale milioner, łożący sumy na stronnictwa opozycyjne „niezawisłości“. Żądał odemnie wyjednania u cesarza, by po upadku spodziewanym K h u e n a nie powołano do steru spraw publicznych ani T i s z y ani L u k a c s a. Perswadowałem mu, że to niemożliwe, że co najwyżej dałoby się uchylić jednego. Miałem na myśli T i s z ę, jako „zasłużonego“ już swoją drogą pogwałciciela praw sejmowych. Karolyi na to nie przystał, odjechał z Ischlu bezskutecznie. A doczekał się potem nie tylko rządów Lukacsa za prezostwa Tiszy w Sejmie, lecz później także Tiszy jako prezesa rządu. I doczekał się w 6 lat po Ischlu takiego wywyższenia własnego, że, jak wspomniałem, zdetronizował dynastję i odwoławszy na własną rękę armję węgierską z Włoch nad P i a w ą (1918), spowodował bezpośrednio demoralizację i ucieczkę całej armji austro-węgierskiej z nad linii, którą mogła i chciała trzymać się do skutku. W końcu prezydenta republiki komunistycznej węgierskiej, p. Karoly'ego, wypędził komendant francuski armji okupacyjnej, podobno generał F r a n c h e t, zgromiwszy go przedtem na „audjencji“ w Belgradzie, a naród węgierski mówi dziś ze wzgardą o „zdrajcy“, żyjącym na wygnaniu. W roku 1912 nie warto mi było fatygować cesarza osobno o wizycie Karoly'ego audjencją; zdałem mu o niej sprawę za pośrednictwem pana Schiessla, bawiącego jak zawsze przy cesarzu w Ischlu.

Za powrotem do Wiednia oczekiwał mnie w październiku dalszy ciąg delegacji wspólnych w Wiedniu. Dla ministra nie-

znającego języka węgierskiego, nie bardzo to miła była zabawka. Bo w delegacji austriackiej, odbywającej się w sali Izby Panów, mógł sobie łatwo dać rady, ale w węgierskiej — w pałacu ministerstwa à latère przy Bankgasse — wolno mu było wprawdzie przemawiać po niemiecku, ale słyszeć Węgrów tylko po węgiersku mówiących, przyczem mu osobny urzędnik tłumaczył mowy odrazu półgłosem do ucha! Mnie też zaraz na jednym z pierwszych posiedzeń spotkała przyjemność, że gdy na żądanie przedstawiając sprawę kolejową bośniacką, używałem w języku niemieckim wyrazu utartego w Austrii „gesamtstaatlich“, delegat słynny Apponyi Albert kilkakrotnie przypominał mi po węgiersku, że niema „Gesamtstaat“, lecz dwupaństwo (Staaten), a za to jedną monarchję, której nie wolno nazywać „Staat“. Także i inne przyjemności czekały mnie; to był tylko „miły rzeczy początek“... Sytuacja międzynarodowa była w owym czasie już zaciemniona. Sojusz bałkański parł do pierwszej wojny bałkańskiej. Delegacjom należało przedstawić wniosek o kredyt wojenny; chodziło o uzyskanie cesarskiej sankcji uprzedniej („Vorsanktion“) dla przedłożenia rządowego już w tym samym dniu. Rano telefonowałem do kancelarii cesarskiej o audjencję na popołudnie. Była to pora niezwykajna, ale wyznaczono g. 6 wieczorem. Gdy nadjechałem do Schönbrunn, uprzedził mnie adjutant, że cesarz bardzo zmęczony, zatem należy załatwić audjencję w kilka minut. Przyrzekłszy to, wszedłem do pokoju, gdzie cesarz przyjął mnie równie wesoło jak zwykle. Ale pomny przestrogi, przedstawiłem rzecz bardzo krótko. Na to cesarz pytał, czy nie chciałbym mu objaśnić bliżej. Usłyszawszy to, podaję krótko treść ustawy. Na to cesarz pyta znowu, czy nie chciałbym odczytać ustawy całej (potrzeba wiedzieć, że zwykle po „Vorsanktion“ minister nie przychodził sam, lecz przesyłał akt, który cesarz miał czas przestudjować dzień lub dwa!). „Naturalnie“, odrzekłem, „ale słysząc, że Najjaśniejszy Pan zmęczony, chciałem rzecz skrócić“. „Ależ proszę Pana“, odrzekł cesarz, „ja przecież jestem kontent, gdy kto do mnie przyj-

dzie, z kim mogę swobodnie porozmawiać". Audjencja trwała też jak zwykle, całą godzinę, a adjutant pożegnał się ze mną całkiem wystraszony. Musiałem się też spieszyć z powrotem, bo na godzinę 9 miałem oficjalny raut u siebie, a musiałem przedtem i przebrać się i cokolwiek zarządzić, przedewszystkiem zaś pojechać do domu po żonę. I odbył się ten raut i zrobił świetne wrażenie, a żona moja najdroższa, jak zwykle, robiła furorę.

Już na owej audjencji przed rautem dowiedziałem się od cesarza, że Nikita Czarnogórski, nie czekając na swych sprzymierzeńców, rozpoczął wojnę z Turkami. Wiadomość ta zrobiła wielkie wrażenie na moich gości. W kilkanaście dni później wybuchła oficjalnie pierwsza wojna bałkańska.

Wtedy to — przypuszczam, że w listopadzie 1912 r. — zgłosił się do mnie w biurze znany mi tylko pobieżnie z parlamentu poseł czeski Masaryk (od roku 1918/19 prezydent Rzeczypospolitej czesko-słowackiej), ażeby się pożalić na hr. Berchtolda za to, że nie przyjął zapowiedzianej wizyty prezydenta rządu serbskiego, znakomitego męża stanu Pasića, który przed rozpoczęciem wojny bałkańskiej pragnął porozumieć się o wszystkim z monarchją habsburską. Musiałem Masarykowi przyznać, że tego wcale nie wiedziałem i obiecałem mu, wpłynąć odpowiednio na Berchtolda. Była to jedyna w życiu rozmowa moja z Masarykiem, wówczas tylko znanym uczonym, ale także ekscentrycznym cokolwiek posłem, zanim w czasie wojny światowej urósł do późniejszej wysokości. Berchtold bardzo się strapił, gdy mu wyjaśniłem plany Pasića i obiecał rzecz naprawić. Niestety, było to wtedy już za późno. Pasić zamierzał za przyznanie Serbji portu nad morzem adriatyckiem ofiarować monarchji, prócz przywilejów dla kapitałów austriackich i węgierskich w Serbji zobowiązanie, że Serbja wobec południowych Słowian w monarchji zajmować będzie takie samo stanowisko, jak Rzesza Niemiecka wobec Niemców w Austrii. Nieszczęsny Berchtold odmówił przyjęcia Pasića w przekonaniu

niu, że Masaryk chce „zarobić prowizję“! Co za fatum, że Berchtold nie porozumiał się wtedy ze mną, będącym jako zarządca Bośni i Hercegowiny w tej tak ważnej kwestji najmocniej zainteresowanym! Kto wie, czy byłoby wogóle przyszło do zamachu w Serajewie i do wojny światowej, gdyby nie bezmyślność Berchtolda!

Wkrótce potem zwołana została późną jesienią delegacja do Budapesztu, dokąd i ja udałem się z całym sztabem urzędników. Delegacja stała pod wrażeniem grożącej wojny europejskiej; ale dla mnie osobiście nie miała wielkiego znaczenia. Najważniejszą była wtedy sprawa Albanji. Już wówczas delegat K r a m a r z podniósł prawie że wyraźnie w imieniu Rosji (!) jakby jej „ambasador“ podział Albanji między Grecją, Serbją i Czarnogorą z przyznaniem każdej z nich portu adriatyckiego. Pan Berchtold, związany układem hr. G o ł u c h o w s k i e g o z Włochami, stał przy samoistności Albanji (znany jej smutny koniec na szkodę prestigu monarchji habsburskiej) i może dlatego już odrzucił propozycję Pasića.

W tym samym czasie odbywała się w Londynie „Konferencja ambasadorów“, a austriacki minister spraw zagranicznych musiał w związku ze sprawozdawcami londyńskimi konferować z ambasadorami i posłami akredytowanymi w Wiedniu. Do tych konferencyj zostałem w pewnej mierze zaciągnięty osobiście wskutek mojej znajomości z posłem serbskim J o v a n o v i ć e m. On to po moim powrocie z Budapesztu odwiedził mnie, by mi wyłuszczyć sprawę serbską. Młody ten, bardzo inteligentny człowiek, z przekonania był zwolennikiem zgodnej z Monarchją polityki serbskiej. Należał on do grupy, która za cenę połączenia wszystkich krajów południowo-serbskich, byłaby gotową zamienić dynastję Karageorgewiczów na Habsburgów. Jovanović znał moje dobre stosunki z ludnością Bośni i Hercegowiny, do których to krajów Serbja rościła sobie pretensje. Chętnie przeto rozmawiał ze mną często o tych sprawach, jak i o ogólnych poudniowo-słowiańskich. Będąc raz już w czasie konferencji

ambasadorów u Berchtolda, wspomniałem mu o moich rozmowach z Jovanovićem, na co on wyraził życzenie, bym ja objął w jego imieniu „konwersację“ z posłem serbskim, na których podstawie on potem będzie załatwiał kwestje, przesyłane mu w sprawach serbskich z Londynu. Na tem stanęło i tak szły rzeczy przez cały czas aż do pokoju londyńskiego. Ułożyłem najprzód za zgodą Berchtolda dla rządu serbskiego program naszego stosunku w Bośni i Hercegowinie do Serbji; niestety nie przyszło do jego załatwienia, bo narzucały się sprawy szersze. Główną rolę odgrywała granica Serbji od strony albańskiej. Na południu od Sandżaku-Novi-Bazar, który hr. Aerenthal odstąpił był r. 1909 dobrowolnie — wbrew radom generała Conrada — Turcji z nadpłatą, udało mi się uzyskać dla Serbji przyznanie kilku historycznych miejsc granicznych, etnograficznie albańskich, ale tradycyjnie serbskich. Tym sposobem zacieśniały się węzły między monarchją i Serbją, co mnie sprawiało satysfakcję polityczną. Ja byłem bowiem zawsze zapartywania, że monarchja mocą swego sąsiedztwa ze Serbją winna się raczej zbliżać do niej, niż do Bułgarji. Niejednokrotnie powiodło mi się przekonać o tem także Berchtolda, który pół roku później, w lipcu 1913 r., jadąc do Ischlu, obiecał mi, wyjednać u cesarza zgodę na myśl moją. Chodziło tedy o żądanie rewizji pokoju bukareszteńskiego na szkodę Serbji a na pożytek Bułgarji, czego ja odradzałem. Niestety historia poszła inną drogą i ja jestem ostatni, któryby chciał twierdzić, że polityka, tak świetnie prowadzona w Zofji przez hr. Adama Tarnowskiego, była z góry błędną. Koncepcja przyjaźni bułgarskiej pochodziła z Węgier, a raczej z nienawiści węgierskiej do Serbów; bronił jej od samego początku Tisza. Ponieważ zaś decydującymi w polityce zagranicznej według interpretacji konstytucji przez wszechmocnych Węgrów są dwaj prezydenci ministrów, a w rzeczywistości węgierski, wstrzymujący ministra spraw zagranicznych na każdym kroku, przeto nam innym członkom rządu wspólnego, nie przysługiwał wpływ tak silny, by mogła

z niego wynikać zmiana radykalna polityki. Dlatego to tak nierozsądna jest baśń rozsiewana, jakobym to ja (!) w 1914 r. miał zdecydować o wojnie, co do której nawet wszechmocny Tisza nie miał siły rozstrzygającej. Dlatego też i alternatywa: Serbja czy Bułgarja nie zależała w gruncie odemnie. Osobiście jednak pozostaję przy tem, że miałem rację: zdrada Bułgarji w chwili najtrudniejszej dla mocarstw centralnych — które swoją drogą w kwestji Dobrudży zdradziły były Bułgarję — nie przemówiła ex post za koncepcją bułgarską!

Na wiosnę 1913 r. możnaby jeszcze było związać się z Serbją, któraby była chętnie zdradziła w sekrecie Rosję. Ale wypadki same przeszkodziły temu. Po wielkiem zwycięstwie Serbów nad rzeką Vardar, w okolicy słynnych historycznych „Kosovo-polje“ (pola Kosów) gdzie u Turków zdobyto przy pomocy Albańczyków 300 armat najnowszego systemu, zdawało się, że Serbowie zajmą zgodnie miejsce w historii obok Albanji. Nie chcę przez to powiedzieć, iż godziłem się na politykę monarchji w kierunku niezawisłości Albanji. Przeciwnie, słuszność wspomnianych co dopiero wniosków Kramarza co do podziału Albanji między Czarnogórę, Serbję i Grecję, potwierdził mi później bardzo gruntownie słynny mój imiennik konsul Biliński, który ze swą znakomitą żoną Elzą zastępował monarchję w fortecy Janina aż do jej zdobycia przez Greków. Takie uprawnienie Serbów do $\frac{1}{3}$ wybrzeża albańskiego, byłoby ich wogólności mogło powstrzymać od wojny. Ale Monarchja miała, jak wspomniałem, jeszcze z czasów ministra Gołuchowskiego (syna) układ z Włochami co do wspólności interesów w Albanji i musiała prawdopodobnie pozostać przy tem. Wskutek tego i Serbowie po bitwie powyższej zamiast wdzięczności dla Albańczyków, zachowali dawną do nich niechęć w swem pragnieniu dostępu do ich morza. Doszło też do wiadomości rządu wiedeńskiego, że Serbowie zamierzają napaść nagle sąsiednich Albańczyków i wyciąć ich bez wypowiedzenia wojny. Właśnie byliśmy zajęci ważnym tym problemem, gdy

znowu się zapowiedział we Wiedniu Pasić i został tym razem przyjęty. Program był tak ułożony, że rano będzie wspólne posiedzenie rady ministrów, potem konferencja Pasića z Berchtoldem i zaraz po niej śniadanie u Berchtolda, później popołudniu wizyta Pasića u mnie (na własne jego żądanie za pośrednictwem Jovanovića), a wieczorem do nocy dalszy ciąg rady ministrów. Nie potrzebuję dodawać, że sprawa albańska była tłem sytuacji. Stary Pasić pełen ognia i wymowy, siedział przy stole między mną i Tiszą, bawiliśmy się dość powierzchniennie, bez poruszania kwestji, należących do konferencji. Gdy po śniadaniu odszedł Pasić, zapowiadając się na godzinę 5-tą do mnie, a myśmy jeszcze wszyscy pozostali, przystępuje do mnie Berchtold i powiada: „ach, wyobraź Pan sobie, ja zapomniałem (!) przestrzedz Pasića przed najazdem Albańczyków, niech też Pan mu to powie w moim imieniu“. Trochę się przestraszyłem tem „zapomnieniem“, ale tem sumiennie, acz oględnie w czasie wizyty prosiłem Pasića, by się Serbja zachciała wobec Albańczyków zachować przyjaźnie. Spodziewałem się, że mnie rozumiał; ale pewnego przekonania o tem nie miałem, boć wprost poleceń nie mogłem dawać szefowi obcego rządu. Wieczorem przedstawiłem swoje szkrupuły Berchtoldowi, który na to oświadczył, że pojedzie do opery, gdzie w łoży dworskiej znajdował się Pasić. Ale w owej godzinie Pasić wyszedł był już przed końcem przedstawienia do hotelu, a gdy Berchtold tam nadszedł, Pasić już był w łóżku. Powróciwszy na radę ministrów, oświadczył tedy Berchtold, że zaraz w nocy napisze do Pasića list, który mu zostanie wręczony rano przed odjazdem. Tak się też stało i rząd mógł spokojnie czekać powrotu Pasića aż do chwili — w której tenże oświadczył w Izbie serbskiej zamiar walki z Albanją! Nie pozostawało nic innego, jak wystosować do rządu serbskiego ultimatum z zagrożeniem wkroczenia do Serbji, jeżeli do 48 godzin nie będzie cofnięty zamiar walki z Albanją. Ultimatum poskutkowało, ale zaraz potem przyleciał do mnie Jovanović z wiel-

kiemi wyrzutami, że go nie uprzedziłem o tak ważnych zamiarach rządu. Przyznałem mu rację pod względem formalnym, ale w rzeczy samej przypuszczałem, że wie od Pasića o wszystkim, tak o mojej rozmowie, jak o liście Berchtolda. O rozmowie wiedział: Pasić mnie zrozumiał, tylko że nie spodziewał się tak energicznego kroku, jak ultimatum (jużci nie mogłem mu tem grozić, nie wiedząc sam, co rząd w przyszłości postanowi); także o liście Berchtolda Jovanović wiedział, ale nic o jego treści. Postanowiliśmy zatem, że on zwróci się pisemnie do Pasića o wyjaśnienie w sprawie listu Berchtolda, a ja wezmę od Berchtolda odpis jego listu. Jedno i drugie wydało rezultaty wprost fatalne. Berchtold nie dyktował listu, jeno napisał go własnoręcznie, bez kopji; podał mi jednak treść w formie tak wodnistej, że w porównaniu z nią moja deklaracja wobec Pasića zawierała wprost groźbę. Jovanović zaś przyniósł mi szczegóły następujące: Odprowadzał on Pasića aż do Pesztu; przed rozstaniem się przypomniał sobie Pasić, że tuż przed odjazdem wręczono mu list od Berchtolda, wyjął go więc i chciał go wspólnie odczytać, ale niewyraźne pismo niemieckie (Berchtold istotnie miał takie pismo), skreślone czcionkami nie łacińskimi, lecz nieznanymi Serbom germańskimi (Currentschrift), nie dało się w prędkości odczytać na dworcu. Po powrocie do Belgradu Pasić kazał list odczytać i znalazł go tak niewinnym, że już moja deklaracja musiała ustąpić miejsca listowi ministra spraw zagranicz. Ja ze swej strony musiałem potwierdzić zapatrywanie co do treści listu. Ale z tego — powiedzmy otwarcie — zaniedbania Berchtolda wyniknęło prawdziwe nieszczęście: od tej chwili Serbja raz na zawsze odwróciła się od Monarchji.

Tego samego roku dożyliśmy zresztą innego, daleko poważniejszego ultimatum, wystosowanego do Czarnogóry z powodu zajęcia przez króla Nikitę miasta Skutari (nad jeziorem Skutari), przynależnego według umowy austriacko-włoskiej do Albanji. Ultimatum to było poprostu wstępem do wojny, której Europa uniknęła tylko wskutek wpływu cara Mikołaja II

na króla Nikitę w kierunku opuszczenia Skutari. Ale przez kilkanaście dni groziła wojna, a niebezpieczeństwo jej oddziało także na zarząd Bośni i Hercegowiny. Naczelnik kraju generał Potiorek domagał się mobilizacji pułków bośniackich, tworzących wprawdzie część wspólnej armii, ale będących przecież rodzajem armii bośniackiej. Na to nie chciałem się żadną miarą zgodzić, bo toby wprost prowadziło do wybuchu wojny z najbliższym sąsiadem Hercegowiny, a może do czegoś gorszego, do fraternizacji obu armii sąsiednich. Dla złagodzenia mego oporu przeciw wnioskowi naczelnika kraju, za którym skłaniał się także Berchtold, zgodziłem się na wprowadzenie w Bośni i Hercegowinie stanu wyjątkowego, przewidzianego w konstytucji „na wypadek grożącej wojny”. Za zgodą cesarza wydałem rozporządzenie odnośnie w dniu 3 maja 1913 r. Pamiętam tę datę, bo właśnie tego dnia arcyksiążę Franciszek Ferdynand otwierał imieniem cesarza „Adria“-wystawę w Praterze i przy tej sposobności opowiadałem mu o publikacji stanu wyjątkowego w dniu ówczesnym. Arcyksiążę zresztą nie wierzył wtedy w wojnę i nigdy jej sobie nie życzył, pod wpływem żony, która obawiała się o jego zdrowie czy życie na stanowisku naczelnego wodza. Dnia 3 maja 1913 r. widziałem zresztą arcyksięcia po raz ostatni. Z księżną Hohenberg, małżonką arcyksięcia, mówiłem raz tylko w życiu, ale później. Zaproszony do niej, zostałem wprowadzony do salonów zamieszkałego przez nią skrzydła wspaniałego pałacu belwederskiego, dawnej rezydencji letniej Eugenjusza księcia sabaudzkiego (budowany przez Fischera von Erlach). Po chwili weszła do sali dama piękna i dystygowana, poruszająca się jednak tak sztywnie jak lalka. Siedzieliśmy nie zbyt długo: prosiła mnie o wsparcie jakiegoś klasztoru w Bośni. Prośbę wniesiono do niej, ale arcyksięstwo byli niestety więcej niż oszczędni, co im niesłychanie szkodziło u publiczności. Naturalnie, że przyrzekłem subwencję i udzieliłem jej istotnie z funduszków państwowych.

Naprężenie polityczne z powodu ultimatum trwało około

tygodnia. Wkońcu Nikita jednak opuścił Skutari, niebezpieczeństwo wojny zostało zażegnane, poseł Jovanović wznowił swoje wizyty u mnie, konferencja ambasadorów znów obradowała na korzyść Bałkanu i wszystkich innych państw z wyjątkiem Monarchji, popieranej tylko przez Niemcy. Bośnia wyszła na kryzysie najgorzej, bo podpadła pod stan wyjątkowy; ale usunięcie niebezpieczeństwa wojny usunęło też podstawę prawną dla stanu takiego. Postanowiłem przeto już około 10 maja 1913 roku znieść stan wyjątkowy i przekonałem o tej potrzebie Berchtolda. Ale trzeci minister wspólny, minister wojny wyraził aktem odrębnym zdanie przeciwne. Nakłonił go do tego Naczelnik kraju Potiorek, który tak do niego, jak do mnie, a i do szefa kancelarii wojskowej cesarza, jen. Bolfrasa, wysłał adjutanta swego z żądaniem dłuższego utrzymania stanu wyjątkowego. Pan Potiorek, który do Serbów żywił nienawiść polityczną i osobistą, skorzystał ze stanu wyjątkowego i natychmiast rozwiązał tysiące stowarzyszeń politycznych, szkolnych i kościelnych serbskich, konfiskując zarazem ich majątek. Naturalnie, że trudno mu było cofnąć się przed Sejmem, który po zniesieniu stanu wyjątkowego znowu miał zostać zwołany, i usprawiedliwić swoje postępowanie. Ale to wszystko przemawiało u mnie właśnie za powrotem do stanu normalnego. W porozumieniu z Berchtoldem postanowiłem udać się do cesarza osobiście z wnioskiem piśmiennym o zniesienie stanu wyjątkowego. Przedtem zaprosiłem sobie ministra wojny jen. Kroatina i przekonałem go, że z uwagi na brak podstawy konstytucyjnej winien cofnąć swój wniosek, znajdujący się u mnie. Stało się to zaraz w biurze mojem, a akt zmieniony osobiście i podpisany ponownie przez Kroatina, zatrzymałem u siebie. I wtedy dopiero pojechałem do cesarza na audjencję. Cesarz był stanowczo uprzedzony w duchu zamierzeń Potioreka, którego bardzo lubił, wymagając swoją drogą od niego, by mnie był posłuszny, o co mnie często zapytywał. Ja równie stanowczo nalegałem na zniesienie stanu wyjątkowego. Na uwagę o oporze ministra wojny

przedstawiłem ów akt, cofający opór. Prawie godzinę musiałem przekonywać cesarza, że dla dobra jego i monarchji muszę utrzymać w mocy moją radę. Po najsilniejszym oporze Franciszek Józef, acz z ciężkim sercem, podpisał mój wniosek. Była to jedna z najcięższych moich audjencji.

Jakież jednak były skutki mego zwycięstwa? Oto Potiorek, acz wściekły na mnie, rozpoczął z Serbami rokowania o wstąpienie do większości w Sejmie. Na pierwszy moment to się nawet powiodło jeszcze przed latem. Jeftanović, jako świecka głowa kościoła i Šola jako prezydent „Sabora“ (sejmu) przedstawili szefowi kraju na piśmie swoje warunki, zbliżone do zeszłorocznych chorwacko-muzułmańskich, i swoją deklarację, przystąpienia całego stronnictwa do większości. Ale w kilka dni później zgłosił się Jeftanović osobiście u Potioreka z wyrazem żalu, że musi wraz z swoją grupą odstąpić od złożonej deklaracji, „ponieważ w Belgradzie nie chcą się na to zgodzić“; Motyw ten cyniczny zawierał wówczas właściwie zbrodnię stanu! ale takie to były ówczesne w Bośni stosunki. Na to doświadczenie powoływałem się r. 1914 na owej słynnej radzie ministrów lipcowej, na której ja miałem rzekomo „rozstrzygnąć decyzję za wojną“! Powoływałem się na owe oświadczenie Jeftanovića jako na dowód konieczności historycznego rozstrzygnięcia w kwestji południowo-słowiańskiej, czy to w drodze układów, czy wojny!... Muszę zresztą poświadczyć, że nie wszyscy Serbowie stanęli zaraz za Jeftanovićem, który zawsze uchodził za „zdrajcę“, o którym już minister Kallay wyrzekł raz do bar. Kuh-Chrobaka, że chętnie wypłaciłby mu wielką sumę, gdyby potrafił Jeftanovića powiesić na szubienicy! Po ustąpieniu frakcji Jeftanovića jen. Potiorek zaczął prowadzić rokowania ze skrzydłem prawem Serbów pod wodzą słynnego adwokata i obrońcy karnego w Białej Dr Dimovića (1919 r. minister sprawiedliwości w Jugosławji). Był to człowiek z taką odwagą cywilną, że wygłosił hasło „połączenia Bośni i Hercegowiny z dynastją na podstawie sankcji pragmatycznej“, która od r. 1713

łączyła „kraje dziedziczne“ (niemieckie) i „koronę św. Szcze-pana“ z dynastją (1921 r. zniesiona uchwałą Sejmu na Wę-grzech). Radykalni Serbowie, skompromitowani powołaniem się Jeftanovića na Belgrad, złożyli mandaty do Sejmu (także Šola), a przy wyborach uzupełniających zwyciężyli wszyscy kandydaci nowego szefa stronnictwa, poparci gorąco przez władze rządowe. W jesieni 1913 r. przybył do mnie Potiorek z Dimo-vićem, ażeby ułożyć program prac i pakt między nowem stronnictwem a Chorwatami i Muzułmanami. Radziliśmy przez cały szereg dni; protokół kazałem tym razem prowadzić Će-rovićowi absolutnie pewnemu świadkowi. Główne punkty programu były: ustawa o języku urzędowym serbo-chorwackim, przejęcie części ciężaru wykupna kmetów z nich samych na państwo bośniacko-hercegowińskie i wreszcie cały szereg przy-gotowanych już zresztą przez rząd krajowy projektów do ustaw inwestycyjnych (drogi, szkoły, osuszania, odwadniania, szpitale itd.) za sumę około 30 mil. K. Przypominam, że taką właśnie sumę zaciągnąłem pół roku później w Berlinie obok drugich 30 mil. K. na koleje. Układ zrobiliśmy pisemnie, dwa inne kluby przyjęły go także z pewnemi koncesjami dla siebie i Bośnia i Hercegowina weszły na tory wielkiej polityki narodowej, spo-łecznej, kulturalnej i gospodarczej, której pomysły urzeczywi-stnienie musiało prawie pewnie sprowadzić wysoki i wszech-stronny rozkwit tych szczęśliwych krajów.

Ja osobiście wierzyłem silnie w powodzenie tych reform, a dla zabezpieczenia ich całości ułożyliśmy tak zw. „junctim“, czyli równoczesność sankcji cesarskiej dla całego programu, włącznie naturalnie z normalnym budżetem. Najprzód trzeba było zabrać się do pracy nad ustawą językową, dla któ-rej nie było z natury rzeczy nic przygotowane, bo do ówczas rozumiało się samo przez się, że językiem wewnętrznym jest niemiecki, a serbo-chorwacki tylko dla korespondencji ze stro-nami. Dałem też przeto rządowi krajowemu wskazówki, jak ustawa ma być skonstruowaną: w urzędowaniu wewnętrznem

język narodowy, wyjątkowo dla kolei — z przyczyn strategicznych! — niemiecki (tak było i w Galicji, co prawda aż za wiele, jak obaczymy później), w korespondencji ze stronami obok języka serbo-chorwackiego także niemiecki (dla Austrii!) i węgierski (dla Węgier). Wiele kosztowało kłopotu przekonanie polityków sarajewskich o potrzebie ustępstwa przy kolejach: poczyniliśmy potem liczne od tego ustępstwa wyjątki na rzecz języka narodowego. W dalszym ciągu prowadziłem rokowania z obu rządami i muszę przyznać, że stosunkowo więcej trudności robił tym razem wyjątkowo Stuergh niż Tisza (mianowany tymczasem prezesem rządu węgierskiego). Wynikało to z ich stanowisk konstytucyjno-narodowych: prezesowi węgierskiemu chodziło tylko o zastąpienie języka węgierskiego, ale poza tem popierał ustawę i nawet później bardzo przynaglał jej sankcję, której nie mogłem wyjednać z powodu „junctim“. Koniec był taki, że przed samem Bożem Narodzeniem 1913 r. ustawa językowa została w Sejmie bośniackim uchwaloną. Była to jedna z najpiękniejszych chwil w życiu konstytucyjnym tego narodu.

Nowela kmetowa była szybko przygotowana, ale miała wejść na sam koniec porządku dziennego. Ustawy inwestycyjne były gotowe już z czasów bar. Buriana, ale za to układy z rządami szły krokiem żółwim: hr. Stuergh co prawda godził się zaraz na wszystko; Tisza i Teleszky walczyli o każdy paragraf. Widocznie nie było im to sympatyczne, by się Bośnia i Hercegowina zanadto szybko podniosły. O program sanitarny musiała do Pesztu nawet przyjechać osobna deputacja bośniacka, zanim uzyskano zgodę Węgrów. Wszystkie trudności robiono naturalnie ze stanowiska finansowego z rzekomej obawy przed koniecznością pokrycia niedoborów przez oba rządy. A jednak — pominiawszy wielkie wydatki militarne a i kulturalne z czasów okupacji — Bośnia i Hercegowina zawsze pokrywały wszystko z własnych funduszy, nawet swoje kontyngenty wojskowe, a na dochodach cłowych była wręcz krzywdzona przez monarchję,

która za mało jej płaciła „aversum słowego“ za wolność dowozu i przewozu towarów do monarchji. Wysokie podatki spożywcze ja sam wprowadzałem na mocy upoważnienia cesarskiego, a ludność znosiła je chętnie! Ostatecznie także ustawy inwestycyjne zostały uchwalone w styczniu i lutym 1914 r. Do spełnienia programu brakowało jeszcze tylko ustawy o kmetach, ale i budżetu. Uchwalone już ustawy odpowiadały pragnieniom wszystkich stronnictw na polu narodowym i ekonomicznym; ustawa o kmetach, przeważnie należnych do narodu serbskiego, obchodziła przede wszystkim Serbów. Ale właśnie Serbowie byli zawsze największymi przeciwnikami zatwierdzenia budżetu: z jakichś iście dzieciennych pobudek zdawało się w gruncie wszystkim posłom, że załatwienie budżetu stanowi przyjemność dla rządu! W szczególności było im trudno wotować fundusz dyspozycyjny, dawniej 100.000, później 200.000 koron, jakkolwiek pieniądze te wydawano przeważnie na cele religijne, kulturalne i humanitarne kraju. Swoją drogą głównie na cele katolickie, bo Serbowie i Muzułmani mieli dość własnych funduszy na cele kościelne i szkolne. Z uwagi na to wszystko żądałem od stronnictw, by najprzód uchwały budżet, zanim będzie przedłożona ustawa o kmetach. Na tem utknęła sprawa na kilka tygodni, a tymczasem nadchodziła w tajemnicy przed całym światem — chwila zamachu dnia 28 czerwca 1914 r. Wkrótce po tem zdarzeniu przybyli w pierwszych dniach lipca do mnie do Wiednia przedstawiciele Chorwatów, Dr Sunarić (następca Mandića), Serbów Dimoić i Muzułmanów Bašagić z zapytaniem, co mają robić? Dla ostrożności zaprosiłem do narady na świadka szefa sekcji Cerovića. Odpowiedziałem, że radzę bardzo gorąco uchwalenie najnaglejsze obu ustaw: budżetu i ustawy o kmetach; liczyłem przytem bardzo stanowczo na wierne wytrwanie stronnictwa rządowego serbskiego i na energiczne, categoryczne kierownictwo stronnictwa przez znakomitego jego szefa. Zanim cokolwiek innego mogło nastąpić, pragnąłem uzyskać sankcję cesarską na cały kompleks ustaw kompromiso-

wych. Nadzieja moja osłabła przy sposobności drugiej wizyty tych panów już bez udziału reprezentanta Serbów, gdy Sunarić bardzo gwałtownie zapewniał, iż Chorwaci nie mają teraz innej myśli i chęci, jak wystrzelać wszystkich Serbów, spotykanych na ulicy (mordercy arcyksięcia byli Serbami!) Ja na to powtarzałem moją radę już bez wielkiej nadziei; tak wtedy jak później około połowy lipca, gdy ci sami panowie odwiedzili mnie w Ischlu i zapewniali o swej lojalności. Niestety wszystko bez skutku. Wszystkie ustawy, wszystkie gwarancje rozkwitu, w czas nie wyratowane, utonęły w wojnie. A nowe rządy jugosłowiańskie ani myślą o wznowieniu tego całego programu, odstręczając tem Bośniaków na równi z Chorwatami węgierskimi od nowej wspólnej ojczyzny. W owym czasie jednak dobrze było, żem sobie dobrał Cerovića świadkiem. Bo oto już po ukończeniu wojny, gdy Belgrad stał się stolicą wszystkich Słowian południowych, zebrało się tam gdzieś w początkach 1919 r. grono posłów z wszystkich części Jugosławji i zaczęli rozprawać o czasach przedwojennych. Wtedy Sunarić wyraził żal, że ja owej deputacji w lipcu 1914 r. nie miałem nic innego do odpowiedzenia, jak wskazać na prawdopodobieństwo wybuchu wojny. Na szczęście obecny na zebraniu poselskiem Cerović zabrał głos, ażeby jako świadek naoczny przypomnieć publicznie Sunarićowi, iż ja byłem za pracą parlamentarną, a on za wystrzeleniem Serbów. Ale jeszcze przedtem ten sam Sunarić był u mnie w domu w połowie września r. 1918 wraz z tymi samymi towarzyszami, których miał r. 1914 i prosił mnie o wstawienie się u ministra spraw zagranicznych Buriana, by monarchja zgodziła się na złączenie wszystkich południowych Słowian, zamieszkałych w Austrii, Węgrzech i Bośni w jedno państwo!

Był to naprawdę ostatni i jedyny jeszcze ratunek monarchji, na który — mówiąc nawiasem — zwywali mnie ci panowie, twierdząc, że usiłowali drogą wpływu arcybiskupa Stadlera na cesarżową Zytę przeprowadzić moje powołanie na ministra

wspólnego. I do dziś zresztą, jak twierdzi Cerović, wierzą Bošnjacy, że tylko ja mógłbym ich być wyratować. Od niego to posiadam szczegóły następujące: Burian chciał tylko przyłączyć Bošnję do Słowian połudn.-węgierskich, zgodnie z rozkazem hr. Tiszy, który w ostatniej podróży po tych krajach jeszcze twardziej i bezwzględniej i wśród gwałtownych opozycji tamtejszych polityków tę myśl ustalił — i losy monarchji się spełniły! A to wszystko działo się za ostatniego z rzędu ministra skarbu wspólnego Spitzmüllera, który przedstawwszy w Sarajewie osobiście swoje przekonanie, iż po wojnie sprawy narodowe zejną z pierwszego planu (11), dozwolił Tiszy tej podróży nie szczęsnej. Gdy bar. Burian ustąpiwszy z Johannesgasse na Ballplatz, zaczął z tamtąd zawiadywać także ministerstwem skarbu wspólnego, poruszyła prasa wiedeńska żądanie, by w miejsce dotychczasowego Węgra, przeniesionego na tekę ministra spraw zagranicznych, zamianowano Austriaka ministrem skarbu. I otóż wtedy właśnie politycy bośniaccy, pomni mojej działalności w ich kraju, powzięli myśl przeforsowania mojej kandydatury na Johannesgasse, z postulatem połączenia wszystkich Słowian południowych monarchji pod berłem habsburskim. Wierząc, że ja potrafię to przeprowadzić (ja nie wierzę w to i dzisiaj, bo znałem zanadto dobrze zachłanność Węgrów!), rozpoczęli agitację tak w kraju, jaki w Wiedniu, gdzie posiadali dość dobre stosunki u góry aż do dworu. Ale pocóż byliby Węgrzy? Hr. Tisza zażądał od cesarza powołania Spitzmüllera (który już r. 1916 z czasów ministerstwa Koerbera uchodził, może niesłusznie, za szczególnego przyjaciela Węgrów) i Spitzmüller został mianowany. To też wszystko poszło torem, kierowanym przez Węgrów. Naturalnie, że nie dopuścili szerokiej idei delegaty z Bośni i Hercegowiny.

Ale wróćmy do końca r. 1912. Delegacje w Budapeszcie zakończyły się przed świętami Bożego Narodzenia. We Wiedniu miałem jeszcze czas wydać w dniu 18 grudnia objad dyplomatyczny, który z powodu jakiejś żałoby dworskiej musiał się od-

być u mnie w domu przy Tulpengasse. Gotował kucharz dworski z polecenia radcy Prileszky'ego. Było nas stosownie do małego pokoju jadalnego tylko osób 12: prócz nas, pp. Berchtoldowie, ambasador Tschirsky, pp. Zalescy, hrabia Stuerghk, pp. Bienerthowie, minister Długosz i ktoś 12-ty, na które to miejsce nie zaprosiłem niestety namiestnika Bobrzyńskiego, dowiedziawszy się dopiero w ten sam dzień o jego przybyciu ze Lwowa. Opowiadam o tym objedzie dlatego, ponieważ na nim to właśnie rozstrzygnęły się po części losy wojny bałkańskiej. Po objedzie zasiedli sobie w salonie Berchtold z Tschirskym dla omówienia sytuacji. Jako gospodarz nie mogłem bez przerwy zatrzymywać się przy nich; ale tyle słyszałem dostatecznie, że ambasador odradzał bardzo ministrowi zbyt naciskanie na Serbję ze szkodą innych państw bałkańskich. Przypominam, iż w pół roku później i ja — acz z innego stanowiska — dawałem Berchtoldowi podobną radę. Moja współpraca z posłem Jovanovićem była poczęści skutkiem powyższej rozmowy i polityki, która we Wiedniu miała Serbom przysporzyć pomoc Austrii, a w Londynie pomoc dla Austrii wobec Rosji i Serbji. Dogodny, miękki, trochę chwiejny Berchtold nie bardzo lubił twardego Tschirsky'ego. Berchtold był nieodrodnym synem ojca, którego znałem dobrze z parlamentu z jego dowcipu, rozumu, uprzejmości, ale także smakoszostwa. Od niego samego słyszałem zabawne wydarzenie wynikłe z obyczaju jego, chowania zawsze „menu“ z przeszonych objadów, zapisawszy na nich dla swego kucharza potrzebne notatki przy każdej potrawie. Oto u arcyksięcia Wilhelma (który w lecie 1893 czy 94 r. zginął w Baden w czasie jazdy konnej), bywały w pałacu „Zakonu niemieckiego“, którego był Wielkim Mistrzem, bardzo znakomicie gotowane objady, na które i ja bardzo często byłem proszony. Pewnego razu spostrzegł arcyksiążę przy czarnej kawie u swego ulubieńca Berchtolda wyglądające z kieszeni „menu“ i prosił o pokazanie mu swoich notatek. Chcąc nie chcąc musiał gość wyjąć z kieszeni karteczkę,

a gospodarz zaczął odczytywać notatki. Znalazłszy przy jednej z potraw tylko literę „m.“, zapytał o jej znaczenie; po dłuższym oporze musiał Berchtold wyznać, że ona oznacza „miserabel“, t. j. „nędzne“, co naturalnie wywołało burzę wesołości. Takiego to ojca synem był Leopold Berchtold, minister „wojenny“ z musu, nie z upodobania całkiem odmiennego, wcale nie tak krwiożerczego, jakim go przedstawia Kanner w dziele swoim. Dowodem tego, że nawet jeszcze w czasie wojny interesowały go wyścigi, krawatki, a — jak złe języki twierdziły — i kobiety, prawie więcej jak przebieg wojny. Natomiast Tschirsky, pochodzący z Wendów saskich, był widocznie z krwi mieszanej, bardzo zimny, twardy i konsekwentny. Często podziwiałem jego rozum i chętnie bywałem w jego domu gościnnym.

Delegacje roku 1914 — ostatnie z rządu po wszystkie czasy! — obradowały przez marzec i kwiecień w Peszcie. Wybrałem się na nie z ciężkiem sercem, bo na parę dni przedtem zachorowała moja droga żona. I mnie samemu nie bardzo dopisywało zdrowie w Peszcie. Ale za to sprawy urzędowe szły tam lepiej, niż kiedykolwiek, jak gdyby na to, ażeby później rozczarowanie było tem większe. W delegacji węgierskiej nie miałem trudności, zwłaszcza gdy przyrzekłem, że na przyszłej (!) delegacji chętnie omówię wpływ taryfy kolejowej bośniackiej na interesy Węgier. Naturalnie byłbym musiał to samo przyznać i Austrii; ale gra na instrumencie taryf była od czasu słynnego ministra Barosa ulubionym środkiem polityki węgierskiej, zwłaszcza wobec „wrogiej“ Austrii! W delegacji austriackiej miałem wielką mowę programową. Tuż przed nią wypowiedział dla mnie hymny pochwalne mój wróg polityczny poseł chrześcijańsko-społeczny słoweński ks. Dr Krek. A chwilę po niej oświadczył delegat socjalistyczny, słynny Dr Ellenbogen: „Biliński ist nicht ein Minister, er ist schlechtweg der Minister“. Był to wtedy mój śpiew łabędzi w delegacjach!

Dziwnym trafem zresztą z ówczesną delegacją peszteńską wiąże się dla mnie już także przyszła wojna! Jeszcze w styczniu

1914 roku zdawał mi generał Potiorek sprawę z rozmowy z arcyksięciem Franciszkiem Ferdynandem, który zamierzał wyjechać do Bośni „w charakterze czysto wojskowym“. Z rozmowy tej wynikało, że arcyksiążę wyraził życzenie, by się tą sprawą zajął wyłącznie szef kraju, jako naczelny komendant, nie wciągając wcale w akcję ministerstwa skarbu wspólnego. Przeciw tej konstrukcji nie mogłem mieć nic do zarzucenia, bo stosownie do organizacji kraju nie mieszałem się do spraw administracji wojskowej — po za kwestją kontyngentu rekrutów i pokrycia jego kosztów — wcale. O ile sobie przypominam, pisma bezimiennie z groźbą zamordowania arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, Berchtolda, mnie, dwóch premierów i szeregu innych osób, wówczas jeszcze nas nie dochodziły. Później były doskonale znane rządowi, wojsku i dworowi i nie robiły na nikogo wrażenia, właśnie z uwagi na zapowiedź tych morderstw: rewolucje zapowiedziane bywają najmniej niebezpieczne. Najlepszym zresztą dowodem, że ja tych pogroźek nie brałem na serjo, jest fakt, że sam postanowiłem wyjechać z żoną do Bośni w miesiącu czerwcu i kazałem naczelnikowi kraju wypracować program podróży. Otóż właśnie w czasie delegacji peszteńskiej przyjechał do mnie do Budapesztu niezapowiedziany gen. Potiorek, ażeby omówić sprawę podróży mojej urzędowej. Wiadomość dziennikarska o tem przybyciu szefa kraju tak zdziwiła cesarza, że tuż przed mową tronową na zamku królewskim kazał mnie odszukać przez dyrektora kancelarii Schiessla i zapytać o powód nagłej tej podróży. Odrzekłem, że Potiorekowi chodzi o rzecz formalną, o szczegóły mojej podróży; ale cesarz w głębokiej swej mądrości i swym instynktem politycznym przeczuł widocznie, że z tą sprawą „formalną“ łączą się w niedalekiej przyszłości sprawy katastrofalne, światowej! Naczelnik kraju przyjechał więc, aby mi przedstawić trudności mojej podróży czerwcowej. Bo oto, właśnie w tym samym czasie zdecydował się przybyć do Bośni następca tronu, któremu naczelnik kraju musi towarzyszyć nie tylko

w tym swoim charakterze, lecz przede wszystkim jako głównodowodzący generał, bo mają się odbyć rozliczne manewry, a w szczególności także próby strzelania z armat nowej konstrukcji. Nie mogąc być przy tem wszystkim nieobecny, generał mi zaproponował, bym albo odroczył podróż moją czerwcową, albo się zadowolił towarzystwem zastępcy naczelnika kraju. Druga alternatywa nie była mi dogodną, bo najprzód do podróży oficjalnej ministra należy obecność samego naczelnika kraju, a powtórę zastępca nie był wówczas jeszcze Handić, lecz niezdolny jego poprzednik. Rozstrzygnąłem przeto po dłuższej naradzie, że podróż czerwcowa odroczoną zostaje na dzień 1 września 1914(!) i natychmiast wezwałem szefa biura prasowego, by ogłosił komunikat w tym duchu. Po południu doniosły o odroczeniu podróży dzienniki peszteńskie, wiedeńskie i sarajewskie. Miałem tedy zamiar wyjechać wcześniej do Ischlu, ażeby się na 1 września wybrać do Bośni. A tymczasem poszło wszystko inaczej. Czy w odroczeniu podróży czerwcowej był palec Boży, który ochronił mnie i żonę moją od losu arcyksięstwa? Czy we wrześniu zagrażało mi to samo nieszczęście? Bóg to jeden wie, z którego niezbadanych wyroków zbliżał się wybuch straszliwej wojny światowej, przez nikogo z nas nie przeczutej!..

Ja tymczasem — po skończeniu delegacyj — powróciłem do Wiednia z zamiarem przygotowania programu wyjazdu do Bośni. Ponieważ zaś od r. 1912 nie byłem wcale we Lwowie, uprosiłem sobie u cesarza jeszcze przed Ischlem urlop tygodniowy i wyjechałem z żoną tuż przed drugą połową czerwca do Lwowa, do rodziny.

Zamach w Sarajewie.

Jak dalece arcyksiążę nie życzył sobie wmięszania się ministerstwa skarbu w sprawę jego podróży bośniackiej, przekonałem się najdosadniej jeszcze na kilka dni przed katastrofą. W kilka dni po moim powrocie do Wiednia, a więc 23 lub 24

czerwca zgłosił się do mnie mój szef prezydjalny Kuh-Chrobak z ciekawym dokumentem. Oto znajomy mu urzędnik z Burgu cesarskiego przyszedł do niego, by zasięgnąć jego rady co do listy przoszonych na obiad dworski, jaki z okazji pobytu Franciszka Ferdynanda w Bośni odbyć się miał w dn. 27/6 wieczorem w Ilidza. Gdy mu Kuh zauważył, że jedna z osób może być słusznie uważaną za zbrodniarza stanu, urzędnik dworski obiecał zatelegrafować to do Sarajewa. W ciągu rozmowy pokazał mu gość drukowany program całej podróży arcyksięcia. Na 4 stronie tego programu znajdował się tak zw. „Verteiler“, tj. spis władz, którym program ma być przedstawiony do wiadomości urzędowej, tudzież do zarządzenia centralnych kroków. Były tam spisane wszystkie ministerstwa austriackie niemniej węgierskie, dalej wszystkie organa dworskie wspóln z namiestnictwem tryjestyńskim, a ponadto ministerstwa wspólne z wyjątkiem min. wspólnego skarbu! Gdy p. Kuh zapytał interlokutora, dlaczego opuszczono na spisie nasze właśnie ministerstwo, odpowiedział, że taki był rozkaz arcyksięcia, który nie chciał, żebyśmy przeszkadzali szefowi kraju w jego staraniach około przyjmowania dostojnego gościa. Odchodząc, ów urzędnik zostawił mojemu przyjacielowi dwa egzemplarze programu, które pozostały u nas w aktach. O tym szczególnie poinformowałem cesarza w d. 30/6, przedkładając mu egzemplarz programu. A gdy w jaki rok do dwóch później zgłosił się do mnie, już jako prezesa Koła, niejaki baron Conti (Włoch, ożeniony z hrabianką Ledochowską, spokrewniony z rodem Braganza, z którego pochodziła arcyksiężna Marja Teresa, bratowa cesarska), ażeby uzyskać odemnie dane autentyczne co do mego stosunku do zamachu w Sarajewie dla arcyksiężny, która jako macocha Franciszka Ferdynanda jedyna popierała małżeństwo jego z hrabianką Chotek, wykazałem mu, wręczając dokumenty oficjalne, że: 1) program nie był mi wcale przesłany, 2) twierdzenie Potiorka, jakoby mi odmówił na cel podjęcia arcyksięcia kredytów, żądanych na tajnych agentów policyjnych, zawie-

rało bezczelne kłamstwo. Baron Conti (zmarły już tymczasem) przedstawił lojalnie sprawę arcyksiężnie Marii Teresie, która wezwała mnie do siebie i po dłuższej rozmowie, trzymając rękę moją na sercu swoim wyraziła bolesną radość z powodu mego zachowania się w całym nieszczęściu. Skorzystałem zresztą ze sposobności całej tej akcji, ażeby przez dyrektora gabinetu Schiessla zapewnić cesarza, że opowiadanie Potiorka, jakobym odmówił mu kredytu na policję, jest niezgodne z prawdą. Na to Schiessel odpowiedział mi z polecenia cesarza, że monarcha takiej wersji nigdy nie słyszał, ale byłby w nią nie wierzył nawet wtedy, gdyby była doszła uszu jego...

Dzień 28 czerwca 1914 r. przypadał w niedzielę. Jak zwykle, zamierzałem wyjechać do kościoła, a około godz. 11. czekały w tym celu już konie przed domem. Po śniadaniu wziąłem do rąk „N. Fr. Presse“ i odczytałem spokojnie całą treść polityczną, aż przy końcu natknąłem na wielki ustęp pod tytułem „Program podróży arcyks. Franciszka Ferdynanda do Bośni“. Jeszcze czytałem spokojnie punkty ustawy wojskowej, aż się spostrzegłem, że program zawiera, wbrew pierwotnej decyzji cesarza o charakterze wojskowym podróży, także wjazd uroczysty do Sarajewa. Jak się później okazało, cesarz wskutek prośby arcyksięcia przyzwolił był bez mojej wiedzy na tę zmianę, niemniej na udział księżnej Hohenberg w tym punkcie programu. Do dziś mam dokładnie w pamięci uczucie formalnego bólu fizycznego, doznanego wówczas przy czytaniu szczegółów tego wjazdu. Nie zdając sobie sprawy z przyczyn tego bólu, musiałem sobie perswadować, że przecież nie mam powodu, być arcyksięciu czy zawistnym czy nieprzyjaznym z gwoli tej uroczystości. Ale w kilka chwil później zadzwonił telefon: Dr Cerović, który miał w prezydjum mego ministerstwa dyżur tej niedzieli, donosi mi, że nadeszła niejasna jeszcze wiadomość telefoniczna z Sarajewa o zamachu na arcyksięcia. To znaczy, że w chwili, gdy ja z tak niezrozumiałem uczuciem

studjowałem program, tenże był właśnie wykonany i spowodował zamach! Czyż nie prawdziwy objaw telepatyczny? Natychmiast zbiegłem na dół, wsiadłem do powozu i pojechałem do biura. Z wielkimi trudnościami połączyliśmy się z Sarajewem telefonicznie, schwytaliśmy tam właśnie do aparatu szefa skarbowego Prileszky'ego i po niesłychanych wysiłkach głosu i słuchu stwierdziliśmy autentycznie, że oboje arcyksięstwo zostali zamordowani! Nie pamiętam już szeregu uczuć, jakie mną wtedy wstrząsały; sądzę, że pierwszym było uczucie ludzkiego współczucia, a drugim obawa co do wrażenia, jakie ta wieść wywrze na cesarzu. O odpowiedzialnościach, w szczególności mojej własnej, nie myślałem wtedy jeszcze wcale. Kazałem się natychmiast połączyć telefonicznie z willą cesarską w Ischlu, dokąd cesarz wyjechał był nie cały tydzień temu. Połączenia dokonano zaraz: zgłosił się pierwszy adjutant szefa sztabu hr. Becka, który mi oświadczył, że cesarz otrzymał już wiadomość telegraficzną od hr. Rummerskircha, wielkiego ochmistrza zamordowanego arcyksięcia. Na moje żądanie jednak udał się adjutant do cesarza, ażeby mu odemnie ponownie udzielić tragicznej wiadomości. Dnia 29 czerwca wieczorem przybył cesarz do Wiednia, a 30-tego przyjął mnie w Schönbrunie. Przedstawiłem mu całą genezę tej podróży, przedłożyłem do przejrzenia t. zw. „Verteiler“ na programie, nie przeczyłem odpowiedzialności mojej, bo minister odpowiada za wszystko, cokolwiek się stanie pod jego rządami, ale przedstawiłem wolę arcyksięcia, wykluczającą moje współdziałanie. Cesarz, bardzo stroskany jako człowiek i szef rodziny Habsburgów, ale zrygnowany jako dokładny znawca charakteru zamordowanego arcyksięcia, niebezpiecznego dla tronu, przyjął moje wywody bardzo łaskawie i przyznał — także później wobec osoby trzeciej — że z winy arcyksięcia ja byłem od akcji wykluczony. Po za tem i co niniejszem opowiadałem o tej audjencji mojej, nie mówiłem o podróży arcyksięcia nigdy, ani przedtem, ani potem. Pogłoska, jakobym cesarza przed podróżą przestrzegiał, nie jest

zgodna z prawdą, bo ja do podróży czysto wojskowej nie miałem powodu się mięszać, a rozszerzenie podróży na akty cywilne zostało dozwolone bez zapytania mnie i bez mej wiedzy. Interesującą była zresztą przy końcu uwaga cesarza, że młody następca tronu (przyszły cesarz Karol) da się, przy swojej łagodności i swoim do Niego przywiązaniu, wychować na dobrego monarchę. Może miał w tem rację, nie mogąc wiedzieć, że wojna przerwie to „wychowanie“ i rzuci młodego arcyksięcia w wir życia wojennego i wojskowego i przekształci go na monarchę jeszcze nieudolniejszego, niż mu to było przeznaczone z natury.

Cesarz wrócił do Ischlu, ja pozostałem na jakiś czas we Wiedniu i rozpocząłem pracę w biurze, poświęconą już tak kwestji odpowiedzialności, jak zapobieżeniu dalszemu pogorszeniu stanu politycznego ludności serbskiej w Bośni. W obszernych telegramach wskazywałem szefowi kraju, co należy czynić w szkolnictwie i sądownictwie, ażeby zapobiedz ponowieniu tak strasznie na ludność działającym rozczarowaniom. Kwestję odpowiedzialności postawił zaraz p. Potiorek. W telegramie pierwszym, donoszącym mi obszernie o zajściach przy zamachu, umieścił uwagę, że jeden z morderców Cabranović wydany był z kraju i tylko dzięki mojej interwencji w czasie podróży r. 1912 uzyskał pozwolenie powrotu. Było to niezgrabne kłamstwo. W 1912 r. kazałem istotnie zwolnić od wygnania robotnika drukarskiego, poleconego mi przez partję socjalistyczną; ale nazwisko jego było inne, a zawód Cabranovića był inny, co też potwierdził organ socjalistów, nie wdających się, jak wiadomo, w morderstwa. Zażądałem, by mi twierdzenia swego dowiódł aktami; p. Potiorek długi czas zwlekał, na ponaglenie moje zaś odpowiedział, że odnośne akta — „zginęły“ (!) Wkońcu nie doniósł mi wcale o fakcie, że trybunał sądzący morderców, zbadał także kwestję powrotu Cabranovića i stwierdził formalnym wyrokiem w duchu przeciwnym twierdzeniom Potioreka! Dowiedziałem się o tem dopiero późną jesienią z aktów przy sposobności sprawy ułaskawień. Sąd mia-

nowicie i rząd krajowy, zasądziwszy pięciu winnych na śmierć — szósty właściwy morderca Princip, nie posiadał wieku minimalnego — nie przedstawił nikogo do ułaskawienia; ja zaś przedstawiłem cesarzowi dwóch zasądzonych na śmierć do ułaskawienia i uzyskałem je w osobistej audjencji. W owych to aktach znajdowała się także sprawa wygnania Cabranovića... Naczelnik państwa, który, jak widzieliśmy, oskarżał mnie fałszywie u dworu o odmówienie kredytów na policję, a wobec mnie samego o protekcję mordercy Cabranovića, użył jeszcze jednego środka przeciw mnie: rozpuścił w dziennikach sarajewskich i wiedeńskich wiadomość, że zamach był następstwem mojej słabości dla Serbów. Szczególnie sfery klerykałne konserwatywnej „Reichspost“ wiedeńskiej, bliskie dawniej przekonaniom zamordowanego arcyksięcia, prowadziły na ten temat kampanję przeciw mnie, której działanie na sfery dworskie widziałem już w czasie pogrzebu nieszczęśliwych ofiar. Otóż prawdą jest, że w administracji Bośnią i Hercegowiną nie mogłem ani ja, ani inny minister (bar. Burian postępował tak samo) obejść się bez stronnictwa Serbów, bezwzględnie między trzema tamtejszemi najsilniejszego liczbą, bogactwem, zmysłem politycznym, energią, zdolnościami, organizacją kościoła i szkół itd. Politykę tę robiłem zgodnie z p. Potiorkiem, u którego znajdowałem zawsze pomoc i prawie przyjaźń, którego też podtrzymywałem zawsze u cesarza, a nawet po zamachu nie przedstawiłem jako winnego, zasługującego na usunięcie, jakkolwiek podsuwano mi to w ministerstwie mojem. Nawet Tisza przypisywał winę Potiorkowi, jakkolwiek przypuszczam, nie bez podstawy, że nas obu na równi uważał za winnych.

A jednak winę całą ponosił Potiorek tak przez braki w przygotowaniach do przyjęcia pary arcyksiężęcej w Sarajewie (czy i o ile doradzał wjazdu, nie wiem), jak przez swoje zachowanie w chwili zamachu. Oto szczegóły całej sprawy nieszczęsnej. Arcyksięstwo mieszkali w Ilidza, miejscu kąpielowem o 12 kilometrów odległem na zachód od Sarajewa. Owego dnia

wyjechali z Ilidžu koleją, ale nie aż do dworca sarajewskiego, lecz wysiedli u zachodniego wjazdu do miasta przy fabryce tytoniu: tak i ja nieraz postąpiłem, gdy miałem do czynienia np. we fabryce. Ale wtedy powstał widocznie plan uroczystego wjazdu automobilami, wzdłuż całego olbrzymiego 2—3 kilometrów obejmującego Appel-Quai'u lewym brzegiem rzeki Miljaczki aż do samego niemal wschodniego końca miasta, do ratusza. Plan ten wymagał przygotowania, dostatecznej ilości automobilów i zabezpieczenia długiej linii, prawie $\frac{1}{2}$ mili wynoszącej. Jednego i drugiego nie zrobiono. Arcyksięstwo i jego świta wysiadłszy z pociągu, zajęli zaraz miejsce w automobilach i wyjechali; ale dla towarzyszących im agentów policyjnych, którzy — obciążeni zresztą bez potrzeby kasetami z biżuterją księżnej — winni byli przed i za automobilami arcyksięstwa jechać dla dozoru, nie było wcale przygotowanych samochodów czy choćby powozów. Musieli oni pozostać przy fabryce i dopiero usłyszawszy odgłos bomb eksplodujących, pobiegli piechotą na miejsce zamachu, już tymczasem opróżnione. Jeszcze gorzej było z zabezpieczeniem długiej drogi od fabryki tytoniu do ratusza. Miasto Sarajewo posiadało tylko drobną policję miejską, rządowej nie było wówczas wcale, nikt jej w kraju nie wymagał. Dopiero po zamachu poleciłem naczelnikowi kraju wypracowanie odpowiednich wniosków administracyjnych i finansowych, które zaraz zatwierdziłem. Mądry Polak po szkodzie! Co się z tem stało w czasie wojny, nie wiem. Gdy tedy zbliżał się przyjazd arcyksięcia i zapowiedziano wjazd jego do Sarajewa programem szczegółowym na minuty, (chyba na to, żeby wszelakim hultajom ułatwić przygotowania zbrodnicze), zgłosił się do p. Potiorka naczelnik władzy policyjnej, komisarz rządowy Gerde (Węgier). Przedstawiwszy mu, że posiada razem zebrawszy podobno tylko 30 czy 40 policjantów, oświadczył, że długiej drogi od fabryki tytoniu do ratusza, nie potrafi obstać dostatecznie tym personelem, i zażądał pomocy wojskowej. Szef kraju odpowiedział, że wojsko nieobecne jest z powodu

manewrów i nie może być na czas ściągnięte do Sarajewa. Przypuszczam, że tak było, ale jużci nie musiało być, bo można było jakieś dwa bataljony pozostawić z góry w stolicy. Ale i na to znalazła się rada. Generał Sujarić, komenderujący żandarmerją, wówczas elitą co do ludzi i organizacji, zaproponował szefowi kraju obstawienie linii wjazdowej po obu stronach kordonem żandarmów. I ta propozycja została odrzuconą: czy z fałszywej obawy wywołania „niezadowolenia“ arcyksięcia, liczącego na entuzjazm ludności, czy z przyrodzonej pewności siebie i fatalistycznej wiary w swoją „nieomyślność“ (wszak ludność nazywała Potiorka stale: „zmęczonym cesarzem“! „Der müde Kaiser“), trudno dziś rozstrzygnąć. To jednak pewne, że taką decyzją wydano gości na łup ulicy. Jezuita O. Puntigam, wydawca miesięcznika z ilustracjami, którego godziwe zamiary popierałem chętnie subwencjami, podał wkrótce po zamachu w swoim piśmie widoki krytycznej części Quaiu wraz z oczekującą arcyksięcia publicznością. Na tym zdjęciu nie można się dopatrzeć ani jednego żandarma lub policjanta. A przecież nawet w najidealniejszych państwach nie można się obejść bez policji w czasie wielkich zebrań ludności na ulicach wielkomiastach! Przecież i w r. 1910, gdy do Sarajewa przybył był najpopularniejszy nawet w Bośni i Hercegowinie sędziwy monarcha Franciszek Józef, nie zbywało na wszelakich środkach ostrożności i to, jak się później okazało, wcale nie zbędnych!

W takich to warunkach wyruszyli arcyksięstwo automobilmami z pod fabryki tytoniu na śmierć niechybną. Decydujące szczegóły opisu tej jazdy są mi znane z listu urzędowego, pisanego przez pułkownika hr. Rummerskirch, ochmistrza arcyksięcia, do przełożonego swego ministra wojny Krobatina, który zaraz po otrzymaniu tego listu w pierwszych dniach lipca odczytał go w swoim biurze hrabiemu Tiszcie i mnie wspólnie. Czyśmy się tam u ministra wojny spotkali z Tiszą umyślnie czy przypadkowo, tego już nie pamiętam.

Z pisma tego wynika, że w ciągu jazdy rzucono na automobil arcyksięcia bombę, która zraniła adjutanta. Odesłano go zaraz do szpitala wojskowego i ruszono dalej do ratusza, gdzie wśród straszego usposobienia odbywało się zapowiedziane przedstawienie władz, deputacji itd. Po ukończeniu tej pracy oficjalnej, pisze hr. Rumerskirch, zwrócił się arcyksiężę do grupy w której stał Potiorek i komisarz Gerde z zapytaniem: „No więc cóż z temi bombami? Czy to się powtórzy, czy można spokojnie jechać dalej?” Widocznie arcyksiężę nie chciał, zwłaszcza z uwagi na obecność ukochanej małżonki, przybrać roli bohatera nieustraszonego, jeno jak zwykły śmiertelnik chciał się zastosować do danego stanu rzeczy. Na pytanie powyższe począł Gerde podnosić pewne obawy i szkrupuły. Arcyksiężę oczekiwał odpowiedzi naczelnika kraju i głównie dowodzącego wojskami. I oto — opisuje hr. Rumerskirch — p. Potiorek zawołał: „W. Ces. Wysokość może jechać spokojnie, ja przyjmuję za to odpowiedzialność“. Wtedy odrzekł arcyksiężę: „Dobrze, ale w takim razie pojedziemy najpierw odwiedzić ranego adjutanta, a potem dopiero do pana na śniadanie“. Temi słowami, spowodowanymi przez megalomanię „zmęczonego cesarza“, wydał nieszczęśliwy arcyksiężę wyrok śmierci na siebie i żonę.

Reszta jest znaną, opowiem ją tylko dla wyczerpania tematu. Gdyby Potiorek był przynajmniej skłonił arcyksięcia do odstąpienia od jazdy do szpitala, mógłby być albo odwieść gości w szybkim tempie długą otwartą drogą z powrotem do Ilidza, albo przynajmniej zajechać bezpiecznie do pobliskiego konaku, siedziby naczelnika, na śniadanie. Konak leży na prawym brzegu rzeki Miljački na południe, wskośnie naprzeciw ratusza; prowadzi tam albo bezpośrednio przy ratuszu położony most Sherifa Cohajina, albo kilkadziesiąt kroków dalej na zachód ku miastu położony most cesarski. W kilka minut można było przybyć do konaku i w czasie śniadania zarządzić potrzebne środki ostrożności w mieście. Nie uczyniono ani jednego ani drugiego

i wyruszone do szpitala wojskowego, położonego na samym końcu północno-zachodnim a więc na przeciwnym końcu miasta, to znaczy wyruszone do jazdy przez całe miasto. A jakże ten plan przeprowadzono? Przed automobilem, w którym zasiadła au fond para arcyksiążęca wraz z Potiorkiem na miejscu vis-à-vis, jechali w samochodzie burmistrz i komisarz Gerde. Mieli oni widocznie szczęśliwą myśl, jechać szybko ku zachodowi całym kaj'em, bo szpital leży wprost na północ od fabryki tytoniu. Niemożliwym jest prawie przypuszczenie, że ruta była ułożona inaczej, a mianowicie ulicą Franciszka Józefa, którą w czasach normalnych można było ulicami Rudolfa, Ferhadja i Cemalusa dojechać najwygodniej do szpitala. O tem musieliby bowiem przedewszystkiem wiedzieć burmistrz i szef policji, którzy chyba nie mogliby w chwili decydującej zapomnieć o ciężącej na nich odpowiedzialności. Tymczasem stała się rzecz nadzwyczajna, wprost niepojęta. Oto w pierwszej chwili, gdy pierwsze z burmistrzem i szefem policji auto minęło wjazd na prawo od kaju, na północ ku ulicy Franciszka Józefa, szef kraju, spostrzegłszy „pomyłkę“, kazał stanąć, aby wezwać pierwsze auto do powrotu. W tej właśnie chwili zbliżył się do stojącego na rogu ulicy Franciszka Józefa auto młody 18-letni Princip i dwoma strzałami z brauninga ugodził śmiertelnie parę arcyksiążęcą. Potiorek, który stanąwszy w swoim aucie po prawej stronie, nie widział zamachu, tylko usłyszał strzał. Na stopniu auta arcyksiążęcego stał Rumerskirch, ale niestety z lewej strony i nie mógł nic uczynić, widząc zbliżające się nieszczęście. Para małżonków pozostała nieruchoma na swoich miejscach; nic w krótkich tych chwilach po nich nie poznano. Potiorek nie wiedział o ich zgonie; czy wiedział Rumerskirch, nie jest ustalone. Dość, że szef kraju kazał natychmiast po strzale nawrócić i jechać do konaku, gdzie przybywszy, dowiedział się o śmierci arcyksiążęcej pary dopiero, gdy wystosował do niej zaproszenie by wysiedli z automobilu i udali się na śniadanie.

Chwila ta była niezawodnie zasłużoną dla Potiorka karą

za lekkomyślne urządzenie podróży arcyksięstwa; zrozumiałem jest także ze stanowiska zwykłego człowieka pragnienie jego, mszczenia się na całym narodzie serbskim. Ale jedno i drugie z tych uczuć winno było wyrobić u człowieka normalnego przeświadczenie, że on osobiście przedewszystkiem ponosi odpowiedzialność za straszną katastrofę, o której słusznie wyrzekł w pierwszych zaraz dniach T a l l o c z y, historyk z powołania, iż nie przeminie bez ciężkich wstrząśnień dziejowych. Do takiej obiektywności nie mógł widocznie nabrać się człowiek, jak się później okazało, n i e n o r m a l n y, człowiek, u którego już w chwili przedstawienia personalu urzędniczego, na rok przed objęciem teki ministerstwa skarbu wspólnego przezemnie, rozpoznali obecnie lekarze urzędowi tylko z wyrazu oczu początek paraliżu postępowego na tle luetycznym. Nie wiedząc wówczas jeszcze o tej tragedji osobistej generała — opowiadano mi o tem dopiero po nieszczęsnym upadku P o t i o r k a — czułem żal do niego, że usiłuje przerzucić całą odpowiedzialność na mnie, który bez tego stałem od pierwszej chwili na stanowisku, że jako minister winien jestem okryć odpowiedzialnością swoją wszystko, to znaczy także wszystkie nieszczęsne błędy podległego mi naczelnika kraju. W końcu też ustąpiłem z urzędu gwoli tej odpowiedzialności, bo innym argumentem nie mógłby był T i s z a przekonać cesarza o potrzebie ustąpienia mego.

Przedtem jednak musiał być przeprowadzonym dowód, że p. P o t i o r e k, do którego zdolności miał cesarz niezachwiane zaufanie, o którym mawiali najpierwsi wodzowie, że jego mózg posiada więcej ciężaru, niż mózgi ich wszystkich, że p. Potiorek był istotnie w tych przełomowych czasach nieszczęściem dla monarchji. Dowód ten złożył sam generał w ciągu wojny, w sierpniu i grudniu 1914 r. Mówię „generał“, bo od chwili zamachu właściwie ustała normalna administracja ze szefem rządu na czele. Wymieniliśmy w czasie między zamachem a wybuchem wojny cały szereg telegramów, omówiliśmy w aktach sprawę policji, traktowaliśmy o zawieszenie konstytucji. Ja, jak wiadomo, pra-

gnąłem, by Sejm uchwalił jeszcze w lipcu zaległe projekty ustaw, zaś po wybuchu wojny raz jeden próbowałem uratować nie-nagannych, acz serbskich nauczycieli gimnazjum w Tuzli, roz-pędzonych niesłusznie przez szefa kraju, ale już otrzymałem na w pół jasną odpowiedź, że zamiast szefa kraju, podległego ministrowi, istnieje teraz uposażony nieograniczoną władzą ko-mendant armji, podległy naczelnej komendzie. Bardzo energi-cznym reskrypsem protestującym zakończyłem tę korespondencję i ograniczyłem się do normalnej drobiazgowej korespondencji ze samym rządem krajowym. Pan Potiorek ze swej strony ograniczył się do swych funkcji wojskowych, w początkach niestety tylko do wieszania mężczyzn, nie wyjąwszy ducho-wnych serbskich, kobiet i dzieci (w Trebinje, Hercego-winie stały podobno całe aleje z szubienic!) lub do internowania posłów serbskich z odpowiedzialnością życia za strzały, skierowane przeciw pociągom kolejowym. Na skargi odnośne ludności nie mogłem niestety jako „cywilista“ już nic pomódz; udało mi się tylko uratować u dobrotliwego i sprawiedliwego cesarza, przeciw wnioskowi ze Sarajewa, emeryturę dla wdowy po straconym w Trebinji niesprawiedliwie popie serbskim, który jeszcze pod szubienicą oświadczył głośno, iż walczył za zjednoczeniem wszystkich szczepów serbskich. W podobnych warunkach u nas w Polsce, gdy — jak wspominałem przy innej sposobności — arcyks. Józef Ferdynand kazał wieszać w każdej wsi Galicji zachodniej na oślepie chłopów polskich na szubienicach, wystawionych przed kościołami, nie pomogły ani przedstawienia namiestnika Korytowskiego u naczelnego wodza arcyks. Fryderyka, ani moje przedstawienia jako pre-zesa Koła u ministra spraw zagranicznych Buriana, któremu wódz naczelny doniósł listownie, że karę śmierci wymierza się tylko na podstawie wyroku sądowego. Niestety wymierzano ją z nakazu wodza armji arcyks. Józefa Ferdynanda, który (jak opowiadano) przyglądał się justyfikacjom przez lunetę.

Jako wódz działał gen. Potiorek dwa razy. W chwili

wypowiedzenia wojny Serbji i zarządzenia mobilizacji na południu, powstała na radzie ministrów wspólnych kwestja, co się stanie, jeżeli w najbliższych dniach, co prawdopodobne, Rosja wypowie Austrii wojnę. Ja sam zapytałem szefa sztabu, co się stanie z mobilizacją i w którym kierunku geograficznym będzie skierowaną. Na to odrzekł gen. Conrad-Hötzendorf, że w takim razie pociągi, idące na południe, muszą dojść aż do granicy nad Savą, poczem w największym sekrecie natychmiast nawrócą i przyłączą się do mobilizacji całej armji na północ dla przyjęcia ataku rosyjskiego. Warunkiem jednak, mówił pan Conrad — a było to 30 lipca 1914 r. — udania się akcji jest ścisła poufność także ze strony ministrów. Wyjaśnienie to bardzo się nam „cywilnym“ podobało. Nie długo trzeba było czekać na decyzję. W dniu 31 lipca rano zastałem w biurze odręczne pismo cesarskie: „Lieber Ritter v. Biliński! Ich habe mich bestimmt gefunden, die allgemeine Mobilisierung anzuordnen. Franz Josef“. Znaczyło to, że Rosja staje do boju. Z późniejszych zeznań oskarżonego ministra wojny Suchomlinowa o szczegółach mobilizacji dowiedziano się, że w Rosji zarządzono ją wbrew cofnięciu przez cara rozkazu mobilizacyjnego. Czytając wtedy pismo Franciszka Józefa, pomyślałem sobie zaraz, jak też p. Conrad swój plan zawrotu na północ przeprowadzi. Czekałem cierpliwie tydzień i drugi, wojna już była w całej pełni, nadchodziły wiadomości z Galicji o napadach granicznych kozaków, a o ich odparciu nic nie słyszano. Nareszcie około 16 sierpnia, będąc u cesarza, zapytałem, co się właściwie dzieje z „tajemnicą“, omawianą na Radzie ministrów. Na to cesarz: „A tak, to istotnie wielka tajemnica, ale ja ją Panu odślonię, — oto już się biją“. „Gdzie?“ zapytałem. „W Serbji bije się Potiorek bardzo zwycięsko“. Byłem bliski rozpaczy, usłyszawszy tę „tajemnicę“ o „zwycięstwie“, które miało być odniesione akuratnie jako prezent (złożony z krwi ludzkiej!) na urodziny cesarskie w dniu 18 sierpnia, a skończyło się w kilka dni ciężką klęską i odwrotem po za granice Serbji. Więc na to pociągi

mobilizacyjne nie powróciły zaraz z nad Sawy do Galicji, na to część armji została przesunięta do Serbji, na to cała kampanja została w Galicji opóźniona, osłabiona i wkońcu sierpnia przegrana, na to zostały zniszczone nasze okręgi graniczne i wkońcu został Lwów stracony, ażeby p. Potiorek, zamknąwszy się ze swoim zastępcą w jakimś nieprzystępnym domu w Tuzli, mógł przy pomocy telefonu dla zemsty prowadzić niepotrzebną i bezskuteczną „wojnę“ ze znieawidzonymi mu Serbami! A cóż myśleć o tym sławnym, przez arcyks. Franciszka Ferdynanda odkrytym szefie sztabu panu Conradzie, który wbrew swojemu planowi, wyłożonemu na Radzie ministrów, dopuścił gwoili życzeniu „męża z najcięższym mózgiem“ do utraty Galicji?! Nigdy nie wierzyłem w ten zachwalany genjusz Conrada, a fakta mnie w tem utwierdziły. Wszak to był tensam „opatrnościowy“ (tylko nie zdaniem cesarza!) wódz który uznając rowy strzeleckie (wbrew naukom gen. Cicerica, attaché wojskowego z wojny japońskiej i praktyce swego poprzednika Schemuy, obydwóch za opór usuniętych) za środek „nierycerski“, zniszczył armję pierwotną, redukując ją w ciągu pierwszych 6 tygodni z 8—900.000 głów do 130.000 ludzi (autentyczne sprawozdanie ministra wojny na radzie ministrów!); ten sam wódz, który r. 1916 dla dogodzenia arcyksięciu Karolowi, żadnemu zwycięstw w Tyrolu, osłabiwszy armję północną, spowodował wielką ofenzywę Brussilowa; ten sam wódz, który, usunięty wreszcie z urzędu szefa, objął komendę w południowym Tyrolu, swej właściwej wieloletniej dziedzinie, i sam jeden z wodzów nie zdołał aż do końca przebić się z gór tyrolskich w dolinę Pjawy i tym sposobem spowodował ostateczną klęskę monarchji i państw centralnych... A przecież nawet nieszczęsne doświadczenie z Potiorkiem nie było dla szefa sztabu dostateczną nauką. W Galicji wschodniej i zachodniej, na stokach Karpat, w południowej części Królestwa polskiego walczyły armje austr.-węgierskie bohatersko, ale na razie bezskutecznie. Tylko na południu monarchji liczone dalej

mimo doświadczenia z sierpnia, „na urodzonego zwycięcę“. Tym razem coprawda nie ominięto już gwoli „tajemnicy“ rady ministrów. Cesarz bowiem kazał przez hr. Berchtolda nas zawiadomić, że Potiorek zamierza po raz drugi przedsięwziąć ofensywę przeciw Serbji. Rada ministrów oświadczyła się jednogłośnie przeciw temu zamiarowi, ale naturalnie ze zwykłym dla „cywilistów“ skutkiem: naczelną komenda, tj. arcyks. Fryderyk i Conrad-Hötzen-dorf, skłoniła cesarza do zezwolenia. Takie to już było nieszczęście, że cesarz nie zastrzegł komendy sobie samemu, czyby ją wykonywał z Wiednia, czy z Ischlu czy choćby z Cieszyna! Tym razem zajął Potiorek rezydencję w fortecy syrmij-skiej Karlstadt i znowu, zamknięty z pomocnikiem, dyrygo-wał telefonicznie. Zająwszy znaczne tereny serbskie, chciał absolutnie zwycięstwa: na telefoniczne doniesienia komendantów korpusnych że wojsko niema ani butów, ani amunicji, odpowiedział rozkazem dalszego marszu i ataku. Skutek był straszny: dwa korpusy dostały się w zasadzkę i zostały prawie wycięte. Otrzymałem wczesną o tem wiadomość od posła dalmatyńskiego Kukovića (znanego mi jeszcze z czasów podróży bośniackiej z r. 1891 jako starostę tuzlańskiego). Żalany łzami opowiadał mi, że cała niemal młodzież dalmatyńska została w tym jednym dniu w pień wyciętą. Wśród najstraszniejszej nędzy, pod strza-łami zwycięskich Serbów musiały resztki armji bosej i wygło-dzonej uciekać za Sawę; naturalnie zabrakło i tych korpusów w walkach na terenie Galicji i Kongresówki. Ale tym razem wzięto w Wiedniu rzeczy nareszcie na serio: na konferencji u Berchtolda zebrali się dwaj prezesi ministrów, minister wojny, bar. Burian jako adlatus Tiszy i ja i uchwaliliśmy, by hr. Berchtold poszedł do cesarza z wnioskiem o usunięcie Potioreka. Wniosek został przyjęty: pierwsza część odpowiedzianości została wypowiedzianą. Druga — moja była tylko kwestją czasu. Cesarz opowiadając mi o dymisji Potioreka, dodał, że ten generał zachował się bardzo przyzwoicie, bo uznał swoje błędy.

Powróćmy jednak do chwili zamachu sarajewskiego. Trudno wziąć za złe monarchji, że rozpoczęto studia i narady nad satysfakcją, jakiej należy żądać od Serbji. Porozumiano się także z Berlinem za pośrednictwem hr. Hoyosa, szefa gabinetu Berchtolda. Konferencja ministrów odbyła się dnia 7 lipca 1914 r. Obradowano na niej o potrzebie ultimatum do Serbji z żądaniem daleko idących satysfakcyj. Była to owa konferencja, na której — według dokonanej r. 1919 przez rząd socjalistyczny we Wiedniu publikacji tajnych aktów — ja miałem zdecydować o wypowiedzeniu wojny! Ja we własnej osobie! Takie przynajmniej, nader pochlebne zdanie wypowiedziała w jesieni 1919 r. znana plotkarska gazeta wiedeńska „Neues Wiener Journal“, a za nią powtórzył tę bajkę „Kurier Warszawski“. Uważam przecież za obowiązek, w tem tu miejscu odpowiedzieć na te nierozsądne zarzuty czy komplementy. Najprzód muszę powiedzieć, że byłbym dumny z potęgi osobistej, mogącej decydować o wojnie światowej. I gdybym ją był posiadał, to zapewne byłbym o tem pamiętał, że od upadku Napoleona i od czasów Mickiewicza jedna generacja polska po drugiej oczekiwała zmartwychwstania Ojczyzny od wojny europejskiej, mającej pognębić Rosję. I byłbym dalej pamiętał, że polityka polsko-austrjacka polegała właśnie na myśli przyszłej wojny europejskiej, w której Austrija, przez naród polski, miała pokonać odwiecznego wroga naszego: Rosję. Jakżeż bowiem miała powstać Polska wolna i niepodległa, jeżeli najprzód nie upadła Rosja? Wszakżeż od początku wojny aż do wiosny 1917 r. Koalicja stała na stanowisku Polski autonomicznej w obrębie Rosji! Czy to była Polska wolna i niepodległa? I czy dążąca do takiej autonomji „orientacja“ rosyjska w Królestwie była naprawdę lepszą od powyższej austriackiej? Ale takich daleko sięgających idei „Wallenrodowskich“ — niepotrzebnych zresztą, bo sama Austrija chciała Polski — nie miałem siły popierać i przeprowadzać. Wolno mi było myśleć o znaczeniu wojny dla przyszłości Polski, co mi się podobało —

i o to zresztą nie zasługiwałbym na potępienie ze strony właśnie zmartwychwstałej wskutek tej wojny Ojczyzny. Wówczas jako wielkorządca Bośni i Hercegowiny miałem obowiązek wyrazić swoje zdanie ze stanowiska tego mego urzędu. I wtedy zresztą nie wypowiedziałem się wprost za wojnę, lecz wykazując zgubny wpływ Belgradu na Sarajewo, oświadczyłem się za ostrem do Serbji ultimatum, ażeby się raz rozstrzygnęły przyszłe losy południowej Słowiańszczyzny. Tego samego pragnęły także ludy Bośni i Hercegowiny w duchu, jak opowiadałem powyżej, nie koniecznie przewrotowym, w duchu, że tak powiem austriackim i antiwęgierskim. Ale czy tak czy owak, czy przez dobrowolne ustępstwo czy przez wojnę, czy w duchu Habsburgów czy też Karageorgevićów — rozstrzygnąć musiały się losy południowej Słowiańszczyzny, zwłaszcza podzielonego boleśnie narodu serbskiego. I rozstrzygnęły się też, jak wiemy, w drodze wojny na korzyść Karageorgevićów! Ale jużci ani z mej winy, ani z mej zasługi, bom na to nie był ani dość silny, ani dość powołany, ale może z przewidywania mojego! Tego się nie wstydzę, i nie żałuję, ani jako Polak, ani jako polski z rodu zawiadowca dzielnego narodu Słowian południowych. Na konferencji nie było zresztą wcale głosowania, jeno każdy z nas objawiał swoje zdanie o skutkach zamachu i o możliwości wojny. Wszyscy też zgodzili się na myśl ultimatum z tą tylko różnicą, że Tisza chciał niejako z góry wykluczyć wojnę, jako wynik ultimatum, kiedy wszyscy inni byli gotowi w razie konieczności przyjąć rozstrzygnięcie mieczem. Aczkolwiek Tisza, zastrzegłszy sobie votum separatum w memorjale do cesarza, odstąpił wkrótce od swej opozycji, a w czasie wojny był rebus sic stantibus raczej heroldem wojny aż do skutku, to jednak późniejsze morderstwo jego za „winę wojny“ było ciężką niesprawiedliwością.

Tuż po owej konferencji wyjechaliśmy z żoną do Ischlu, a po drodze wstąpiliśmy do Salzburga, ażeby, jak zwykle, odbyć pielgrzymkę do Maria Plain. Rano dnia 10/7 byłem tam u góry sam, bo moja żona musiała zostać w hotelu, mając już

wówczas niepokoje sercowe. Sam więc niestety i po raz ostatni byłem u stóp cudownego obrazu matki Boskiej! Ale musiałem znowu wyjechać do Wiednia na konferencję ministerjalną, na której miał być czytany bruljon ultimatum do Serbji. Konferencja była zarządzona w takiej tajemnicy, że nie tylko nie odbyła się w ministerstwie spraw zagranicznych, lecz w ślicznym pałacyku Berchtoldów „Strudelhof“ (gdzie było także owe śniadanie dla Deschanelów!), ale nawet pozatem każdy z ministrów musiał przybywać incognito, to znaczy nie swoim powozem, lecz najętym fiakrem lub automobilem (mnie już na dworcu oczekiwało auto). Ultimatum napisane było w ślicznej francuzczyźnie przez szefa sekcji p. Mussulina i było przedmiotem obrad całodziennych. Hr. Tisza już był tymczasem w Ischlu u cesarza i nie zajmował stanowiska zasadniczo przeciwnego, ale zawsze starał się łagodzić ustępy zbyt ostre, motywując tem, „że niechce wojny“. Jeżeli więc r. 1918 mordercy zastrzelili Tiszę jako „winnego wojny“, to może oni sami w to wierzyli, ale z pewnością nie ci, którzy ich wysłali i za którymi do roku 1920 poszukiwały i których sądziły sądy węgierskie. Zachowanie się Tiszy dało mi zresztą sposobność stwierdzenia, że monarchja silniej już niż w d. 7 lipca liczy się na serjo z ewentualnością wojny — zapewne serbskiej a nie światowej. Już w dn. 7 lipca można było wnosić i z przemówień Berchtolda i z wyjaśnień, dawanych z Belina przez hr. Hoyosa po znanem śniadaniu ambasadora aust.-węg. Szögyeny'ego i cesarza Wilhelma dn. 5/7 1914 r., że sprzymierzeńcy są zdecydowani na szanse wojny. W dn. 17 lipca zachowywał się Berchtold już wprost odmownie wobec wniosków Tiszy, aczkolwiek sam nie posiadał — jako mogę poświadczyć sumiennie — ani krzty warunków charakteru i temperamentu, ażeby z własnej inicjatywy i z własnego przekonania dążyć do wojny.

Po moim powrocie do Ischlu, nie wiele dni upłynęło w spokoju. Z Sarajewa otrzymałem od Potiorka denuncjację na mego drogiego sekretarza Bożę Cerovića o zdradę tajemnic

wojennych. Musiałem biedaka wysłać na krótko na wieś do rodziny, poczem komisja dyscyplinarna dała obwinionemu najświetniejszą satysfakcję. Ultimatum uchwalone dnia 18 lipca, a opiewające na 48 godzin, zostało doręczone 23 lipca o godz. 6 wieczorem; na 2 minuty przed godz. 6 d. 25 lipca wręczono posłowi austr.-węg. bar. Giesslerowi odpowiedź serbską, a w 32 minut później poseł z personelem wyjechał z Serbji, gotowej do wielu ofiar dla pokoju. W tym krótkim czasie pracowałem nad sprawami bośniackimi, w szczególności nad ciągłymi żadaniami Potiorek w kierunku stanu wyjątkowego, którego przed upływem terminu ultimatum nie chciałem przyznać. W tym to czasie zgłosiła się u mnie deputacja Serbów bośniackich pod wodzą Dimovica z wyrazami lojalności. Rozmawialiśmy bardzo przyjaźnie, a na moją prośbę, by Serbowie właśnie w tym czasie najkrzytyczniej okazywali wierność dla monarchji i dynastji, zapewniał Dimovic, że tak będą postępowali. Ale dnia 25 lipca wieczorem losy się rozstrzygnęły. W ciągu owych dni ośmiu od mego powrotu ciągle rozprawialiśmy nad pytaniem, czy Serbowie przyjmą ultimatum; była chwila, gdy rzecz wyglądała pokojowo, ale Rosja nie dopuściła do ustępstwa. W dniu 25 lipca byłem wieczorem na 2 piętrze w moim biurze, w towarzystwie Cerovića, szefa sekcji Beigla i radcy dworu Schüllera; oczekiwaliśmy wiadomości z Wiednia. Gdy nic nie nadchodziło, kazałem się połączyć telefonicznie z ministerstwem spraw zagranicznych. Tam zgłosił się jakiś nieznajomy urzędnik, który mi doniósł, że właśnie nadszedł telegram od posła austr.-węg. w Belgradzie bar. Giessla: „Serbja odmówiła przyjęcia ultimatum, poseł opuścił właśnie Belgrad i udaje się przez most na Sawie do Węgier“.

Do dziś mam uczucie, że poseł, nieznanymi zresztą ze zbyt-nich talentów dyplomatycznych, nie potrzebował opuszczać Belgradu, otrzymawszy znaczne ustępstwa.

Dnia 26 lipca przybył do Ischlu Berchtold z projektem manifestu wojennego. Odwiedziłem go w hotelu Bauera, gdy

się właśnie zbierał na audjencję. W mojej obecności wsiadł do powozu, ale jeszcze nim opuściłem hotel, telefonował do Hoyosa, że za pomniał w hotelu manifest! Był to wypadek iście tragikomiczny, charakteryzujący Berchtolda. Cesarz podpisał manifest, acz wiedział dobrze, jakie będą z niego skutki, bo na drugi dzień rzekł do mnie: „Czy Pan sądzi, że Rosja zniesie spokojnie naszą wojnę z Serbją? To niemożliwe“. Zawsze najmędrszy między swymi ministrami, ustąpił konieczności dziejowej pod wrażeniem zapewnionej z Berlina podpory. Podpora ta była lojalnie przyrzeczoną, ale niepowodzenie w pierwszej bitwie nad Marną (we wrześniu 1914 r.) i ztąd niemożliwość zamierzonego zajęcia Paryża i szybkiego zawarcia pokoju spowodowały wielomiesięczne opóźnienie pomocy w Galicji, gdzie Austrija sama walczyła z Rosją na śmierć i życie. Berchtold wyjechał z manifestem, a ja zostałem w Ischlu, ażeby choć jeden minister był w pobliżu cesarza, który na moje zapytanie, zgodził się zostać w Ischlu, tak doskonale połączonym z Wiedniem. Ale dnia 28 lipca telefonuje mi Prileszky, że Cesarz z dworem wyjeżdża 30 tego na stałe do Wiednia. Tak rychło spełniło się przewidywanie cesarskie co do Rosji. Pociąg dworski wyjechał 30-go rano, ja zaś zwinawszy dom w Ischlu (gdzie zawsze prowadziliśmy gospodarstwo), wyjechałem tego samego dnia w południe. Nazajutrz zastałem w biurze swem owe pismo odręczne, zacytowane wyżej. Tego samego dnia odbyła się rada ministrów, na której omawiano wnioski pośredniczące rządowi angielskiego, popierane gorąco przez niemieckiego ambasadora Tchirschky'ego: zajęcie Belgradu przez wojska austr.-węg., pertraktacje z Rosją. Zdawało się, że pokój uratowany. Tymczasem dn. 1 sierpnia cesarz niemiecki dowiedziawszy się oficjalnie o mobilizacji w Rosji, wypowiedział jej wojnę. I wybuchła wojna światowa, najstraszniejsza, jaką ludzkość dotąd przeżyła.

Od chwili wybuchu wojny przestałem siłą konieczności dziejowej być ministrem bośniackim, a stałem się faktycznie ministrem polskim, poczuwając się z całym społeczeństwem

polkiem do wspólności w uczuciu, iż wojna ta zadecyduje o losie Polski. Hr. Berchtold miał w pierwszej chwili świadomość, iż monarchja staje nagle wobec sprawy polskiej. Hr. Hoyos był mu doradcą w tym duchu, trzymając się jednak granic, nakreślonych tej polityce przez Węgrów, a raczej przez Tiszę: Polska miała być według własnego gustu połączona jako samostanne państwo z Austrią, ale nie z Austro-Węgrami. Wiedziałem o tem już od Buriana, którego, jak opowiedziałem wyżej, wysłałem był jako pośrednika do Tiszy. Nawet jeszcze w 1918 r. w styczniu, po upadku Tiszy, był premier Weckerle tego samego zdania i kosztowało mnie to wiele trudu, aby go od tej myśli odwieść. W tym samym duchu wpływałem na Berchtolda.

W pierwszych dniach sierpnia przybył do Wiednia z Krakowa prezes Koła polskiego Dr Leo, polityk bardzo zdolny i patrijotyczny i ze mną aż do końca w najlepszych zostający stosunkach (zmarł r. 1918). Przesiedziałem z nim cały dzień u Berchtolda w towarzystwie szefa sztabu Conrada. Stało na tem, że mają być utworzone Legjony polskie: skonstatowałem wobec Conrada, że ich komenda musi być polską, na co otrzymałem „zaspokajające oświadczenie“, że po wojnie zwycięskiej narody zgodzą się i bez tego na jednolitą komendę niemiecką! Zapytałem, czy wierzy w to także co do Węgrów? I na to otrzymałem odpowiedź potakującą. O sancta simplicitas! Tacy to ludzie mieli prowadzić — bez jakiegokolwiek ograniczenia z góry — wojnę, najważniejszą i najsubtelniejszą część polityki państwa! Widzieliśmy ich zdolności polityczne już przy koncepcji manifestu obu armij do Polski, którego nam „cywilistom“ przedtem naturalnie nie pokazano; widzieliśmy je w szalonych błędach ich polityki polskiej w Galicji samej, jak i w Królestwie, jeżeli ucisk osobisty i polityczny, justyfikacja i zakaz mówienia i myślenia w armji o sprawie polskiej wolno nazwać „polityką“! Okazało się to zaraz przy tworzeniu Legjonów polskich. Sam sztab jeneralny kokietował w ciągu wojny

bałkańskiej i aż do wybuchu wojny światowej z młodzieżą polską, jako przyszłym materiałem palnym przeciwko Rosji. W całej Galicji rozdawano młodzieży w miastach a po części i na wsi broń, dodawano jej do ćwiczeń oficerów i popierano tem czynnie tajne i półtajne, niezawisłościowe i inne organizacje tej młodzieży, nie mogąc przytem chyba przypuszczać, że będzie myślała o „lojalności austriackiej“. Już w owych czasach Namiestnik Bobrzyński wyrażał troskę co do przyszłości tej niejasnej akcji. Odbyliśmy z Berchtoldem, Stuergekhem i jenerałem Schemuą konferencję raz u mnie, drugi raz u Berchtolda, ażeby otrzymać zapewnienie, że młodzież nie zostanie przedwcześnie wysłaną na terytorjum rosyjskie i wymordowaną bezowocnie. To ostatnie na szczęście nie nastąpiło; ale z drugiej strony akcja powyższa była prowadzoną przez sztab generalny tak jednostronnie, że gdy wskutek znanej uchwały poselskiej w Krakowie z dnia 16 sierpnia 1914 r., spowodowanej przez prezesa Lea, Legjony zostały utworzone, władze wojskowe w Wiedniu nie wiedziały nic ani o Legjonach, ani o ich związku z powyższą akcją sztabu jeneralnego. Jeszcze w sierpniu odbyła się u hr. Stuerkha konferencja za udziałem Bobrzyńskiego, moim i min. obrony krajowej Georgiego, na której musieliśmy temu ostatniemu tłumaczyć obowiązki, przyjęte przez sztab jeneralny w sprawie tworzenia Legionów i spowodowaliśmy wydanie odnośnych rozkazów do władz wojskowych w Krakowie. Ale równocześnie i sam sztab raczył zapomnieć o swojej własnej inicjatywie. Kiedy całe społeczeństwo polskie w Galicji we wszystkich bez wyjątku stronnictwach stanęło po stronie Legjonów, kiedy naczelnik tajnej organizacji warszawskiej Józef Piłsudski złożył dobrowolnie tę godność, ażeby swoją organizację niezawisłościową połączyć z organizacją legjonową, — p. jen. Conrad nie przychylił się w swej głównej kwaterze do ustnej prośby prezesa Lea, by Legjony, zmuszone łączyć się z armją austro-węgierską jako część tak zw. „Landszturmu“, mogły do przysięgi wierności cesarzowi dodać

wierność Ojczyźnie polskiej. I stosownie do tej „zasadniczej” swej decyzji, sztab generalny postępował przez cały czas wojny: dla Legionów nie było w czas broni, dla Legionów były stopnie oficerskie o całą rangę niższe niż w armji, Legjony, przeznaczone do walki za Polskę, wysyłano do obrony Węgier i Bukowiny, używano ich do walk najniebezpieczniejszych. A tak mało to uznawano, że wyrobił się był przyjaźny niemal stosunek Legionów nie do armji austriacko-węgierskiej, lecz do niemieckiej, pełnej zawsze podziwu dla naszych bohaterów! Prawda, że „u góry” podnoszono zawsze to bohaterstwo: w pierwszym rzędzie cesarz, a za nim Georgi, najwyższy przełożony Legionów po za polem bitwy. Ale przytem narzekano zawsze na wieczne z nimi „kłopoty” natury administracyjnej, zapominając, że wolontariusz, idący walczyć dla szczególnego celu politycznego, nie może być traktowany pod względem dyscypliny na równi z żołnierzem fachowym. Czy mam kreślić wszystkie losy Legionów, znane światu politycznemu dokładnie aż do przejścia ich pod komendą Józefa Hallera przez granicę rumuńską po traktacie Brzeskim w lutym 1918 r.? Wspomnę raczej tylko kilka epizodów, o ile się o mnie w jakikolwiek sposób oparły.

Naczelny Komitet Narodowy.

W dniu 16 sierpnia 1914 r. stworzono w celu organizacji Legionów „Naczelny Komitet Narodowy” (N. K. N.), złożony z reprezentantów wszystkich bez wyjątku stronnictw i pod kierownictwem prezesa Le a. Ta zgodność stronnictw nie trwała niestety długo. Uchwalono tworzyć w Krakowie Legion zachodni (pod kierownictwem posła konserwatywnego Jaworskiego) i wschodni pod kierownictwem dawnego prezesa komitetu wykonawczego i stronnictwa wschodnio-galicyjskiego (centrum) posła Cieńskiego. Gdy oba Legjony zaczęły się zapełniać, postanowiono powołać Legion wschodni do Krakowa; komitet lwowski porucił przewiezienie Legionu posłowi narodowo-demokratycznemu Stan. hr. Skarbkowi. Przewóz ten się nie powiódł:

pod wpływem wielkiej rozterki politycznej w Galicji wschodniej z powodu tak chybionej przysięgi dla legionistów jak i dokonywanej się tymczasem w pierwszej połowie września 1914 r. inwazji rosyjskiej. Legion wschodni został rozwiązany po drodze w Mszynie Dolnej, a młodzież nasza popadła w ręce żandarmerji lub w nędzę. Fakt ten, którego bliższych szczegółów nie znam, wywołał na posiedzeniu N. K. N. gwałtowną scenę, w której ciągu miały ze strony posła Daszyńskiego paść słowa „zdrada“ i „stryczek“. Wystąpili z komitetu delegaci narodowej demokracji i zbliżonego do nich stronnictwa Centrum. O zajściach tych przywiózł mi do Wiednia ustną wiadomość wiceprezes N. K. N. Jaworski, któremu starałem się być pomocnym we wszystkich jego ciężkich potrzebach legionowych, tak ówczesnych, jak późniejszych za jego wiceprezesostwa i prezesostwa Komitetu w Wiedniu. Mówił ze mną o tem w ministerstwie także poseł Daszyński. Widząc, że obie strony pragną załagodzenia sporu, starałem się wpłynąć w tym duchu na obie strony; p. poseł Daszyński byłby był skłonny do ustępstwa, książę Witold Czartoryski, który w tej sprawie odwiedzał mnie kilka razy z bliskim mi bardzo osobiście Stanisławem Stadnickim, nie był widocznie w stanie skłonić swoich towarzyszy do powrotu do N. K. N. Skutki tego zatargu były bez przesady nieobliczalne: drgają one jeszcze do dziś w przestarym sporze o tak zwane „orientacje wojenne“, bo pozostali w N. K. N. delegowani stronnictw utrzymując się zgodnie z uchwałą z dnia 16 sierpnia 1914 r. przy koncepcji austropolskiej, otrzymali odtąd pogardliwą nazwę „Austrjaków“ i znaleźli się wobec zwartej linii przeciwników w Galicji, a przede wszystkim Królestwie. Toż np. r. 1915 na wiosnę podniosły się w komisji politycznej Koła polskiego, o której opowiem później, skargi z Królestwa na Legjony, które miały w Bolesławicach zastrzelić kilku włościan. Był to tylko symptom nieprzychylnego w Królestwie oczerniania działalności Legjonów, które musiały niejednokrotnie rekwirować żywność, nie będąc,

zwłaszcza w początkach, uposażone w potrzebne zapasy. Współdziałała przytem myśl polityczna stronnictwa narodowo-demokratycznego, stojącego w gwałtownej sprzeczności z N. K. N.

Ale i zaraz po owych zajściach objawiły się ciężkie skutki. Nie wiedząc jeszcze nic o zajściach w Mszanie Dolnej, rozmawiałem raz telefonicznie z hr. Stuergh'em o adresie do cesarza, o którym to adresie będzie mowa później. W ciągu tej rozmowy wspomniał szef rządu z żalem „o wielkiej zdradzie polskiej“, czego nie mogłem w pierwszej chwili wcale zrozumieć. Ale czy słusznie, czy nie, tak a nie inaczej t. j. chęcią zdrady t ł o m a c z o n o, pod wrażeniem inwazji rosyjskiej, rozwiązanie Legjonu. Wszak parę tygodni później po zajęciu Galicji wschodniej aż po Kraków zgłosili się do mnie książę biskup Sapieha i książę Czartoryski z doniesieniem, że armja austriacka pobita, że kawalerji już prawie niema (co było prawdą) i z żądaniem zawarcia pokoju. Gdy na to odrzekłem, że mogłoby to nastąpić tylko kosztem odstąpienia całej Galicji na rzecz Rosji i nie otrzymałem odpowiedzi, przyrzekłem podać żądanie tych panów do wiadomości Berchtolda. A w ministerstwie spraw zagran. i ten krok uważano za „zdradę“. Toż wkrótce po rozwiązaniu Legjonu władze wojskowe zażądały od Namiestnika internowania Cieńskiego i wysłania go do południowego Tyrolu, skąd dopiero po jakich 2 czy 3 latach mógł się uwolnić. Zaś Namiestnik sam przestrzegł hr. Skarbka przed możliwością internowania go i radził wyjazd do Szwajcarii. Wprawdzie jeszcze tuż przed moim wyborem na prezesa Koła hr. Skarbek odwiedził mnie i po omówieniu sprawy mszańskiej stanęło na tem, by próbować załagodzić rzecz w Kole i u rządu bez wyjazdu. Ja się tego najchętniej podjąłem i w mowie swej inauguracyjnej w Kole rzuciłem myśl załatwienia sprawy Legjonu wschodniego na konferencji kolegów kołowych, delegowanych przez wszystkie stronnictwa. Ale poseł Skarbek zawsze dla mnie usposobiony nieprzychylnie, zrozumiał motywowanie wniosku mego jako wymierzone przeciw jego osobie

i wkrótce, mimo, że był wiceprezesem Koła, wyjechał do Szwajcarii. Swoją drogą, powróciwszy w chwili przewrotu w jesieni 1918 r. i dostawszy się do władzy w Krakowie, położył wielkie zasługi około Polski przez bardzo energiczne a taktowne zarazem skłanianie tamtejszych władz wojskowych austriackich do poddania się władzy polskiej.

W kilka miesięcy później (na wiosnę 1915 i już jako prezes Koła) zetknąłem się znowu z Legjonami w sprawie dość ciekawej. Po ustąpieniu jen. Durskiego, który mi się swego czasu przedstawił wraz ze swymi pułkownikami (dwaj Hallerowie i Sikorski) został komendantem Legjonów mianowany generał Puchalski. Jednym z jego pułkowników był brygadjer Józef Piłsudski; i między tymi wodzami nie było zgody, a gwoli jej przywrócenia przybyli do mnie obaj, poruczając mi tem samem misję bardzo zaszczytną. Brygadjera miałem już sposobność poznać za czasów, gdy piastowałem godność wspólnego ministra finansów; odwiedził mnie przy Johannesgasse i zrobił na mnie wrażenie polityka bardzo głębokiego i ostrożnego. Na objad, który mu dawała wówczas kolonja polska, nie mogłem być proszony, czego tembardziej żałowałem, że nie mogłem usłyszeć wielkiej mowy Piłsudskiego, w której między innymi ostro skarcił ze stanowiska dyscypliny wojskowej, wystosowaną przez poprzedniego mowcy-oficera przestrożę przed narażaniem się brygadjera na niebezpieczeństwo w bitwach. Na urzędzonym znacznie później przyjęciu Legjonistów w hotelu Continental, gdzie poznałem znakomitego dziś generała i ministra Sosnkowskiego (wówczas szefa sztabu Piłsudskiego), nie był już obecnym brygadjer. Na owej konferencji w biurze prezesa Koła, w której wziął udział także p. Habicht (z urzędu starszy prokurator austr., wielki patriota polski i bliski bardzo brygadyerowi), przedstawili obaj dygnitarze swoje stanowisko. Piłsudski nie taił, że właściwie jemu by się należała komenda Legjonów; ale poddałby się nowemu komendantowi, gdyby mógł przynajmniej wyjednać dla Legjonistów pewne zmiany

co do rang, awansów itd. w duchu równouprawnienia z armją austriacką. W tym duchu nastąpiło też porozumienie, które swoją drogą nie trwało długo i sprowadziło w końcu usunięcie Piłsudskiego i, jeżeli się nie mylę, internowanie go w Krakowie. Ale dla mnie niewojskowego, była więcej zajmującą szermierką dwóch generałów, tak bardzo do siebie niepodobnych: Puchalski, zacyjny bardzo i patrijotyczny Polak, ale wcale niewymowny i przedewszystkiem żołnierz, Piłsudski wymowny, biegły w dyskusji, miłujący „swoje“ Legjony, ale przytem zarówno żołnierz jak polityk. Walka była więc bardzo nierówna między gorącym Małopolaninem a chłodnym Litwinem!... Brygadjer był zresztą na drugi dzień sam u mnie, przypuszczam gwoli politykowania, bośmy omówili całą kwestję austro-polską, nie wyłączając części wojskowej. Piłsudskiemu, któremu przedstawiałem konieczność utrzymania jego powagi dla wielkiej roli, jaką mu przepowiedziałem w przyszłej odrodzonej Ojczyźnie, zgadzał się na całą konstrukcję austropolską, a nawet zrozumiał, że armja wspólna austriacko-węgiersko-polska będzie miała nadal komendę niemiecką, zaś tylko „obrona krajowa“, w którą się po wojnie przemienić miały Legjony, komendę polską. Przytem mnie osobiście raziła zbyt trywialna nazwa „obrona krajowa“ i zauważyłem, że wolałbym słyszeć nazwę „gwardja narodowa“ lub coś tego rodzaju, na podobieństwo węgierskiej „honwed“. Ale gdy na drugi dzień rano oddałem brygadjerowi przed jego odjazdem wizytę w hotelu Müllera na Grabenie — rozmawialiśmy na jego życzenie spacerując modo peripatetico w kurytarzu — Piłsudski powracając do naszej rozmowy wczorajszej, zrobił uwagę: „Niech tylko cesarz da nam język polski, to ja się zadowolnię nazwą „obrona krajowa“. Tak trzeźwo oceniał sytuację ten wielki wódz o wielkim talencie politycznym.

W owych czasach zetknąłem się z Piłsudskim jeszcze raz w Krakowie, gdy w ciągu uroczystości listopadowych w r. 1916 (manifesty cesarskie!) złożył nam w loży prezydenta miasta wizytę na uroczystym przedstawieniu „Kościuszko pod

Racławicami". Wszyscy obecni (prez. Leo, hr. Agenor Gołuchowski) umieliśmy cenić wielkiego gościa, ale nikt z nas wtedy chyba w nim nie przeczuwał godnego następcy „Naczelnika“ z pod Racławic, jakkolwiek młodzież w teatrze tak go gorąco aklamowała, że przedstawienie a nawet gra hymnu narodowego doznawały przerwy. Była to ta sama popularność, której wyraz usłyszałem r. 1915 w szkółce polskiej dla uchodźców wiedeńskich, gdy młodzież na moje powitanie jako gościa, zwiedzającego szkółkę, zaśpiewała mazurek Dąbrowskiego, kończąc zwrotki zawsze słowami: „Marsz, marsz Piłsudski“ itd.

W r. 1919 stanąłem jako dezygnowany minister polski przed Naczelnikiem Państwa, a mimowolna dla dygnitarza tej miary cześć przemieniła się wkrótce w podziw, gdy na konferencjach ministrów słyszałem niejednokrotnie ze strony Naczelnika słowa, pełne zarówno dziwnie wzniosłej i oryginalnej wymowy, jak głębokiej mądrości wytrawnego męża stanu.

Po raz ostatni miałem do czynienia z Legionami w drugiej połowie września 1918 r. w Wiedniu. Wiadomo, że z powodu przejścia Hallera do Rumunii toczył się w Marmarosze-Sziget na Węgrzech proces karny wojenny przeciw tym Legionistom, którym przeszkodzono w połączeniu się z Hallerem. Sprawa była ciężką ze stanowiska zarówno prawnego jak i politycznego. Z mocy prawa, Legioniści, którzy złamali przysięgę i przyznawali się do zamiaru opuszczenia kraju, musieli za to odpowiadać gardłem. Takie zaś zastosowanie prawa byłoby ostatecznym zerwaniem Austrii z Polską. Cesarz Karol zdecydował się na ułaskawienie, a przedostatni prezes ministrów baron Hussarek zawiązał ówczesnego ostatniego prezesa Koła Dra Tertila, by ten, dobrawszy sobie po jednym członku Izby posłów i Izby panów polskich, zgłosił się u cesarza celem usłyszenia ważnej wiadomości. Tymi członkami byliśmy poseł German (wybitny poseł demokratyczny, ze mną zaprzyjaźniony, zmarły niestety w styczniu 1920 r. we Lwowie) i ja jako członek Izby Panów. Zebraliśmy się w Kole polskiem w parlamen-

cie — ja po raz ostatni — i udaliśmy się pieszo do „Burgu“. Ja znowu po raz ostatni w życiu zaszedłem od „traktatu Bellaria“ do owej części „Burgu“, w której cesarz austriacki przyjął mował wszystkich monarchów, nie wyjąwszy naszych Regentów. W salach gromadzili się dygnitarze cywilni i wojskowi na walną, może także ostatnią naradę koronną z okazji zbliżającej się klęski na froncie francuskim. Przedtem przyjął cesarz naszą deputację, oświadczając jej uroczystie ułaskawienie Legjonistów. Prezes Koła przemówił w obszernym podziękowaniu, ja parę słów w obronie Legjonistów jako dawny prezes Komitetu Narodowego. I znowu po raz ostatni mówiłem z ostatnim z Habsburgów.

Przedmiot tej rozmowy nie był przyjemny. Wtedy bowiem nie przeczuwaliśmy zysków politycznych i splendoru, jaki nam w przyszłości przyniesie Legjon a później świetna armja J. Hallera. Ale i z tego epizodu powinnyby przeciwnicy Legjonów wyczuć właściwe ich posłannictwo historyczne: symbol naszego samoistnego współdziałania w walkach o odbudowie Ojczyzny naszej. Dość czujemy do dziś (Luty 1920) i będziemy jeszcze długo czuli skutki zarzutu, żeśmy sobie sami nie zdobyli Ojczyzny, że nam ją „darowali obcy“. Legjony w czasie wojny światowej, a po jej ukończeniu wojska polskie w walkach o granicę wschodnią, są czynnikiem, łagodzącym ów stan bezbronności naszej. A w obu kierunkach widnieje genjusz Piłsudskiego!

Wróćmy teraz do początku sierpnia 1914 r. W tym samym czasie, gdy bawił w Wiedniu prezydent Leo, poruszyłem u Berchtolda wydanie manifestu cesarskiego do narodu polskiego z okazji zdobycia Kjelc i spodziewanego wówczas — zbyt optymistycznie — zdobycia Warszawy. Berchtold się na to zgodził, z zastrzeżeniem zgody Niemiec i polecił Ho y o s o w i wypracowanie konceptu. Ja pojechałem do biura z uwagi, że popołudniu mieliśmy znowu konferencję na Ballplatzu. W czasie, gdy po zatwierdzeniu spraw nagłych, zacząłem się zbierać na objad do domu, wpadło mi na myśl, że manifest winien być

raczej napisany przez Polaka. Już w poczekalni z kapeluszem w rękę zatrzymałem się, kazałem poprosić stenotypistkę i w ciągu kilkunastu minut podyktowałem jej koncept manifestu w języku niemieckim — ogłoszenie miało naturalnie nastąpić w języku polskim. Popołudniu odczytałem mój projekt Berchtoldowi i jego przydajalście, którzy uznając, że jest cieplejszy od ich projektu, pozostali jednak przy swoim. Wtedy znowu przyszła mi myśl szybka. Zabrałem ze sobą bruljon Hoyosa, kazałem go odpisać w biurze, zażądałem audjencji u cesarza i przedstawiłem mu do wyboru obydwie projekty. Cesarz bez namysłu rozstrzygnął za manifestem moim, o czym zamierzałem zawiadomić Berchtolda, ażeby swój wniosek oficjalny zastosował do tego. Ale stało się cokolwiek inaczej. W tym samym czasie powstała myśl, urządzenia w Kielcach rządu wojskowo-cywilnego pod kierownictwem generała Colard'a z dodaniem mu b. namiestnika Bobrzyńskiego jako cywilnego komisarza. Na drugi dzień po mojej audjencji odbyła się u Berchtolda konferencja z udziałem hr. Stuerckha, bar. Buriana, p. Bobrzyńskiego i moim. Gospodarz przyjął nas oświadczeniem, że właśnie go wezwał do siebie cesarz; prosił więc, byśmy pod jego nieobecność radzili aż do jego powrotu. Omówiliśmy wszelakie szczegóły stworzenia rządu kieleckiego, przyczem poruszono ewentualność wydania manifestu w chwili wejścia w życie tego rządu. Pod koniec narad przybył Berchtold z powrotem z Schönbrunnu i opowiadając nam o szczegółach audjencji, dodał, że kwestja manifestu nie potrzebuje być więcej omawianą, bo cesarz, sam się do niego odezwał: „sprawa manifestu jest w porządku; minister skarbu odczytał mi dwa bruljony a ja zadecydowałem za jego elaboratem“. Trochę się przestraszyłem tem wykolejeniem konferencji; ale Berchtold nie czuł się dotkniętym, a ja byłem szczęśliwy, że cesarz uznał ponownie moją kompetencję w sprawach polskich.

Dołączam do tych zapisków moich egzemplarz proklamacji, przyjętej przez cesarza. Odczytałem mu w języku niemieckim

tekst pierwotny; dodatki z powodu rządu kieleckiego, nie harmonizujące wcale ze stylem pierwotnym, były właściwie tylko ewentualne i upadły same z siebie, nie tylko dlatego, że woleliśmy ogłosić manifest w Warszawie, ale też z tej prostej przyczyny, że operacje wojenne, niekorzystne w początkach dla państw centralnych, nie dopuściły do utworzenia rządu kieleckiego. Kandydat do tego rządu, Colard dostał się dopiero później do władzy w samej Austrii. Po zatwierdzeniu tekstu przez cesarza, manifest ipso facto otrzymał przyzwolenie Berchtolda i Stuergha. P. Burian musiał go widocznie przedłożyć do zatwierdzenia swemu szanownemu pryncypałowi Tiszie. I potrzeba było tylko przybycia tego pana „profesora“ czy „cenzora“ do Wiednia, ażeby votum nie tylko powyższych dwóch ministrów, ale i samego cesarza upadło bez odwołania i bez miłosierdzia. Zebrała się „prywatna“ konferencja w biurze hr. Berchtolda (nie w sali posiedzeń).

Koncept proklamacji.

Alternatywnie.

(Na wypadek, gdyby przed wkroczeniem do Warszawy utworzono rząd tymczasowy w Kielcach pod gen. Colardem (wówczas jeszcze zagrażał „Polakiem“) z dodaniem komisarza cywilnego w osobie p. Bobrzyńskiego).

(patrz. str. 305).

Do Narodu polskiego.

Polacy!

Od półtora wieku niemal pozostaje część Waszej dawnej, pełnej chwały Ojczyzny pod berłem Mojego Domu.

Przed niespełną 50 laty złożył Mi Sejm mego królestwa Galicji w adresie swoim pamiętne przyrzeczenie w słowach: „Przy Tobie Najmiłościwszy Panie stoimy i stać zawsze będziemy“. Przez ten długi czas nie zapomnieli Polacy w państwie Mojem

Alternatywnie.

mieszkający ani na chwilę o tym wówczas uczynionym ślubie, ale i Ja w Mojej ojcowskiej pieczołowitości starałem się nieustannie popierać ich rozwój narodowy, kulturalny i ekonomiczny.

W państwach Moich pod ochroną Mej siły zbrojnej powstała skarbnica Waszej kultury: tam danem Wam było pielęgnować wspomnienia wielkich czynów Waszych przodków i wychowywać dzieci Wasze w duchu świetnych tradycji ojców.

(Zanim jeszcze nadejdzie
dziejowa chwila, w której)

⟨wkroczą⟩

[już dziś]

(Dziś, w tej dziejowej chwili, kiedy) wojska Moje, połączone z wojskami Mego drogiego sprzymierzeńca, ⟨wkraczają⟩ do jaśniejącej blaskiem stolicy Waszego kraju, aby Wam zwrócić wolność narodową i kulturalną, pragnę Was [] zapewnić uroczyście, że będę się do Was zawsze odnosił z tą samą miłością, jaką otaczałem dotychczas braci Waszych.

Jeżeli Bóg wszechmocny obdarzy zwycięstwem wojska sprzymierzone, to kraj Wasz będzie nierozdzielnie wcielony do rzeszy Moich państw w ten sposób, by wspólnie z krajem Moim, zamieszkałym przez Waszych rodaków, tworzył jednolite Kró-

Alternatywnie.

lestwo polskie, którego administrację z uwzględnieniem najwyższych interesów i potrzeb całej Monarchji, powierzę rządowi narodowemu, odpowiedzialnemu przed Sejmem w Warszawie.

*Ażeby zaś ludność kraju Waszego nie była w czasie wojny pozbawioną opieki prawnej, ustanowiłem na obszarach, zajętych przez wojska Moje, rząd tymczasowy — na teraz w Kielcach w osobie generała Mojej armji Polaka, który przy pomocy znakomitego polskiego męża stanu i ze współdziałaniem wybitnych obywateli każdego powiatu zorganizuje władze, najniezbędniejsze dla ludności.

Ponieważ władze te będą miały ustrój czysto narodowy, przeto żądam od Was, ażebyście ten rząd tymczasowy, gotujący drogę przyszłemu rządowi narodowemu, uważali za jedyną władzę legalną, której ludność winną jest posłuszeństwo bezwzględne.

Polacy!

*

Zaufajcie gwiazdzie Mojego Domu! Zaufajcie losowi tych wszystkich ludów, zespolonych dziś w patriotycznym zapale, z którymi przyjdzie Wam teraz zawrzeć sojusz braterski.

Pójdźcie za sztandarami Mojemi z tą niezłomną wiarą, że Naród Polski pod berłem Mojem i potomków Moich znajdzie bezpieczną przystań po wszystkie czasy!

W obecności gospodarza, Stuergha, Buriana i mojej oświadczył Tisza, że się sprzeciwia manifestowi, ponieważ po jego ogłoszeniu nie mógłby „nigdy cesarz austriacki wznowić

stosunków dyplomatycznych i osobistych z carem!!“ Biedny Tisza nie dożył czasów dzisiejszych, ale dożył rewolucji rosyjskiej i traktatu brzeskiego: te doświadczenia nie były chyba potwierdzeniem jego jasnowidzenia w dniu powyższej konferencji. Ale Tisza dożył w kilka tygodni później uroczystości przybycia cara do Lwowa, który z balkonu Namiestnictwa ogłosił się po wieczne czasy, „suwerenem Galicji“. Jakaż nieostrożność była to ze strony tego „szlchetnego“ monarchy, który chyba jeszcze bardziej zamknął sobie drogę do układów i przyjaźni z cesarzem Franciszkiem Józefem! Tylko, że własni jego generałowie przeszkodzili mu na wiosnę 1917 r. w zawieraniu jakichkolwiek aktów monarszych i urzędowych!.. Na dictum pana Tiszy ja odrzekłem, że dla nas jest decydującem, ażeby cesarz przyrzekł narodowi polskiemu rząd narodowy, odpowiedzialny przed Sejmem. W odpowiedzi podał pan „profesor“ w wątpliwość zwołanie Sejmu polskiego. Ja z mej strony zarzuciłem: „Ależ Pan jesteś Węgrem i wiesz przecież, że u Was Węgrów zawsze stoi na pierwszym miejscu Sejm krajowy?!“ „A tak“, brzmiała „delikatna“ odpowiedź, „ale to się dzieje w Węgrzech, a Polacy to nie Węgrzy?“ Na takie dictum acerbum potrzeba chyba było rzucić Tiszcie w twarz obelgę; wszelako w tej chwili drażliwej zabrał głos hr. St u e r g k h, Berchtold się wogóle nie odezwał w głębokiej przed Tiszą pokorze i rzekł: „Kiedy więc rząd węgierski sprzeciwia się manifestowi cesarza, to możeby się zgodził, by pożądane dla Polaków petita ogłosiły obie armje w chwili wkroczenia do Warszawy?“ Widząc, że manifest upadł, uważałem to wyjście, acz niedostateczne, za mniejsze zło, niż zupełny brak odezwy do narodu polskiego. Tacite więc je przyjęto, może w poczuciu znajomości układu dwóch armij, mocą którego Warszawa, wchodząc w koło interesów niemieckich, miała być zajęta przez armję niemiecką. Wprawdzie był taki układ dodatkowy, że na czele armji niemieckiej miał wkroczyć do Warszawy oddział ułanów Legjonów polskich z chorągwią polską.

Ale nim przyszło do zajęcia Warszawy, upłynęło tyle miesięcy, że tymczasem obie strony zapomniały o układzie. Bo, o ile mi wiadomo, z jednej strony Niemcy nie dali Austrii dokładnie znać o prawdopodobnym dniu wkroczenia do Warszawy, z drugiej strony Austriacy, trzymając jakiś czas oddział ułanów w pogotowiu, wysłali go właśnie w czasie zbliżania się Niemców do Warszawy na inny teren walki.

Tak więc, umyślnie czy przypadkowo, nie wykonano nawet wniosku pośredniczącego hr. Stuergha i państwa centralne zajęły stolicę Polski bez słowa istotnie politycznego. Bo tak zwane „manifesty“ obu armij w początkach wojny, o których już wspominałem wyżej, były chyba żartem politycznym, zgodnym zupełnie z oczekiwaniami armij a i rządów, że lud polski w chwili wejścia tych armij chwyci za broń przeciw ciemnicy: za broń, której Austrija nie miała dość nawet dla armii własnej, a wcale dla Legionów, cóż dopiero dla ludu, zachęconego zapewne do powstania zbombardowaniem przez Niemców Kalisza! A na Ballplatzu wiedeńskim na serjo usłuchano czyjejs bajki o widokach powstania w Polsce i odczuto gorzkie rozczarowanie z tak „nielojalnego“ zachowania się ludu polskiego. I znowu sancta simplicitas!. Taki był koniec manifestu, którego potrzebę i znaczenie rozumiał w całym tem godnym towarzystwie jedyny cesarz Franciszek Józef.

Po zajęciu Galicji przez Moskali opuściła cała niemal szlachta polska swoje dwory, pałace i zamki i przebywała we Wiedniu. Była to chwila, w której owi dwaj znakomici reprezentanci naszej szlachty żądali odemnie zawarcia pokoju. Przybysze nasi byli — rzecz zrozumiała — bardzo pesymistycznie usposobieni, a ich damy wyrażały się publicznie bardzo nieostrożnie o Austrii i jej przyszłości. Historia przyznała im wprawdzie po 4-ech latach rację, ale wówczas zachowanie ich było mocno niepolityczne. Odwiedził mnie wtedy hr. Stuergh, ażeby mi donieść, że panie polskie z najwyższej arystokracji nie

robią sobie szkrupułów, prowadzić w salach restauracyjnych, a nawet na schodach w hotelach rozmowy, zawierające wprost zbrodnię stanu. Z uwagi na stan wojenny i ciężkie położenie armji austriackiej rząd nie może się dłużej przypatrywać temu zachowaniu się i jest zdecydowany przystąpić do uwięzienia tych pań, jeżeli ja (Biliński) nie położę temu tamy. Uspokoilem hrabiego i obiecałem, że się zajmę tą sprawą. Wkrótce potem zaprosilem do swego biura kilkunastu ze szlachty, bliżej mi znajomych, do których przemówilem mniej więcej w te słowa: „Hr. Stuergh oświadczył mi to i to i upoważnił mnie do zawiadomienia ich o tem. Ja ze swej strony muszę przypomnieć, że szlachta polska przez lat niemal 50 oświadczała przy każdej sposobności swoją wierność dla cesarza i że muszę zwrócić uwagę na uczucia cesarza, gdy stwierdzi, że ta wierność trwała tylko w czasach dobrych, a ustaje w chwili, gdy się państwu i monarsze źle powodził! Wszyscy bez wyjątku uznali słuszność tej argumentacji i obiecali wpłynąć w tym duchu na swoje damy.

Ale na tem akcja nie stanęła i nie mogła stanąć. Bez tego już opowiadano w związku ze sprawą Legionu wschodniego, że cesarz czuje się opuszczonym przez Polaków, że mu ze sfer rządowych a i przez wysłanników Rusinów donoszą ciągle o zdradach polskich. Wszak przywódcy ruscji (ukraińscy), opuszczeni przez ludność ruską, dopuszczającą się na terenie wojny zdrad nieustannych, o których, aż do wydania zakazu przez miłującą ich naczelną komendę, donosiły codziennie biuletyny oficjalne, rozpuścili dla odwrócenia od siebie uwagi, że w Galicji Polacy zdradzają na każdym kroku, że w każdym dworze znajdują się w piwnicach tajne telefony dla komunikacji z Moskali, (przypominam opisaną już gdzie indziej scenę z arcyksięciem Leopoldem, który zresztą jako „paskarz“ musiał najwcześniej uciec z Wiednia podobno do Ameryki), że wszyscy kolejarze zdradzają na linjach i dworcach, że cały szereg polskich starostów i sędziów powieszono za zdradę itd. Po naradzie ze

Stuergkhem, zniósłem się z ministrem Georgim i uprosiłem za jego pośrednictwem jego brata, prezydenta najwyższego sądu karnego wojskowego, by zechciał zbadać oficjalnie wszystkie powyższe zarzuty. Po krótkim czasie otrzymałem wiadomość, że wszystko polega na kłamstwie i oszczerstwie. Uradowany, zawiadomiłem o tem hr. Stuergkha z prośbą, by całą rzecz kazał w dzienniku półurzędowym „Fremdenblatt“ na miejscu widocznem wyjaśnić obszernie. Niestety akcja ta się nie udała. Gdy mianowicie mimo przyrzeczenia szefa rządu pojawiło się tylko kilkanaście chłodnych wierszy drobnymi literami, zgłosiłem się telefonicznie z żalem do Stuergkha, na co otrzymałem pomienione już wyżej wyjaśnienie, że „nach dem grossen Verrat der Polen“ (Legion wschodni!) niepodobna było uczynić więcej na ich korzyść!

Wobec tego wszystkiego uprosiłem sobie audjencję u cesarza, aby mu przedstawić całą sprawę. Wszedłem do jego komnaty z najprzykrzejszemi uczuciami; jedyny raz w życiu szedłem na audjencję z niechęcią i żalem w sercu. Przedstawiłem cesarzowi wszystko obszernie, straszny stan zniszczenia w kraju, ruinę całej szlachty, której niebywałe zbiory z winy naszej komendy (zakazano sprzedawać je osobom prywatnym, a nie zakupiono dla armji!) dostały się do rąk Moskali, gorzkie uczucia rolników polskich, spoglądających na szalone zyski sąsiedniej szlachty węgierskiej — a po tych wywodach troszkę trywjalnych wykazywałem dowodnie, że szlachta polska nie zmieniła się od czasów Lwowa, Krakowa, Jasła i Chłopów, gdzie zadzierzgnął się między nią i całą ludnością polską a cesarzem nierozzerwalny istic stosunek. Cesarz, wysłuchawszy mej przemowy w spokoju, odrzekł w głębokim rozrzwinienu tylko słowy: „ależ między nami nic się nie zmieniło!“ Poczem z zadowoleniem usłyszał odemnie o myśli wystosowania do niego adresu wierności. Myśl tę poruszono już na kilka dni przedtem w kołach szlachty i proszono mnie o porozumienie się z prezydentem ministrów, ażeby stosownie do swojej kompetencji wyjednał

u cesarza audjencję dla deputacji adresowej. Gdy na to hrabia Stuerghk zaczął robić trudności z audjencją — widocznie zawsze z uwagi na „wielką zdradę“ — wyraził natomiast gotowość przedłożenia otrzymanego od szlachty adresu w jej imieniu cesarzowi, zerwała się burza. U bawiącego w Wiedniu wraz z Wydziałem krajowym Marszałka krajowego zebrało się w hotelu Meissla wielkie koło szlachty, z hr. Gołuchowskim i hr. Stanisławem Tarnowskim, prezesem Akademji Umiejętności na czele, na które i mnie zaproszono. Marszałek Niezabitowski, wówczas jeszcze początkujący w godności, którą potem sprawował przez cały czas wojny z tak wielkim dla dobra narodu polskiego skutkiem, miał sposobność wypowiedzenia się, a hr. Gołuchowski ze znanym temperamentem oświadczył, że szlachta polska nie podda się zamiarom prezesa ministrów i dotrze wprost do tronu. Na prośbę zgromadzenia zakomunikowałem to panu Stuerghkowi, który tymrazem ustąpił, obiecał wyrobić audjencję i nawet ze swej strony dał mi radę, by w adresie umieścić zwrot, wyrażający niesione przez naród ofiary wojskowe ponad obowiązki ustawowe, to znaczy sformowanie Legionów. Na powyższem zgromadzeniu poruczono wypracowanie adresu najlepszemu niezawodnie styliście polskiemu, hr. St. Tarnowskiemu, który, z uwzględnieniem rady Stuerghka, przyniósł mi wkrótce swój projekt do wspólnego przejrzenia — bo o uchwaleniu na zgromadzeniu nie było naturalnie mowy. Ja ze swej strony mogłem chyba tylko wskazać na jakieś drobnostki, poczem poświęciłem całą uwagę przetłomaczeniu elaboratu na język niemiecki. Albowiem według obyczaju Wydziału krajowego pisma do cesarza bywały zawsze wystosowane w języku najprzód polskim a obok w tłumaczeniu niemieckim. Tym razem należało tłumaczenie do prac wcale nie łatwych, bo podniosły i znany oryginalny styl hr. Stanisława nie dał się ani naśladować ani dosłownie przełożyć. Dokonałem tego przy pomocy sekretarza hr. Dzieduszyckiego, który się także zajął obstalunkiem okładki.

Adres szlachty polskiej do cesarza Franciszka Józefa I-go brzmiał:

„Najjaśniejszy Cesarzu i Królu Panie nasz Najmiłociwszy!

Pozwól w tym poczynającym się roku szlachcie polskiej z pod Twojego berła, złożyć hołd czci, wdzięczności, wierności. Poczyna się ten rok w wypadkach wstrząsających całym światem. Wojna najkrwawsza, najstraszniejsza, jaką ludzkość kiedykolwiek widziała. Twoja Monarchja Najjaśniejszy Panie walczy w tej wojnie o swoje prawa, o swoje bezpieczeństwo, o prawa i pokój krajów będą Twojemu podległych, o pokojową bezpieczną przyszłość Europy i jej cywilizacji.

Nasz Kraj, teatr tej wojny, najsrożej nią dotknięty, walczy pod Twoim sztandarem ze wszystkich sił swoich, z przekonaniem, że walczy w dobrej sprawie, że broni wiary swojej i tej cywilizacji, z którąśmy złączeni. Walczy i ufa w zwycięstwo. Kto tylko może nosić broń, ten jest pod bronią, inni znoszą odważnie zniszczenie swego mienia, troskę o swoją przyszłość. Ale my wiemy Najjaśniejszy Panie, że pod Twoim sztandarem, w Twoim obozie jest dobra sprawa i nasze bezpieczeństwo. Wiemy, że pod Twoim berłem, w Twoim ojcowskim, miłociwym sercu, znaleźliśmy uznanie naszego narodowego bytu i możliwość jego rozwoju. Wdzięczność też nasza dla Waszej Cesarzkiej, Apostolskiej Mości przetrwa wieki, nie ustanie nigdy. Z wdzięcznością zaś w parze idzie nasza wierność. W tej ciężkiej chwili walki i trudów, pozwól Najjaśniejszy Panie, żebyśmy powtórzyli nieraz już złożone ślubowanie, z niem i najgorętsze życzenia i nadzieję szczęśliwego końca tych walk, zwycięstwa Twoich wojsk i dobrej sprawy.

Z tem życzeniem, z tą nadzieją, składamy jeszcze raz uroczyste u stóp Tronu Waszej Cesarzkiej i Królewskiej Mości nasze stare oświadczenie „Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy“.

Gdy wszystko było gotowe, zaprosiliśmy chętnych do podpisu na późne popołudnie do mego biura. Zebranie to należy do najbardziej interesujących z moich wspomnień, bo obraz zgromadzonej całej niemal szlachty przywiódł mi w pamięci tak szczęśliwe dzieje polskie, jak dolę i niedolę Ojczyzny. Kilka godzin potrwało, nim 150 osób podpisało adres na mojem biurku, nim wyznaczono deputację i czas zgłoszenia się do audjencji. Ani ja, ani minister dla Galicji Zdzisław Morawski, mój gorliwy i skuteczny współpracownik w Kole polkiem, nie podpisaliśmy adresu z uwagi na nasz charakter urzędniczy. Pierwszy położył podpis hr. Tarnowski, reszta podpisywała w dowolnym porządku. Mnie interesował przytem bardzo mocno zresztą opozycyjny Stanisław hr. Stadnicki, z którym mimo różnic politycznych zaprzyjaźniliśmy się bardzo i ostatni niestety raz mówiliśmy ze sobą wtedy bardzo przyjaźnie, bo biedny Stadnicki nie doczekał się samej audjencji, w której miał wziąć udział. Ponadto interesował mnie brat mój Józef, który wraz z synem przybył do podpisu i mimo gniewu swego zachowywał się wobec mnie w obliczu szlachty tak przyjaźnie, jak później na pogrzebie tegoż samego Stadnickiego. Najwięcej zaś interesował mnie szef opozycji, hr. Stanisław Skarbek, niszczyciel Legionu wschodniego, którego mimo jego wiecznych napadów na mnie, przyjąłem bardzo serdecznie i właśnie z uwagi na jego objawioną w podpisie odwagę cywilną, pragnąłem później jako prezes Koła wyratować od wygnania. Na najbliższej audjencji zwróciłem też uwagę cesarza na lojalny czyn Skarbka, na co cesarz wyrażając swoje zadowolenie, dodał stereotypową zawsze uwagę: „ja die Allpolen, das ist ja der Prof. Klompinski“ Zawsze i przy każdej sposobności sprowadzał endecję w błędnej wymowie polskiego nazwiska do p. Głębińskiego, jakkolwiek ja za każdym znowu razem starałem się sprawiedliwiej zorientować monarchę... Co do genezy adresu wskazuję na dołączony list hr. Stuergha*).

*) Patrz na końcu książki załącznik c).

Chronologicznie rzecz biorąc, musiałbym z grudnia 1914 r. opowiedzieć drugą sprawę ważną: kwestję namiestnika dla Galicji. Opiszę ją w związku z dalszym późniejszym jej losem. Tu pragnę skreślić historję wychodźstwa wojennego, które wypełniło prawie zupełnie czas mego ministerstwa po wybuchu wojny i moje dalsze prace. Przez cały sierpień 1914 oddawaliśmy się illuzji szczęśliwego wkrótce zakończenia wojny; początek września przyniósł gorzkie rozczarowanie. Zawiodła wielka bitwa na wschód od Lwowa, to znaczy cały wschód kraju znalazł się w rękach nieprzyjaciela, którego wkroczenie, acz zwykle sygnalizowane w czas przez poinformowanych o wszystkim żydków, następowało mimo to dla wodzów wojsk na odnośnych odcinkach zawsze niespodziewanie. Tak przynajmniej opowiadano sobie z Buczacza, Podhajec, Stanisławowa, nie mówiąc już o Tarnopolu, o którym na dwa całe niemal lata zaginęły wieści. Publiczność wiedeńska, słysząc o zwycięstwach pod Rudnikami i wyprawie na Zamość i Lublin, łudziła się nadzieją zwycięstwa w położonej na południe od tamtych armij Galicji. Doświadczyłem tego — bez winy — na sobie samym. Było to 3 czy 4 września, gdy wyjeżdżając popołudniu do biura, usłyszałem sygnał telefoniczny. Zgłosił się dyrektor gospodarki dworskiej p. Prileszky, ażeby mi donieść od dworu — jako tajemnicę od arcyksiężnej Marji Teresy, wychodzącej właśnie z apartamentu cesarskiego — iż pode Lwowem armja rosyjska została ze wszech stron osaczona i wzięta do niewoli. Wiedząc, że armje w Królestwie otrzymały nakaz powrotu na południe, uważałem powyższą wiadomość, pominawszy już jej źródła, za bardzo prawdopodobną i w rzeczywistości taki był plan naczelnej komendy, ale osaczenie Moskali unicestwił arcyks. Józef Ferdynand, po raz pierwszy ale wcale nie ostatni, niszczyciel własnych armij zwyciężkich. Owego dnia więc uwierzyłem Prileszky'emu; po drodze do biura zatrzymałem się w kościele Kapucynów, ażeby Bogu podziękować za wyratowanie ukochanego Lwowa i potem zawiozłem dobrą wiadomość do minister-

stwa. Niestety jeszcze w ciągu dnia nastąpiło rozczarowanie, a 5 czy 6 przyszła wiadomość, podobno spóźniona, o zajęciu Lwowa przez Moskali. Nie wiele dni potem rozpoczęł się masowy napływ uchodźców do Wiednia.

Władze austriackie nie były zupełnie na to przygotowane: kto w ogólności znał wówczas wojnę i jej skutki?! To też zaraz w pierwszych dniach po rozpoczęciu ruchu uchodźczego postanowiłem wraz z żoną ukochaną zabrać się do opieki nad uchodźcami. Najpierwszą w tem pomoc znalazłem w szefie moim prasowym Flandraku, Wiedeńczyku, który z czasem stał się na tem polu jakby rodowitym — mimo oszczerstw wszelakiego rodzaju — Polakiem. W samym ministerstwie stanął mi do pomocy zaraz szef prezydium Kuh i naczelnik kancelarii Schättinger, po za ministerstwem najprzód mój brat Marjan który w ciągu r. 1913 sprowadził się był do Wiednia, dalej Dr Juljusz Twardowski, radca ministerstwa galicyjskiego, późniejszy minister — cokolwiek później — p. Wilhelm Ofenheim, syn słynnego z lat 70-ych dyrektora kolei, rozumny, bogaty i szlachetny, z Polską przez interesa naftowe związany humanista. W ciągu jednego dnia złożyliśmy na pierwszy moment większą sumę, sprosiliśmy szereg osób wpływowych, jak hr. Beck, dyrektorowie banku Spitzmüller i Krasny, marszałek bukowiński (nazwiska nie pomnę), zawiązaliśmy się w komitet i rozesłaliśmy do wszystkich mężów wpływowych i instytucyj publicznych odezwę z prośbą o udział w organizacji składek. Wkrótce wpłynęła masa pieniędzy od całego świata. Cesarz, arcyks. Izabella, ministrowie itd. wzięli w tej akcji udział. Postanowiliśmy wspierać wszystkich uchodźców z Galicji i Bukowiny, bez względu na wyznanie i narodowość, a hrabia Stuerghk, któremu to przedstawiłem, zgodził się na moją organizację, przyjmując zarazem zobowiązanie, że gdy nasze środki się wyczerpią, rząd przejmie nasze zadania na siebie. Urządziliśmy sekcje dla rozmaitych warstw społecznych: urzędników, adwokatów, lekarzy, inżynierów, rolników (wielkich, bo

chłopi zostali wierni na swym gruncie), przemysłowców, rzemieślników itd.; opiekę nad żydami starowiercami objęła od samego początku gmina, która mimo swego kierunku antysemitycznego poruczyła czynności członkowi rady miejskiej, adwokatowi wyznania żydowskiego, Schwarz-Hiller i osiedliła uchodźców w żydowskiej części miasta, w dzielnicy Leopoldstadt. Urządzenie z obu stron kanału Dunajowego (Leopoldstadt i reszta miasta) stało się z czasem wzorowem, przyczem najwyższe uznanie należy się Schwarz-Hillerowi. Nasz komitet zebrawszy około miliona koron, przebywszy tysiączne kłopoty z lokalami i klientami, musiał myśleć wkrótce o przelaniu swych czynności na rząd. Przedtem jednak przebył, nie bez własnej winy, kryzys „ruski”. Bo oto posłowie ruscy Wassilko i Kost Lewicki zgłosili się do mnie z żądaniem o włączenie Rusinów z osobno mającą się utworzyć organizacją do naszego komitetu. Obiecałem przedłożyć ich petitum komitetowi wykonawczemu, gdzie z uwagi na codzienne niemal zdrady Rusinów w kraju i codzienne równie oczernianie nas w Wiedniu, było usposobienie naturalnie nieprzychylnie. Przyznaję, że nie miałem w danej chwili siły do wystąpienia za Rusinami stanowczo w komitecie. Może byłbym to uczynił skuteczniej, gdyby Wassilko był mnie w zaufaniu poinformował o stanie rzeczy i o usposobieniach u Rusinów; ale to się nie stało. Opinia u Polaków była słusznie nieprzychylną, ale nasz komitet traktował Rusinów na równi z uchodźcami polskimi; stworzenie zaś organizacji odrębnej w łonie naszego komitetu byłoby dualizmem kłopotliwym. Zatelefonowałem więc Wassilce, że komitet odmówił żądaniu Rusinów; a chociaż on mnie jeszcze telefonicznie przestrzegał przed skutkami, nie wróciłem już na posiedzenie, by wznowić obrady. Dość nażałowałem się później tego błędu. Rusini stworzyli bowiem zaraz osobny komitet, rozpoczęli przeciw nam agitację, uzyskali także pomoc cesarza i rządu. A gdy wkrótce przyznając się do błędu, ofiarowałem im współdziałanie z naszym komitetem w formie fuzji obu komitetów, otrzymałem pisemną odmowę,

choć nie wątpię, że stary Roman z uk, którego chcieliśmy obrać wiceprezesem, byłby był za zgodą. To też, jakkolwiek do dziś sobie wyrzucam błąd, który mógł być powodem ostatecznego zerwania z Rusinami, uważam jednak całą rzecz za pretekst do zerwania. Poznałem to z rozmów z Wassilką i w biurze i — na moje zaproszenie — u mnie w domu. Ukraińcy już wtedy uważali, że nas nic nie może łączyć, że z nami nigdy nie mogą zasiąść do jednego stołu, z uwagi, iż rzekomo na żądanie polskich starostów władze wojskowe kazały internować w Thalerhof (Styrja) cały niemal sztab polityczny oddanych Austrii Ukraińców. Namiestnik Korytowski zapewniał mnie później kilkakrotnie, że wszelkie internowania następowały jedynie na żądanie wojska; ale Rusini w to nie wierzyli i stanęli na drodze, która ich doprowadziła w końcu do wojny domowej, do ruiny kraju i do własnej ostatecznej klęski. Tylko że ja, który zawsze pragnąłem zgody, nie chciałem być tego, choćby pozornie, współwinnym. A zresztą w owej chwili usposobienie po stronie polskiej było tego rodzaju, że acz wkrótce potem już krytykowano mnie za odmowę, wtedy przyzwolenie zostałoby mi wzięte za złe, i dlatego też przykłaśnięto stanowisku czysto polskiemu wobec radykalizmu ruskiego. Ostateczna odmowa ze strony Rusinów nastąpiła 21 października 1914 r. Wkrótce potem opowiedziałem o całym zajściu jak i o samym wniosku co do naprawy błędu hr. Stuerghkowi, gdy z nim traktowałem o przejęciu uchodźstwa naszego na skarb państwa. Po tej rozmowie i kilkakrotnej korespondencji stanęło na tem, że rząd daje fundusze, pod warunkiem, iż dla szafowania nimi będzie upoważnioną komisja mieszana pod mojem przewodnictwem, złożona z członków naszego i dotychczasowego komitetu egzekutywnego, autonomicznego, z dodaniem dwóch wysłanników rządowych, od ministerstwa spraw wewnętrznych i skarbu. Zgodziłem się na tę konstrukcję pod warunkiem, że ta komisja mieszana będzie się zajmowała rozdawnictwem normalnych dziennych zasiłków, ja zaś z moim komitetem pozo-

stanę w prawie, zbierania funduszów na szersze i dalsze cele uchodźcze. I taka nastąpiła zgoda. Komisja mieszana obradowała w początkach zawsze pod mojem przewodnictwem, później w miarę innych zajęć moich pod przewodnictwem mego następcy Dra Twardowskiego aż do zupełnego ustania uchodźstwa i jego skutków. W sumie 600 przeszło milionów K., wydanych przez Rząd w ciągu wojny na uchodźstwo (od r. 1915 także włoskie i południowo słowiańskie), zawarte były także wydatki naszej komisji. Kontrolę finansową pod względem obrotu funduszami wykonywali na moje zlecenie jak od samego początku nad moim komitetem, tak samo nad komisją mieszaną, reprezentant ministerstwa skarbu wspólnego, radca dworu Schättinger i urzędnik rachunkowy ministerstwa skarbu austr., prócz dwóch członków komitetu szerszego. Ja, zaś wsparty w pierwszym rządzie przez Flandraka, rozpocząłem akcję szeroką dla uzupełnienia prac wyższej komisji. Zebraliśmy przedewszystkiem około siebie reprezentantów wszystkich dzienników i dyrektorów wszystkich teatrów: mały komitecik, złożony z księżnej Marji Adamowej Lubomirskiej (damy wielkiego rozumu i energii), mojej żony, Ofenheima i Flandraka wykonywał wnioski tych zgromadzeń. Na tej podstawie urządzaliśmy cały szereg koncertów, przedstawień teatralnych, które, poparte przez prasę, gromadziły Dwór i najbogatszą publiczność na turnieje pierwszorzędnych artystów i artystek, osobiście zapraszanych przezemnie. Zebraliśmy tym sposobem znowu około miliona, z którego postanowiliśmy założyć wielki dom polski uchodźczy. Powiodło się Flandrakowi znaleźć właściciela domu p. Fränkla(?), żyda niemieckiego, który za przyrzeczenie przyszłego uzyskania odznaczenia cesarskiego (szlachectwa lub choćby orderu), oddał nam w centrum miasta, na rogu Kohlmarkt i Wallnerstrasse — z wejściem od tej ostatniej całkiem bezpłatnie przeważną część dwóch domów pięciopiętrowych, przeznaczonych przed wojną do przebudowy. Tam urządzono, głównie staraniem pp. Ofenheima i Flan-

draka, restaurację na 500 osób, szkołkę froeblovską, szkoły ludowe i średnie, kursy uniwersyteckie, kursy fachowe, handlowe, wreszcie ambulatorjum lekarskie i dentystyczne. Usługę w restauracji objęły panie polskie z ks. Lubomirską i hr. Romanową Potocką (z Radziwiłłów) na czele — przyłączyły się do nich także panie niemieckie, jak adwokatowa Schnabłowa i inne; siłą nauczycielskich polskich z grona uchodźców dostarczyło ministerstwo oświaty za wstawiennictwem radców polskich Jerzego Madeyskiego (późniejszego komisarza cywilnego w Lublinie i ministra austr., dziś posła naszego w Berlinie) i Władysława Pilata; stroną lekarską zajął się bezpłatnie słynny profesor Halban (brat prof. praw i rektora we Lwowie). Hr. Stuerghk i minister spraw wewnętrznych baron Heindold zwiedzali naszą instytucję z podziwem; ja często tam zaglądałem, przyjęty raz przez dzieciaki, śpiewające ową zwrotkę „marsz, marsz Piłsudski“! W połowie stycznia 1915 r., jeszcze za mego ministerstwa, otworzono ten dom polski, a zwinęto go pod jesień 1915 r., gdy po ofensywie udałej z czerwca, prawie całe uchodźstwo wróciło do kraju i można było przypuszczać słusznie (acz niestety błędnie), iż nie zjawi się ponownie.

Tymczasem zbliżała się chwila mojej dymisji. Jeszcze tylko w ciągu grudnia 1914 r., gdy uprzedził ją już upadek Potiorka, zająłem się wraz z żoną gwiazdką dla Legionistów. Panie polskie zabrały inicjatywę i zdołały, podobno przez hr. Jerzego Mycielskiego (prof. uniw. Jagiellońskiego, wielkiego miłośnika Legionów) zainteresować arcyksiężną Izabellę, jako małżonkę naczelnego wodza arcyks. Fryderyka. Znając arcyksiężnę od dawna, udałem się do niej nie jako do żony Fryderyka, bo to niestety bardzo był słaby tytuł, lecz raczej jako do najrozumiejszej i najenergiczniejszej z arcyksiężen, acz ani jej rozum ani energja nie zdołały nigdy pobudzić podobnych własności u małżonka. Arcyks. Izabella, z domu księżniczka Croy (rodem równa mężowi), znaną była publiczności ze swego dumnego operu wobec morganatycznej żony arcyksięcia Fran-

ciszka Ferdynanda, ks. Hohenberg, która, jako hrabianka Chotek i dama dworska arcyksiężnej, pozyskała serce następcy tronu w domu Fryderyków, mającym 5 córek na wydaniu. Ale po za tą, niezbyt sympatyczną dumą, była Izabella w swej postaci podobna do wielkiej cesarzowej Marji Teresy typem rozumu i uprzejmości. Bardzo była przychylną Legionom, ale co do udziału w gwiazdce zaraz mi oświadczyła, że jej nie wolno przyjąć protektoratu nad gwiazdką legionową bez osobnego zezwolenia cesarskiego, o co jej samej nie wolno się nawet starać u cesarza; taka to była dyscyplina u starego cesarza Franciszka Józefa, o którego „osłabieniu“ i „senności“ tyle baśni, nieuzasadnionych aż do jego śmierci rozpuszczano. Arcyksiężna więc wymagała, bym ja wyjednał jej pozwolenie, poczem dopiero może się przedstawić w charakterze protektorki cesarzowi. Poszedłem więc do monarchy i bez najdrobniejszej trudności uzyskałem przyzwolenie dla arcyksiężnej, która zresztą w czasie mojej audjencji telefonowała kilkakrotnie do mnie do domu, pełna obawy o wynik audjencji.. Protektorka przyczyniła się na gwiazdkę wielkim darem i wzięła osobście z córkami i ze szwagrem arcyks. Karolem Stefanem (późniejszym kandydatem do tronu polskiego) udział w przeznaczonych na cele Legionów wystawie obrazów polskich, urządzonej przez hr. Męciskiego. Panie polskie zaś, z panią Rosnerową (żoną posła do Rady państwa i późniejszego komisarza rządu austr. przy okupacji niemieckiej) przyrządzały przesłiczne dla Legionów pakiety świąteczne. Kierownictwo całej akcji spoczywało w komitecie dam, który się zgromadzał u mojej żony w ministerstwie; księżna Lubomirska, hr. Siemińska, pani Starowieyska, pani Germanowa, pani Rosnerowa i inne pełniły najgoręcej swoje obowiązki, w obecności hr. Męciskiego i mojej.

D y m i s j a.

Ale już po Nowym Roku rozpoczęły się zmiany w rządzie wspólnym. W połowie stycznia 1915 upadł hr. Berchtold,

utracony przez Tiszę z obawy, że przed wojną z Włochami chciał im robić pewne ustępstwa terytorjalne. Węgrzy z Tiszą byli temu przeciwni i na ten program wysunęli factotum Tiszy, p. Buriana. Mianowany ministrem, udał się p. Burian do Niemiec, gdzie rządowi, a raczej naczelnej komendzie, nalegającym od samego początku na ustępstwa Włochom, rzekomo dowiódł, że nie potrzebuje tych ustępstw robić. Dowiedziałem się o tem jakoby świetnem zwycięstwie w gronie sojuszników z własnego p. Buriana sprawozdania na Radzie ministrów, w której wziąłem jeszcze udział jako minister wspólny. Tem większa dla Buriana tragika, że potem właśnie on sam musiał się godzić na coraz nowe ustępstwa terytorjalne i przytem nie zdołał uchronić monarchji od wojny z Włochami, mimo energicznej w samym Rzymie, nie zbyt dla monarchji sympatycznej pomocy b. kanclerza ks. Bülowa. W drugiej połowie stycznia dowiedziałem się poufnie od zaprzyjaźnionego mi wiceprezydenta Schulza via pani Schratt, iż Tisza wymógł nareszcie na cesarzu moje ustąpienie, pod pozorem niezgody w Radzie ministrów, faktycznie z powodu kolei leśnej w Bośni, a obok tego w zasadzie także na podstawie odpowiedzialności za zamach sarajewski. Przy tej sposobności opowiedziano mi, że cesarz, bardzo dla mnie łaskawie usposobiony, chętnie mi nadać chce posadę prezidenta Najwyższej Izby obrachunkowej (zajętą wówczas przez bar. Hauenschilda), nadawaną zazwyczaj prezydentom ministrów, jeżeli go o to poproszą. Mimo całej wdzięczności dla cesarza i osób pośredniczących postanowiłem — po naradzie z żoną — nie korzystać z tej propozycji. Posada ta była w randze ministra, ale zupełnie nie polityczna: samo zapewnienie przejścia z jednego urzędu na drugi i korzystanie z uposażenia, wydawało mi się niezgodne z moją przeszłością polityczną. I Bogu dziękuję, że się tak zdecydowałem, boć cała moja późniejsza 3-letnia praca w Kole polskiem dla Polski nie byłaby jaśniała w życiu mojem publicznem, — nie mówiąc już o względach innych. Nazajutrz zaraz poszedłem do cesarza,

ażeby mu powiedzieć, że się dowiedziałem o żądaniu Tiszy co do mojej osoby i że naturalnie gotów jestem na życzenie cesarskie ustąpić z urzędu. Cesarz odpowiedział bardzo czule, że znaną mu jest moja „ofiarność polityczna“, dodał jednak, że jego zdaniem Tisza nie będzie nalegał tak prędko. Naturalnie nie prosiłem monarchy o inną posadę. Tymczasem przypuszczenie cesarskie było mylne, bo wkrótce potem, podobno jeszcze z końcem stycznia, napisał mi z polecenia cesarskiego baron Burian list z doniesieniem, że cesarz „musiał się zdecydować, dopuścić do zmiany“ na urzędzie min. skarbu wspólnego. W tej samej chwili, późnym wieczorem, napisałem w biurze podanie do cesarza o dymisję, motywując je brakiem zgodności w Radzie ministrów. Podanie to nie mogło być załatwione szybko, ponieważ desygnowany mój następca i stary przyjaciel Koerber nie mógł się zdecydować na podpisanie w 1 dniu urzędowania swego patentu monarszego, rozwiązującego Sejm bośniacki, który ja w lipcu 1914 r. tylko odroczyłem. Właśnie obchodziłem w ministerstwie biura z pożegnaniem, gdy mnie tam przyłapał baron Schiessel z prośbą od cesarza, bym jeszcze przed dymisją postawił wniosek o rozwiązanie Sejmu. Wróciłem więc do biura swego, podyktowałem sprawozdanie („alleruntertänigsten Vortrag“) do cesarza w sprawie rozwiązania Sejmu i za dwa dni otrzymałem z powrotem podpisany przez cesarza patent w języku serbo-chorwackim, rozwiązujący Sejm. Do podpisu „Franjo Josip“ dołączyłem kontrasygnaturę „Biliński“, poczem zebrałem moich kilka listów z biurka i pożegnałem się na zawsze z Johannesgasse. W dniu 7 lutego 1915 r. otrzymałem pismo odręczne cesarza z dymisją — dokładnie po trzechletnim urzędowaniu.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

ZAŁĄCZNIKI

MOJE PRACE:

1. „Studja nad podatkiem dochodowym”. 2 tomy, Lwów i Kraków 1870.
2. „Wzajemne czy akcyjne towarzystwo ubezpieczeń?” W 3 numerach „Prawnika” 1870.
3. „Austriacka ustawa przemysłowa a postęp nauk społecznych”. W 9 numerach „Prawnika” 1870—1871.
4. „Procent a czynsz”, Warszawa 1872.
5. „Znaczenie i dążenia tak zw. Socjalistów z katedry w Niemczech”. W 4-ech zeszytach „Przewodnika naukowego i literackiego” 1873.
6. „Wykład Ekonomji społecznej”. 2 tomy, Lwów 1873—1874.
7. „O przesileniach giełdowych wogóle i przesileniu w Austrii w r. 1853 w szczególności”. W 7 numerach „Prawnika” 1874.
8. „O pracy kobiet ze stanowiska ekonomicznego”. Lwów 1874.
9. „Die Luxussteuer als Korrektiv der Einkommensteuer”, Leipzig 1875.
10. „Ekonomia społeczna: jej rozwój w 19 stuleciu, stan jej w bieżącej chwili” w listopadowym (1874) zeszycie „Przewodnika naukowego i literackiego”.
11. „Die Eisenbahntarife”, Wien 1875.
12. „Kadaster” w 7-ym zeszycie III tomu „Encyklopedji Rolnictwa”, Warszawa 1875, str. 453—467.
13. „Stowarzyszenia maszynowe” w N-rach: 54, 56 i 58 „Gazety Lwowskiej”, 1876.
14. „Die Stellung der Vermögen- u. Verkehrssteuern im Steuersysteme w Nr. 8/9 „Annalen des deutschen Reichs” 1876, str. 719—729.
15. „System Nauki Skarbowej”, Lwów 1876.
16. „Centralny zakład kredytowy dla stowarzyszeń gospodarczych w Galicji” w lipcowym (1877) zesz. „Biblioteki Warszawskiej” str 60—71.
17. „Die Gemeindebesteuerung- u. deren Reform”, Leipzig 1878.
18. „Ubezpieczenie od kredytowania towarów” w trzech N-rach (Nr. 1—3) lwowskiego „Ekonomisty” (1878).
19. „Zur Statistik der Gemeindebesteuerung” w N-rach 12 i 13 „Oesterr. Oekonomist.” 1878.
20. „System Ekonomji społecznej”, I, Lwów 1880, II, 1882.
21. „Die Steuerentlastung der Landwirtschaft angesichts der allgemeinen Finanzlage in Oesterreich”, Wien, 1880.

22. „Trzęsienie ziemi w charakterze konjunktury gospodarczej“ w „Albumie dla Zagrzebia“, Lwów 1881, str. 137—143.
23. „Schäffle o finansach austriackich“ w N-rach 7, 9, 12, 14, 18, 21, 24 i 29 „Dziennika polskiego“ ex 1881.
24. „O potrzebie pożyczki miejskiej, Lwów 1881.
25. „Znamiona polityki narodowej i krajowej tak zw. „Stańczyków“, Kraków 1882, 2 wyd. Lwów 1883.
26. „Kilka dat o Słobodzie Rungurskiej“ w N-rach 186, 7, 8 „Gazety lwowskiej“ 1882.
27. „Nowe projekta podatkowe rządu“ w Nr. 17—21 „Czasu“ 1883.
28. „O istocie, rozwoju i obecnym stanie socjalizmu“, Kraków 1883.
29. „Jeszcze o projektach podatkowych rządu“, Kraków 1883.
30. „Niedobór skarbowy w Austrii“, „Dziennik Poznański“, Nr. 1, 1884.
31. „Rzekoma bierność finansowa Galicji“, „Dziennik Polski“, Nr. 67, 1884.

Załącznik B.

Wypłaty międzynarodowe

odeczyt Dra Leona Bi-
lińskiego, wygłoszony
na IV zjeździe prawników
i ekonomistów polskich
w Krakowie, w dniu 2-go
października 1906.

Im więcej się rozwijają stosunki gospo-
darcze, polityczne, kulturalne i towarzyskie
między ludami i krajami całego niemal
świata cywilizowanego, tem większą od-
grywają rolę wypłaty międzynarodowe.
Wymiana towarów, obrót kapitałów, ruch
naukowy i artystyczny, ruch turystyczny,
niemniej przewroty w życiu politycznem
międzynarodowem a nawet wewnętrznem,
wszystko to wymaga odrębnego
sposobu i środka wypłat, skoro wchodzi
w grę terytorjum dwóch lub kilku państw.

Nauka nie zajmuje się zbyt intensywnie
wypłatami międzynarodowemi. Leon
Say, Wołowski, Goschen, Schraut mogą
być uważani za twórców teorii o bilansie
i kursie weksli. O całości tych wypłat
uczeni nie zwykli traktować z tej prostej
przyczyny, że chodzi tu o rozliczne
zjawiska czysto praktyczne, niezbyt do-
stępne oku uczonego, a podlegające zresztą
bez tego zwykłym prawdom ekonomicznym.
Zajrzeć w ten stek zjawisk z punktu
obserwacyjnego, który dozwala ile moż-
ności nie zbyt mylnie oceniać ich przy-
czyny i skutki, zajrzeć mianowicie ze
strażnicy banku biletowego, który z powo-
łania swego musi współdziałać w tym
ruchu przynajmniej odpornie, a — jak
w Austro-Węgrzech — czynnie: oto, co
było mi danem w ostatnich 6-ciu latach
i czem chciałbym się dziś podzielić ze
szan. zgromadzeniem.

Stosunek wypłat między dwoma państwami składa się z całego szeregu zobowiązań i wierzytelności, które się zawiązują i rozwiązują niemal codziennie. W pierwszym rzędzie pochodzą one z ruchu towarów w jednym i drugim kierunku. Znaną jest różnica położenia krajów, wywożących towary surowe, a fabrykaty i dążenie wszystkich krajów do rozwinięcia eksportu fabrycznego celem utrwalenia dochodu z zagranicy. Ale i kraje rolnicze, produkujące na wywóz (Ameryka, Rosja i Węgry), spowodowują w latach urodzaju wielkie wypłaty międzynarodowe, ściągają znaczne sumy do swych granic i przesuwają stosunek wypłat do innych krajów.

Na równi niemal z ruchem towarów stoi ruch kapitałów. Państwa, korporacje, instytucje finansowe zaciągają często pożyczki albo wyłącznie za granicą, albo przy jej pomocy i wywołują tem jednorazowe większe wypłaty do kraju; muszą potem opłacać regularnie kupony, sprowadzają znowu wywóz gotowizny. W roku bieżącym n. p. spowodowała miliardowa pożyczka rosyjska olbrzymi ruch na targu międzynarodowym: świat finansowy Austrii, biorąc w niej udział, sprowadził wywóz gotowizny i opóźnił tem obniżkę procentu oficjalnego na wiosnę, pominąwszy ogromne straty publiczności na kursie walorów rosyjskich. Odwrotnie płaci Rosja co roku Francji kupony od 10-ciu

miljardów franków! Stosunki polityczne na Węgrzech wywołały w ubiegłym i bieżącym roku niemniej znaczny ruch kapitałów międzynarodowych. Z obawy przed katastrofą polityczną zaczęto przedewszystkiem wyrzucać z Francji na targi monarchji listy zastawne, które instytucje węgierskie ulokowały były w Paryżu ostatniemi laty bardzo korzystnie; później rentę węgierską, a w końcu i austriacką. Samych listów zastawnych miało powrócić około 100 milionów koron; a chociaż taka „repatracja“ papierów stanowi na przyszłe normalne czasy znaczną korzyść, bo wzmacnia niezawisłość państwa i instytucyj od kapitałów zagranicznych, to jednak w danej chwili krytycznej sprowadza silne napięcie kredytu odnośnych instytucyj w kraju, które z obawy przed upadkiem kursu zwykły zakupywać papiery powracające — w czym tkwi jedna z ważnych przyczyn dzisiejszej wysokiej stopy procentowej w monarchji — a tem samem wywożą odnośne sumy za granicę. Konwersja austriacka renty wspólnej w roku 1903 spowodowała podobnie powrót przeszło 100 milionów koron ze strony spłoszonych kapitalistów. Holendrzy do niedawna jeszcze zwracali papiery austriackie i węgierskie, tak rządowe jak listy zastawne i tym podobne obligacje. A jaką dopiero dyslokację międzynarodową kapitałów sprowadzają wojny! ile kapitałów

wyrugowała za granicę rewolucja rosyjska lub choćby walka kościelna we Francji!

Ale i świat kupiecki korzysta chętnie z różnic w stopie procentowej między poszczególnymi krajami i ucieka się do kredytu w krajach o stopie niższej. Francja zwłaszcza, która dzięki swemu nadzwyczajnemu bogactwu i posiadaniu największego w świecie skarbu bankowego cieszy się zawsze stopą najniższą, jest krajem, do którego z całej Europy pielgrzymują kupcy z zamiarem umieszczania swych weksli na tak zw. „pensję“. Weksle te ściągają naturalnie walutę francuską do kraju, ale wymagają potem znowu jej powrotu w chwili zapadłości, a szczególnie wtedy, gdy banki francuskie z braku zaufania nie pozwalają dalszej prolongaty, jak to czyniły n. p. z pensjami węgierskimi przed załatwieniem przesilenia państwowego.

W trzecim rzędzie składa się na wypłaty międzynarodowe ruch osób w celach turystycznych i kupieckich; widzimy to na Szwajcarii, na wielkich portach i emporjach handlowych i t. d.

W końcu należałoby przytoczyć cła, należności kolejowe, okrętowe i t. p. wypłaty.

Nauka rozróżnia ruch towarowy od innych wypłat międzynarodowych. Stosunek przywozu i wywozu towarów między dwoma krajami zowie się, jak wiadomo, „bilansem handlowym“, który może

być „czynnym“ lub „biernym“ tak pomiędzy dwoma państwami, jak zwłaszcza między jednym państwem a wszystkimi innymi. Stosunek wszelakich wypłat między państwami, a więc tak z obrotu towarów, jak z ruchu kapitałów, z podróży, ceł i t. d., zowie się „bilansem płatniczym“, który znowu jest biernym lub czynnym.

Wszystko to znane jest szan. Panom, jak niemniej znane jest Im prawidło, że różnicę między sumą wypłat wzajemnych musi kraj tak zw. „bierny“ opłacić albo w wekslach zagranicznych (t. zw. „dewizach“) albo w złocie. Dewizy stanowią przedmiot handlu, podlegają na targach obcych kursowi, jak inne papiery, spadają w krajach z bilansem czynnym, a wznoszą w kursie, jeżeli kraj dany, musząc na rzecz ojczyzny dewizy opłacać dyferencją wypłat, poszukuje więcej za niemi. Gdy zaś kurs wzrośnie o tyle, że opłaci się raczej ponieść koszt przewozu kruszcu za granicę, t. j. gdy się pojawi t. zw. w praktyce niemieckiej „der Goldpunkt“, wtedy się wypłat dokonywa w złocie. A jeżeli to następuje w chwili, w której nadto stopa procentowa wyższą jest za granicą i tem samem ściąga tam złoto, to bank biletowy kraju, wywołującego złoto, lub narażonego na to niebezpieczeństwo, zwykł podwyższać stopę gwoli powstrzymania wywozu złota i pośrednio obniżenia kursu dewiz na własnych

targach. Ztąd t. zw. „wojna banków“ o zapasy złota.

Nie śmiałybym trudzić szan. Zgromadzenia temi rzeczami znajomemi, gdybym nie był w położeniu dodania do nich czegośkolwiek z mojego doświadczenia w granicach monarchii austro-węgierskiej. Bardzo jest słabą i chwiejną praktyka bez podstawy naukowej; ale nauka czysta, zwłaszcza w materji tak całkowicie praktycznej jak niniejsza, nie jest w stanie wyczerpać przedmiotu. To wszystko, co powyżej podałem z dziedziny nauki, jest naturalnie w ogólnych zarysach ścisłą prawdą. Ale procesy, skreślone co dopiero, tak się w życiu rozdrabiają, że teoretyk, stojący przypadkowo u steru życia praktycznego, musi się często-kroć zawahać, gdy mu przyjdzie zapytać, czy nauka kreśli przejawy życiowe prawdziwie.

Wspomniałem co dopiero, że banki biletowe zwykły na tok wypłat międzynarodowych wpływać drogą podwyżki dyskonta w celu zapobieżenia wywozowi złota. Faktowi temu nie można zaprzeczyć: bank angielski i bank rzeszy niemieckiej praktykują to niezliczone razy. W razie potrzeby czyni to także bank austr.-węgierski, jakkolwiek ustawy, nakładające nań obowiązek wypłat złotem, nie zostały jeszcze uchwalone. Nie dawniej jak w październiku r. z. musiano podnieść stopę z $3\frac{1}{2}$ na $4\frac{1}{2}\%$, ponieważ w Niemczech, gdzie już wtedy stopa oficjalna wynosiła jakiś

czas 5⁰/₀, stopa targowa doszła była do 4¹/₂⁰/₀ i zaczęła przyciągać złoto z Austrii. A i przed kilku dniami podwyższono znowu stopę z 4 na 4¹/₂⁰/₀, acz tylko dla częściowego pokrycia pięcioprocentowego podatku od banknotów nadkontyngientowych, które z końcem ubiegłego miesiąca wynosiły 46 milionów koron. Każdy bank biletowy, a zwłaszcza, jak nasz, zaopatrzony w złoto ogromnemi ofiarami obu państw monarchii, musi stać na straży twierdzy złotej, na której się opiera waluta i cały kredyt publiczny. Jak więc bank nasz mimo braku ustaw powyższych płaci dobrowolnie na żądanie stron złotem, tak mimo tego braku ustaw nie dopuszcza do spekulacyjnego wywozu złota, spowodowanego spekulacyjnym wzrostem kursu dewiz. Niesłusznie zatem przeciwnicy wypłat obowiązkowych obawiają się zmienności stopy procentowej dopiero na wypadek uchwalenia ostatecznych ustaw walutowych: rolnictwo i przemysł są i dziś już narażone na to niebezpieczeństwo, ale nie mogą korzystać za to z najważniejszej szansy, którą może dać jedynie waluta ustawowa, t. j. z łatwości otwarcia targów międzynarodowych dla papierów krajowych, listów zastawnych i t. d.

Jeżeli jednak bank austr.-węgierski sięga istotnie w razie potrzeby także do podwyżki dyskonta ze względu na stan targów międzynarodowych, to przecież praktyka jego obecna różni się od praktyki zachodnio-europejskiej a i od jego własnej dotych-

czasowej tem, że środka pomienionego używa głównie przeciw wybrykom spekulacji. Nie stoi to w najmniejszym związku z brakiem ustaw walutowych i nie zmieni się wcale po ich uchwaleniu; polega to przeciwnie na odmiennem tego banku stanowisku wobec wypłat międzynarodowych.

Zarząd banku austr.-węgierskiego nie uważa mianowicie każdego wywozu złota za katastrofę, wiedząc, że kraje z bilansem biernym nie muszą należeć do najbiedniejszych: wszak bilans bierny wykazuje zawsze Anglja, której niedobór finansowy w 1903—1905 wynosił 182^{·5}, 180^{·5} i 157^{·5} milionów funtów szterlingów! Złoto znajduje się w skarbcu banku nie tylko dla pokrycia banknotów, lecz także do wypłat międzynarodowych, o ile wynikają z istotnej potrzeby handlu i obrotu. Jak więc bronimy się energicznie od wszelakich ataków nieuzasadnionych na złoto, jak np. w październiku r. z. podnieśliśmy tylko stopę dyskonta, skoro wywóz złota wynosił już dwa miliony koron, tak odwrotnie sami częstokroć wysyłamy złoto na targi obce, jeżeli mamy widoki, zażegnania tym środkiem dalszego tam wzrostu dyskonta, który musiałby sprowadzić sztuczny wywóz złota z monarchji i — co za tem idzie — podwyżkę dyskonta u nas. Bank angielski broni się w takich wypadkach odrazu podniesieniem stopy procentowej, a i u nas jeszcze w ciągu r. 1899 zmieniano stopę cztery razy (z 5

na $4\frac{1}{2}$, 5, 6 i $5\frac{1}{2}\%$); później za to zdołaliśmy utrzymać stopę $3\frac{1}{2}\%$ przez trzy przeszło lata: od 5 lutego 1902 do 19 października 1905!

Odstępstwo zreformowanego radykalnie w r. 1900 banku austro-węgierskiego od dawnej praktyki dyskontowej wymagało wielkich przygotowań; potrzeba było zabezpieczyć sobie zapasy złota, sięgające daleko po za granice skarbu, przeznaczonego pierwotnie na pokrycie banknotów i potrzeba było zorganizować formy wypłat międzynarodowych, zdolne skutecznie zastępować wypłaty w gotowiznie. Na tych dwóch podstawach zajął bank austr.-węgierski począwszy od roku 1901 stanowisko międzynarodowe, które znajduje coraz większe uznanie tak u świata kupieckiego w monarchji jak u sfer finansowych całej Europy zachodniej a po części nawet Stanów Zjednoczonych Ameryki, skąd już kilkakrotnie przybywali do nas wysłańcy w celu studjowania urządzeń naszych.

Nowej organizacji działu wypłat międzynarodowych w banku austro-węgierskim, do której się zabrano zaraz w roku 1900, posłużył już z początku traf szczęśliwy, stanowiący pierwszy objaw przełamania wszelakich reguł naukowych. Oto w roku 1901, w którym stopa dyskonta naszego dorównywała niemieckiej, a czasem nawet była niższą, w którym zatem groził monarchji właściwie wywóz złota, zaczęła

z targów światowych, niewylączając Niemiec, napływać niezwykła struga złota do monarchji a w istocie do banku, który z mocy ustawy musi je według stałej taryfy przyjmować w zamian za banknoty — ze stratą dla akcjonariuszów (bo emisja tych banknotów następuje bez poboru dyskonta), ale z pożytkiem dla dobra publicznego. Tym sposobem przybyło nam — dzięki silnemu wywozowi papierów publicznych, jak niemniej szczęśliwej spekulacji tak zw. „arbitrażerów“, a wbrew doktrynie — przeszło 100 milionów koron złotem.

Mniejszy acz trwały przybytek złota zabezpieczono sobie przez urządzenie kupna i sprzedaży obcych walut według kursu we filjach, gdzie w ciągu lat 6-ciu powstała nadwyżka kupna nad sprzedaż w wysokości około 15 milionów koron. W samych markach zakupiono okrągło 19½ milionów koron, z czego część znaczna (2.8 mil. koron) wpłynęła w Krakowie bezpośrednio lub pośrednio z rąk robotników naszych, powracających z Niemiec. Rubli rosyjskich nabyto w tym czasie — swoją drogą nie w drodze kupna wolnego, lecz według taryfy — za koron 5.556.653, z tego w samej filji krakowskiej za kor. 4,390.148.

Ale główna akcja wstępna do nowej organizacji, wymagającej podwyższenia skarbu bankowego, polegała na zjednaniu rządów obydwóch, izby swoje zapasy

złota postanowiły lokować w banku austro-węgierskim. Zapasy te pochodzą prawie wyłącznie z poboru ceł, o których pomówię później. Pobierane z tego źródła dochody w rocznej sumie około 100 mil. koron zwykły były rządy lokować dawniej w bankach prywatnych, które za opłatą odsetek niewielkich miały obowiązek dostarczania na rachunek funduszów lokowanych, każdemu rządowi w przepisanym terminach sum, potrzebnych dla jego wypłat zagranicznych w walutach odpowiednich. Że banki zarabiały na tym interesie, to rzecz godziwa; że jednak pieniędzmi rządowymi brały udział w zyskowych spekulacjach międzynarodowych, a natomiast w terminach pomienionych liczyły rządowi za obce waluty kursy zbyt wysokie, czasem może sztucznie podwyższone — to rzecz mniej godziwa. Tym sposobem bowiem rządy, mimo dokonania regulacji waluty ofiarą podatników, znajdowały się w pozycji gorszej, aniżeli zwykły kupiec w czasach przed regulacją waluty. Kiedy mianowicie kupiec ówczesny, sprzedając towary za granicę, mógł od razu sprzedać „na czas“ (aut Zeit) należące mu się w przyszłości obce pieniądze, a kupując równocześnie towary z zagranicy, mógł równocześnie zakupić „na czas“ potrzebne w przyszłości pieniądze obce, to znaczy zdołał w obu wypadkach zabezpieczyć się z góry przed stratami ze zmiany wartości obcej waluty

za pomocą t. zw. „pokrycia“ (Deckung), to rządy znajdowały się zawsze i nawet jeszcze po regulacji waluty na łasce banków prywatnych. Że zaś przy takim postępowaniu banków waluta nasza, a tem samem i stopa dyskonta podlegała w każdym terminie wypłat rządowych, międzynarodowych zmianom wcale nie uzasadnionym, tego nie potrzeba chyba dowodzić.

Te niebezpieczeństwa dla publiczności i rządów, niemniej połączone z powyższym systemem brak wszelkiej koncentracji znacznych zapasów złota rządowego, musiały całą siłą przeciw do oddania ich dla celów służby publicznej w ręce banku biletowego, który z powołania swego musi mieć w pierwszym rzędzie na oku swój obowiązek służenia dobru publicznemu i państwowemu, a o ile pobiera zyski, musi je według ustawy w połowie, lub w danym razie nawet w $\frac{2}{3}$ częściach odstępować rządowi. W jego też rękach te same zapasy złota, które dawniej w swem rozdrobnieniu ułatwiały sztuczne skoki w kursie waluty i w dalszym ciągu groziły podniesieniem stopy procentowej, muszą w swej koncentracji służyć ustaleniu waluty i utrwaleniu niskiego dyskonta.

A jednak kosztowało to przeszło rok usilnej pracy, ażeby obydwaj rządy, przejęte pełną nieufnością wzajemną i niejaką nieufnością do instytucji w spólnej, rządy, powiązane wieloletnimi stosunkami z bankami prywatnymi, zwłaszcza z wszech-

mocną grupą Rotschilda, rządy, liczące się z odmiennymi zgoła we Wiedniu a w Peszcie prądami parlamentarnymi — doprowadzić do zgody na powyższą koncentrację. Po niezliczonych konferencjach i konwentyklach w ciągu roku 1900 i pierwszej połowy roku 1901 przyszło nareszcie do stanowczej, powiedziałbym historycznej konferencji obydwóch ministrów finansów, pp. Böhma i Lukacsa ze mną jako gubernatorem, przy współudziale trzech doradców fachowych: szefa sekcji Grubera, radcy min. (dziś sekretarza stanu) Popovicsa i gen. sekr. banku, radcy dworu Prangera.

Na konferencji tej, która się odbyła dnia 8 sierpnia 1901 r. w Ischlu w mieszkaniu mojem, postanowiły i zobowiązały się ministerstwa skarbu oddać i oddawać na przyszłość wszystkie swoje dochody w złocie w zarząd banku i powierzyć bankowi wszystkie swoje wypłaty międzynarodynarodowe. Bank zaś przyjął z jednej strony zobowiązanie oprocentowania tych zapasów i ich zarządu, t. j. przeprowadzania wypłat rządowych nie tylko wprost ze zapasów rządowych, ale także przez zakupno na zlecenie rządowe obcych walut za banknoty (rząd węgierski mianowicie, pobierając mniej dochodów z cła, musi często zlecać zakupno walut), a z drugiej strony zobowiązanie, rozpoczęcia wypłat złotem w kraju mimo braku ustaw o wypłatach obowiązkowych.

Za przykładem i wzorem ministrów finansów jako zawiadowców dochodów z ceł, przystąpiły później do umowy powyższej ze zmianami stosownymi: nie tylko ministerstwa wspólne, lecz także ministerstwa kolejowe i handlu, bardzo ważne czynniki na polu wypłat międzynarodowych z tytułu ruchu kolejowego, pocztowego i telegraficznego.

I dopiero od czasu tych słynnych „Ischler Konferenzen“ weszła w życie nowa — a może wolno mi powtórzyć za publikacjami rządowymi wyraz pochlebny dla własnego zarządu — i wzorowa organizacja wypłat międzynarodowych nie tylko dla rządów, lecz dla całego społeczeństwa; i od tego samego czasu dopiero może bank z całą siłą stać skutecznie na straży waluty, okupionej tyłu ofiarami.

Skutki bezpośrednie uchwał konferencji Ischelskiej odbiły się przedewszystkiem na polu polityki monetarnej wewnętrznej. Oto skarb banku, który w roku ustaw walutowych (1892) wynosił:

milj. K	108 ⁹ ,	a w roku 1900
„	„	786 ⁰ , wzrósł już roku 1901 do
„	„	919 ⁶ , w roku 1902 do
„	„	1.116 ¹ , a „ 1905 dosięgnął
„	„	1.153 ³ .

Stan ten skarbu bankowego, do którego zresztą przyczyniły się po części także omówione już wyżej okoliczności korzystne, utrzymuje się mniej więcej stale, pomimo nie tylko wypłat międzynarodo-

wych, o których zdam sprawę zaraz, lecz także pomimo ubytku złota w kasach bankowych z powodu wypłat krajowych w złocie. Już w sierpniu roku 1901 rozpoczęto te wypłaty, a do dziś wydano w złocie na ręce krajowców przeszło $5\frac{1}{4}$ miljarda koron. Z tego utrzymuje się trwale w ruchu krajowym mniej więcej $1\frac{1}{4}$ miljarda, jakkolwiek cyfra zmienia się co tydzień, a mianowicie w 4-tych tygodniu każdego miesiąca wzrasta o kilka milionów (z powodu wypłaty płac wszelakich), zaś opada w pierwszych trzech tygodniach. W szczególności drobna i sama przez się niepraktyczna moneta 10 koron złotem cieszy się wielką wziętością w okolicach przemysłowych, które pochłaniają wszystkie nasze zapasy tak tej monety złotej (obiega jej około 100 milionów koron), jak niepopularnej w kołach miejskich 5-cio koronówki srebrnej. Reszta z owej wielkiej emisji, t. j. z górą 1 miliard złotych, ani nie zniknął w pouczochach ludzi oszczędnych, ani nie wyszedł za granicę, jak się obawiano, lecz powrócił do kas bankowych przy wypłatach lub w drodze wymiany, zupełnie tak normalnie jak powracają banknoty. Chyba może z pozostałej $1\frac{1}{4}$ miljarda część jakaś opuściła granice monarchji.

Że zaś w ciągu lat 5-ciu cały miliard złota w monetach nowych o pełnej wadze mógł pozostać w kraju i powrócić do skarbcza bankowego, zamiast być uży-

tym do wypłat międzynarodowych, to może najlepsze świadectwo dla nowych urzędzeń banku w dziale tych właśnie wypłat. Od dawna już istniał w banku austr.-węgierskim oddział dewizowy, uzasadniony choćby tylko w prawie banku, pokrywania banknotów dewizami aż do wysokości 60 milionów koron. Jak długo jednak skarb złota bankowego był szczupły a zwłaszcza jak długo nie poruczono bankowi zapasów państwowych, tak długo czynności tego oddziału poruszały się w granicach skromnych i nie miały charakteru służby publicznej. Skoro natomiast rządy, przelewając na bank swoje dochody złote, uposażyły go faktycznie w monopol dla wypłat międzynarodowych — dochody banków prywatnych z obrotu dewiz obniżyły się do roku 1905, głównie dla braku złota rządowego, o przeszło 50% —, zreorganizowano oddział dewizowy banku biletowego w ten sposób, by z jednej strony służył rządowi tak, jak gdyby one stanowiły część banku samego, i by z drugiej strony publiczność znalazła zaspokojenie słusznych potrzeb swoich na targach międzynarodowych, t. j. by mogła każdej chwili po warunkach najprzystępniejszych nabywać lub zbywać dewizy i waluty całego świata. Jedna i druga akcja zaś musi być tak kierowaną, by utrzymać ile możności nienaruszonym skarb bankowy, będący własnością społeczeństwa — a więc do wypłat międ-

dzynarodowych używać ile możliwości dewiz i jak najczęściej dokonywać kompensaty wierzytelności międzynarodowych — i by przytem mimo wszelakich wypłat za granicę i z zagranicy nie dopuścić do niekorzystnych zmian w wartości waluty krajowej w stosunku do obcej, to znaczy nie dopuścić do powstania agia znaczniejszego i do podwyżki dyskonta.

Spełnienie powyższego zadania wymaga bardzo rozgałęzionych czynności. Utrzymując stale bezpieczne wierzytelności na wszystkich targach zagranicznych u wszystkich większych banków i bankierów, musi bank dokonywać codziennie i nieustannie obrotu dewiz w kierunku pożądanym w danej chwili. Stosownie do położenia targu, stosownie mianowicie do stanu waluty i do potrzeb publiczności, bank albo kupuje dewizy w zamian za banknoty własne lub za czeki na wymienione wierzytelności, albo sprzedaje dewizy w zamian za banknoty własne lub czeki zagraniczne, a w danym razie także za złoto lub banknoty zagraniczne; dewizy zapadające bank albo ściąga albo mienia na dewizy z terminem dalszym; na żądanie stron wypożycza dewizy lub banknoty zagraniczne, ewentualnie także zbywające monety obce; w końcu przekazuje znowu ze swej strony za granicę dewizy i inne wierzytelności celem uzupełnienia swych wierzytelności w stosunku do przyjętych zobowiązań.

Przytem gromadzi bank w miarę wiadomych terminów dla wypłat rządowych zapasy dewiz, potrzebne bądź we Wiedniu czy Budapeszcie, bądź w centrach europejskich, wskazywanych przez rząd odnośny. Prócz dewiz zaś musi pamiętać o utrzymaniu stosownych zapasów monet i zakupować na potrzeby targu, jak zwłaszcza rządów gatunki, zbywające zazwyczaj monarchji. Są to np. waluty holenderskie, a przede wszystkim Napoleondory, ulubiony pieniądz w handlu wschodnim, potrzebny rządowi dla wypłaty kuponów, do pokrywania saldów z rozrachunków międzynarodowych kolejowych i pocztowych, a ceniony przesadnie przez ministerstwo spraw zagranicznych. Toż bank musi zazwyczaj własnym kosztem opłacać przy zakupie Napoleondorów premje („primes”) ponad ich wartość, byle tylko mieć je do dyspozycji dla rządów i publiczności.

Po nad to wszystko zaś uważa bank za swój obowiązek, czynić rządowi przedstawienia i stawiać wnioski w kierunku obniżenia kosztów wypłat międzynarodowych monarchji. Dzięki wielkiej wyrozumiałości obydwu ministerstw skarbu zdołaliśmy n. p. wyjednać, by arbitrazem, gromadzącym zapasy kuponów od renty złotej w kraju, nie płacono w drogich Napoleondorach, lecz w koronach; by taryfę pocztową Napoleondorów w ruchu na wschód zmieniano należycie;

by saldo pocztowe na rzecz Włoch opłacono nie w Napoleondorach, lecz w czekach na bankiera włoskiego w Paryżu. Niemniej dążymy do tego, by na pokrycie płac naszej służby dyplomatycznej za granicą nie posyłano z Wiednia Napoleondorów, lecz zadowolano się czekiem na odnośną walutę zagraniczną.

Obserwując tedy cały tak wielostronny ruch bankowego oddziału dewiz, dochodzi się snadno do przekonania, jak skomplikowane są objawy życia praktycznego w porównaniu z prostymi prawidłami nauki. Bo też w pracach tego właśnie działu spotyka się najczęściej wypadki pozornej przynajmniej sprzeczności praktyki z nauką. I tak n. p. teoria uczy, że dewizy powstają z obrotów międzynarodowych i służą głównie handlowi, zaczem kurs ich zawisł od popytu ze strony handlu. Praktyka wykazuje, że dewizy powstają także albo wprost ze stosunku kredytowego (tak zw. Geldbeschaffungsdevisen), albo pośrednio z ubocznych stosunków kredytowych, n. p. dewizy paryskie, otrzymywane przez kupców austriackich i węgierskich w zamian za umieszczane na tak zw. pensji w Paryżu weksle austriackie i węgierskie. Praktyka poucza dalej, że kurs dewiz w kraju zawisł nie tylko od popytu z obrotu międzynarodowego, lecz także od stosunków kredytowych na targu krajowym. Gdy n. p. we Wiedniu lub Peszcie daje się

czuć brak gotowizny, kupcy sprzedają posiadane lub nawet umyślnie sprowadzane w tym celu dewizy, które tem samem spadają w kursie; w razie ulgi na targu krajowym wzrasta się popyt za dewizami, jako środkiem lokacyjnym, a tem samem i kurs ich.

Z innej strony znowu nauka stawia pewnik jasny i prosty, że bilans międzynarodowy musi co do dyferencji między wypłatami dwóch krajów być pokryty złotem czy dewizami. Jakkolwiek nie podobna zaprzeczyć tej prawdzie, to w rzeczywistości pokrycie bilansu biernego wymaga transakcyj międzynarodowych w sumach tak olbrzymich, że w nich nie łatwo doszukać się cząstki, stanowiącej właśnie ową dyferencję bilansu. Oto kilka cyfr z praktyki naszej monarchji.

Bilans handlowy monarchji jest od szeregu lat, w szczególności od roku 1892 (roku ustaw walutowych) ciągle czynnym, z wyjątkiem roku 1898. Począwszy od roku 1900 (roku reformy bankowej) wynosiła nadwyżka wywozu nad przywóz towarów (bez kruszców szlachetnych) w milionach koron:

roku 1900	245. ⁶
„ 1901	232. ⁸
„ 1902	193. ²
„ 1903	252. ⁶
„ 1904	40. ⁷
„ 1905	97. ⁷

Gdyby ruch międzynarodowy ograniczał się jedynie do obrotu towarowego, musiałyby dyferencja każdorazowa — teoretycznie wzięwszy — przybyć po prostu do monarchji w złocie lub dewizach, to znaczy monarchja musiałaby się była w tym czasie wzbogacić o sumę olbrzymią 1·062⁶ milionów koron. Ale bilans czynny handlowy nie jest jeszcze koniecznie dowodem bilansu czynnego płatniczego. Bywały w tym perjodzie, jak wspomniałem wyżej, lata emisyj austriackich, zwłaszcza węgierskich za granicą, bywały i trwały do niedawna czasy powrotu papierów z zagranicy. Lata 1904 i 1905 w szczególności sprowadziły na monarchję bilans płatniczy bierny, tak że bank musiał w tych latach dla uchronienia kruszcu od wywozu uronić ze swego stanu dewiz i innych wierzytelności zagranicznych na pokrycie niedoboru w bilansie płatniczym około 100 milionów koron.

Stan dewiz i wierzytelności zagranicznych wynosił mianowicie w milionach koron z końcem:

roku 1900	105 ⁰
„ 1901 (po reformie)	249 ⁸
„ 1902	317 ⁴
„ 1903	326 ⁷ , ale uż
„ 1904	274 ⁶
„ 1905	256 ⁸ i dopiero
30 czerwca 1906 znowu	258 ⁵ .

Gdyby cyfry powyższe znowu wyrażały ruch całkowity, to by monarchja mu-

siała w latach 1900 do 1905 zawsze jeszcze się wzbogacić o przeszło 900 milionów koron, czego nie widać było ani w kraju, ani w banku.

W rzeczywistości natomiast można tylko stwierdzić cyframi, że, aby wyrównać bilanse monarchji w latach 1900 do połowy 1906, musiał sam bank biletowy — a banki prywatne także jeszcze dość robią interesów dewizowych — dokonać transakcyj następujących, a to:

w milionach funtów szterlingów:

roku 1900	52 ⁰
„ 1901	56 ²
„ 1902	66 ⁷
„ 1903	98 ³
„ 1904	86 ⁶
„ 1905	55 ⁰
w l. półr. 1906	19 ⁸

w milionach franków:

roku 1900	270 ¹
„ 1901	593 ³
„ 1902	715 ⁰
„ 1903	891 ⁸
„ 1904	603 ⁸
„ 1905	807 ⁷
w l. półr. 1906	570 ⁵

w milionach marek:

roku 1900	1.047 ¹
„ 1901	1.312 ⁵
„ 1902	1.531 ¹
„ 1903	1.975 ¹

roku 1904	2.283 ⁷
„ 1905	2.067 ⁰
w l. półr. 1906	1.110 ⁰ .

Bywały czasy, w których obrót oddziału dewiz wynosił jednego dnia, jak n. p. w dniu 12 grudnia 1903: funtów szterlingów 203.520; marek 41,876.355; franków 18,527.333; guldenów holenderskich 196.000; razem w koronach 71,901.000: któż tam potrafi naukowo odszukać i obliczyć dyferencje bilansowe?!

Przy każdym niemal z powyższych obrotów miliardowych wolno było bankowi w ostatnim dopiero rządzie patrzeć na zyski; natomiast musiano trwożliwie przestrzegać interesów waluty i strzec monarchji przed niebezpieczeństwem agia. Niebezpieczeństwo to zaś zagrażało — pominąwszy zmiany w konstelacjach międzynarodowych — za każdym razem, gdy należało dokonywać w miejsce codziennych rozlicznych, a niezbyt w jednej pozycji wysokich transakcyj w świecie kupieckim, wypłat rządowych, przypadających zwłaszcza na kupony w kilku do roku terminach w znacznych bardzo sumach. Wypłaty te rządowe, do których należą także ceny za tytonie zagraniczne, rozrachunki międzypaństwowe kolejowe i pocztowe, wydatki zagraniczne wojskowości, marynarki i dyplomacji i t. p., wynosiły w markach, frankach francuskich, we frankach szwajcarskich, w guldenach holenderskich i funtach szterlingów, po

przeliczeniu na walutę krajową w milionach koron:

	roku 1903
dla Austrii	70 ^{·7} ; dla Węgier 59 ^{·7}
	roku 1904
dla Austrii	64 ^{·5} ; dla Węgier 60 ^{·2}
	roku 1905
dla Austrii	69 ^{·5} ; dla Węgier 47 ^{·2}
	w pierwszym półroczu 1906
dla Austrii	33 ^{·5} ; dla Węgier 30 ^{·1}

A jednak przez wszystkie te lata kurs naszej waluty dał się — dzięki codziennej troskliwości o targi monarchji i dzięki ostrożnym i wczesnym zawsze przygotowaniu do wypłat rządowych — utrzymać bardzo szczęśliwie, bo przecięcie kursu dewiz niemieckich, londyńskich i paryskich na targu wiedeńskim wynosiło:

roku 1900	: 0·79%	wyżej pari
" 1901	: 0·10%	niżej "
" 1902	: 0·16%	" "
" 1903	: 0·19%	" "
" 1904	: 0·15%	" "
" 1905	: 0·005%	wyżej pari
w I. półr. 1906	: 0·095%	" "

To znaczy, począwszy od wielkiej reformy bankowej, która zastała jeszcze przeszło $3\frac{3}{4}\%$ agia, mieliśmy przez 4 lata dysagio, a później nieznaczne agio, które swoją drogą spowodowało podwyżkę dyskonta od d. 20 października 1905 aż do 28 maja 1906.

Skutki całej powyżej akcji widoczne są na innem jeszcze polu wypłat międzynarodowych, które chciałbym przedstawić na zakończenie, mianowicie przy opłacie ceł.

Opłata ceł, ciężących na towarze zagranicznym, należy niezawodnie do wypłat międzynarodowych, bez względu na to, czy jej dokonywa cudzoziemiec lub, jak zazwyczaj kupiec krajowy. Z tego wynika, że w zasadzie musi cło, jak każdy inny dług międzynarodowy, być opłacane w złocie. Postanawiają to wyraźnie wszystkie ustawy cłowe, a doniosłość tego postanowienia zawisła od stanu waluty w odnośnym kraju.

W monarchji austriacko-węgierskiej obowiązywała aż do 1 marca b. r. taryfa cłowa, wprowadzona w Austrii ustawą z dnia 25 maja 1882, a we Węgrzech art. XVI ustawy z r. 1882. Taryfa wymierza cło w „guldenach“, a ustawa postanawia w artykule XIV, że cła ma się opłacać w „monetach złotych“, niemniej, że „ustanowienie wartości guldena“ w złocie w stosunku do monet złotych krajowych i zagranicznych ma nastąpić w drodze rozporządzenia. Cło więc miało być płacone właściwie w „guldenach złotych“ (Goldgulden). Na 12 lat przedtem bowiem stworzono ustawą z dnia 9 marca 1870 t. zw. „ośmio- i cztero- guldenówki“ złote, równe 20- i 10- frankówkom, tak, że gulden złoty, jako jednostka rachunkowa,

równy był $2\frac{1}{2}$ fr. lub 2^{025} markom niemieckim.

Ale monet tych nowych wybijano znikomą ilość, a roku 1892 zaprzestano tego zupełnie w moc ustaw walutowych, które wprowadziły monetę koronową i pozwalają zobowiązania, opiewające na „guldeny złote“ a więc i cła, umarzać w nowych monetach, w stosunku 42 guldenów = 100 koronom. Ponieważ guldeny złote wkrótce znikły zupełnie z obiegu, więc stanowiły od tego czasu w taryfie cłowej z r. 1882 już tylko monetę idealną, rachunkową.

Dopiero ustawa cłowa z dnia 13 lutego 1906 zaprowadziła pozycje taryfowe w koronach, a przepisując, podobnie jak ustawa z roku 1882, opłatę w „monetach złotych“, dodaje, że z chwilą ostatecznego uregulowania waluty mogą być cła płacone także w banknotach. Dopiero więc od dnia 1. marca b. r., t. j. od dnia wejścia w życie ustawy powyższej, znikł t. zw. „gulden złoty“.

Bank austriacko-węgierski objął służbę publiczną w tym dziale wypłat międzynarodowych znacznie wcześniej, nawet jeszcze zanim rządy przekazały mu swoje dochody w złocie, jakby dla zachęcenia ich do tego kroku. Już w dniu 15 grudnia 1900 mianowicie zaprowadzono za zgodą obu rządów t. zw. „asygnaty cłowe“ („Zollgoldanweisungen“), które strony mogą nabywać w każdej filii bankowej

za gotówkę celem użycia ich zamiast złota przy opłacie cła.

Urządzenie to ma niezawodnie na oku w pierwszym rzędzie uproszczenie odnośnych manipulacji monetarnych. Strona ma w banku sposobność, szybkiego i autentycznego poinformowania się, ile i w jakiej walucie najkorzystniej zapłacić cło; organa cłowe nie potrzebują rozrachowywać się ze stronami co do ceny walut zagranicznych; kasy skarbowe nie muszą się zajmować sortowaniem złota, ważeniem worków i odsyłaniem ich do kas centralnych lub do banku, lecz przesyłają po prostu otrzymane z urzędów cłowych asygnaty do banku, który znowu, objąwszy tymczasem zapasy złota rządowego w zarząd, bez dalszych manipulacji zapisuje odnośne sumy na rachunek wierzytelności złotej jednego lub drugiego rządu, a za to dysponuje monetami, pobranymi przez filje w zamian za asygnaty.

Ale urządzenie asygnat cłowych ma także głębsze znaczenie dla organizacji wypłat międzynarodowych. Od samego początku tej akcji, a więc na długo przed wejściem w życie nowej ustawy cłowej, t. j. za panowania jeszcze „guldena złotego“, zajął był bank stanowisko, że państwo samo się upokarza, wykluczając zasadniczo własne swoje pieniądze z użytku przy opłacie jakiejkolwiek daniny. W tym duchu zorganizowano emisję asygnat cłowych. Stosownie do kursu codziennego

obcych monet, bank wydaje stronom na ich żądanie asygnaty po warunkach jak najkorzystniejszych: strona rozstrzyga według koniunktury targowej o tem, na jaką walutę ma opiewać asygnata, jak niemniej o tem, czy chce za nią płacić odnośnemi monetami obcemi lub przekazem na zagranicę, czy złotem krajowem, lub wreszcie banknotem krajowym. W wypadku pierwszym stwierdza strona, że moneta obca jest tańszą od krajowej, zatem korzystniejszą do wypłat międzynarodowych na rzecz tego kraju; w wypadku drugim złoto obce, również tańsze od krajowego, wcale nie przychodzi z zagranicy in natura, jeno bank zapisuje nabytą przez przekaz wierzytelność zagraniczną na rachunek wierzytelności złotej rządowej; w wypadku trzecim stwierdza strona, że moneta krajowa jest tańszą od zagranicznej i stosowniejszą do wypłaty; w wypadku czwartym bank stwierdza równość wartości banknotów z wartością złota i pobrane w banknotach sumy zapisuje, jak gdyby były złożone w złocie, na konto złote rządu.

Skutek tych urządzeń jest więc następujący. Jakkolwiek przy cie chodzi o wypłatę międzynarodową na rzecz monarchji, sam akt opłaty jego cięży przeważnie na obywatelach monarchji; a że nie są to zawsze kupcy z powołania, należało im ułatwić i wydoskonalić te wypłaty tak, jak świat kupiecki i bankowy to czyni

przy wszelakich innych wypłatach międzynarodowych. Opłata jest ile możności najtańsza, jednak bez uszczerbku dla skarbów państwowych. Moneta krajowa wchodzi przytem w przynależne jej prawa.

W cyfrach przedstawia się ruch asygnat cłowych jak następuje:

Asygnat wystawiono:

roku 1900 (od 15. grudnia) sztuk	109			
		w wartości	$K 2^{610}$	mil.
roku 1901 szt.	1.727	w wart.	$K 25^{66}$	mil.
„ 1902 „	3.800	„ „	41^{0}	„
„ 1903 „	7.497	„ „	53^{4}	„
„ 1904 „	6.751	„ „	58^{6}	„
„ 1905 „	6.418	„ „	72^{7}	„
w l.pł. 1906 „	2.966	„ „	41^{4}	„

Asygnaty te opiewały na waluty następujące:

roku 1900

103 szt. na Marki w sumie	$M 2^{2}$	mil.
6 „ „ Franki „ „	$Fr 0^{021}$	„

roku 1901

1.324 szt. na Marki w sumie	$M 21^{5}$	mil.
493 „ „ Franki „ „	$Fr 0^{469}$	„

roku 1902

3.639 szt. na Marki w sumie	$M 34^{9}$	mil.
161 „ „ Franki „ „	$Fr 0^{152}$	„

roku 1903

7.472 szt. na Marki w sumie	$M 45^{5}$	mil.
25 „ „ Franki „ „	$Fr 0^{082}$	„

roku 1904

6'081 szt. na Marki w sumie *M* 39⁰ mil.59 „ „ Franki „ „ *Fr* 0⁴⁴⁷ „611 „ „ Kor. „ „ *K* 12⁴ „

roku 1905

4.349 szt. na Marki w sumie *M* 40⁸ mil.7 „ „ Franki „ „ *Fr* 0⁰³⁴ „2,062 „ „ Kor. „ „ *K* 24⁸ „

w pierwszym półroczu 1906

1.887 szt. na Marki w sumie *M* 24⁷ mil.

ani jednej na Franki

1.079 szt. na Korony w sumie *K* 12⁴ mil.

Z cyfr tych, w których pomiędzy filjami naszymi krajowemi biorą udział tylko filja lwowska (r. 1905: 61 sztuk na *M* 248.000 i 6 sztuk na *K* 148.230), jakoteż krakowska (roku 1905: 15 sztuk na *M* 10.130 i 10 sztuk na *K* 1000.—), okazuje się, że w latach, w których monarchja miała dysagio, używano do opłaty ceł więcej monety zagranicznej, zaś w roku 1905 i w pierwszej połowie roku 1906, w których panowało na targach monarchji agio, to znaczy, w których waluta obca była droższą od krajowej i dlatego nie nadawała się do użycia przy opłacie należności cłowej, posługiwano się w wyższym stopniu tańszą monetą krajową lub banknotem krajowym. Zaczęło się to być, acz w mniejszych o połowę rozmiarach już r. 1904, w którym dysagio powoli opadało.

Ciekawem jest także spostrzeżenie, że drożejąca coraz bardziej waluta francuska, o ile nie jest z góry, jak n. p. przy niektórych kuponach, przepisana kontraktem, nie nadaje się jako środek wypłat dobrowolny.

Ale i z tych wykazów cyfrowych można ponownie stwierdzić niejaką odmianę w objawach życia w porównaniu z nauką. Kiedy nauka przyjmuje złoto i dewizy za wyłączny niemal środek wypłat międzynarodowych, to w obrocie cłowym dewizy znikają zupełnie, a ich miejsce zajmują monety kraju, na którego rzecz mają być dokonane opłaty cłowe.

Może więc Szan. Zgromadzenie zechce z całego niniejszego przedstawienia praktyki wypłat międzynarodowych powziąć przekonanie, jak bardzo pożądaną jest metoda indukcyjna dla badań gospodarczych i społecznych. Życie gospodarcze i społeczne składa się z tak przelicznych objawów szczegółowych, że bez sumiennego ich śledzenia nie łatwo dojść do prawideł naukowych. Jeżeli zaś studjum tych objawów, z natury rzeczy niezawisłych od woli badacza i z motywów powstania swego często dlań nie całkiem zrozumiałych, nie da się postawić na równi z szeregiem dowolnych eksperymentów przyrodnika, to tem większy obowiązek korzystania z eksperymentów społecznych i podania ich do wiadomości ogółu cięży

na każdym, komu one są przystępne z mocy powołania jego. W poczuciu tego obowiązku ośmieliłem się przedstawić Szan. Zgromadzeniu szereg doświadczeń moich urzędowych w dziedzinie wyplat międzynarodowych.

List prezydenta ministrów hr. Stuergha.

Hochverehrte Exzellenz!

Nach reiflicher Erwägung und vertraulicher Rücksprache mit dem Cabinettsdirektor Baron Schiessel haben sich meine gleich zu Anfang gehegten Bedenken gegen die Idee einer blossen Huldigungsaudienz einer Abordnung des galizischen Adels einigermassen verstärkt.

Die Insinuationen, die dem galizischen Adel Indifferenz oder Reichsverdrossenheit zum Vorwurf machen, beruhen ja auf einem Gerede, das in Wien umläuft. Es steht dahin, ob solcher Klatsch zu S. M. gedrungen und ob, wenn ja, er auf S. M. irgend welchen Eindruck gemacht haben könnte! Es ist kein Grund anzunehmen, dass S. M. nicht von der Kaisertroue der Herren vollkommen überzeugt ist und sie als etwas traditionell Gegebenes und Selbstverständliches betrachtet. Deshalb ist es kaum anzunehmen, dass S. M. das Bedürfnis empfindet, ohne einen concreten Anlass hievon neuerlich versichert zu werden. Das Arrangement einer Audienz ohne einen anderen Anlass, offenkundig nur zum Austausch der Versicherung des Fortbestandes der bisher unangezweiften Verhältnisse zwischen Dynastie und galizischem Adel, würde daher nach Aussen den Eindruck erwecken, dass dieses Treugelöbniß notwendig war, um einen bestehenden Riss zu beseitigen. Dieser Eindruck wäre nicht günstig. Von übelwollender Seite wäre eine solche Deutung gewiss. Da diese Erwägung naheliegt, zweifle ich kaum, dass auch S. M. sie anstellen und von diesem Gesichtspunkte aus dem Gedanken einer solchen Audienz vermutlich nicht besonders geneigt sein würde. Vor Einholung einer Entschliessung S. M. wäre übrigens ein solches Audienzansuchen nicht zu riskiren. Zu erwägen kommt noch, dass im Falle der Entgegennahme einer Huldigung des galiz. Adels analoge Schritte seitens anderer politischer und sozialer Factoren in Galizien naturgemäss

nicht wohl abgelehnt werden könnten. Dass sie dadurch provoziert würden, halte ich für ganz selbstverständlich. Vielleicht liesse sich der Gedanke in folgender Form verwirklichen:

Das galizische Gebiet wird durch die militärischen Operationen successive vom Feinde frei. Aus diesem Anlass erweitert sich die Möglichkeit von Vorkehrungen zur wirtschaftlichen Wiederaufrichtung. An letzterer ist der Adel lebhaft interessiert. Wenngleich nun der Landmarschall dem Kaiser für das bewusste Handschreiben schon gedankt hat, so könnte der Adel jetzt noch in Anknüpfung an dieses Handschreiben eine Resolution nachstehenden Inhaltes fassen:

- 1) Dank für das Handschreiben und zuversichtliche Hoffnung auf Erfüllung der in demselben enthaltenen Versprechungen,
- 2) Unverbrüchliche Loyalität und Treue gegenüber der Allerh. Person, Versicherung fortdauernder dankbarer Hingebung an S. M.,
- 3) Zuversichtliche Erwartung, dass die Regierung nach Zulass der äusseren Verhältnisse alles im Sinne des Allerh. Befehles vorkehren werde.

Eine solche Resolution wäre der Regierung zu übergeben mit dem Verlangen:

- a) Dank und Huldigung des Adels an die Stufen des Allerh. Thrones gelangen zu lassen,
- b) im Sinne des Handschreibens die erforderlichen Schritte zu machen. Die Resolution wäre in einer Notiz über die zu mir zu entsendende Deputation zu veröffentlichen.

Verzeihen Euere Exzellenz die schlechte Schrift, das Papier ist elend.

In Ergebenheit

Stuergkh.

Wien 26/XII 1914.

E R R A T A:

W numeracji Rozdziałów opuszczono liczbę VI tak, że po Rozdziale V następuje Rozdział VII (zamiast VI i t. d.).

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

44752/2 t.1



12-044752-001-0